

Osadzona w mrocznych czasach nazizmu powieść,
którą koniecznie musicie poznać.

Justyna Chaber, Ona Czyta

KOCHANKA

NAZISTÓW

MARIA

PASZYŃSKA

FILIA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

MARIA
PASZYŃSKA

KOCHANKA
NAZISTÓW

FILIA

Piotrowi...

„Szczególne zadanie, jakie wykonywała z rozkazu AK – czy miało charakter unikatowy, czy też po prostu żadna z dziewczyn wysłana wprost w ramiona wroga jeszcze do tej pory o swoich losach nie opowiedziała”

Aleksandra Janiszewska

„Polecenie przez dowódców AK młodziutkim dziewczynom, by pełniły dwuznaczne role przy wrogu w sytuacjach, w których to poradzić sobie mogły tylko dzięki sprytowi i kokieterii, ale nie wiadomo jakim kosztem – nie sposób takich decyzji oceniać, ale trzeba o nich wiedzieć, by nie ulec pokusie postrzegania historii w kategoriach czarno-białych [...]”.

Aleksandra Janiszewska

„My, młodzież polska, byliśmy do pewnego stopnia sumą wpojonych w nas zasad. Byliśmy więc dumni nie tylko z nieśmiertelnej tradycji naszych przodków, ale i z siły naszego młodego państwa. Jakże gorzkie było rozczarowanie, które wkrótce miało przeżywać młode pokolenie, gdy sen o naszej potędze prysł jak bańka mydlana...”

Halina Szwarc

Ból przeszywa każdy skrawek mojego ciała. Kolejny cios batogiem zakończonym ołowianą kulką. Nie sposób oddzielić mnie od bólu. Jestem bólem.

– Namysłiałaś się? – pada zadane po niemiecku pytanie. – Zaczyniesz wreszcie mówić prawdę?

Milczę. Co mam mu odpowiedzieć? Że się zgubiłam? Że sama już nie wiem, co jest prawdą? Przecież nie tego ode mnie oczekuje. Nie to chce usłyszeć. Bierze moje milczenie za odmowę.

Świst bata. Trzask pękających żeber.

Tak bardzo pragnę umrzeć, ale wiem, że mi nie pozwolą. Spróbują ocucić mnie wodą, a gdy to nie skutkuje, znów przyjdzie ten lekarz z zastrzykiem, po którym moje serce zacznie mocniej pracować. Zupełnie jak w obronie królewsko-indyjskiej, zamknięcie środka i zamęczenie przeciwnika. Nie dadzą mi spokoju przed matem. Muszą się dowiedzieć, kim jestem. Tylko że ja sama nie wiem. Nie mogę im pomóc i skrócić sobie cierpienia. Nie wiem już, jak się nazywam, ile mam lat, gdzie mieszkam. Pamiętam tylko, jak poruszają się figury szachowe, ale gdy zaczęłam im o tym mówić, straciłam dwa zęby.

„Zdyscyplinuj myśli” – powtarzano mi aż do znudzenia. „Skoncentruj wszystkie wokół jednego tematu. Zamknij w umyśle całą resztę”.

Ciemnieje mi przed oczami. Wszystko wokół faluje. Rozmywa się, to znowu wyostrza, ale ja nie tracę przytomności. Przy biurku siedzi kobieta. Ma ładną fryzurę, trzyma się prosto. Wystukuje na maszynie kolejne pytania, a potem w napięciu czeka na odpowiedzi. Zdaje mi się, że ani razu nie oderwała wzroku od wkręconej w maszynę kartki. Podziwu godne skupienie, zważywszy na okoliczności.

Na moment ogarnia mnie zdumienie, jak różne reakcje wywołuje ból. Momentami mam wrażenie, że nie pali jak na początku, już go nawet nie odczuwam. Tylko oddycha mi się coraz ciężiej. Duszę się bólem. To, że nie krzyczę, współwięźniarki wzięłyby zapewne za akt bohaterstwa, ale tak naprawdę nie mogę krzyczeć. Nie mogę wydobyć z siebie głosu. Dławię się tym niemym krzykiem.

Chwila przerwy. Mężczyzna głośno sapie. Jest zmęczony. Wkłada w swoją pracę dużo wysiłku. Może zdecyduje się na chwilę odpoczynku? Brzdęk metalowej tacy. Już wiem, że tylko zmienił narzędzie tortur. Ręka oprawcy się unosi. Słyszę świst pałki. Tym razem twarda guma trafia w żołądek.

Mroczy pod powiekami gęstnieją. W ciemnościach zdają się migotać jak gwiazdy w letnią noc. Słyszę cykanie świerszczy i wieczorny trel ptaków. Ból mnie dopada, wizja się rozplywa. Otwieram usta, ale nie mogę złapać powietrza. Duszę się.

Słyszę ich głosy. Jego i jej – tej, która była mną, i mężczyzny, który kochał ją nad życie. Byliśmy tacy młodzi, tacy naiwni w swojej wierze w przyszłość.

– Jakby chcieli bić, musisz jak najszybciej zemdleć – oświadczył pewnego dnia z niezbitą pewnością. – To zawsze robi wrażenie.

– Zemdleć? Jak to: zemdleć? – dopytywałam. – Przecież nie da się tak po prostu stracić przytomności.

– I to mówi dziewczyna z lekarskiej rodziny?

Poczułam, że się czerwienię, ale nie spuściłam wzroku.

– Nie zapominaj, że jeszcze nawet nie zdałam matury, a poza tym medycyna nic a nic mnie nie interesuje.

– A to akurat błąd – stwierdził zawadiacko. – „Mądry człowiek powinien wiedzieć, że zdrowie jest jego najcenniejszą własnością”. Hipokrates.

Wzruszyłam ramionami.

– Na szczęście mam wokół siebie tylu lekarzy, że mogę spokojnie zająć się matematyką, bez uszczerbku dla mojego zdrowia – odparłam.

Uśmiechnęłam się szeroko i ujęłam go pod ramię. Był taki jasny dzień, doskonale pamiętam światło sączące się przez szczeliny w zielonym sklepieniu parkowych drzew.

– Zamierzasz zostać nauczycielką? – zapytał.

Rzuciłam mu spojrzenie pełne politowania.

– Ja? – upewniłam się kpiąco. – Wyglądam ci na kogoś, kto mógłby uczyć dzieci?

Przystanął i przez chwilę przyglądał mi się, robiąc przy tym zabawne miny.

– Nie – zawyrokował po skończeniu oględzin. – Zdecydowanie nie.

– Przyjmę to za komplement – odparłam ze śmiechem. Tak dużo się wtedy śmiałam. – Nie, nie zamierzam być nauczycielką. Chcę budować nowe teorie, rozwiązywać najtrudniejsze problemy matematyczne.

– Czyli planujesz być drugą Skłodowską-Curie, tak?

– Bardziej Sofją Kowalewską – poprawiłam go. – Ale tak, chciałabym być naukowczynią, najpierw jednak... – Zawahałam się. Nigdy wcześniej nie wypowiedziałam na głos tego marzenia, nikomu się z niego nie zwierzyłam. Zdawało mi się zbyt wielkie, by wolno mi było je śnić, mimo to nie potrafiłam się go wyrzec.

– Tak? – zachęcił mnie Janek.

Spojrzałam w jego jasne oczy i poczułam, że właśnie jemu chciałabym wyjawić moje najgłębiej skrywane pragnienie.

– Chciałabym zostać mistrzynią szachową – powiedziałam cicho i spuściłam wzrok.

– Pomogę ci – stwierdził po prostu, jakbyśmy rozmawiali o porządkowaniu ogrodu czy odmalowywaniu pokoju.

– Naprawdę? – Popatrzyłam mu prosto w oczy. Nie miałam pojęcia, jak mógłby mi pomóc, szczególnie że nie grywał w szachy, ale i tak czułam, jak przyjemne ciepło wzruszenia rozlewa mi się w sercu.

Przytaknął.

– Mogę ci robić kanapki – oświadczył śmiertelnie poważnie. – Mówiłaś kiedyś, że te partie trwają bardzo długo, a na głodnego nie da się myśleć.

– A z czym będą te kanapki? – dopytywałam ze śmiechem.

– Z baleronem albo salcesonem – odparł bez wahania. – Będę ci je kupował u naszego masarza na Czerniakowie. Nigdzie w Warszawie nie dostaniesz takich wędlin. Palce lizać!

– I mówisz, że dzięki temu moje szanse wzrosną?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości – odpowiedział z tak poważną miną, że znów się roześmiałam. – Po drodze tylko wpisz mnie, proszę, w swój kalendarz, dobrze? – dodał jeszcze. – Jak już będziesz tą mistrzynią szachową, dostaniesz Nobla czy jakąś inną nagrodę, może być trudno przedostać się przez hordy dziennikarzy i wielbicieli, zabijających się o rozmowę z tobą.

– Nie musisz się wpisywać – zapewniłam. – Dla ciebie zawsze znajdę czas.

W jego oczach błysnęły iskierki radości. Wiatr rozwiewał jego jasną czuprynę.

– Ale ślub chyba trzeba będzie zaplanować, nie sądzisz?

Słyszę swój przyspieszony oddech, czuję bicie serca i już nie wiem, czy jestem tu, w katowni, czy znów tam, owego dnia, gdy Janek poprosił mnie o rękę. Po policzku płynie łza. Wzruszenia? Bólu? Tego też nie wiem. Nie mogę ustalić, gdzie kończy się jawa, a zaczyna dobry sen, z którego nie chcę się budzić.

– Ty tak poważnie? – pytam Janka, gdy po chwili udaje mi się uspokoić oddech.

Uśmiecha się do mnie. Słońce zdaje się przeświecać przez jego twarz, jakby promieniał szczęściem.

– Całkiem poważnie – odparł. – Ożenię się z tobą. Przynajmniej taki mam plan. Pytanie, czy się zgodzisz, ale gdybyś się zgodziła, obiecuję być dobrym mężem. Jeszcze nie wiem, jak to się robi, ale się dowiem i postaram się sprostać, żeby było jak w bajkach, wiesz... „I żyli długo i szczęśliwie, już zawsze razem...” – kończy ciszej.

Podobała mi się ta wizja. Natychmiast wyobraziłam sobie nasz dom, a dokładniej parapet wielkiego okna kuchennego, na którym ustawiłabym doniczki ze świeżymi ziołami, tymiankiem, lawendą, miętą, rozmarynem. Za szybą rosłoby ogromne stare drzewo o rozłożystych gałęziach, dające przyjemny cień.

– Za rok w maju zdasz z wyróżnieniem maturę, potem dostaniesz się na wydział matematyczny na uniwersytecie, idę o zakład, że z najwyższą notą, więc gdzieś w okolicach października czterdziestego roku w zasadzie moglibyśmy się pobrać – mówił szybko, o wiele szybciej niż zazwyczaj. Wiedziałam, że ze wszystkich sił stara się nie pokazać, jak bardzo jest przejęty. – Okrągłą datę łatwiej zapamiętać. I kto wie, może nie będę się mylił, zapytany, którą rocznicę ślubu obchodzimy.

– Skąd ten pośpiech? – odpowiedziałam, nie dlatego, żebym miała coś przeciwko wychodzeniu za mąż, szczególnie za niego, raczej by się z nim jeszcze podroczyć i dać sobie chwilę na opanowanie wzruszenia. – Jesteśmy młodzi. Mamy czas.

„Mamy czas” – te słowa tłuką mi się teraz po głowie, zagłuszając świst spadających na mnie razów. Ból mnie otrzeźwia. Skóra tak szczypie. Sól podrażnia świeże rany. Mieli nie bić po twarzy, ale widocznie zapomnieli.

Chcę, by tamta wizja wróciła. Potrzebuję tych wspomnień, choć wiem, że tylko spotęgują cierpienie i narażą mnie na niebezpieczeństwo. Podczas przesłuchania echa dawnych dni zadają największy ból, zmiękczają. Nie powinno się pamiętać, jeśli chce się przetrwać.

Szachy. Miałam myśleć tylko o szachach. Popełniłam błąd, otwierając skrzynię z przeszłością. Chciałam tylko przypomnieć sobie poradę Janka, a osłabiłam się. Muszę zemdleć. Dłużej nie wytrzymam. Oni to wiedzą. W katowniach Gestapo pracują najlepsi w swym fachu. Wiedzą, że mnie złamią. Pewnie wyczuwają, że jestem już na krawędzi, blisko granicy, zza której nie ma powrotu.

Nie zabiją mnie. O nie. Śmierć byłaby aktem łaski, na który przecież nie zasługuję. Zezwierzczenie – oto co stanie się moim udziałem. Stracę kontrolę nad umysłem. Każdy poddawany torturom w końcu traci. To nieuniknione. Dowódcy nawet nie próbowali tego ukrywać.

„Karol Levittoux dokonał samospalenia, bo wiedział, że nie wytrzyma” – mówił Jawor. „Każdy ma swoją granicę wytrzymałości na ból. Nawet najdzielniejsi pękają. Zapamiętaj to dobrze. To nie jest powód do wstydu. Każdy prędzej czy później się złamie. Jednak im dłużej wytrzymasz, tym większą szansę na ocalenie dasz swoim bliskim. Dla nich spróbuj znieść, ile zdołasz. Dla nich uczysz się metod przetrwania przesłuchań”.

Aż dotąd milczałam, myśląc jedynie o szachach. Od początku przesłuchań odtwarzałam w głowie dawne partie i analizowałam ich przebieg. Teraz jednak w mojej tamie powstała szczelina, przez którą wsączają się wspomnienia. Pękam. W końcu wybelkoczę wszystko, pełzając po zimnym betonie, obejmując lśniące czarne buty. Zebrząc o litość.

Zdradzę. Podam nazwiska najdroższych, rodziny, przyjaciół, nauczycieli, pseudonimy, powiem wszystko, a w kącikach ust zbierze mi się biała piana. Nie wytrzymam. Nikt tego nie wytrzyma. Człowiek nie został stworzony do zniesienia czegoś takiego.

Dlatego muszę zemdleć. Jak najczęściej mdleć.

– Janku... – wzdycham cicho i już wiem, że przegrałam.

– Kto to? – Szwargotliwy wrzask wdziera mi się w głąb czaszki. – Kim jest Janek?

Żadnych imion. Żadnych nazwisk. Żadnych wspomnień. Tylko śmiech. Słyszę jej śmiech, zagłusza wrzask przesłuchującego mnie Niemca. Głośny, nieskrępowany śmiech tej, którą kiedyś byłam. Znow na kilka chwil zabiera mnie z katowni. Jeśli popadając w obłąd, mogłabym pozostać na zawsze w tamtej wizji, szaleństwo nie byłoby czymś przerażającym.

– To jak się mdleje, mądralo? – zapytałam znowu tamta ja, byle powiedzieć cokolwiek.

– Przyznaj się, chcesz teraz osunąć się wdzięcznie w me ramiona? Tak, to pasowałoby do tej sytuacji.

– Sądziłam, że jesteś wyjątkowy. – Westchnęłam teatralnie i przewróciłam oczami. – Niestety, myliłam się, wszyscy mężczyźni są tacy sami.

– Przecież tylko się drocę.

– To się nie droc. Traktuj mnie tak, jak swoich kolegów z roku...

– Jesteś od nich zdecydowanie ładniejsza.

– I znowu to samo! Miałeś traktować mnie poważnie.

– Już, już, przepraszam – powiedział szybko Janek, dostrzegając moje podenerwowanie.

– To jak z tym omdlewaniem?

– Czekaj, najpierw ty odpowiedz na moje pytanie! Sama przyznasz, że jest odrobinę ważniejsze.

– Chyba zapomniałam, jak brzmiało... – Znow ten śmiech.

– Przechera! – stwierdził, a ja kokieteryjnie zamrugałam, jakbym nie miała pojęcia, o czym mówi. – Dobrze więc. Niech będzie po twojemu.

To powiedziawszy, zdjął kraciatą czapkę i jak stał, padł na kolana.

– Marianno Jurasz, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Dudnienie serca. Krew tętniąca w skroniach. Głos więznący w gardle. Nie odpowiedziałam. Skinęłam tylko głową. Raz, a potem jeszcze raz i jeszcze jeden. Janek ujął moją dłoń, przyłożył do ust. Długo patrzyliśmy sobie w oczy, a potem nagle wstał, otrzepał spodnie z pyłu parkowej alejki i wbił dłonie w kieszenie.

– No to ustalone – rzekł i jak gdyby nigdy nic ruszył przed siebie.

– Zaczekaj, to jak jest z tym omdlewaniem? – krzyknęłam za nim, na poły skonfundowana, na poły rozbawiona tymi dziwacznymi oświadczeniami.

Nie tak wyobrażałam sobie tę chwilę, gdy byłam małą dziewczynką, ale nie czułam się zawiedziona. Przeciwnie, to wszystko było takie jak my, wymykające się z ram wszelkich zeszywniałych zasad i konwenansów.

– Oddychaj! – odkrzyknął i zatrzymał się.

Podbiegłam do niego.

– O, tak jak teraz – tłumaczył. – Szybko. Najszybciej, jak potrafisz. Jeden wdech i mnóstwo małych wydechów z przepony.

– Z przepony?

– Tak jakbyś... – zawahał się. – O, jakbyś zdmuchiwała świeczkę.

– Chyba dużo świeczek.

– Na urodzinowym torcie babci... albo lepiej prababci, tyle że one przecież nie świętują urodzin.

Echo naszego śmiechu odbija się teraz od ścian pozbawionego okien pomieszczenia. Lśnią od wilgoci, która nie pozwala skrzepnąć plamom mojej krwi. Zdmuchiwać świeczki na urodzinowym torcie, jak proste się to wówczas wydawało! Teraz usta mam tak spuchnięte, że wargi nie chcą się układać w żaden kształt. Ból rozrywa każdy skrawek mojego ciała, oddech nie jest czymś zwyczajnym, tylko kolejnym źródłem cierpienia. Mimo wszystko próbuję. Wdech. Szybkie wydechy. Raz, dwa, trzy...

Balansując na granicy jawy i snu, słyszę znów ich głosy. Nasze głosy.

– Najpierw zakręci ci się w głowie, a potem stracisz przytomność. To się nazywa hiperwentylacja.

– A skąd ty to w ogóle wiesz? – zagadnęłam, mrużąc oczy. – Naprawdę uczą takich rzeczy na medycynie?

Pokręcił głową.

– To gdzie? – nie ustępowałam.

– Na ulicy – odparł, uśmiechając się szeroko. – Mówiłem ci, jak chcą cię bić, a ty wolisz uniknąć bijatyki...

– No tak, dobry pan doktor z Czerniakowa musi sobie poradzić w każdej sytuacji.

– Z ust mi to wyjęłaś – powiedział, po czym niespodziewanie objął mnie mocno i pocałował tak, jak nie całował nigdy wcześniej. Do utraty tchu.

Pięć, sześć... Oddech pali. Połamane żebra wpijają się w tkanki, kalecząc opłucną. Nie, nie dam rady. Nie mam siły. Po chwili jednak ogarnia mnie fala mdłości, czuję lekkie kołysanie podłogi, na której leżę skulona. Wisząca pod sufitem żarówka też się buja. Ostatni błysk światła odbija się od wilgotnych ścian. Zapada upragniona ciemność.

WARSZAWA

JESIEŃ 1938

– A wiecie, z czego najczęściej spowiadają się warszawiacy? – zagadnął Ryszard śmiertelnie poważnym tonem.

Odpowiedział mu wielogłosowy pomruk, coś pomiędzy pytaniem a zachętą.

– Z łakomstwa – odpowiedział na własne pytanie, po czym wybuchnął gromkim śmiechem, a wszyscy pozostali zawtórowali mu, choć nigdy nie byłam pewna, czy śmieją się z samego dowcipu, czy po prostu nie potrafią oprzeć się zaraźliwemu śmiechowi mojego starszego brata.

Ja też się roześmiałam. Dziś wieczór musiałam zachowywać się tak jak wszyscy. Ryszard po raz pierwszy zaprosił mnie na spotkanie ze swoimi przyjaciółmi z akademii. Chciałam, by był zadowolony i może jeszcze kiedyś zabrał mnie ze sobą. Chciałam, żeby jego znajomi mnie polubili. Chciałam kiedyś być taka jak oni, radośni studenci drugiego roku medycyny, z których żywotność i energia zdawały się przelewać jak ze zbyt małej kompotierki.

– Łakomstwo w tym mieście jest w pewien sposób usprawiedliwione okolicznościami. Chyba nigdzie indziej nie ma tylu kawiarni i cukierni co w Warszawie – zaczął Staszek Marchwicki, reprezentant wydziału prawa, kolega Ryśka jeszcze z czasów, gdy obaj nosili krótkie spodnie na szelkach. Był jedyną poza bratem znaną mi tu osobą, a mimo to, gdy zajmowaliśmy miejsca, usiadłam możliwie najdalej od niego.

W sposobie, w jaki przyglądał mi się Marchwicki, od paru miesięcy było coś niepokojącego, a cała swoboda naszych niegdysiejszych kontaktów zniknęła bez śladu.

– Oj, Staszku, Staszku, nie mędrkuj, bo ci się kopuła przegrzeje. – Mój brat natychmiast zgasił jego zapał, dbając jednocześnie, żeby tamten przypadkiem nie znalazł się w centrum zainteresowania.

Taki już był Ryszard, zawsze chciał jak najwięcej uwagi skupiać na sobie, ale robił to z wdziękiem i wszyscy kochali go właśnie takiego.

Siedziałam i chłonełam atmosferę tego spotkania, onieśmielona i zachwycona zarazem.

– Panienska je?

Wzdrygnęłam się. Odwróciłam wzrok od brata i spojrzałam w stronę, z której dobiegał głos. Pytanie zadane zostało przez chłopaka, na którego wcześniej całkiem nie zwróciłam uwagi. Gdybym miała go opisać, powiedziałabym chyba, że był zwyczajny. Ani przystojny, ani brzydki, nie za wysoki, nie szczupły, lecz i nie postawny, włosy jasne, bliżej nieokreślonego koloru. Stanowczo nie był to typ młodzieńca, dla którego traci się głowę. Miał raczej urodę wesołego wiecznego chłopca, miłą twarz z piegami na policzkach, a tym, co najbardziej przyciągało uwagę, były śmiejące się pocziwe oczy.

– Słucham? – odezwałam się niepewna, czy dobrze usłyszałam jego słowa.

– Pytałem: czy panienska je? – powtórzył, rzucając sugestywne spojrzenie na stojący przede mną talerzyk z nietkniętym kawałkiem ciasta. Aż dotąd byłam zbyt zaabsorbowana słownymi potyczkami brata i jego przyjaciół, by choć spróbować tutejszego przysmaku: sernika na kruchym cieście ze skórką cytrynową.

– Nie – wykrztusiłam, odzywając się po raz drugi tego wieczoru.

Chłopak nachylił się w moją stronę.

– A miałyby panienka coś przeciwko temu, żebyśmy dyskretnie zamienili się talerzami? – wyszeptał, choć wśród wrzawy, której głównym źródłem był oczywiście mój brat, i tak nikt nie mógł go usłyszeć.

– N-nie – wyjąkałam, zupełnie nie wiedząc, o co w tym wszystkim chodzi. Gorączkowo się zastanawiałam, czy nie jest to jakiś ponury żart i czy właśnie nie zachowuję się beznadziejnie dziecinnie, ale chłopak tylko skinął głową i błyskawicznie zamienił nasze talerze.

Oślupiała patrzyłam, jak w mgnieniu oka pochłania przeznaczony dla mnie kawałek sernika.

– Panienska wybaczy obcesowość – odezwał się znów, ocierając serwetką kąciuki ust. – Ale... po prostu nie mogłem wytrzymać.

– Czego?

– Patrzenia na ten sernik stojący tak blisko mnie – jęknął żałośnie.

Wybuchnęłam tłumionym śmiechem.

– Dziwak z pana – wyrwało mi się, nim zdążyłam zatrzymać słowa.

Chłopak nie wydawał się urażony. Przeciwnie, rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

– Skądże znowu. Jestem obrzydliwie wręcz normalny, tylko chwilowo... – Zawiesił głos wyraźnie speszony.

– Tak?

– Tylko chwilowo tak okropnie głodny! W nocy miałem dyżur w szpitalu, potem cały dzień wykładów, nie było kiedy wygospodarować godziny, by zejść do domu po coś do zjedzenia – wyznał wreszcie.

– Ach – westchnęłam ze współczuciem. – Może zamówić dla pana coś jeszcze?

– To nie takie proste – odparł, znów się uśmiechając. – Widzi panienka, jedno takie ciasto kosztuje tyle, ile wydaję na jedzenie przez tydzień. No dobrze, przesadziłem, przez trzy dni. Może cztery.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. W moim świecie nikt nie przejmował się pieniędzmi. Matka pochodziła z zamożnej rodziny ziemiańskiej, która na nową drogę życia odpowiednio ją uposażyła. Ojciec był znanym chirurgiem, profesorem nauk medycznych. Prowadził też prywatną praktykę lekarską w domowym gabinecie. Mieliśmy przestronne, jasne mieszkanie z pianinem, wanną i elektrycznością, dochodzącą służbę, kucharkę i gospodynię. Finanse nigdy nie stanowiły powodu do zmartwień.

– A panienska tak siedziała nad tym sernikiem i nawet na niego nie patrzyła – tłumaczył chłopak, z zawrotną prędkością wyrzucając z siebie słowa. – Pomyślałem sobie przeto, że może nie jada panienska ciastek, nie lubi słodczy albo cierpkości skórki cytrynowej, a nie odmówiła z grzeczności, i że może jak zapytam, to wybawię panienkę z kłopotu...

Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami, a w duchu przeklinałam samą siebie i los, który poskąpił mi tupetu i wymowności.

– Wiem, co panienska sobie myśli. Tak, tak, Ryszard miał rację z tym łakomstwem – ciągnął niezrażony brakiem odpowiedzi. – Jutro się wypowiadam, obiecuję, jakem Jan, syn Jana, syna Jana.

– Głód i łakomstwo to jednak nie to samo – powiedziałam, spuszczać oczy. Bałam się, że nieopatrzonym słowem wprawię go w zakłopotanie. – W byciu głodnym nie ma nic złego.

– Co prawda, to prawda – odparł wesoło, wygodniej opierając się na ławie. – Racja, nie będę się spowiadał.

Podniosłam wzrok. Patrzył na mnie wciąż tak samo, tym jasnym, spokojnym spojrzeniem.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc milczałam. Odwróciłam wzrok i udałam, że znów przysłuchuję się rozmowie toczącej się na środku stołu, lecz po prawdzie cały czas w napięciu oczekiwałam, czy Jan znów się do mnie odezwie.

– Powiem paniencie, że ci cukiernicy to są bardzo ciekawi ludzie – zaczął po chwili ku mojej uciechu.

Z trudem powstrzymałam uśmiech, by nie okazać nadmiernego entuzjazmu. Wszystkie te zasady dobrego wychowania, co wypada, a co nie, wpajane mi przez matkę od dziecka, tamtego dnia uwierały mnie szczególnie mocno.

– A czemuż to, jeśli można wiedzieć? – spytałam z grzecznym zainteresowaniem.

– Bo to prawdziwi artyści! – rzucił z emfazą. – Ludzie podziwiają malarzy, rzeźbiarzy, grafików, a przecież to cukiernicy tworzą sztukę doskonałą, dzieła, która chłonie się wszystkimi zmysłami. Tylko tworzywo wybrali sobie, delikatnie mówiąc, nietrwałe – zauważył, tęsknym spojrzeniem obrzucając pusty już talerzyk.

– Może nie każdy artysta marzy o pomniku trwalszym od spiżu? – zasugerowałam.

– Być może – zgodził się. – Ale mnie chyba serce pękłoby z rozpacz, gdybym patrzył, jak moje arcydzieło, ot choćby azalia zdobiąca tamten tort na wystawie, znika wewnątrz czyjejs, proszę mi wybaczyć, gęby.

Roześmiałam się głośno. O wiele głośniej, niż planowałam. Ryszard zerknął w moją stronę i uniósł brwi ze zdziwieniem. On jeden wiedział, że zwykle kryłam ten śmiech przed nieznanymi, bo trochę się go wstydziłam.

– Wyciągasz z mojej siostry wszystko, co najlepsze, Franuś! – rzucił w stronę Janka.

– Franuś? – spytałam. – Myślałam, że pan ma na imię Jan...

– To nasz najwspanialszy Janek Franek – dopowiedział mój brat, choć niewiele mi to wyjaśniało.

– Jan Frankowski – przedstawił się piegus. – Ale wszyscy wołają na mnie Janek Franek. Na naszym roku jest pięciu Janów, trzeba jakoś odróżniać ich od siebie.

– Gdyby nie nadzwyczaj wdzięczne nazwisko, zapewne okrzyknęlibyśmy cię złotą rączką – rzucił mój brat wciąż tym samym

żartobliwym tonem.

– Nie przesadzajmy... – Janek po raz pierwszy tego wieczoru zdał mi się lekko stremowany.

– No już nie wstydz się tak, nie wstydz – dworował Ryszard. – Nigdy nie uważałem skromności za jakąś specjalną cnotę. Każdy, kto tak mówi, sam zapewne jest beztalenciem.

– Umiejętność naprawiania różnych rzeczy... – zaczęłam, chcąc wesprzeć Janka.

– O, nie o naprawianie tu chodzi! – wpadał mi w słowo brat. – Choć gdyby się nad tym głębiej zastanowić...

– Może jaśniej? – poprosiłam całkiem zdezorientowana.

– Janek naprawia ludzi.

– Jak wy wszyscy...

– O nie, nie, moja droga. Jak nikt. Janek ma doskonałą rękę do skalpela – wyjaśnił siedzący po przeciwnej stronie stołu chłopak w okrągłych okularach, którego imienia nie pamiętałam. – Wszyscy zazdroszczą mu talentu.

– A mówiąc „wszyscy”, mamy na myśli wszystkich – uściślił Ryszard.
– Nie wyłączając profesorów.

Młodzieńcy wybuchnęli pełnym satysfakcji śmiechem.

– Nie przesadzajmy... – Głos Janka nie mógł się przebić przez ogólną wrzawę.

– Żadna w tym przesada! – wykrzyknął Ryszard. – Każdy z nas, jak tu siedzimy, zaświadczy, że mówię prawdę.

Młodzieńcy siedzący wokół stołu jednocześnie wzniesli toast filiżankami z kawą.

To była pierwsza rzecz, której dowiedziałam się o Janie Frankowskim. Miał niezwykle zdolności i w przeciwieństwie do mojego brata, który też

miał niemały talent do chirurgii, nie obnosił się z tym. Właściwie miałam wrażenie, że nie do końca w siebie wierzył. Ale takie były fakty.

– A ty, Staszek, skąd wiesz? – spytał przytomnie Ryszard, zerkając kpiąco na przyjaciela. – O ile wiem, nie studiujesz z nami, ale może coś mnie ominęło? Wytłumacz mi to, jeśli łaska.

Marchwicki natychmiast opuścił dłoń z filiżanką i najwyraźniej żadna cięta riposta nie przyszła mu do głowy, bo poczerwieniał i zaczął świdrować wzrokiem blat stołu. Wstyd się przyznać, ale patrzenie na to sprawiło mi niemałą radość.

– Nie wiem, czy takie niedostatki w wymowie są dobrą wróżbą dla adepta prawa – rzucił jeszcze Ryszard i klepnął przyjaciela po plecach.

Marchwicki, który właśnie upił łyk kawy, zakrztusił się i zrobił się już całkiem czerwony. Ryszard zaczął gorliwie go oklepywać, przy wtórze docinków i kolejnych rad przyszłych lekarzy. Gdy Marchwicki odzyskał oddech, wszyscy zasiedli znów na ławie i rozmowy potoczyły się dalej tym dziwacznym młodzieńczym rytmem.

Mówili ciągle, o wszystkim i o niczym, śmiali się dużo, często wznosili okrzyki, poklepywali się, szturchali i zachowywali się jak mocno wyrośnięte przedszkolaki. Siedzący obok mnie Janek Frankowski obserwował ich z pobłażliwym uśmiechem. Nie próbował na siłę zabawiać mnie rozmową, za co byłam mu szczerze wdzięczna. W milczeniu przyglądaliśmy się rozgrywającym się przed naszymi oczami scenom, a ja ku własnemu zdumieniu czułam się całkiem swobodnie.

To była druga rzecz, której dowiedziałam się o Janku Franku. Dobrze się milczało w jego towarzystwie.

WARSZAWA

CZERWIEC–SIERPIEŃ 1939

Ostatnie dni przed wakacjami ciągnęły mi się w nieskończoność. Egzaminy, odpytywania i nauka były już za nami. Teraz nasze szkolne dni wypełniały porządki w klasach i próby występu na akademię z okazji zakończenia roku szkolnego 1938/39. Ponieważ nie umiałam śpiewać, tańczyć ani recytować z odpowiednią dykcją i dozą dramatyzmu, co gorsza nie przejawiałam też specjalnych uzdolnień plastycznych, zostawiono mnie w spokoju. Mój wkład w to wydarzenie miał się ograniczyć do tego, że w dniu przedstawienia powitam gości w naszych szkolnych progach i wskażę im drogę do auli. Niezbyt skomplikowane zadanie, w dodatku niewymagające żadnego przygotowania.

We wtorek wracałam ze szkoły znużona nicnierobieniem. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak będą wyglądały kolejne dni. Marzyłam o tym, żeby się rozchorować i spędzić je w łóżku, ale doskonale wiedziałam, że nic mi nie dolega, a pech w byciu córką lekarza polega na tym, że wszelkie próby symulowania choroby nieodmiennie kończą się fiaskiem. Zły humor pogłębiał fakt, że moja serdeczna przyjaciółka i jedyna uczennica naszej szkoły, która jakkolwiek umiała grać w szachy, została też obdarzona przez naturę wspaniałym głosem. Wróżono jej karierę wielkiej śpiewaczki, tymczasem polecono nauczyć się kilku solowych numerów na akademię. Amelia była więc co chwilę niezbędna tej czy innej grupce akompaniatorów do przećwiczenia ich numeru, a to

nie sprzyjało jej grze. Robiła głupie błędy, raz pomyliła nawet ruch skoczka.

– Przepraszam – bąknęła zawstydzona i szybko postawiła figurę na właściwym polu.

Wiedziałam, że chciała dobrze, naprawdę się lubiliśmy, ale nie mogłam nie zauważyć tęsknych spojrzeń, które rzucała w stronę dziewcząt stojących przy pianinie.

– Dokończymy tę partię innym razem – stwierdziłam w końcu.

– Grajmy dalej – zaproponowała bez przekonania.

– Amelko, naprawdę musimy dokończyć innym razem – przekonywałam ją. – Bo widzisz, przypomniałam sobie, że obiecałam profesor od łaciny pomóc jej poukładać tablice. Wiesz, ile tego jest.

Wyraz ulgi, który odmalował się na twarzy przyjaciółki, upewnił mnie, że dalsza gra byłaby bezcelowa.

Uporządkowanie tablic z deklinacjami i koniugacjami zajęło mi zaledwie kwadrans. Przez pozostałą część dnia włóczyłam się bez celu po korytarzach. Nuda okazała się o wiele bardziej wyczerpująca niż codzienny szkolny trud.

Wracając do domu, byłam tak przygnębiona i senna, że nie zauważyłam chłopaka, który przeskoczył przez żywopłot tuż za moimi plecami. Nie zważając na pełne dezaprobaty spojrzenia eleganckich kobiet, które gęsto obsiadły parkowe ławki, jednym wielkim susem pokonał dzielącą nas odległość i wyrósł przede mną jak spod ziemi. Pisnęłam zaskoczona.

– Dzień dobry, kłaniam się nisko pannie Mariannie – przywitał się, wykonując przy tym zabawny gest, jakby omiatał dłonią parkową ścieżkę.

– O, dzień dobry, Janku – ucieszyłam się szczerze.

Od tamtego spotkania w cukierni widywaliśmy się jeszcze od czasu do czasu, zawsze przypadkiem, zawsze w towarzystwie mojego brata i ich

wspólnych kolegów. Teraz też rozejrzałam się, szukając ich wzrokiem, ale wyglądało na to, że tym razem Janek Franek był sam. To spostrzeżenie nieco mnie onieśmieliło, ale na bardzo krótko.

– Wyglądasz na zmęczoną – stwierdził rzeczowym tonem przyszłego lekarza, po czym natychmiast dodał: – Co jednakowoż w niczym ci nie ujmuje.

– Mam nadzieję – odparłam ze śmiechem. – W przeciwnym razie do końca roku zbrzydłabym zupełnie. Jestem nieludzko zmęczona.

– Czym, jeśli można wiedzieć? – zainteresował się.

– Nieróbstwem! – wybuchnęłam, a on, zamiast wyrazić współczucie, zachichotał, jakbym powiedziała coś bardzo zabawnego.

– Nie wiedziałem, że tym można się zmęczyć – powiedział i ruszył powoli cienistą alejką.

– Uwierz mi, można – zapewniłam stanowczo, dotrzymując mu kroku. – Lubię porządek, ustalone strategie, określone cele, do których można systematycznie dążyć. Wiesz, o czym mówię?

– Oczywiście, jestem przecież studentem medycyny.

Wymieniliśmy uśmiechy.

– Co nie zmienia faktu, że wiele bym dał, żeby czasem poleżeć i nie robić zupełnie nic – dodał.

– Ja też! Tyle że nie w szkole.

Byłam zdziwiona tym, jak swobodnie czuję się w jego obecności, choć przecież prawie się nie znaliśmy. Nie było między nami żadnego zawstydzenia, skrępowania, żadnej niepewności, o czym mówić czy jak się zachować. Wszystko zdawało się tak proste i naturalne, jakbyśmy rozmawiali w ten sposób od najmłodszych lat. Opowiedziałam mu o zamieszaniu wokół akademii i o mojej wymuszonej bezczynności.

– Grasz w szachy? – zapytał.

Potwierdziłam skinieniem głowy.

– Ale grasz jak typowa panienka z dobrego domu czy trochę lepiej? – Uniósł prawą brew w wyrazie powątpiewania.

– Trochę lepiej – zapewniłam rozbawiona.

– Jak dużo lepiej?

– Nie jestem wprawdzie Wróblem ani Przepiórką... – zaczęłam.

– Słucham? – Na twarzy Janka odmalowało się coś na kształt szoku zaprawionego całkowitą dezorientacją.

– Nie żartuj nawet! Naprawdę nigdy nie słyszałeś o Dawidzie Przepiórcie? – wykrzyknęłam. – Mistrz Polski, złoty medalista olimpijski, wicemistrz świata w kategorii amatorów, mówi ci to coś?

– Niestety nie.

– Rozumiem, że o jego uczniu, Marianie Wróblu, którego parę lat temu Związek Problemistów sklasyfikował jako czwartego najlepszego gracza świata, też nie?

– To może dla jasności od razu zaznaczę, że o Związku Problemistów także nigdy nie słyszałem – powiedział Janek, przyglądając mi się z wyraźnym zainteresowaniem.

– A o Złotej Drużynie i ich wyczynach w Hamburgu? – Emocjonowałam się, jakby przyszło mi odkrywać przed kimś całkiem nowe lądy, których istnienie było dla mnie czymś oczywistym i fascynującym zarazem. Tak jak ojciec z Ryszardem mogli godzinami, nawet przy jedzeniu, rozprawiać o ciekawych przypadkach medycznych i temat ten nigdy im się nie nudził, ja mogłam mówić o szachach bez końca, jeśli tylko znalazł się jakiś wdzięczny słuchacz.

Janek Franek pokręcił głową. Wzięłam wdech.

– A o olimpiadzie szachowej w Warszawie?

Znów zaprzeczył.

– Przecież to było cztery lata temu?! Jak możesz tego nie pamiętać? – Nie zdołałam ukryć wzburzenia, bo tamte sierpniowe dni wspominałam

jako najważniejsze w swoim dotychczasowym życiu i jak każdemu pasjonacie, tak i mnie zdawało się, że dla wszystkich powinny być równie znaczące.

Wszystkich przybyłych w 1935 roku do Warszawy uczestników olimpiady (oprócz mistrza świata Aleksandra Aleksandrowicza Alechina, któremu przeznaczono apartament w Hotelu Europejskim) zakwaterowano w Hotelu Sejmowym. Co rano wraz z tłumami pasjonatów szłam pod hotel i wyczekiwałam chwili, gdy zawodnicy wyjdą, żeby przemieścić się do Kasyna Oficerskiego na Szucha, nieopodal Parku Ujazdowskiego, gdzie odbywały się rozgrywki. Chciałam jak inni choć na nich popatrzeć. Nie co dzień ma się szansę zobaczyć na żywo największe umysły swoich czasów, ludzi, których teorie szachowe fascynowały, a układane przez nich zadania spędzały pozostałym sen z powiek. Każdy miał swoich faworytów, więc pod drzwiami hotelu toczyły się zażarte dyskusje na temat wyższości Tartakowera nad Ståhlbergiem czy Stolza nad Dakiem.

Równolegle z olimpiadą toczyły się rozgrywki o tytuł szachowej mistrzyni świata, które wzbudzały we mnie nie mniejsze emocje, choć tu od dziesięciu lat nie było niespodzianek. Tytuł mistrzyni nieodmiennie zdobywała Vera Menchik, urodzona w Moskwie córka Czecha i Angielki. Jej dominacja na turniejach była niekwestionowana, choć Amerykanka Sonja Graf nie ustawała w wysiłkach, żeby ją dogonić. Byłam jednak bez reszty ciekawa ich pojedynku, szczególnie że były to bodajże pierwsze w historii kobiety, które dopuszczano do turniejów z mężczyznami.

– Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, że w naszym pięknym mieście wciąż coś się dzieje. – Głos Janka Franka wyrwał mnie ze wspomnień. – Tu koncert, tam parada, jakieś biegi...

– Ale to była szósta w dziejach olimpiada szachowa! – Rozemocjonowałam się na nowo. – Dwadzieścia drużyn, prawie setka zawodników. Dwa tygodnie rozgrywek na najwyższym światowym poziomie.

– Wygraliśmy? – spytał, a jego zainteresowanie wydawało się szczere.

Pokręciłam głową.

– Z tego wszystkiego wnoszę, że faktycznie interesujesz się szachami – skwitował żartobliwie i kopnął kamyczek, który krzywo potoczył się po piaszczystej parkowej alejce.

– Można tak powiedzieć – odpowiedziałam i odwzajemniłam uśmiech.

– Szachy to szalenie twórcze zajęcie, łączy w sobie naukę, sztukę i sport...

– Sport? – powtórzył zdziwiony Janek.

– A co myślałeś?

– No nie wiem, chyba miałem odmienną definicję sportu. W tych wszystkich ćwiczeniach i grach, które ludzie powszechnie nazywają sportem, nie chodzi przypadkiem o podniesienie sprawności fizycznej, o bycie w ruchu?

– Zdziwiłbyś się, jak doskonałej formy fizycznej wymaga od zawodnika kilkugodzinna partia szachów.

– Być może. – Janek nie sprawiał wrażenia przekonanego, lecz zdawało mi się, że w przeciwieństwie do mojego brata wolał unikać konfliktów niż za wszelką cenę udowodniać swoje racje. – Ja w każdym razie preferuję oglądanie sportów nieco bardziej, jak by to ująć, dynamicznych.

– Wbrew pozorom szachy są dynamiczne, tylko na swój sposób – przekonywałam – i zaskakujące, trochę jak wojna rozgrywająca się na wszystkich polach ludzkiego umysłu. Niby armia jest przygotowana na każdy ruch przeciwnika, a jednak sytuacja nierzadko wymyka się spod kontroli.

– Może zamiast wojen głównodowodzący powinni siadać naprzeciwko siebie nad szachownicą i w ten sposób rozstrzygać o losach świata? – zasugerował Janek.

– Doskonała myśl, choć nienowa – zgasiałam jego zapał.

– Naprawdę? Ktoś przede mną wpadł już na tak niepospolity pomysł?

– I to bardzo dawno temu – uświadomiłam mu. – Przynajmniej kilkanaście stuleci.

Pokręcił głową z niedowierzaniem, zabawnie zaciskając przy tym usta.

– Istnieje cała masa legend o pochodzeniu szachów – ciągnęłam, gdy skręciliśmy w kolejną alejkę. Przy gęstych krzakach kotłowała się masa sikorek, którym chłopczyk w marynarskim ubranku i białych podkolanówkach garściami sypał nasiona słonecznika. – Najśłynniejsza jest rzecz jasna ta z ziarnkami ryżu...

– Zdaje mi się, że profesor matematyki w gimnazjum nam ją opowiadał. – Janek zrobił minę, jakby usiłował wydobyć coś z głębin pamięci. – Jak to szło...?

– Wynałazca miał sam wybrać sobie nagrodę... – odpowiedziałam, bo zakończenie tej opowieści było o wiele częściej powtarzane niż sama historia początków szachów.

– I poprosił o jedno ziarno pszenicy za pierwsze pole na szachownicy, dwa za drugie, a za kolejne dwa razy więcej ziaren niż za pole poprzednie – zawołał Janek tonem odkrywcy. – Ha, pamiętam! Profesor zrobił nam z tego zadanie egzaminacyjne.

– Wyzwanie. – Spojrzałam na niego ze szczerym podziwem i odruchowo zaczęłam liczyć w pamięci. Szybko jednak się otrząsnęłam i mówiłam dalej. – Ja najbardziej lubię inną wersję tej legendy.

– Opowiesz?

– Przed wiekami w Indiach żył sobie radża. Jego żona była kobietą niezwyklej urody i intelektu. On kochał wojny i nieustannie organizował nowe wyprawy, napadał sąsiednie królestwa, grabił cudze ziemie. Wówczas kruchy pokój pękał i rozsypywał się w pył, a życie w pałacu robiło się nieznośne. Nudzący się pod nieobecność swojego pana dworzanie rozleniwiali się, popadali w rozpustę, pojedynkowali się o byle co, słowem: gnuśnieli. Pewnego dnia żona radży wymyśliła grę, by spróbować powstrzymać męża przed napadaniem na innych

i zatrzymać go przy sobie, a przy okazji zająć czymś służbę. Gdy jej mąż powrócił z kolejnej wojny, zaciekawiło go, co tak mocno zajmuje wszystkich jego dworzan. Zaproszony przez jednego z nich do gry, usiadł i nie ruszył się z miejsca przez wiele godzin. Całkowicie stracił zainteresowanie wojną. Od tamtej pory wystarczyły mu szachy.

– Które wymyśliła kobieta – rzekł Janek, ale w jego głosie nie było kpiny.

Skinęłam głową.

– Oczywiście czaturanga trochę różniła się od dzisiejszych szachów, radża biały nie stał naprzeciwko czarnego, słoń, czyli dzisiejszy goniec, mógł poruszać się tylko o dwa pola na ukos, szachownica była jednolitego koloru i takie tam, ale podwaliny pozostały.

– Świetna historia – pochwalił Janek. – I doskonała metoda na zaprowadzenie pokoju na świecie.

– Może i doskonała, tylko czemu, skoro znana jest od tyłu stuleci, nikt nie chce się nią posłużyć? – mruknęłam, a moje myśli natychmiast poszybowały ku niewesołym sprawom międzynarodowym, którymi tej wiosny żyli wszyscy.

Rozmawialiśmy, klucząc parkowymi uliczkami, a gdy tylko mignęło nam w oddali ogrodzenie, bez słowa zmienialiśmy kierunek, by znów zagubić się w czerwcowej zieleni. Nie potrafiłam zrozumieć, skąd brała się ta swoboda między nami. Ta dziwna, ale niepodważalna pewność, że się rozumiemy. Powiadają, że w każdej bajce jest ziarnko prawdy. Gdyby więc była i okruszyna w tej historyjce o dwóch połówkach jabłka, gotowa byłabym przysiąc, że właśnie to stało się naszym udziałem. Ani przez chwilę nie pomyślałam o tym, że mogłabym zakochać się w tym wesołym, złotowłosym chłopaku, słowo daję, ale polubiłam go jak nikogo wcześniej. Śmialiśmy się z tych samych żartów, oboje byliśmy ciekawi świata i ludzi, lubiliśmy postawić tezę i rozważać wszystkie możliwe warianty rozwiązania, w większym gronie woleliśmy milczeć niż mówić. Oboje nie przepadaliśmy za sportem, ale dużo

spacerowaliśmy, szczególnie gdy trzeba było ułożyć sobie coś w głowie. Szybko zostaliśmy przyjaciółmi.

Wielu twierdzi, że prawdziwa przyjaźń potrzebuje lat, by rozkwitnąć. Nasza była jak tchnienie wiosny. Drzewo jednego dnia pokryte pąkami następnego obsypane jest kwieciami tak gęsto, że nie sposób dostrzec gałęzi. Właśnie tak było z nami.

Lato 1939 roku wydawało mi się dziwne. Wakacje rozpoczęły się dwudziestego trzeciego czerwca i w pierwszym tygodniu nic nie zapowiadało późniejszej fali tropikalnych upałów. Było chłodno, od czasu do czasu siąpił nieprzyjemny deszcz. Na szczęście taki stan rzeczy trwał zaledwie kilka dni i w końcu lato objawiło się w całej pełni. Mimo to wielu uznało to preludium za złowróźbne.

Z jednej strony od blisko pół roku wszyscy mówili o wojnie. Ribbentrop wciąż powtarzał te same żądania, by Polska zgodziła się na włączenie Wolnego Miasta Gdańsk do Rzeszy oraz na budowę eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej przez swoje ziemie na Pomorzu, a także przystąpiła do paktu antykominternowskiego. Z początku opinii publicznej nie ujawniano, rzecz jasna, szczegółów. Ta część partii rozgrywała się w zaciszu gabinetów dyplomatycznych. Gdy jednak wojska Hitlera, łamiąc porozumienia monachijskie, wkroczyły do Czech i Moraw, stało się jasne, że zasada równowagi sił w Europie przestała obowiązywać.

Uspokajano się nawzajem podpisanymi w marcu brytyjskimi gwarancjami. Krążyła plotka, że na wieść o tym porozumieniu Hitler wpadł we wściekłość i wygrażał, krzycząc: „nawarzę im takiej kaszy, że się nią udławiają”. Słowa te pobudziły wyobraźnię artystów. Plastycy prześcigali się w humorystycznych rysunkach i karykaturach, a pisarze układali zabawne wierszyki i przyśpiewki, których głównymi bohaterami

byli facecik z czarnym wąsem i rodzima kasza. Podobne gwarancje w kwietniu podpisano także z Francją, a po majowym wystąpieniu ministra Becka w sejmie – prasa rozpisywała się o nim z wielkim entuzjazmem – zdawało się, że widmo wojny na chwilę nieco przybladło. Nie trwało to jednak długo. Wiedzieliśmy, że wypowiedzenie przez Hitlera paktu o nieagresji z 1934 roku prędzej czy później przyniesie skażone śmiercią owoce.

Temperatury rosły, słońce prażyło, a atmosfera wokół gęstniała. Kto mógł, gromadził zapasy jedzenia i innych artykułów pierwszej potrzeby, kopano rowy przeciwlotnicze i szańce. W mieście raz po raz rozbrzmiewały ćwiczebne syreny alarmowe. Nagłówki gazet budziły coraz większy niepokój. „Rzesza intensywnie gromadzi siły wojskowe w Wolnym Mieście”, „Wyciągnijcie łapy po Gdańsk – to wojna!”. Niektóre zakłady pracy wypłacały swoim pracownikom z góry pobory za kolejne trzy miesiące. Pożyczano sobie coraz bardziej podniszczone egzemplarze wydanej w styczniu przez Ministerstwo Opieki Społecznej „Instrukcji o organizacji ratownictwa sanitarnego w samoobronie przeciwlotniczej i przeciwgazowej”. Urządzano niezliczone czternastodniowe kursy dla sanitariuszy ochotników, składające się z części teoretycznej i praktycznej.

Z drugiej zaś strony na plażach nad Wisłą trudno było znaleźć skrawek wolnej przestrzeni. Po bulwarach przechadzały się elegantki w najmodniejszych tego lata sandałach na korkowej podeszwie, okryte krótkimi do kolan, jasnymi płaszczami kąpielowymi, spod których wystawały marszczone kostiumy. Towarzyszyli im zwykle mężczyźni w krótkich spodenkach z lśniącymi od olejków torsami nakrytymi koszulami w duży kolorowy deseń. Co i rusz odbywały się potańcówki, rozgrywki sportowe, pokazy akrobatyczne, koncerty, przedstawienia plenerowe; kąpieliska i baseny pełne były szalejących w wodzie malców, ogródki kawiarni i restauracji pękały w szwach. Parkowe ławki były tłumnie oblegane. W sobotę trzeciego czerwca otwarto Tor Wyścigów Konnych na Służewcu, wówczas największy i najnowocześniejszy tego typu obiekt w Europie. Przez kolejne tygodnie odbywały się gonitwy,

w których brali udział czempioni z najświetniejszych polskich i zagranicznych stadnin.

Powietrze falowało od upału, słońce spaliło zieleń traw, mój ojciec w szpitalu operował jak zawsze, a w domowym gabinecie leczył głównie anginy i poparzenia na ramionach. Wszystko zdawało się takie zwyczajne, jak każdego lata. Staraliśmy się ze wszystkich sił, żeby tak było.

Nawet Stefan Ossowiecki, inżynier, który dysponował szerokim wachlarzem umiejętności paranormalnych, w tym jasnowidzeniem i bilokacją, a w którego słynnych seansach uczestniczyli Ignacy Jan Paderewski i marszałek Piłsudski, spędzał to lato na plaży w Juracie. Wszyscy brali ten fakt za dowód na to, iż żadnej wojny nie będzie, skoro najślynniejszy polski jasnowidz wypoczywa beztróska jak zawsze.

Nie wiem, czy powodowała nami tęsknota za normalnością, którą staraliśmy się rozproszyc gęstniejące nad nami chmury, czy może lęk, że to wszystko może się skończyć. Prawdę mówiąc, dziś nie jestem nawet pewna, czy w ogóle się nad tym zastanawiałam.

Pamiętam jednak każdy dzień tamtego lata, niemal każdą godzinę, gdy samej sobie zdawałam się najszczęśliwszą dziewczyną na świecie.

To było lato mojej pierwszej miłości.

Nie, nie planowałam zakochiwać się w Janku Franku. Gdyby ktoś zasugerował mi coś takiego, zapewne roześmiałabym się w głos i wytłumaczyła, że to tylko kolega mego starszego brata, nikt szczególnie, ot, daleki znajomy. Nie planowałam zadurzyć się w kimś tak... zwyczajnym. Wielokrotnie zwierzałyśmy się sobie z Amelką z fantazji o mężczyznach naszych marzeń. Ideałem Amelii był Zbigniew Rakowiecki, którego wycięte z gazety zdjęcie z komedii *Szczęśliwe dni* wystawianej w Teatrze Ateneum miała zawsze przy sobie; nosiła je pod podszewką klapy szkolnej teczki. Mój książkę z bajki miał przypominać Franciszka Brodniewicza, który skradł moje serce rolą ordynata Waldemara Michorowskiego. Moje sny nawiedzał pełnokrwisty dojrzały mężczyzna, wysoki, dobrze zbudowany brunet o lśniących ciemnych

włosach zaczesanych gładko do tyłu, orlim nosie, kwadratowym podbródku i zamglonych tajemniczą oczach. Byłam przekonana, że tylko ktoś taki mógł przyspieszyć bicie mego serca.

Tymczasem Janek Franek nie miał w sobie nic z amanta. Nie było w nim krztyny tajemniczości czy uduchowienia. A jeśli chodzi o jego podobieństwo do Brodniewicza, to kończyło się ono na płci.

Jan Frankowski był czystą radością życia. Przy nim wszystko zdawało się takie nieskomplikowane. Miał jasne zasady postępowania, był szczerzy, prostolinijny i ufny. Żył dla innych, niczego nie oczekując w zamian, lecz gdy spotkało go coś dobrego, potrafił to docenić i cieszyć się tym jak małe dziecko.

Najwięcej wymagał od samego siebie. Pracował za trzech, często nie dosypiał i nie dojadał, a mimo to, nawet gdy kręgi pod oczami mocno się pogłębiały, uśmiech nie schodził mu z twarzy. Dla każdego miał życzliwe słowo. Co ciekawe, zwykle mówił dokładnie to, co dana osoba potrzebowała usłyszeć, jakby był wróżbitą, jasnowidzem czy magikiem. Kilka razy odwiedziłam go w szpitalu. Przyglądałam się, jak pacjenci wodzą za nim wzrokiem, jak uśmiechają się na jego widok i jak przygasają, gdy odchodzi.

Janek był światłem i nie szczędził innym swego blasku. Przeciwnie – hojnie nim się dzielił.

Z początku wpadaliśmy na siebie niby przypadkiem, jak za pierwszym razem, i spacerowaliśmy po parku, nim pozwalałam mu odprowadzić się do domu. Te chwile coraz bardziej się wydłużały, a mimo to my mieliśmy sobie coraz więcej do powiedzenia. Nierzadko gdy nadchodził moment rozstania, doznawałam uczucia krzywdy, jakiejś trudnej do zidentyfikowania niesprawiedliwości. Przecież dopiero co się spotkaliśmy, dopiero co zaczęliśmy tę rozmowę, a teraz musimy przerwać ją niemal w pół zdania.

Po pewnym czasie zorientowałam się, że gdy zbyt długo go nie widzę, wszystko zaczyna mnie drażnić. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Próbowałam jak dawniej siadać nad zagadkami matematycznymi czy

rozwiązywać zadania szachowe, ale nie potrafiłam się skupić i porzucałam je niedługo po otwarciu książek czy zeszytów. Mój wzrok wciąż biegł ku wskazówkom zegara, który odmierzał czas do chwili, gdy jak miałam nadzieję, znów zobaczę Janka. Nieodmiennie poruszały się zbyt wolno.

– Janek Franek wpadł ci w oko – stwierdził pewnego wieczoru Ryszard, a gdy posłałam mu pytające spojrzenie, dodał: – Obserwowałam was przez okno. Wyglądaliście tak...

W napięciu oczekiwałam na to, co powie.

– Tak jakby poza wami nie było zupełnie nic – rzekł wreszcie.

– To głupie – powiedziałam prędko, byle powiedzieć cokolwiek i nie pokazać, jakie wrażenie zrobiły na mnie jego słowa. – Tylko rozmawialiśmy.

– Coś często ostatnio rozmawiacie.

Wzruszyłam ramionami i nie zaszczyciłam go odpowiedzią. Słowa brata poruszyły we mnie jakąś nieznana strunę, obudziły niepokój, którego źródła nie mogłam zidentyfikować. W tamtej chwili byłam jednak pewna, że Ryszard się myli. To nie mogło być uczucie, które sugerował. Przecież ja doskonale wiedziałam, jak powinno wyglądać zakochanie. Motyle w brzuchu, brak apetytu, serce tłukące się w piersi jak oszalałe od samego brzmienia głosu wybranka, marzenia o wspólnym życiu we śnie i na jawie i tym podobne symptomy, z których mnie nie dotyczył żaden.

Tymczasem przy Janku Franku nie było mowy o wzruszeniu, przeciwnie – wciąż się śmiałam. Zasypiałam, gdy tylko przykładam głowę do poduszki, jadłam jak zwykle z apetytem i gdyby nie to ciągle rozdrażnienie, które zrzucałam na karb zaduchu i upałów, nie potrafiłabym wskazać ani jednego odstępstwa od moich normalnych zachowań.

– A ty często rozmawiasz z Marchwickim – odparowałam, splatając ręce na piersi.

Ryszard uniósł dłonie w obronnym geście. Mama zawołała nas na obiad, chłodnik litewski z jajkiem i smażonymi ziemniakami obficie posypany szczypiorkiem i koprem, ale nawet pojawienie się na stole mojej ulubionej zupy nie mogło rozproszyć owego osobliwego stanu, który ogarnął mnie po rozmowie z bratem.

– Nie smakuje ci? – zagadnęła mnie matka.

– Od tego gorąca nie mam apetytu – odparłam wymijająco.

Ryszard rzucił mi znaczące spojrzenie, ale go zignorowałam.

– Czuję, że zaczyna mi się migrena – powiedziałam, odsuwając od siebie talerz z niemal nietkniętą zupą. – Pójdę się położyć.

– Idź, dziecko, idź – odpowiedziała ze współczuciem matka. – Przyniosę ci zaraz wody z solą i cytryną. Te upały wysysają z człowieka wszystkie siły.

Kilka godzin później pełna szklanka z przyniesioną przez matkę wodą migrenową nadal stała na stoliku. Słońce zaszło, niebo zgranatowało, na gładkiej ciemnej tafli jedna po drugiej pojawiały się złociste punkciki gwiazd, a ja wciąż siedziałam w tym samym miejscu na parapecie okna. Moje uszy wyłapywały znajome odgłosy kończącego się dnia. Gospodyni, która przychodziła do nas popołudniami, by pomóc matce w zajęciach domowych, brzdękała w kuchni wyszorowanymi do czysta garnkami. Rodzice, jak co wieczór, rozmawiali w jadalni, popijając herbatę ziołową. W rurach szumiała woda, bo Ryszard, korzystając z okazji, że nie miał tego dnia nocnego dyżuru, zażywał kąpieli. Był to nieomyślny znak, że zamierzał długo się uczyć. Zawsze powtarzał, że nic tak nie odświeża ciała i umysłu jak porządna kąpiel. Janek pewnie skwitowałby to adekwatnym cytatem z Hipokratesa.

– Janek... – szepnęłam w ciemności nocy. Czekałam na drgnienie serca, nawałnicę wzruszeń czy jakikolwiek znak, że to, co do niego czułam, zgodnie z przypuszczeniami Ryszarda mogło być zakochaniem. Zamiast tego uśmiechnęłam się tylko.

Postanowiłam zapisać się na kurs sanitariuszek Polskiego Czerwonego Krzyża. Amelka namawiała mnie od dawna, ale ja całkiem nie widziałam się w roli siostry miłosierdzia niosącej pomoc rannym.

– Moja matka też się boi widoku krwi. – Amelka pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Ja się nie boję – prychnęłam. – Nie zapominaj, że jestem córką chirurga, niemało się w życiu naoglądałam.

– W takim razie dlaczego nie chcesz się ze mną zapisać? – Przyjaciółka wbiła we mnie nierozumiejące spojrzenie. – To wszystko jest bardzo ciekawe, a podobno nawet zabawne w tej części praktycznej.

– Nie nadaję się do tego i już – spróbowałam uciąć tę dyskusję. – Zdecydowanie wolałabym być kryptolożką i łamać szyfry.

– Ty i ta twoja emancypacja – westchnęła Amelia. – Zobaczymy, co powiesz, jeśli jednak zacznie się wojna.

– Nie kracz – uciszyłam ją.

Nagła zmiana decyzji w tej sprawie zdziwiła wszystkich. Rodzicom wyjaśniłam, że skoro zostajemy na całe lato w Warszawie, potrzebuję jakiegoś konkretnego zajęcia. Ordynator szpitala, w którym pracował ojciec, poprosił jego i innych lekarzy, by ze względu na napiętą sytuację międzynarodową na wszelki wypadek pozostali w mieście. Nasze plany

wakacyjne legły w gruzach. Ryszard, który początkowo zamierzał wyjechać z przyjaciółmi nad morze, również został w Warszawie. Miałam wrażenie, że jedyną osobą naprawdę zadowoloną z takiego obrotu spraw była matka. Na wieść, że wszyscy zostajemy w domu, odetchnęła z ulgą. „W złym czasie trzeba trzymać się razem” – powtarzała nam od dziecka.

Starła się niczego po sobie nie pokazywać, ale sędzę, że coraz realniejsza wizja nadchodzącej wojny ją przerażała. Chciała mieć nas wszystkich przy sobie, jakby wierzyła, że może nas ochronić przed całym złem tego świata, jak wówczas, gdy byliśmy mali.

Nigdy nie przejawiałam zainteresowania medycyną, więc moja decyzja o zapisaniu się na kurs sanitariuszek szczególnie ucieszyła ojca. Może miał nadzieję, że i drugie z jego dzieci w końcu wkroczy na właściwą ścieżkę i zdecyduje się na studia medyczne, realny zawód przynoszący konkretne dochody, potrzebny w każdym czasie, zamiast marzyć o karierze naukowej.

Tylko ja wiedziałam, że dałam się ponieść dziwnemu impulsowi, który wywołało we mnie zobaczenie Janka przy jednym z punktów przyszpitalnych, gdzie pracownice Polskiego Czerwonego Krzyża sporządzały listy chętnych na przeszkolenie sanitarne. Przed ustawionym pod markizą stolikiem utworzyła się spora kolejka, w której przeważały młode dziewczęta. Elegancko ubrane, kunsztownie uczesane, z dyskretnym makijażem, wodziły wzrokiem za młodym mężczyzną w białym kitlu, który asekurował starszą kobietę wyciąganą przez noszowych z karetki. Przystanęłam z zaciekawiona. Dziewczęta wymieniały szeptem uwagi, chichotały, a jedna czy druga westchnęły jakby w zachwyceniu. Szybko się zorientowałam, że tym, co wzbudzało tak wiele emocji, nie był przebieg zdarzeń, ale postać młodego doktora. Dopiero po chwili rozpoznałam jasną czuprynę Jana Frankowskiego.

W jednej chwili poczułam przyływ złości na te głupie gdaczące gęsi w loczkach i falbankach. Chciałam je upomnieć, że to nie czas i miejsce na umizgi, że powinny się zająć poważniejszymi sprawami, bo

nadchodzi wojna, lecz zamiast tego wykorzystałam ich nieuwagę i podeszłam do pielęgniarki prowadzącej zapisy.

– Marianna Jurasz – przedstawiłam się, zaciskając pięści.

Starłam się nie zerkać przez ramię. Miałam nadzieję, że Janek odwróci się w tę stronę i dostrzeże mnie przy stoliku. Nie potrafiłam pojąć, czemu tak się dzieje, ale szalenie zależało mi na tym, żeby mnie w tej chwili zobaczył. W pełnym napięciu wyczekiwaniu odpowiadałam na pytania pielęgniarki. Ta zanotowała moje personalia i kilka innych szczegółów, po czym wpisała mnie na listę uczestniczek kursu.

Gdy się odwróciłam, Janka już nie było, a stadko zarumienionych z emocji dziewcząt znów zmieniło się w przepisową kolejkę.

Nie był to więc ani szlachetny poryw serca, ani wyraz ukrytych zainteresowań, a jedynie głupi i kompletnie niezrozumiały dla mnie odruch. Przez kolejne dni zadreślałam się rozmyślaniami na ten temat, aż wreszcie musiałam stanąć w prawdzie.

Zapisałam się na kurs dla sanitariuszek, bo byłam zazdrosna o te wszystkie dziewczęta robiące maślane oczy do Janka Franka. Czułam wewnętrzny sprzeciw wobec takiego stanu rzeczy, ale wspomnienie tamtych chwil wciąż budziło moją złość.

W połowie lipca, zaraz po wyjątkowo hucznych obchodach rocznicy zwycięskiej bitwy pod Grunwaldem, które przerodziły się w wielką narodową manifestację uczuć patriotycznych i antyniemieckich nastrojów, siedzieliśmy z Jankiem na ławce w parku w cieniu rozłożystej lipy. Obłożeni książkami rozwiązywaliśmy zadania z matematyki. Uparłam się, że w ostatnie wakacje przed maturą nie mogę zrobić sobie przerwy od nauki, a Janek jak gdyby nigdy nic zaproponował, że mi pomoże.

– W wolnych chwilach, rzecz jasna – dodał.

– Wolnych? A miewasz w ogóle takie? – Rzuciłam mu pełne powątpiewania spojrzenie.

Najwyraźniej miewał i sporo z nich spędzał ze mną. Mijający nas przechodnie przyglądali się nam z zaciekawieniem. Rok szkolny już dawno się skończył, wszyscy wydawali się ze wszech miar spragnieni odpoczynku, piękna pogoda nie sprzyjała skupieniu, więc widok pary młodych ludzi pochylonych nad książkami faktycznie mógł budzić zdziwienie.

– Dlaczego chcesz zostać naukowcem? – odezwał się nagle Janek.

– Hmm? – mruknęłam nieuważnie, bo pochłonięta równaniem różniczkowym nie dosłyszałam jego pytania.

- Dlaczego właściwie chcesz zostać naukowcem?
- Matematykiem – poprawiłam go, dopisując wynik. – Zrobione!
- Zatem matematykiem – powiedział zgodnie. – Przyznasz sama, że to dość oryginalny wybór.
- Przypomnę ci... – zaczęłam, lekko wysuwając podbródek, ale nie dał mi dokończyć.
- Tak, tak, znam przecież tę historię. Rodzina wybitnych chirurgów. Ojciec profesor chirurgii, uznany autorytet, stryj wielka sława, innowacyjny operator, przez jednych nazywany szaleńcem, przez innych geniuszem – mówił, jakby recytował wyuczoną na pamięć formułkę. – Brat prymus, świetnie zapowiadający się chirurg, choć zawsze drugi podczas zajęć praktycznych – rzekł już z nieco większym entuzjazmem, puścił do mnie oko, po czym natychmiast spoważniał. – Oczywiście, zamiłowanie do nauki wyssałaś z mlekiem matki. Tyle że to za mało...
- Do czego? – nie zrozumiałam.
- Żeby wytrwać – odparł. – Trochę jak w medycynie, nie każdy da radę stawić czoła śmierci i ogromowi ludzkiego cierpienia. Wiesz przecież, jak wyglądają operacje. Krew, wnętrzności, wydzieliny, smród...
- Jeśli liczysz, że wzdrygnę się z obrzydzenia, to muszę cię rozczarować – prychnęłam.
- Jejku, z kobietami nie idzie normalnie porozmawiać.
- Może jak przestaniecie oczekiwać, że będziemy mdlały na widok krwi, będzie łatwiej.
- Kiedy mi wcale nie o to chodziło.
- A o co? – spytałam wojowniczo. – Sugerowałeś chyba, że są profesje, w których trudno wytrwać, i jeśli dobrze zrozumiałam, to te zdominowane przez mężczyzn.
- Mnie też czasem jest ciężko – wyznał nagle.

Zamrugałam szybko, całkowicie zbита z tropu. Moja złość ulotniła się w jednej chwili. Stał przede mną chłopak z Czerniakowa, który niejedno w życiu widział i niejedno przeżył, umięśniony, wysportowany i jeśli wierzyć słowom jego kolegów, wybitnie uzdolniony. Ktoś taki powinien być nieustraszony, nieugięty. Nie spodziewałam się usłyszeć czegoś takiego.

– Tobie?

Przytaknął.

– Niekiedy mam ochotę zostawić to wszystko, znaleźć sobie jakieś proste zajęcie i wrócić do mojego bezpiecznego świata.

– Czerniaków nazywasz bezpiecznym światem? – rzuciłam, chcąc nieco rozładować napięcie, które nagle pojawiło się między nami.

– Dla mnie to najbezpieczniejsze miejsce na ziemi – powiedział, strzepując podłużny lipowy listek, który sfrunął mu na ramię. – Znam tam każdego i każdy zna mnie od dziecka. Wszyscy przestrzegają wspólnych zasad, a honor oficerski jest niczym w porównaniu z charakternością moich chłopaków. Bez wahania skoczyliby za mną w ogień. Właściwie to oni mnie tak urządzili.

– To znaczy? – dopytywałam zaintrygowana.

Janek przez chwilę bił się z myślami, ale nie trwało to długo.

– W szkole nauczyciel zauważył, że przyswajanie wiedzy nie sprawia mi większych trudności. Raz nawet przeskoczyłem oddział, bo umiałem wszystko, co było przewidziane na tamten rok pracy. Nauczyciel pożyczał mi książki, zadawał więcej niż innym, a ja chłonałem to wszystko i wciąż było mi mało. W końcu udał się z wizytą do moich rodziców, by spróbować namówić ich do posłania mnie do lepszej szkoły, ale wystarczyło, że wszedł na naszą klatkę schodową, by zrozumieć, że nie znajdą na to funduszy.

Wpatrzona w rozciągający się przed moimi oczami zielony pejzaż parku, tak pełen światła, intensywności barw, tak żywy i piękny, wyobraziłam sobie to, co zobaczył ów nauczyciel. Znałam takie miejsca.

Raz czy drugi byłam tam z ojcem. Mimo sprzeciwu matki po godzinach przyjęć albo po szpitalnym dyżurze czasem zaglądał do ludzi, którzy nie mogli sobie pozwolić na prywatne wizyty. Najczęściej byli to weterani wojny polsko-bolszewickiej, o których wszyscy dawno już zapomnieli. „Niepamięć to ich jedyna nagroda za dokonanie niemożliwego” – wzdychał ojciec.

Walała się kamienica, pozbawione okien ciemne klatki schodowe, odrapane drzwi, zza których dobiegały odgłosy awantury, zasmarkane dzieci siedzące na stopniach i patrzące pusto w przestrzeń, wychodek na półpiętrze, z którego bił przerażający smród.

Wzdrygnęłam się na to wspomnienie.

– Po dzielnicy rozeszła się jednak wieść, że nauczyciel był w naszej okolicy – kontynuował Janek. – Chłopcy ciągnęli mnie za język tak długo, aż wreszcie powiedziałem im, dlaczego przyszedł. I wtedy... – uśmiechnął się do tego wspomnienia – postawili sobie za punkt honoru, że znajdą sposób, żebym chodził do lepszej szkoły, a byli tylko bandą kilkunastoletnich obdartusów.

– Wnoszę, że postawili na swoim?

– I to w jakim stylu! – Janek mówił szybciej, nie przestając się uśmiechać. – Rozpytywali na mieście tak długo, aż ktoś im podpowiedział, że niemal każde prywatne gimnazjum przeznaczają zwykle miejsce czy dwa dla wyjątkowo zdolnych, ale niezbyt zamożnych uczniów.

– Nie wiedziałam o tym.

– Ani ja. Ani moi rodzice – pocieszył mnie Janek. – Ani nawet mój nauczyciel, ale chłopaki się dowiedziały, a potem Józek i Włodek umyli uszy, wyszorowali paznokcie, włożyli niedzielne ubrania i jeśli wierzyć ich opowieściom, po raz pierwszy w życiu nie rozpięli guzików kołnierzyka. Tak wystrojony i uzbrojony w list od naszego nauczyciela poszli rozmówić się z dyrektorem najbliższego gimnazjum.

Otworzyłam szeroko oczy. Tego już nie potrafiłam sobie wyobrazić. W gimnazjum, do którego uczęszczałam, coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Na wizyty u dyrekcji należało się umawiać, i to z odpowiednim wyprzedzeniem.

– I co było dalej? – dopytywałam rozemocjonowana. – Pogonili ich?

– A widzisz, i tu cię zaskoczę – rzekł. – Dyrektor, pan Myszkowski, okazał się wielkim orędownikiem teorii wychowawczych Janusza Korczaka. Na ścianie jego gabinetu, o czym miałem się wkrótce przekonać, wisiał ogromny plakat ze słowami: „Nie ma dzieci – są ludzie”. Potraktował ich więc jak dorosłych. Poprosił, żeby usiedli i przedstawili swoją sprawę.

– Jak w *Królu Maciusiu* – stwierdziłam rozbawiona tą wizją.

– Co najmniej – przytaknął Janek. – Tak czy owak, dyrektor wysłuchał ich z uwagą, a potem wziął list od naszego nauczyciela i obiecał, że przyjrzy się uważnie sprawie. Po kilku tygodniach zostałem zaproszony na egzamin i tak od września poszedłem do jednego z najlepszych gimnazjów w mieście. Jeśli kiedykolwiek było mi naprawdę tak ciężko, że bałem się, iż nie wytrzymam, to właśnie wtedy, w mojej pierwszej elitarniej szkole.

– Dlaczego? – nie zrozumiałam.

Przez chwilę przyglądał mi się, jakby miał nadzieję, że sama znajdę rozwiązanie tej zagadki, ale mimo najszczerzych chęci nie dałam rady. Byłam przecież od zawsze częścią tego świata i nie zauważałam jego ciemnych stron.

– Bo byłem źle ubrany, miałem za duże buty i stare, pożyczone od dyrektora książki. Jadałem wyłącznie kanapki z cebulą, a zimą z kiszoną kapustą – wyjaśnił, wzruszając ramionami, jednak coś w jego głosie mówiło mi, że to wspomnienie nadal jest dla niego przykre. Siąknął nosem, choć oczy miał suche. – Dawne dzieje.

Klepnął się po kolanach i wyprostował jak ktoś, kto zbyt długo siedział w jednej pozycji. Nie naciskałam.

– Skończyłem szkołę z wyróżnieniem, maturę zdałem najlepiej w Warszawie, egzaminy na medycynę z pierwszą notą...

– Nie przechwalasz się? – spytałam przekornie, mimo iż wiedziałam, że mówi prawdę.

– Może odrobinę. – Parsknął śmiechem, ale szybko spoważniał. – Jestem tu, gdzie jestem, bo oni o mnie zawalczyli, rozumiesz?

Potwierdziłam skinieniem.

– Zawsze gdy było mi ciężko, zaciskałem szczęki i myślałem o nich. Zostanę lekarzem, żeby się im odwdzięczyć, choć trochę, bo w pełni nigdy nie zdołam.

Zawstydziłam się. Ja wszystko robiłam dla siebie. Pragnęłam zostać naukowcem z całkiem egoistycznych pobudek. Chciałam zaspokajać ciekawość, która nie dawała mi spokoju, odkrywać nieznanne, lepiej rozumieć to, co mnie otacza, i udowodnić mężczyznom takim jak mój brat, że kobiety w niczym im nie ustępują. Wszystkie te powody wydały mi się nagle takie błahe i nieważne.

– Kobiety nie mają łatwo w świecie nauki – rzekł Janek, jakby dosłyszał moje wątpliwości. – Muszą być wyjątkowo silne i pracowite, żeby powoli przełamywać męską dominację. Zdaje mi się jednak, że ty doskonale sobie poradzisz – dodał.

Szarpnęłam głową i spojrzałam mu prosto w oczy. Nikt nigdy nie powiedział mi czegoś takiego. Moi rodzice raczej ubolewali nad tym, że chcę się poświęcić matematyce, zamiast zrobić w życiu coś konkretnego i tak jak ojciec i brat zająć się medycyną.

– Dziękuję – szepnęłam.

Ptaki ćwierkały nad naszymi głowami. W powietrzu unosiła się mieszanina wszystkich najpiękniejszych woni lata.

– Pora na całki? – zagadnął Janek, gdy przez dłuższy czas nic nie mówiliśmy.

Wzdrygnęłam się jak człowiek nagle zbudzony z drzemki.

– Całki – zgodziłam się.

Wyznaczyliśmy zadania, ale trudno mi było zebrać myśli. Ta rozmowa była inna niż pozostałe, które odbyliśmy, bardziej osobista, poruszająca. W końcu jednak wyteżyłam uwagę i po chwili zadanie całkiem mnie pochłonęło. Liczyłam w skupieniu, gdy nagle coś ciepłego i wilgotnego musnęło mój policzek. Zastygłam z ołówkiem przyciśniętym do kartki i dopiero po chwili obróciłam głowę w stronę Janka. Nie patrzył na mnie, ale jego twarz oblana była rumieńcem.

Wtedy dotarło do mnie, co się wydarzyło. Janek Franek mnie pocałował, a ja uświadomiłam sobie nagle, jak bardzo czekałam na tę chwilę. Zamrugałam zdziwiona tym odkryciem.

– Przepraszam – wymamrotał. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Skulił ramiona i pochylił lekko głowę. Teraz nie było w nim nic z jego zwykłej swady. Zachowywał się jak sztubak, który zbił szybę eleganckiego magazynu kolonialnego i zmuszony był tłumaczyć się przed jego właścicielem.

– Nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobiłem. Nie ośmieliłbym się... Naprawdę... Tylko tamta rozmowa... To wszystko...

Przerwał nagle, gdy tym razem to ja pocałowałam go w policzek. Nie padły żadne wielkie słowa, nie wyznaliśmy sobie dozgonnej miłości, nie snuliśmy planów na przyszłość, nie rozmawialiśmy o uczuciach, pochyliliśmy się nad kartkami i wróciliśmy do rozwiązywania zadań, a jednak coś się między nami zmieniło.

Gdy po jakimś czasie spakowaliśmy książki i wstaliśmy z ławki, Janek ujął moją dłoń i położył w zgięciu swojego łokcia. Czułam pod palcami szorstkość jego spranej lnianej koszuli i linię mięśni. Szliśmy tak ramie przy ramieniu. Z jednej strony byłam oszołomiona jego bliskością, a z drugiej całkiem spokojna, jakby brakujący element układanki znalazł się na swoim miejscu, jak gdyby stało się to, co miało się stać.

Rano Janek przyszedł do nas i zapowiedział, że ma dla mnie niespodziankę.

– Tylko się nie oświadczaj – zadrwił Ryszard, który akurat był w domu. Rzucił mi nieodgadnione spojrzenie, po czym przywitał się i jak gdyby nigdy nic zaczął rozmawiać z Jankiem o ciekawych medycznych przypadkach na oddziale. Obaj praktykowali w szpitalu u mojego ojca. Ktoś go zapytał, czy nie boi się oskarżeń o protekcję, ale Klemens Jurasz tylko rozłożył ręce i odpowiedział: „Jedyne, co można mi zarzucić, to to, że pozyskałem dla szpitala dwóch niezwykle zdolnych młodych chirurgów, i to niemal za darmo, bo jeszcze się uczą”.

Przypinając kapelusz, przyglądałam się w lustrze, jak Janek i Ryszard rozmawiają. Nie potrafiłam odgadnąć, co mój brat myśli o tym wszystkim. Gdy poprzedniego wieczoru niesiona emocjami wyznałam rodzicom, że mam sympatię, Ryszard nie odezwał się ani słowem. Spodziewałam się, że powie coś w rodzaju „a nie mówiłem”, ale on milczał. Rodzice tymczasem wypytywali w najlepsze. Jego pochodzenie nie wzbudziło rzecz jasna ich entuzjazmu, ale gdy ojciec się dowiedział, że mój absztyfikant w przyszłości będzie chirurgiem, nieco się rozchmurzył. „Nie mam więcej pytań” – rzekł już całkiem pogodnie, kiedy w końcu oświadczyłam mu, że owym tajemniczym jegomościem jest Janek Frankowski. „Ten chłopak to skarb”.

Z twarzy Ryszarda niczego nie można było wyczytać. Przed zaśnięciem zadreślałam się myślami o tym, że ma do mnie żal czy może pretensję. Rankiem wciąż jakby mnie unikał, tymczasem Janka potraktował jak gdyby nigdy nic. Poirytowanie zachowaniem brata zwarzyło mi nastrój. Chciałam jak najszybciej znaleźć się jak najdalej od tych jego humorów i dziwnych spojrzeń.

– Jestem gotowa – powiedziałam głośno. Sięgnęłam po torebkę i rękawiczki i ruszyłam ku drzwiom. – To dokąd idziemy? – spytałam już na chodniku, zapinając guziczek rękawiczki.

– Pokażę ci moje sekretne miejsce – odpowiedział Janek, a jego oczy lśniły dziecięcą radością. Natychmiast zapomniałam o Ryszardzie.

Ujęłam go pod rękę i powędrowaliśmy meandrami pociętego okopami miasta, ale nawet ten ponury widok nie mógł dziś zmącić mojego szczęścia.

Po dwóch kwadransach spaceru leżeliśmy głowa przy głowie na trawie na skrawku Pola Mokotowskiego skrytym wśród krzewów i po prostu patrzyliśmy na płynące po niebie białe obłoki. Nie byłam pewna, czy będąc tu, nie naruszamy jakichś przepisów, ale Janek mnie uspokajał.

– Nie zliczę, ile razy przesiadywaliśmy tu z chłopakami – zapewniał. – Czekaliśmy, aż jakiś samolot będzie lądował lub podrywał się, i cieszyliśmy się bardzo, gdy przeleciał prosto nad nami. Czasem piloci machali do nas, wyraźnie rozbawieni naszym entuzjazmem, ale nie zaglądali tu.

Oddzieleni od świata zasłoną zieleni, byliśmy pewni, że nikt nas tu nie znajdzie, żadne zło tego świata nie może mieć do nas dostępu. Pszczoły bzycały raz po raz, to znikając, to wyłaniając się z kielichów kolorowych kwiatów, zamiast samolotów fruwały nam nad głowami kolorowe motyle, a wiatr kojąco szeleścił drobnym listowiem. To był doskonały dzień, z rodzaju tych, gdy serce aż boli od samej radości istnienia.

Janek przekręcił się na bok i oparł głowę na łokciu.

– Zamknij oczy – poprosił.

Pokręciłam głową, by trochę się z nim podroczyć.

– No zamknij – ponowił prośbę, z lekka przeciągając samogłoski, jak mają w zwyczaju robić małe dzieci, gdy bardzo czegoś chcą.

– Ani myślę – odpowiedziałam rozbawiona. – Kto wie, jakie masz waćpan zamiary.

– Jestem dżentelmenem – obruszył się teatralnie.

– Z Czerniakowa.

– Oto doskonały przykład uprzedzeń klasowych – westchnął smutno. – A ja myślałam, że mamy dwudziesty wiek i podobne relikty epok minionych u młodego pokolenia zostały już wyplenione. Tymczasem profesorska córka, a myśl zaściankowa.

– Hola, hola, mój panie! – roześmiałam się. – To nie żadne uprzedzenia, tylko kwestia bezpieczeństwa. Zdradź pan swoje zamiary, to może rozważę twoją prośbę.

Janek Franek wygiął usta w podkówkę, jakby chciał się rozplakać.

– Kiedy to miała być niespodzianka – jęknął.

Natychmiast spowaźniałam.

– Niespodzianka? – zapytałam. Byłam przekonana, że zasadniczą niespodzianką było przyprowadzenie mnie do tego magicznego zakątka.

– Dla mnie?

– Proś po dobroci, odepchnie. Wspomnij o niespodziance, a już błyska ciekawskim oczkiem.

Zignorowałam ten drobny przytyk i natychmiast zamknęłam oczy. Usłyszałam szelest papieru i po chwili Janek położył mi coś na dłoni. Usiadłam i spojrzałam na paczuszkę owiniętą zwyczajnym brązowym papierem.

– Rozpakuj – zachęcał mnie.

Ostrożnie rozwinęłam papier.

– Co to takiego? – powiedziałam, dotykając palcami cieniutkiego kwadracika z blachy cynkowej. Prawdę mówiąc, byłam nieco zawiedziona. Spodziewałam się czegoś innego. Nie wiedziałam dokładnie czego, ale z pewnością nie kawałka metalu.

– Dawny nieśmiertelnik – wyjaśnił z taką dumą, jakby właśnie złożył mi u stóp największy brylant świata. Staralam się nie okazać zawodu. – Austriacy mówili na to kapsel legitymacyjny.

– A jakoś jaśniej?

– Każdy żołnierz musi mieć coś takiego – wyjaśnił Janek. – To znaczy teraz już nie takiego. Nowe nieśmiertelniki są trwalsze i zrobione z duraluminium.

– Z czego?

– Mieszanki aluminium, miedzi, manganu, magnezu i czegoś tam jeszcze – wymieniał zniecierpliwiony. Najwyraźniej rozmowa zmierzała w całkiem innym kierunku, niż to sobie zaplanował.

– Aha.

– Nieśmiertelniki ułatwiają identyfikację... – nie dokończył, ale ja i tak odgadłam ostatnie słowo: „trupów”.

Dreszcz przebiegł mi po plecach.

– Na tych nowych wykonuje się nacięcia i wybija imię, nazwisko, wyznanie, rok urodzenia – podjął znów Janek – numer karty ewidencyjnej i kilka innych wojskowych szczegółów.

Obróciłam kwadracik w palcach, przyglądając mu się uważnie.

– Tu nie ma żadnych liter – stwierdziłam w końcu.

– Bo to nieśmiertelnik dawnego typu – odparł Janek, znów z zapalem.
– Karta legitymacyjna znajdowała się w środku.

Po chwili podważyłam paznokciem wierzchni kawałek blaszki. W środku nie było żadnej karteczki, ale po wewnętrznej stronie

wyskrobano finezyjnie kilka liter.

– BCK? – przeczytałam i spojrzałam na Janka pytająco. – To jakiś szyfr? Tajny skrót?

Pochylił się ku mnie.

– Bardzo cię kocham – wyszeptał mi prosto do ucha.

Zacisnęłam dłoń na nieśmiertelniku. Ostre krawędzie wbijały mi się w skórę, ale potrzebowałam tego bólu. Inaczej niechybnie serce pękłoby mi ze wzruszenia. Poczucie szczęścia wypełniło każdy skrawek mojej duszy. Czułam się lekka jak bańka mydlana.

– Nigdy go nie zdejmę – wychrypiałam, z trudem utrzymując panowanie nad głosem.

– Zdejmuj, kiedy tylko będziesz chciała – odparł i uśmiechnął się szelmowsko. – To nie jest magiczny artefakt i jego obecność czy brak przecież niczego nie zmieni. Nadal... Na zawsze...

Nie powiedział nic więcej, tylko ujął moją twarz w obie dłonie i mnie pocałował. W tej samej chwili usłyszeliśmy warkot silników. Przytuleni spojrzeliśmy w niebo. Nad naszymi głowami przeleciał samolot i okrył nas cieniem. Wzdrygnęłam się, choć nie wiedziałam, czy z zimna, czy z dziwnego przeczucia, które nagle mnie ogarnęło. Bańka mydlana pękła.

Trwał pobór ochotników. W czwartek dwudziestego czwartego sierpnia rozpoczęła się tajna mobilizacja kartkowa. Co chwilę wpadałam na tę czy inną ze szkolnych koleżanek, która zalana łzami oświadczała, że jej brat, kuzyn czy narzeczony został powołany, dobrowolnie lub po otrzymaniu imiennego wezwania do stawienia się w jednostce celem odbycia przeszkolenia. „Jeśli... jeśli wybuchnie wojna – chlpały mi w rękaw – pójdzie na front. Może zginąć”.

Pocieszałam je, jak umiałam, ale w rzeczywistości byłam zbyt pochłonięta własnym szczęściem, nowo odkrywanymi smakami życia, żeby zanadto przejmować się czymkolwiek, nawet sprawami tak wielkiej wagi jak wojna. Ja nie musiałam się martwić. Wszyscy mężczyźni, na których mi zależało, byli medykami. Wiedziałam, że jeśli zajdzie potrzeba, mój ojciec zatroszczy się o to, by mieć Ryszarda i Janka przy sobie. Byłam o nich spokojna. W razie niebezpieczeństwa szpitale miały zostać obwieszane wielkimi płachtami ze znakiem Czerwonego Krzyża. Nawet Niemcy nie poważiliby się na bombardowanie szpitali.

To był czas kontrastu. Na zewnątrz gęstniał zmrok, widmo wojny robiło się coraz bardziej realne, a w moim sercu trwało zielone, słoneczne, pełne światła i radości lato.

Po raz pierwszy w życiu i – miałam nadzieję – ostatni kochałam i byłam kochana. Czułam się nieustraszona. Żaden Hitler czy Stalin nie mogli mnie przerazić. Lęk nie miał do mnie dostępu. Odkąd Janek

poprosił mnie o rękę, czułam się nieśmiertelna, pijana szczęściem. Byłam kochana i gdy tylko przymykałam powieki, widziałam przed sobą naszą przyszłość, wspólne dni wypełnione pracą i nauką, wieczory niekończących się rozmów i noce, od których wyobrażenia płonęły mi policzki. Moi rodzice przyjęli wieści o tak szybkich zaręczynach z umiarkowanym entuzjazmem. Dopiero gdy zapewniliśmy, że nie zamierzamy spieszyć się ze ślubem, odetchnęli z ulgą.

– Nie cieszysz się, mamó? – spytałam, gdy zostałyśmy same.

– Cieszę się, Marianno – zapewniła. – Tylko...

– Tylko nie mów mi, że to nieodpowiednia partia... – rzuciłam butnie, przybierając bojową minę.

– Nie miałam takiego zamiaru. Ojciec wypowiada się o tym młodzieńcu jak najlepiej. Skoro jest zdolny i pracowity, to na pewno jakoś sobie poradzicie.

– To czym się tak martwisz, mamó? – spytałam już łagodniej.

– Wojną – wyznała niemal szeptem.

– Żadnej wojny nie będzie – przekonywałam, choć to sformułowanie w ostatnich dniach straciło nieco swojej wcześniejszej mocy.

– Będzie, Marianno, na pewno będzie – mówiła matka tak cicho, że pochyliłam się ku niej, by rozróżnić słowa. – Wojna to nie jest dobry czas na miłość.

– Zawsze jest dobry czas na miłość – odparłam z przekonaniem, na jakie stać wyłącznie szczęśliwie zakochanego człowieka.

– Miłość jest niebezpieczna – ciągnęła matka, na której moje wniosłe deklaracje najwyraźniej nie wywarły wrażenia. – Kto kocha, boi się utracić, a to czyni go słabszym.

– Albo silniejszym, bo ma dla kogo walczyć.

Nasze oczy się spotkały. We wzroku matki tkliwość mieszała się ze współczuciem.

– Jesteś taka młoda, Marianno – westchnęła. – Taka młoda.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz, mamó – spróbowałam wyrwać ją z tego melancholijnego nastroju. – Zamiast się smucić, powinnaś raczej się cieszyć, że twoja córka wybrała sobie na męża kogoś, kto podoba się profesorowi Klemensowi Juraszowi, bo to podobno bardzo wymagający człowiek.

Uśmiechnęłam się szeroko, ale nie odwzajemniła uśmiechu.

– Cieszę się, Marianko – zapewniła nieuważnie. Jej myśli były pochłonięte obserwowaniem nachodzących na nasze niebo chmur, których ja, oślepiąca blaskiem pierwszej miłości, nie potrafiłam jeszcze dojrzeć. – Tylko ta wojna blisko...

Następnego ranka wstałam wcześniej, by zdążyć na ćwiczenia praktyczne kursu dla sanitariuszek. Byłam pewna, że zobaczę Janka dopiero późnym popołudniem, dlatego aż pisnęłam z radości, gdy dostrzegłam go siedzącego na najniższym schodku klatki schodowej.

– Janek! – wykrzyknęłam, zbiegając po dwa stopnie naraz. – Co tu robisz? Dlaczego nie wszedłeś na górę?

– Jest wcześnie – rzekł, porywając mnie w ramiona. – To nie pora na składanie wizyt. Zresztą bałam się, czy kogoś nie obudzę.

– Ja już nie spałam. – Objęłam jego głowę dłońmi.

– Wiem – odparł, uśmiechając się ciepło. – Widziałem, jak odciągasz zasłonki.

– Tak długo czekałeś?!

– Potrzebowałam cię zobaczyć, więc przyszedłem zaraz po nocnym dyżurze.

Jakaś nuta w jego głosie sprawiła, że poczułam ukłucie niepokoju. Dopiero teraz dostrzegłam, że ma na sobie nieco wymięte ubranie, a jego policzki nie są tak gładkie jak zawsze.

– Coś się stało? – spytałam i zmusiłam go, by postawił mnie na ziemię.

Pokręcił głową.

– Przecież widzę – nie ustępowałam.

– Zgłosiłem się na ochotnika – wyznał w końcu.

– Słucham?

W pierwszym odruchu pomyślałam, że musiałam coś źle usłyszeć.

– Zgłosiłem się na ćwiczenia piechoty, a w razie potrzeby...

Serce zamarło mi w piersi. Przez chwilę nic więcej nie słyszałam, nic nie czułam, nic nie widziałam. Ogarnęła mnie panika.

– Nie możesz się zgłosić! – jęknęłam, nie czekając, aż skończy, a potem zasypałam go lawiną słów. – Nie, nie możesz zgłosić się na szeregowego żołnierza! Na każdym froncie potrzeba lekarzy. Zgłoś się do szpitala polowego, a najlepiej zostań w Warszawie. Jeśli wojna faktycznie wybuchnie, mnóstwo ludzi będzie tu potrzebowało twojej pomocy. Nie musisz nigdzie wyjeżdżać. Nie musisz się narażać.

Oddychałam szybko. Czułam, że całe moje ciało jest boleśnie napięte. Musiałam coś wymyślić, jakoś go powstrzymać. Nie mogłam pozwolić, żeby się narażał.

„Kto kocha, boi się utracić, a to czyni go słabszym”. Słowa matki odbiły się echem w moich myślach. W tej jednej chwili zrozumiałam, że miała rację. Czułam się słaba i bezradna jak nigdy przedtem.

– Nie, Marianno – odparł ze spokojem Janek. – Chcę walczyć. Jeśli wojna wybuchnie...

– Ojciec nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości, matka też – wymamrotałam, ale on zignorował moje słowa. – Wszyscy wiedzą, że wybuchnie wojna!

– ...chcę bić szkopa i pogonić go z kraju!

– Wielce szlachetne i wielce naiwne!

– Nie bądź niesprawiedliwa!

– I to mówi ktoś, kto chwalił mi się, że umie zemdleć na zawołanie, żeby uniknąć bójki!

– To co innego...

– Ja tam nie widzę różnicy – prychnęłam gniewnie.

– Marianno, być może wkrótce zacznie się wojna – rzekł, poważniejąc nagle. – Jak ty to sobie wyobrażasz, co? Wszyscy moi przyjaciele pójdą walczyć, a ja zostanę?

– Z tego, co mi wiadomo, oni będą walczyli w szpitalach, niosąc pomoc rannym.

– Nie mówiłem o kolegach ze studiów.

– A o kim?

– O chłopakach, z którymi się wychowywałem – odparł. – Oni nie mieli tyle szczęścia co ja. Nikt nie opłacił im szkoły, nie dał szansy. Nie ma w tym żadnej mojej zasługi, że otrzymałem talenty, których im poskapiono. Nie jestem od nich lepszy, Marianno.

– Nie mówię, żebyś został... Tylko nie pchaj się na pierwszy ogień – spróbowałam od innej strony.

– Ktoś musi tam być.

– Dlaczego akurat ty?!

– A dlaczego nie ja, Marianno? – zapytał, patrząc mi prosto w oczy. – Jeszcze nawet nie jestem lekarzem. Kto wie, czy w ogóle nim zostanę. Jeśli nadejdzie wojna, pewnie nie będę mógł studiować.

– Niechybnie znajdzie się jakiś sposób, żebyś dokończył naukę – zapewniłam żarliwie. – Zawsze jest jakiś sposób. Tylko musisz żyć...

– Będę – rzekł z mocą.

– A jeśli zostaniesz ranny? Twoje ręce...

– Nigdy nie były do końca moje. To był dar, jeśli zostanie mi odebrany, trudno. Nadal będę mógł leczyć ludzi. – Nagle jego twarz

rozpromieniła się, jakby przypomniał sobie coś ważnego. – Poza tym mój mistrz...

– Hipokrates – bąknęłam.

– ...Hipokrates – przytaknął – zwykł mawiać, że „jedyną właściwą szkołą chirurga jest wojna”.

– Dlatego dołącz do służb medycznych – spróbowałam raz jeszcze, choć coś podpowiadało mi, że on już podjął decyzję i jest ona nieodwracalna. – Ryszard...

– Rozmawialiśmy już o tym, Marianno, jestem ci wdzięczny za propozycję, panu profesorowi również, ale nie chcę się kryć za rannymi. Chcę walczyć.

– Zabijać! – zdenerwowałam się.

– Bronić – odparował.

– A jeśli... – Mimo wzburzenia ostatnie słowa utknęły mi w głębi krtani, wstrzymując oddech.

– Tak prędko się ze mną nie żegnaj – zakpił. – Pamiętaj, że nie będę sam.

– Janku... – szepnęłam drżącym głosem, a łzy przelały się przez powieki.

– Nie żegnaj się, powiedziałem. Muszę przecież jeszcze się z tobą ożenić. Obiecałem, pamiętasz?

Uśmiechnęłam się przez łzy.

– Nie płacz, bo mi się tak strasznie smutno robi.

Podniósł dłoń i ostrożnie starł kilka łez z mojego policzka.

– No już, nie płacz... – szepnął, a potem chwycił moją twarz w obie dłonie i po raz pierwszy w życiu pocałował mnie tak mocno, namiętnie, jakby od tego pocałunku zależało wszystko.

Moje ciało przeszył dreszcz. Przyłgnęliśmy do siebie, a w mojej głowie pozostała tylko jedna myśl. Nieme błaganie, by ta chwila nigdy się nie skończyła.

Nagle rozległy się syreny alarmowe. Wiedzieliśmy, że to ćwiczenia, ale moment szczęścia minął.

– Kiedy wyjeżdżasz? – spytałam, wtulając twarz w jego pierś.

– Jutro wieczorem – odparł, chuchając ciepłym oddechem w moje włosy.

– Mogę cię chociaż odprowadzić?

Delikatnie odsunął mnie od siebie i popatrzył mi prosto w oczy.

– Pod warunkiem, że nie będziesz się ze mną żegnać.

Skinęłam głową, a on znów mnie pocałował.

Pod koniec sierpnia zakończyłam szkolenie, otrzymałam legitymację sanitariuszki Polskiego Czerwonego Krzyża i przydział do jednego z warszawskich punktów medycznych, nieopodal Zamku Królewskiego, gdzie miałam, gdyby zaszła taka potrzeba, nieść pomoc rannym żołnierzom i ludności cywilnej.

– Zgłoś się do mnie, do szpitala – namawiał mnie ojciec, ale odmówiłam.

– Spędzamy razem dość czasu, papo – mówiłam z kiepsko udawanym śmiechem. – Młodość potrzebuje swobody, sam przecież zawsze tak powtarzasz.

Ojciec należał do ludzi dyskretnych, więc nie zadawał pytań. Kto wie, może matka zabroniła mu poruszać delikatne tematy, jakby się bała, że rozpadnę się jak domek z kart. Od wyjazdu Janka minęło zaledwie kilka dni, ale ciągnęły się mi jak wieczność. Miałam wrażenie, że coś we mnie skamieniało. Nie czułam nawet smutku, tylko znużenie.

Byłam pewna, że wyjazd Janka był najgorszą rzeczą w moim życiu. Przyszłam na dworzec w błękitnej sukience w groszki, w której szczególnie mu się podobałam. Za jedyną ozdobę miałam nieśmiertelnik. Próbowaliśmy jak zwykle rozmawiać, przekomarzać się i żartować, ale niezbyt dobrze nam to wychodziło. Po jakimś czasie dołączyli do nas jego przyjaciele. Widziałam ich po raz pierwszy i nie mogę powiedzieć,

by zrobili na mnie dobre wrażenie. Przeciwnie, nie rozumiałam, dlaczego Janek chce się narażać dla tej bandy niedomytych lekkoduchów, którzy powitali mnie gwizdami i nazbyt śmiałymi komplementami. Jeden z nich wyciągnął z plecaka butelkę samogonu – na podróż, jak się wyraził – co reszta skwitowała rozochoconym rechotem. Ścisnęłam mocniej dłoń Janka. Spojrzał na mnie z uśmiechem, bez lęku. To ja się bałam, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Czułam, jak strach obejmuje moje ciało niczym mróz coraz szczelniej pokrywający okno.

Był już w przedziale. Stałam na peronie i wpatrywałam się w niego szeroko otwartymi oczami, niemal pewna, że gdy choć na chwilę spuszczę wzrok, Janek Franek zniknie, być może na zawsze. Rozległ się gwizd. Janek podszedł bliżej okna. Chuchnął na szybę, a potem napisał trzy litery: BCK.

Gdy odjeżdżał, nie czułam już prawie nic. Nie uroniłam ani jednej łzy. Wszystkie wypłakałam poprzedniej nocy. Teraz miałam suche oczy i byłam całkiem otepiała. Wieczorem po jego wyjeździe po raz pierwszy od dawna zaczęłam się modlić. Na przekór rozsądkowi, prasie, radiu i plotkom błagałam Boga, żeby odwrócił nieuchronne, zatrzymał Hitlera.

– Żeby nie było żadnej wojny – prosiłam na kolanach. – Niech Janek wróci bezpieczny. Niech wróci do mnie. Niech wróci.

Ryszard nie skomentował wyjazdu przyjaciela. Może bił się z własnymi myślami? Wojna jest przecież sprawą młodych mężczyzn, to ich pociągają najmocniej wierność, braterstwo, odwaga, honor, bohaterstwo, wieczna chwała. To oni od zarania dziejów stają się najszybciej oddanymi sługami każdej wojny. Rodzice obserwowali mnie z niepokojem, lecz milczeli. Nie mogłam znieść tych ich zatroskanych spojrzeń i szeptów na mój temat, gdy myśleli, że nie ma mnie w pobliżu, więc starałam się jak najrzadziej bywać w domu.

W duchu chwaliłam samą siebie za to, że nie uległam namowom ojca i nie zgłosiłam się do jego szpitala. Przynajmniej przez część dnia nie będę dzięki temu zmuszona znosić ich z trudem ukrywanego zatroskania

– myślałam, bo to wszystko zamiast podnosić mnie na duchu, irytowało jak wełniany sweter włożony na nagą skórę.

Jednak w chwili, gdy przekroczyłam próg lokalu, w którym miałam wraz z innymi zorganizować pomoc, gdyby wojna jednak wybuchła, z całego serca pożałowałam, że odmówiłam ojcu. W wyznaczonym na punkt medyczny miejscu, suterenie kamienicy nadającej się do generalnego remontu, panowały spartańskie warunki. Do wnętrza trzeba było zejść po stromych, wąskich stopniach. Nie mogłam sobie wyobrazić, jak ktokolwiek miałby znosić tu rannych. Dla zdrowej, sprawnej osoby był to już kłopot, a co dopiero dla kogoś źle się mającego. Z drugiej strony rozumiałam, że piwnice i sutereny w razie bombardowania były zdecydowanie bezpieczniejsze, więc tkwiła w tym jakaś logika.

Niewielkie okna znajdowały się wysoko pod sufitem, przez co w środku było nieznośnie gorąco i duszno, a zarazem wilgotno, malarycznie – jak na bagnach w bezwietrzny letni dzień. Do niedawna musiał tu funkcjonować skład zbożowy lub coś w tym rodzaju, bo po betonowej podłodze wciąż walały się wyschnięte trawy, źdźbła i kłosy.

– Na pewno są tu szczury – szepnęłam do nieznajomej dziewczyny, której także polecono się tu zgłosić. Otworzyła szeroko oczy z przerażenia i chyba tylko moja obecność powstrzymała ją przed ucieczką.

Pod gołymi ścianami ustawiono rząd metalowych łóżek z cienkimi siennikami. Na jednym z nich leżały stosy bielizny pościelowej. Rozejrzałam się za szafą, do której można by schować pościel, żeby się nie kurzyła i nie przeszła piwnicznymi zapachami, ale szafy nie było. Jeśli nie liczyć łóżek, hala była pusta. Miejsce mojego niedawnego entuzjazmu natychmiast zajęło zniechęcenie.

– Nic tu po nas – rzuciłam do mojej towarzyszki. – Jak wybuchnie wojna, i tak nikt nie będzie chciał, żeby go tu opatrywać.

– Chyba że nie będzie miał wyboru – usłyszałam za sobą czyjś głos.

Odwróciliśmy się jednocześnie i zobaczyliśmy starego, przygarbionego mężczyznę. Coś w jego postaci natychmiast podpowiedziało mi, że jest lekarzem.

– Proszę mi wybaczyć... – zaczęłam, ale on tylko machnął ręką przed twarzą, jakby odpędzał natrętną muchę.

– Mamy za dużo pracy i za mało tlenu, żeby tracić czas na zbędne tłumaczenia – powiedział. – Przynajmniej spróbujmy uczynić to miejsce nieco czystszy. Szczury czy robactwo faktycznie są niepożądane podczas opieki nad chorymi.

Dziewczyna zadrżała i przyłożyła obie dłonie do ust. Miała na imię Róża. Niedawno zdała maturę, a w październiku zamierzała podjąć studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Na kurs dla sanitariuszek zapisała się, mimo wysokiego poziomu wrażliwości na wszystko, co nieestetyczne, bo była pewna, że to jej obywatelski obowiązek.

Róża okazała się małomówna, co w obecnym stanie ducha bardzo mi odpowiadało.

Doktor Henryk Pustelnik okazał się kolegą ze studiów mojego ojca. Kilka lat temu zaczął mieć poważne problemy ze wzrokiem, był nawet na operacji w Szwajcarii, ale na niewiele się to zdało.

– Na co komu ślepy chirurg? Więcej z niego szkody niż pożytku – zażartował, ale w jego głosie wyraźnie czuć było smutek.

Zabraliśmy się do pracy. Doktor Pustelnik sprawdzał stan zaopatrzenia, a my wsunęliśmy dłonie w długie gumowe rękawice, zawiązałyśmy fartuchy i wzięłyśmy się do porządków. Zamiataliśmy, myliśmy ściany, podłogi i meble gorącą wodą z ałunem, a potem dla pewności terpentyną. Po tym, jak wymieniliśmy podstawowe informacje na swój temat, dalej pracowałyśmy w ciszy, każda pochłonięta własnymi myślami.

Po jakimś czasie dołączyło do nas jeszcze paru kilkunastoletnich chłopców, którzy z zapałem zalepiali wszystkie dziury, hałasując przy

tym i dowcipkując, a gdy spostrzegli, jak wielkie wrażenie robią na Róży wzmianki o insektach, mówili w zasadzie tylko o nich.

– Żadna pluskwa się nie przecisnie!

– Ani szczur.

– E... szczury są mądre, znajdą inną drogę albo wydrapią zaprawę pazurkami.

– Nasyp jeszcze trochę boraksu tu, przy tej dziurze. Jak jednak wyjdą, to zjedzą i po nich. Tylko truchła trzeba będzie zebrać po, i już – rozprawiali, z uciechą zerkając w stronę Róży.

Gdy ta zbladła już zupełnie, a ręce trzęsły się jej jak gałązki osiki, doktor Pustelnik posłał chłopców po zimne mleko na drugie śniadanie. Róży zaś kazał wynieść całą pościel na słońce.

– Jak chłopcy wrócą, wyniosą też sienniki – dodał. – Niech się wszystko porządnie wywietrzy.

– A jak ktoś ukradnie? – martwiła się Róża.

– Nie ukradnie, bo będzie panienka siedziała i pilnowała tak długo, jak będzie trzeba.

Róża otworzyła usta, by zaprotestować, ale widziałam, że w rzeczywistości jest zadowolona, że nie będzie musiała dłużej wysłuchiwać tych wszystkich okropności.

Porządki zajęły nam sporo czasu. Efekt finalny wciąż daleki był od ideału, ale przynajmniej zapach stał się nieco przyjemniejszy.

– Co teraz, doktorze? – spytałam, gdy nie zostało już nic do zrobienia.

– Zamkniemy drzwi i miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli znów ich otwierać – westchnął.

Gdy byłam zajęta, nie myślałam o Janku. Skupiałam się na zadaniu i wykonywałam je z pełnym zaangażowaniem, wkładając w to wszystkie siły. Wieczorami byłam tak zmęczona, że padałam na łóżko i spałam kamiennym snem pozbawionym marzeń. Gorzej było, gdy nie miałam

nic do zrobienia. Siedziałam wówczas przy stole i dziesiątki, setki kartek zapisywałam słowami jednego i tego samego wiersza Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

„Nie widziałam cię już od miesiąca,
I nic. Jestem może bledsza,
Trochę śpiąca, trochę bardziej milcząca,
Lecz widać można żyć bez powietrza”.

Te słowa doskonale oddawały stan, w którym się znajdowałam, choć nasza rozłąka trwała niecały tydzień. Brakowało mi powietrza, a mimo to żyłam nadal.

Gdy trzydziestego sierpnia prezydent Ignacy Mościcki ogłosił powszechną mobilizację, która miała rozpocząć się następnego dnia, blisko osiemdziesiąt procent polskich żołnierzy, tak jak Janek i jego przyjaciele, było już pod bronią. Mimo to warszawiacy gromadzili się przy plakatach porozklejanych na ulicach miasta i w niemal całkowitej ciszy wciąż na nowo czytali te same słowa, jakby dopiero napisane stały się prawdą.

Atmosfera w mieście zgęstniała jak powietrze przed burzą. Wojna czaiła się gdzieś w pobliżu, już namacalna, niemal realna, a oczekiwanie na jej wybuch wysysało z nas siły. Napięcie było nieznośne. Nawet matka, zwykle tak spokojna, wdała się w kłótnię z gospodynią i nakrzyczała na nią okropnie. Ojciec wciąż biegał po zebraniach kolejnych kół, komitetów i grup służb medycznych stolicy czyniących ostatnie gorączkowe przygotowania do nieuniknionej już wojny. Ryszard przesiadywał w szpitalu na kolejnych przeszkoleniach dla lekarzy i pielęgniarek. Tylko ja nie miałam nic do roboty. Ostatnie godziny sierpnia, gdy świat wokół buzował i kipiał, przespałam, wstawałam jedynie z rzadka, by napić się wody czy skubnąć jakiś owoc, który i tak zwykle zostawiałam niedojedzony. Wszystkie siły życiowe mnie opuściły. Nigdy nie przypuszczałam, że tęsknota jest czymś niemal fizycznym i może tak bardzo osłabić ciało. Pograżyłam się w głębokiej apatii, z której, jak mi się zdawało, nie było wyjścia.

WARSZAWA

WRZESIEŃ 1939 – SIERPIEŃ 1940

Pierwszego września zbudziło mnie wycie syren alarmowych. Wiedziona odruchem zerwałam się z łóżka, ale zaraz pomyślałam, że to tylko ćwiczenia, i zaspana wróciłam pod kołdrę.

Kilka minut później drzwi mojego pokoju otworzyły się z hukiem.

– Co ty, na Boga, wyprawiasz? – ryknął mój brat tonem, od którego natychmiast oprzytomniałam.

– Przed chwilą jeszcze spałam – bąknęłam, przecierając oczy.

Zza okna wsączało się do środka jasne światło poranka.

– Nie słyszałaś syren?!

– Słyszałam. – Wzruszyłam ramionami. – Mało to ich wyło w ostatnim czasie? Która właściwie jest godzina?

Dopiero teraz zauważyłam, że Ryszard był w pełni ubrany, ale nie zdziwiło mnie to – pewnie wrócił z dyżuru albo właśnie wybierał się na poranną zmianę w szpitalu.

– Marianno, nad ranem Niemcy przekroczyli granicę – wybuchnął. – Bombardują Warszawę.

Zamrugałam szybko. Miałam wrażenie, że jednocześnie rozumiem sens usłyszanych właśnie słów i zupełnie go nie pojmuję. Nie poczułam strachu, tylko dezorientację.

– Wojna... – szepnęłam do siebie, jakbym po raz pierwszy wypowiadała nowo poznane słowo w obcym języku.

W tej samej chwili usłyszałam dziwaczny świst. Spojrzałam na Ryszarda. On także zastygł w oczekiwaniu, nasłuchując, a potem wszystko wydarzyło się jednocześnie. Rozległ się straszliwy huk. Ryszard rzucił się w moją stronę, pchnął mnie na podłogę i przykrył sobą. Cała kamienica zatrzęsała się w posadach. Gdy znów zapadła cisza i brat wypuścił mnie z objęć, zerknęłam przez okno. Miejsce porannej jasności zajęły kłęby czarnego dymu.

Wybuchła wojna. Tak długo na nią czekaliśmy, że wielu poczuło raczej coś na kształt ulgi, jak po rozpętaniu się nawałnicy. Zaczęło się. Teraz pozostawało już tylko wypatrywać jej końca, który – jak zapewniali nasi politycy, z Beckiem na czele – miał rychło nadejść, i działać według wcześniej ustalonych procedur. Tamtego piątkowego dnia zdawało się nam to mniej wyczerpujące niż dalsze czekanie.

Pierwszego września Niemcy zbombardowali magazyny, lotniska, fort Czerniakowski, fort Bema i wiele innych obiektów strategicznych. Warszawa stanęła w ogniu. Matka przygotowała zapas jedzenia dla męża i syna i Ryszard pobiegł do szpitala. My ruszyliśmy do gaszenia pożaru. Płonął sąsiedni budynek, trafiony przez bombę. Strażacy mieli pełne ręce roboty, więc mieszkańcy wzięli sprawy w swoje ręce. Ustawiliśmy się w linii i podawaliśmy sobie wiadra z wodą. Nie myślałam wiele. Działalam z innymi, dając się ponieść nurtowi wydarzeń.

Trzeciego września zbombardowano warszawski ogród zoologiczny. Po tym zdarzeniu podjęto decyzję o odstrzale wszystkich groźnych zwierząt. Mięso niektórych z nich przeznaczono na żywność dla mieszkańców miasta.

Tego samego dnia rząd niemiecki odrzucił francusko-brytyjskie ultimatum z żądaniem natychmiastowego wycofania się z Polski i Wolnego Miasta Gdańska. Dokument angielski wręczono o dziewiątej. Decyzja miała zostać podjęta do jedenastej. Francuzi nieco wydłużyli czas na odpowiedź, żądając od Hitlera zaprzestania agresji w stosunku

do Polski przed siedemnastą. W konsekwencji Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Hitlerowi. Z radioodbiorników w Warszawie popłynęły hymny obu krajów. Przed ambasadami wiwatowały tłumy warszawiaków. Niektórzy przynosili kwiaty, wieńce oraz listy dziękczynne i składali je pod bramą pałacu Branickich przy Nowym Świecie, gdzie mieściło się poselstwo Wielkiej Brytanii. Wszyscy wierzyliśmy, że to koniec tej niezwykle krótkiej wojny.

Wraz z innymi wznosiłam okrzyki na cześć Chamberlaina i Daladiera.

– Niech żyje Anglia! Niech żyje Francja! – skandowały tysiące gardeł.
– Niech żyją nasi sojusznicy!

Spodziewaliśmy się, że wojna skończy się zaraz następnego dnia, najpewniej jeszcze przed końcem tygodnia. Miałam nadzieję, że Janek niedługo wróci. Każdą wolną chwilę wypełniały mi myśli o nim. Jak dotąd otrzymałam od niego tylko jeden list, a dokładniej kartkę pocztową, na której z właściwym sobie humorem opisał kilka scenek z codziennego życia rekrutów. Całość utrzymana była w pogodnym tonie, który zamiast mnie uspokoić, zbudził wszystkie moje lęki. Czy nic mu nie grozi? Czy nie został ranny? Czy nie jest głodny albo zziębnięty? Czy ma suche buty i czyste ubranie? Czy inni dobrze go traktują? Może zmyślił te opisane radosne chwile z troski o mnie?

Wiedziałam, że nie jest sam. Zgłosił się do jednostki z chłopakami, których znał od dziecka i z których każdy, jak zapewniał, bez wahania zostawiłby wszystko, żeby go ratować. Ta wizja nieco podtrzymywała mnie na duchu, ale tylko odrobinę. Teraz już dobrze rozumiałam moją matkę. Ja też wolałabym, żeby Janek był przy mnie, bo choć nie miałam pojęcia, jak mogłabym go ochronić, zdawało mi się, że będąc razem, bylibyśmy bezpieczni.

Te wrześniowe dni zlewają mi się w pamięci w jeden rwący potok zdarzeń, kalejdoskop koszmarów. Tylko od czasu do czasu któreś wspomnienie ma nieco intensywniejszą barwę.

Siedemnastego września około czwartej nad ranem wojska radzieckie przekroczyły wschodnie granice Polski. Sowietci pędzili przed czołgami

jeńców, by stanowili dla nich żywe tarcze.

To była niedziela, ale nie poszliśmy do kościoła. Kierujący obroną stolicy nawoływali z radioodbiorników, by unikać większych skupisk ludzi, bo to właśnie je Niemcy coraz chętniej obierali za cel ataków powietrznych. Wielu jednak nie posłuchało.

Tego dnia zbombardowano katedrę Świętego Jana i kilka innych warszawskich kościołów. Setki modlących się ludzi zginęły pod stertą gruzów. Inni padali na ziemię trafieni odłamkami. Dopiero później dowiedziałam się, że niemiecki granat przebił się przez ścianę katedry i eksplodował wewnątrz wypełnionego wiernymi kościoła. Sytuację pogorszył fakt, że ludzie, którzy nie zmieścili się we wnętrzu świątyni, stali na schodach i gotyckich krużgankach, które także wysadził wybuch. Słynne warszawskie organy z jękiem spadły na bruk. Miejsce pochówku ostatnich książąt mazowieckich stało się grobowcem warszawiaków.

Od kilku dni w zasadzie nie opuszczałam naszego punktu sanitarnego. Byłam pełna podziwu dla doktora Pustelnika, który w kiepsko oświetlonym karbidówkami pomieszczeniu obok głównej sali, gdzie leżeli ranni, wyjmował z ich ciał odłamki, składał kończyny, zszywał poszarpane kulami mięśnie i narządy. Podziwiałam też szczerze Różę. Ta sama wąła dziewczyna, niedawno bezgranicznie przerażona na wzmiankę o szczurach, teraz z rękami po łokcie umazanymi krwią bez słowa skargi asystowała Pustelnikowi, gdy mnie opuszczały siły i choć na chwilę musiałam się położyć. Obok naszej prowizorycznej sali operacyjnej znajdowała się pozbawiona okien i drzwi wnęka, coś na kształt spiżarni. Rzuciliśmy tam materac i urządziliśmy prymitywne miejsce do odpoczynku.

– Wycieńczone nikomu nie pomożecie – pouczał nas Pustelnik, gdy protestowałyśmy przed odesłaniem nas na przerwę dla nabrania sił. – A możecie tylko zaszkodzić. Zmęczony człowiek popełnia więcej błędów.

Nie pomnę, ile razy padałam w ubraniu na posłanie i zasypiałam kamiennym snem, mimo jęków i krzyków odbijających się od ścian.

Potem wstawałam, przemywałam twarz wodą i znów biegałam z noszowymi, usiłując w tej powodzi cierpienia zidentyfikować najpilniej potrzebujących pomocy. Wiele dróg było nieprzejezdnych, przez co dotarcie do szpitali granoczyło z cudem. Staraliśmy się udzielić im doraźnej pomocy, a gdy sytuacja była w miarę opanowana, tym, którzy tego potrzebowali, załatwić transport do szpitala.

Oprócz kościołów siedemnastego września Niemcy szczególnie zaciekle ostrzeliwali sąsiedztwo naszego punktu sanitarnego. Ich celem stały się stare miasto i Zamek Królewski, będący siedzibą prezydenta.

Okolo dziesiątej zakładałam opatrunek mocno poparzonej kobiecie, która dotarła do nas o własnych siłach. Smarowałam borowazeliną skórę pokrytą wypełnionymi płynem pęcherzami, gdy do wnętrza wpadł mały harcerz.

– Zamek... – wysapał i wybiegł znów na zewnątrz.

Pospiesznie dokończyłam opatrunek, wytarłam ręce, chwyciłam torbę ze znakiem Czerwonego Krzyża i ruszyłam za nim. Tego widoku miałam już nigdy nie zapomnieć. Pocisk zapalający dosięgnął celu, dachu północnego skrzydła dawnej siedziby królów. Zamek Królewski stał w płomieniach. Ku górze wzbijały się czarne kłęby gęstego dymu. Dwunastu strażaków dyżurujących przy zamku przystąpiło już do akcji. Z dwóch motopomp polały się wartkie strumienie wody.

Zaczęłam rozglądać się za rannymi. Okręciłam się wokół własnej osi i zdawało mi się, że znajduję się w pierścieniu ognia i dymu. Nieopodal leżała otyła kobieta, której pocisk rozerwał brzuch. Miała otwarte oczy, a na jej twarzy malował się wyraz bezgranicznego zdumienia. Podeszłam do niej i delikatnie zamknęłam jej powieki. Tylko tyle mogłam dla niej zrobić.

Wskazałam drogę do punktu dwóm młodym, lekko rannym dziewczętom i przez ułamek sekundy wydawało mi się, że świat się uspokaja, sytuacja jest opanowana, gdy nagle zapaliły się poddasza pozostałych skrzydeł zamku, a nad nami zasrebrzyły się w słońcu skrzydła samolotów.

Od strony Senatorskiej nadjechała kolejna grupa strażaków. Do akcji gaśniczej włączali się też cywile. Z nieba sypały się pociski karabinów, bomby burzące i zapalające cięły niebo. Świeże jesienne powietrze zastąpił straszliwy odór materiałów wybuchowych. Ciśnienie w sieci wodociągowej spadło, brakowało wody, z minuty na minutę sytuacja robiła się coraz bardziej dramatyczna.

– Siostro! – usłyszałam rozpaczliwy krzyk. – Siostro, tutaj!

Spomiędzy płomieni przy zamku wybiegł mężczyzna w strażackim mundurze, niosąc kogoś na rękach.

– Proszę mu pomóc – błagał, kładąc rannego na bruku. – Proszę, błagam, proszę mu pomóc – powtarzał, a łyzy żłobiły jasne ścieżki na jego osmalonej dymem twarzy.

Przykłękłam nad drugim strażakiem. Był bardzo młody. Gdyby nie mundur, wzięłabym go za swojego rówieśnika. Przyłożyłam palce do jego szyi. Zdawało mi się, że wyczuwam puls, ale w panującym wokół zamieszaniu nie byłam w stanie się skupić. Cała wiedza wyparowała mi z głowy. Ogarnęła mnie bezsilność.

„Lepiej zrobić cokolwiek niż nie zrobić nic” – rozbrzmiały mi w głowie słowa doktora Pustelnika. Pomyślałam, że może uda mi się zatamować krwawienie, a wówczas drugi strażak pewnie zdoła go donieść do naszego punktu, by rannym zajął się doktor.

Sięgnęłam do torby po wielkie nożyce krawieckie, które nosiłam zawsze przy sobie. Rozciąłam przesiąkniętą krwią kurtkę, a potem szarpnęłam mocno poły koszuli. Guziki odpadły natychmiast, ukazując straszliwy widok. Nie miałam żadnych wątpliwości, że chłopak nie żyje. Kula trafiła w samo serce. Spojrzałam na drugiego strażaka, ale on już wiedział.

– To mój brat, mój młodszy brat – jęczał. Kiwał się do przodu i do tyłu, obejmując głowę rękoma. – Co ja powiem matce? Jak ja jej to powiem? Antoś...

Nie mogłam mu pomóc. Zostawiłam go łkającego nad ciałem brata, ale jeszcze długo zdawało mi się, że słyszę jego szloch, jakby wniknął w moją duszę tak, jak krew rannych splamiła mi ubranie i skórę.

Z pożarem zamku walczono aż do następnego wieczoru. Spłonęły wieże, strych i całe pierwsze piętro. Budowla, która przez wieki stawiała opór niszycielskiemu działaniu czasu, w kilkadziesiąt godzin została strawiona przez ogień. Zginęło trzech strażaków, pięciu wspierających akcję cywilów, a wiele osób zostało rannych.

W naszym punkcie sanitarnym zajęte były wszystkie łóżka, a na podłodze siedziało tyle osób oczekujących na pomoc, że z trudem przemieszczaliśmy się po zbyt małym wnętrzu. Przez cały ten okres nawet na moment nie zmrużyłam oka. Nie było czasu na żadne rozważania. Wstrzykiwałyśmy sobie nawzajem z Różą kofeinę, by jakoś przetrwać.

– Marianno. – Ktoś dotknął mojego ramienia.

Byłam skrajnie wyczerpana i w pierwszej chwili w moim zmęczonym umyśle błysnęła nadzieja, zdawało mi się bowiem, że rozpoznaję głos Janka. Odwróciłam się gwałtownie.

Mój uśmiech zgasł.

– Matka kazała mi przyprowadzić cię do domu – rzekł mój brat. – Potrzebujesz odpoczynku.

Ryszard sam wyglądał, jakby nie spał od wielu dni. Włosy miał przetłuszczone i posklejane w strąki, jego skóra poszarzała, a cienie pod oczami miały granatową barwę.

– Nie mogę. – Pokręciłam głową. – Nie widzisz, co się tu dzieje?

– Widzę.

– Nie mogę tak po prostu sobie pójść.

– Musisz – odparł krótko. – Ojciec odesłał mnie dziś rano ze szpitala. Wcześniej dostałem kroplówkę, bo straciłem przytomność przy stole.

– Ryszardzie... – szepnęłam.

– Ciało ludzkie ma swoje ograniczenia – ciągnął, ignorując moje współczucie. – Nie wiemy, ile potrwa ta walka, a musi nam wystarczyć sił.

– Mamy tu taki kącik... – zaczęłam.

– Nie mamy – przerwał mi doktor Pustelnik. Podszedł bliżej i uścisnął dłoń Ryszarda. – Położyłem tam przed chwilą chłopaka, który bardziej potrzebował tego miejsca niż ty.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Nie spałaś od dwóch dni, nic nie jesz – ciągnął spokojnie stary lekarz, który sam był w podobnej sytuacji, a mimo to nie dawał nic po sobie poznać. – Wiele razy powtarzałem wam, że tak nie można.

– Ale Róża... – próbowałam protestować.

– Róża jest o wiele twardsza, niż się wydaje – zapewnił Pustelnik. – Zresztą ostatnią noc spędziła we własnym łóżku. Marianno, za chwilę staniesz się kłopotem, a nie pomocą. Idź teraz do domu. Wrócisz jutro.

Zrozumiałam, że opór na nic się nie zda. Zdjęłam zakrwawiony fartuch i wrzuciłam go do brudownika. Gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, odwróciłam się i spojrzałam tam, gdzie jeszcze kilka dni temu miedziana dachówka lśniła w słońcu. Okaleczony Zamek Królewski wciąż dymił. Na wieży Zygmuntońskiej wskazówki zegara zatrzymały się na godzinie jedenastej piętnaście.

– Czas zgonu – wyszeptałam i nagle w pełni odczułam cały ciężar minionych dni.

Byłam tylko siedemnastoletnią dziewczyną, która niedawno cieszyła się latem, słońcem, miłością. Uśmiechała się, miała plany, snuła marzenia. Teraz patrzyłam na zamarłe wskazówki zegara i nie mogłam znaleźć w sobie nawet skrawka nadziei na lepsze jutro. Łzy same popłynęły mi z oczu. Zniosłam się rozpaczliwym płaczem, nad którym nijak nie mogłam zapanować.

– Chodź, Marianno – powiedział łagodnie Ryszard. – Jesteś zmęczona. Chodź do domu.

Pokręciłam głową, nie odrywając wzroku od zegara. Nie miałam siły iść. Czułam się słaba i zagubiona jak nigdy przedtem.

– Skoro nie chcesz iść, to ja cię zaniosę – usłyszałam głos Ryszarda. – Przynajmniej do najbliższej rykszy.

Mocne ramiona brata porwały mnie w górę. Przytuliłam się do jego piersi. Odetchnęłam znajomym zapachem mydła do prania. Powoli się uspokajałam.

Po tym dniu umilkły alarmy przeciwlotnicze, przestano na krótkich komunikatach radiowych. Nie było już potrzeby ostrzegać warszawiaków, ponieważ niebezpieczeństwo stało się elementem codzienności. Bombardowania trwały we dnie i w nocy, a przerwy pomiędzy nimi były zbyt rzadkie, żeby warto było próbować kogokolwiek ostrzec.

Żyliśmy w stałym napięciu, zwierzęcym lęku o życie. Cieszyłam się, że mam pracę. Dopiero teraz naprawdę doceniłam zrządzenie losu, dzięki któremu zostałam sanitariuszką. W tych warunkach nie zdołałabym skupić się na matematyce czy szachach. Nie byłam w stanie zebrać myśli, strach i zmęczenie zagłuszały logikę. Mój umysł pracował w trybie przetrwania. Potrafiłam skoncentrować się wyłącznie na prostych zajęciach. Z drugiej strony, gdybym była zmuszona siedzieć beczynnym w schronie, z pewnością postradałabym zmysły.

Mówiono, że na Warszawę codziennie spadało przynajmniej dziesięć tysięcy pocisków, czy była to prawda, nie wiem. Widziałam jednak niegasnące pożary i setki trupów na ulicach. Zwłoki ludzi, których życie zatrzymało się w pół kroku. Młodą kobietę śmierć dosięgnęła pomiędzy domem a piekarnią. Wstała, gdy było jeszcze ciemno. Być może pocałowała śpiące dzieci i wyszła. Ustawiała się w kolejce przed świtem, żeby mieć czym nakarmić córeczkę i synka, gdy się obudzą. Wracała, chyłkiem przemykając pod ścianami, przyciskając do piersi beczenny bochenek. Świst pocisku zmieszał się z jej oddechem. Nastąpił grzmot.

Cywile nie nosili hełmów. Stalowy odłamek szczęśliwie trafił w głowę. Czaszka pękła jak przekłuty balon. Szara maź mózgu zmieszała się krwią. Martwe ciało osunęło się bezwładnie na bruk. Chleb upadł obok. Nikt spośród zbierających zwłoki nie znał tej kobiety. Nie miała przy sobie dokumentów. Wyszła przecież tylko na chwilę, po chleb. Pogrzebano ją na wciąż zielonym skwerku między domem a piekarnią, bezimiennie. Zbryzgany krwią chleb rozdziobało ptactwo.

Wojna obronna trwała nieco ponad miesiąc. Jako ostatnia skapitulowała grupa generała Kleeberga. Armia polska została rozbita. Liczba poległych i rannych żołnierzy i cywilów zdawała się niemożliwa do ustalenia.

Dwudziestego ósmego września generał Kutrzeba i generał Blaskowitz podpisali umowę o kapitulacji Warszawy.

„Halo, halo, czy nas słyszycie?” Tak zaczął się ostatni komunikat Polskiego Radia odczytany trzydziestego września przez Józefa Małgorzewskiego. Ten sam spiker pierwszego dnia miesiąca wyrzekł słowa, które zmieniły nasz świat: „A więc wojna...”.

Teraz walka była skończona.

Staliśmy w jadalni skupieni wokół radia. Gdy popłynęła melodia hymnu, ojciec objął matkę ramieniem. Wtuliła twarz w jego pierś i zapłakała cicho. Nigdy wcześniej nie widziałam jej łez. Chyba właśnie wtedy zrozumiałam, że odtąd wszystko się zmieni.

O jedenastej trzydzieści piątego października Adolf Hitler przybył do Warszawy, by odbyć triumf wśród ruin miasta. W godzinach popołudniowych w przystrojonych swastykami Alejach Ujazdowskich odebrał uroczystą defiladę swych wojsk, Ósmej Armii generała Blaskowitza. Żołnierze maszerowali w pełnym rynsztunku, prowadzili rowery, jechali konno, na motocyklach, samochodami opancerzonymi. Gąsienice czołgów zgrzytały ospale. Wszystkim do wtóru przygrywała orkiestra wojskowa. Przechodząc obok trybuny honorowej, żołnierze jak trybiki doskonale naoliwionej maszyny odwracali się w stronę swojego przywódcy i wyrzucali w przód prawe ramię, pozdrawiając go.

W ratuszu nadal więziono dwunastu zakładników, wśród nich Zdzisława Lubomirskiego, Szmula Zygielbojma, księdza Henryka Hilchena i wielu innych, którzy mieli stanowić zabezpieczenie przed jakimkolwiek aktem przemocy podczas kapitulacji, a później także wielkiej parady Führera.

Ósmego października w Berlinie ten nerwowy człowiek z małym wąsikiem włączył do Rzeszy północne i zachodnie ziemie Polski, a cztery dni później utworzył Generalne Gubernatorstwo dla okupowanych terenów Rzeczypospolitej, na którego czele stanął Hans Frank, jak się wkrótce okazało, wyjątkowa szumowina.

– Znow nie ma Polski – westchnął ciężko ojciec, przeczytawszy obwieszczenie o ustanowieniu dystryktu warszawskiego.

Był grudniowy wieczór. Za oknem na tle czerni nieba migotały drobniutkie płatki śniegu. Siedziałam przy lampce, pochylona nad zadaniami wyznaczonymi nam przez nauczyciela matematyki na następną lekcję. Niemcy chcieli możliwie najmocniej ograniczyć rozwój umysłowy polskich dzieci i młodzieży, zniszczyć przyszłość narodu. Sam Himmler, prawa ręka Hitlera, mówił, że w legalnych czteroklasowych szkołach ludowych młodzi Polacy mają nauczyć się liczyć do pięciuset, napisać swoje nazwisko i głęboko przyswoić sobie wiedzę, „iż boskim przykazaniem jest być posłusznym Niemcom, uczciwym, pracowitym i rzetelnym”, przy czym ten ostatni cel edukacyjny był rzecz jasna najważniejszy.

Mimo okupacji i likwidacji polskiego szkolnictwa średniego i wyższego – pozostawiono jedynie szkoły podstawowe i zawodowe, z zakazem nauczania polskiego, historii i geografii – nasi profesorowie szybko zrzeszyli się w Tajnej Organizacji Nauczycielskiej i zaczęli gromadzić uczniów na nielegalnych kompletach. Zajęcia odbywały się w małych, zwykle kilkuosobowych grupach w prywatnych mieszkaniach uczniów, nauczycieli lub innych życzliwych ludzi, którym leżało na sercu wykształcenie przyszłych pokoleń. Wszyscy wiedzieliśmy, że za tę działalność możemy pójść do więzienia lub zostać zesłani do obozu, jednak nie rezygnowaliśmy z nauki. Gdy tylko Amelka przyniosła wieści, że nasza wychowawczyni zbiera zapisy na tajne komplety,

natychmiast się zgłosiłam. Rozpaczliwie potrzebowałam konkretnego zajęcia, bo troska o Janka odbierała mi rozum. Po tym, co przeżyłam podczas obrony Warszawy, wiedziałam już na pewno, że zawody medyczne nie są dla mnie. Doktor Pustelnik namawiał, bym za przykładem Róży zapisała się do szkoły pielęgniarstwa, ale nie potrafiłam się na to zdobyć. Odkurzyłam szachownicę, ustawiłam na niej pionki i figury, ale nie potrafiłam rozwiązać żadnego trudniejszego zadania. Mój umysł wciąż był otepiały, przytłumiony przeżyciami tej jesieni. Potrzebowałam systematycznej pracy i czegoś, co odciągałoby moje myśli od Janka.

Poza tamtą jedną pocztówką nie miałam od niego żadnych wieści. Szukałam, gdzie się dało, namówiłam Ryszarda, żeby popytał wśród ich wspólnych znajomych, przeglądałam listy Czerwonego Krzyża, któremu Niemcy pozwolili nadal prowadzić legalną działalność, ale ani wśród żywych, ani wśród poległych go nie było, jakby rozpułnął się w powietrzu. Znałam jego adres i choć nie zdążył przedstawić mnie swojej rodzinie – nie wiedziałam nawet, czy powiedział im, że ma narzeczoną – pod koniec października postanowiłam złożyć im wizytę. Nie mogłam znieść niepewności.

Gdy znalazłam się na podwórku kamienicy, w której wychował się Janek, poczułam się zawstydzona z powodu mojego ubrania, starannej fryzury, wypielegnowanych dłoni i eleganckich skórzanych pantofli. Wszyscy przyglądali mi się, jakbym była królową, istotą z innego świata, a nie taką samą dziewczyną jak ich siostry i córki, miałam tylko w życiu trochę więcej szczęścia. Spuściłam wzrok, pospiesznie przecięłam podwórko i wspiąwszy się po brudnych skrzypiących schodach, stanęłam przed mieszkaniem państwa Frankowskich. Zastukałam. Zza drzwi dobiegł mnie odgłos powolnych, jakby zmęczonych kroków. Szczęknęła zasuwka.

Stanęłam naprzeciwko niskiej, wychudzonej kobiety. Nie miałam wątpliwości, że to jego matka. Mieli takie same oczy, duże i niebieskie.

– Dzień dobry – wykrztusiłam, bo wzruszenie zaciskało mi gardło.

Nie odpowiedziała. Przyglądała mi się tylko na poły ze zdziwieniem, na poły ze strachem.

– Dzień dobry – powtórzyłam, gorączkowo szukając właściwych słów.
– Przyszłam, ponieważ... chciałam zapytać... Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale...

Nagle coś w jej twarzy się zmieniło, a w spojrzeniu pojawiła się jakaś miękkość.

– Ty jesteś Marianna, prawda? – spytała. Miała przyjemny, ciepły głos, dziwnie kontrastujący z jej ostrymi rysami.

Przytaknęłam, zbyt przejęta, żeby mówić. Znała moje imię. Janek musiał coś o mnie wspomnieć. Radość uderzyła mi do głowy jak bąbelki wody sodowej. Czułam, że policzki okrywa mi wdzięczny rumieniec.

– Zaprosiłabym cię do środka... – rzekła i wyraźnie zawstydzona obejrzała się przez ramię.

Z głębi mieszkania dało się słyszeć głosy kilku mężczyzn i wtórujący im brzdęk szkła.

– Nie, dziękuję – pospieszyłam z zapewnieniami, chcąc wybawić ją z kłopotu. – Przyszłam bez zapowiedzi o tak późnej porze. Pozwoliłam sobie jednak na ten nietakt i zaszłam na chwilę, ponieważ...

– Nie masz od niego żadnych wieści.

Pokręciłam głową.

– My też nie – powiedziała cicho, a jej oczy zaszyły mgłą. – Jego przyjaciele wrócili...

Serce załopotało mi w piersi.

– Porozmawiam z nimi... – Nagle wstąpiła we mnie nowa nadzieja.

– Już to zrobiłam. – Plecy kobiety się przygarbiły. – Nikt nic nie wie. To było zaraz na początku wojny. Szli z oddziałem w stronę Warszawy, gdy Niemcy rozpoczęli ostrzał z powietrza. Zapanował chaos. Każdy usiłował znaleźć jakieś schronienie. Rozpierzchli się, stracili z oczu. Gdy

już wszystko się uspokoiło i znów się spotkali, zauważyli nieobecność Janka. Wrócili w tamto miejsce, sprawdzali ciała, szukali wśród rannych, wśród cywilów, w pobliskiej wsi, ale Janka nigdzie nie było.

Podniosłam dłoń i pod bluzką wymacałam kształt nieśmiertelnika, z którym nigdy się nie rozstawałam.

– Przecież nie rozpułnął się w powietrzu – szepnęłam, z trudem powstrzymując łzy.

– Jest wojna, dziecko. Na wojnie wszystko może się wydarzyć.

Zapadła cisza. Nie miałyśmy sobie nic więcej do powiedzenia. Mimo to wciąż stałyśmy w progu. Dwie kobiety, młodsza i starsza, narzeczona i matka, złączone miłością do tego samego mężczyzny i tęsknotą za nim. W głębi mieszkania rozległ się trzask tłuczonego szkła.

– Powinnaś już iść – powiedziała prędko matka Janka, nerwowo zerkając za siebie.

– Czy mogę jeszcze tu zajrzeć? – spytałam nieśmiało. – Mój ojciec, Klemens Jurasz, pracuje niedaleko stąd w szpitalu... Może kiedyś, idąc do niego, po drodze mogłabym...

– Oczywiście.

– A jeśli...

– Tak, jeśli tylko się do mnie odezwie, dowiesz się o tym pierwsza. On żyje. Jestem tego pewna. Czuję, gdyby coś mu się stało – odparła kobieta, przymykając drzwi. – Gdy będę coś wiedziała, przekażę wiadomość twemu ojcu.

Stałam jeszcze chwilę, wsłuchując się w odgłosy awantury, która wybuchła za zamkniętymi już drzwiami.

Przez kolejne dni, kiedy ojciec wracał z pracy, wypytywałam go, czy nie ma dla mnie żadnych wieści, ale każdorazowo kręcił głową.

Wreszcie, by nie odejść od zmysłów, czekając, rzuciłam się w wir nauki. Od początku listopada to przygotowania do matury znów zdawały

mi się najważniejszą sprawą na świecie, a przynajmniej ze wszystkich sił starałam się w to wierzyć.

– Dość czasu zmarnowane – powtarzali nasi nauczyciele, jakby całej obrony wrześniowej nie było, a tylko wakacje nazbyt nam się przedłużyły. – Musicie wziąć się do nauki ze zdwojoną siłą. Uczycie się już nie tylko dla siebie, ale i dla Polski.

Od wybuchu wojny wszystko robiło się dla Polski. Nic nie było od niej ważniejsze, a każdy nasz krok, oddech, czyn miał służyć podtrzymywaniu nadziei na przyszłość, gdy ten cały koszmar wreszcie się skończy.

Po kampanii wrześniowej pierwsze miesiące okupacji wydawały mi się dziwnie spokojne. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, gdy skończyły się naloty, bombardowania, zgasły pożary, ale był to spokój podszyty lękiem. Żyłam w poczuciu nierealności, jakbym cały czas śniła nieprzyjemny sen, z którego nie sposób było się obudzić.

Rozwiązywałam zadania z matematyki od niechcienia, bo nie wymagały ode mnie zbyt dużo wysiłku. Musiałam jednak starannie zapisać poszczególne etapy działań, wykaligrafować odpowiedzi, a to pozwalało zająć czymś uwagę.

– Wojna nie jest usprawiedliwieniem dla bylejakości – powtarzał nasz matematyk, wyjątkowo wymagający nauczyciel, jakby wiedział, że tego właśnie potrzebowała teraz większość z nas.

Chciałam czym prędzej skończyć pracę domową i zabrać się znów do lektury przedwojennego podręcznika do geometrii algebraicznej dla studentów pierwszego roku matematyki, który dostałam od rodziców na ostatnie urodziny. Szachownica leżała nietknięta. Z jakiegoś powodu nie mogłam się przemóc, żeby znów zagrać.

Szczęknęły klucze w zamku.

– Ryszard? – zawołałam w stronę drzwi.

– Jest ojciec? – odpowiedział pytaniem na pytanie. Nie zdjął butów. Stał w palcie i kapeluszu, na których wciąż lśniły pojedyncze płatki

śniegu, od panującego w mieszkaniu ciepła szybko zmieniające się w krople wody.

– Co tak późno? Zaraz godzina policyjna... – zaczęłam, ale nie pozwolił mi skończyć.

– Jest ojciec? – powtórzył, a w jego oczach błysnęło coś niebezpiecznego.

– Przecież dziś Barbary – pospieszyłam z wyjaśnieniami. – Mówili, że po imieninowej kolacji zostaną u wujostwa na noc, bo tak bezpieczniej.

– Kurwa.

Słyszałam, jak szybkimi krokami przemierza korytarz i wpada do gabinetu ojca. Nikt z nas nie zaglądał tam bez pozwolenia, a już na pewno nie pod nieobecność właściciela. To była święta zasada naszego domu. Musiało się wydarzyć coś naprawdę złego, skoro Ryszard tak bezpardonowo ją złamał. Wstałam od stołu i pospieszyłam za nim. Stałam w otwartych drzwiach i patrzyłam, jak mój brat w pośpiechu zgarnia do wielkiej skórzanej torby ojca gazy, bandaże i różne fiołki.

– Ryszard, co się dzieje?

– Nic – warknął.

– Przecież widzę – nie ustępowałam.

– Nie twoja sprawa.

– Jesteś moim bratem i bierzesz rzeczy mojego ojca, a zatem moja. – Buntowniczym gestem zaplotłam ręce na piersi.

Ryszard zatrzymał się z dłonią uniesioną ku szafce, skąd zamierzał zabrać kolejną buteleczkę, i odwrócił się w moją stronę. Jego oczy ciskały gromy, usta przypominały wąską kreskę, a nozdrza falowały. Był wzburzony.

– Powiedziałem ci już, że to nie twoja sprawa – cedził słowa, z wyraźnym wysiłkiem zachowując panowanie nad sobą – więc daj mi wreszcie spokój, dobrze?

– Dobrze – zgodziłam się. – Tylko powiedz mi, w co się wpakowałeś i dokąd zamierzasz zabrać to wszystko.

– Marianno, jak Boga kocham... – Zaciskał mocno szczęki i wiedziałam, że za chwilę da upust swojej złości. Mimo to nie zamierzałam ustąpić.

Czułam, że mój brat ma jakieś kłopoty, i nie mogłam pozwolić, by przez głupią dumę został z tym sam. Albo co gorsza naraził rodziców na niebezpieczeństwo.

– Jak zawsze dasz sobie radę, tak? – spytałam.

– I tak nie mogłabyś mi pomóc – odburknął.

– Może i jestem czarną owcą, która nie zamierza studiować medycyny, ale skończyłam kurs dla sanitariuszek Polskiego Czerwonego Krzyża, a we wrześniu przeszłam chrzest bojowy na ulicach Warszawy. Doktor Pustelnik nawet pochwalił mnie raz czy drugi. Po tym wszystkim i siedemnastu latach w lekarskim domu zdaje mi się, że coś tam jednak potrafię – stwierdziłam, a widząc, że sięga po metalowe pudełko, w którym ojciec trzymał wysterylizowane igły chirurgiczne, dodałam: – O, mogę na przykład przytrzymać brzegi rany, łatwiej wtedy szyć.

Ryszard odwrócił się w moją stronę i przez chwilę przyglądał mi się w zamyśleniu.

– Dobra – rzucił wreszcie. – Jest tylko jeden warunek: słuchasz poleceń i wykonujesz je bez dyskusji.

– To dwa...

– Marianno – warknął.

– No dobrze, dobrze. – Uniosłam ręce w pojednawczym geście.

– Nie odzywasz się ani słowem, nie zwracasz się do mnie po imieniu... – Zawahał się. – To nie jest zabawa.

– Wiem – odpowiedziałam krótko. – Wziąć prześcieradła i ręczniki?

– Tyle, ile zdołasz zmieścić do torebki, żeby nie rzuciła się w oczy – odparł rzeczowo Ryszard, wciąż spoglądając na mnie z namysłem.

Bez słowa wyszłam na korytarz i zaczęłam przeglądać zawartość bielizniarki w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby się nadać podczas operacji w, jak się domyślałam, mocno polowych warunkach.

Prawdę mówiąc, spokój, który ogarnął mnie w tamtej chwili, wprawiał mnie samą w zdumienie. Przypominał tamtą wrześnieową pustkę, gdy nie czułam nic, o niczym nie myślałam, po prostu działałam.

– Idziemy – zarządził Ryszard w chwili, gdy zapinałam paski mojej szkolnej torby.

– Zaraz godzina policyjna – przypomniałam mu dla porządku.

Zerknął na zegarek.

– Jeszcze osiem minut, zdążymy – zapewnił.

– A jak wrócimy do domu? – spytałam.

– Nie wiem – odpowiedział szczerze. – Ale rozwiązaniem tego problemu zajmiemy się później, dobrze? Teraz mamy pilniejsze zmartwienia.

Zgasiliśmy światła i starannie zamknęliśmy drzwi. Świadomość, że rodzice nie wrócą na noc i nie będą się martwić naszym zniknięciem, pozwalała skupić się na zadaniu. Na zewnątrz było ciemno. Księżyc na chwilę skrył się za chmurami. Okna wielu domów były szczelnie zasłonięte, najwyraźniej ich mieszkańcy nie zdążyli się jeszcze odzwyczaić od obowiązkowego zaciemniania, które we wrześniu miało utrudniać nocne ataki na miasta.

Podmuch mroźnego wiatru uderzył mnie w twarz. Przed wyjściem zdążyłam wciągnąć grube rajstopy, włożyć wełnianą sukienkę, ciepły sweter, zimowe palto, rękawiczki i czapkę, ale i tak zadygotałam z zimna i szczelniej otuliłam się płaszczem.

– Powiesz mi, dokąd idziemy? – spytałam, gdy byliśmy już na ulicy. – Co się stało?

Pokręcił głową. Resztę drogi przebyliśmy w milczeniu. Szliśmy szybko, niemal biegliśmy, ale o tej porze nikogo to nie dziwiło. Ktokolwiek był jeszcze poza domem, poruszał się w takim samym tempie, by za wszelką cenę uniknąć ryzyka zatrzymania po godzinie policyjnej. Nie zwracaliśmy na siebie uwagi.

Nagle Ryszard skręcił w boczną uliczkę. Wpadliśmy na podwórko jednej z kamienic, mocno uszkodzonej w czasie wrześniowych bombardowań. Szkielet budynku w sinawym świetle księżyca wyglądał przerażająco. Miałam nadzieję, że Ryszard wyciągnie z kieszeni latarkę, ale on szedł dalej, pewnie, mimo panujących wokół ciemności. Musiał często bywać w tych ruinach.

– Teraz ostrożnie – powiedział cicho i złapał mnie za rękę. – Idź dokładnie po moich śladach.

W skupieniu stawiałam kroki dokładnie tam, gdzie przed chwilą na śniegu odcisnęły się podeszwy butów mojego brata. Dopiero po chwili zrozumiałam, że to także środek ostrożności. Im mniej śladów, tym łatwiej będzie je przyprószyć padającym z nieba drobnym płatkiem śniegu.

Wślizgnęliśmy się w wąską szczelinę pomiędzy ścianą budynku a zwałem gruzu, której wcześniej nie zauważyłam. Wycie wiatru umilkło. Mój spokój gdzieś uleciał. W wąskim ciemnym korytarzu wśród ruin ogarnęła mnie panika. Poczułam ucisk w klatce piersiowej, serce zaczęło bić jak szalone, oddech przyspieszył, dłonie mi zwilgotniały. Miałam wrażenie, że ściany napierają na mnie, że się duszę. Zakręciło mi się w głowie. W każdej chwili spodziewałam się najgorszego.

Umrzemy – ta jedna myśl kołatała mi po głowie, a pamięć przywoływała straszne obrazy z września, wspomnienia jęków ludzi uwieczonych pod gruzami.

Byłam pewna, że kamienie osuną się i nas także pogrzebią żywcem.

– Wytrzymaj – szepnął Ryszard i mocniej zacisnął palce na mojej dłoni. – Już blisko.

Odetchnęłam głęboko, usiłując zapanować nad zalewającym mnie lękiem.

Wreszcie dotarliśmy do dziury w ścianie. Przeszliśmy przez nią i znaleźliśmy się na klatce schodowej. Nasze kroki zadudniły na skrzypiących drewnianych schodach. Podniosłam głowę. Nad nami nie było dachu, tylko sklepienie usianego teraz gwiazdami nieba. Na chwilę zaparło mi dech w piersiach. Zaraz jednak znów nadpłynęły nabrzmiałe śniegiem chmury i cały czar prysł. Powróciła groza.

Ryszard z trudem uchylił ciężkie drewniane drzwi, które nie chciały się przemieszczać na powyginanych zawiasach.

– Wskakuj – polecił mi, po czym sam wsunął się do środka. Drzwi się zatrzasnęły, pozbawiając nas nawet tamtej odrobiny światła. – Połóż dłoń na ścianie i schodź powoli. To tylko kilka stopni.

Zrobiłam, jak kazał. Po chwili dostrzegłam jasną smugę sączącą się pod ciemną krawędzią drzwi. To dodało mi otuchy. Przyspieszyłam kroku. Ryszard minął mnie i zapukał. Jedno krótkie uderzenie. Pauza. Dwa szybkie uderzenia. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Oprócz skrzypnięcia zawiasów usłyszałam coś jeszcze. Dopiero później dowiedziałam się, że był to szczęk na nowo zabezpieczanej broni.

Przed nami stał rostry mężczyzna z bujną ciemną brodą i zbyt małymi oczami, ledwie dostrzegalnymi na jego wielkiej twarzy.

– Doktora nie było w domu – zameldował Ryszard, nie siląc się na powitania.

– Co ona tu robi? – spytał ostro mężczyzna trzymający lampę.

– Potrzebuję pomocy – odparł mój brat. – Sam nie dam rady. Można jej zaufać. To sanitariuszka wrześniowa.

Zdziwiło mnie, że nie powiedział, iż jestem jego siostrą, ale zgodnie z obietnicą się nie odezwałam. W piwnicy było tak zimno, że całe ciepło,

które jeszcze przed chwilą wypełniało każdy skrawek mojego ciała, z miejsca wyparowało. Zaczęłam się trząść.

– Staremu się to nie spodoba – burknął tamten.

– Wybaczy, jak uratujemy Szczawika – odparł Ryszard, wchodząc w głąb pomieszczenia. – Co z nim?

– Ja to nie wiem – odparł brodacz i niemądrym gestem podrapał się po głowie. – Blady jest, jak był, gorączkę ma i tylko rana nie krwawi tak bardzo po tym, jakieś mu ten opatrunek założył.

Ryszard szybkim krokiem podszedł do miejsca w rogu pomieszczenia, gdzie na połamanych deskach ułożono chłopaka. Nadany mu pseudonim doskonale go opisywał. Był bardzo młody, szczupły i miał niezwykle długie ręce i nogi, które teraz leżały rozrzucone bezwładnie po obu stronach ciała. Przypominał mi tamtego strażaka, który zginął podczas gaszenia Zamku Królewskiego.

Poczułam nagły przypływ sił. Dla tamtego nic nie mogłam zrobić, teraz gotowa byłam walczyć do końca, żeby uratować Szczawika.

– Wody nagotowałeś? – zapytał Ryszard.

– Ile się dało na fajerce w puszcze, to nagotowałem – wymamrotał mężczyzna.

– Musi wystarczyć. – Ryszard zwrócił się w moją stronę. – Zorganizuj jakoś tę przestrzeń, będziemy operować.

To rzekłszy, wskazał mi głową długi, solidny drewniany stół na potężnych nogach. Zaczęłam się zastanawiać, jakim cudem taki mebel trafił do piwnicy, kto dał radę znieść go po tych wąskich schodach, ale po tym, czego świadkiem byłam w naszym punkcie sanitarnym podczas obrony Warszawy, wiedziałam, że wszystko zależało od ludzkiej determinacji. Człowiek był zdolny do niezwykłych czynów i potrafił znaleźć rozwiązanie nierozwiązywalnego, jeśli od tego zależało życie bliskiej mu osoby.

– Prześcieradła – warknął Ryszard, wyrywając mnie z zamyślenia.

Szybko oczyściłam blat z kurzu, umyłam odrobiną gorącej wody z ałunem i rozścieliłam na nim czysty materiał. Ryszard zdjął palto, zakasał rękawy i rozłożył kilka fiolek na stołku nieopodał.

– Musi wystarczyć – wymamrotał do siebie.

Wraz z brodaczem ostrożnie dźwignęli omdlałe ciało i ułożyli na prześcieradle. Nie czekając na polecenie, wprawnymi ruchami rozciąłam opatrunek i koszulę chłopaka. Ryszard spojrział na mnie z uznaniem. Umył ręce kawałkiem mydła, brodacz polewał mu dłonie gorącą wodą, która spadała wprost na zimną betonową posadzkę. Ryszard otworzył buteleczkę z eterem, nasączył wacik i przytknął do twarzy Szczawika. Przez następne dwa kwadransy wykonywałam polecenia mojego brata, z podziwem obserwując, jak wyjmuje kulę z brzucha chłopaka, nie uszkadzając przy tym żadnego większego naczynia. W nikłym świetle lampy po raz pierwszy dostrzegłam, jak bardzo jest podobny do ojca. Nigdy wcześniej nie zwróciłam uwagi na to, że gdy jest skupiony, w ten sam sposób marszczy brwi, że podobnie otwiera lekko usta, gdy ciągnie nic w górę, i zaciska je mocniej, gdy wbija jej czubek w skórę, zszywając pacjenta. Zalała mnie fala wzruszenia. Gdybym tylko mogła, przytuliłabym się do ramienia Ryszarda i powiedziała mu kilka miłych słów. Zapewne skwitowałby je jakimś żartem, jak to miał w zwyczaju, ale nic bym sobie z tego nie robiła.

Zamiast tego otarłam mu pot z czoła.

– Musi wystarczyć – powiedział, gdy skończył zaszywać ranę i po raz pierwszy wziął głębszy wdech.

– Nie znoszę widoku krwi. – Brodacz dopiero teraz odważył się wejść w krąg światła.

– Marna przypadłość u żołnierza – skwitował Ryszard.

– Co począć – odparł tamten i podał mojemu bratu otwartą butelkę, z której już wcześniej pociągał raz po raz. – Na rozgrzanie – dodał tonem wyjaśnienia.

Ryszard upił spory łyk i podsunął butelkę mnie. Pokręciłam głową.

– To na nerwy – zachęcił, puszczając do mnie oko. – Lecznico.

Upiłam łyk. Poczułam ogień w przelyku, a potem zaczęłam kaszleć, co obaj mężczyźni skwitowali śmiechem.

– Pierwszy raz? – spytał brodacz.

– Skąd – wykrztusiłam, usiłując odzyskać oddech. – Piję w każdą środę.

– Jurand – przedstawił się, wyciągając w moją stronę olbrzymią dłoń.

– Ze Spychowa? – zażartowałam, podając mu rękę.

– Z Czerniakowa – poprawił mnie.

Wzięłam wdech, ale Ryszard, który natychmiast domyślił się, co zamierzałam zrobić, zgromił mnie wzrokiem.

– Przepiórka – przedstawiłam się pierwszym pseudonimem, który przyszedł mi do głowy.

– Posprzątajmy tu – zarządził mój brat, wyjmując mi butelkę spomiędzy palców.

Przenieśli chłopaka z powrotem na posłanie. Przesunęli bliżej fajerek.

– Marne źródło ciepła, ale lepsze takie niż żadne – stwierdził Jurand. – Trzeba tylko pilnować, żeby coś się nie zapaliło. Nad ranem przydałoby się go stąd zabrać.

– Dałem znać chłopakom, podjadą rykszą – poinformował go Ryszard, chowając narzędzia ojca do torby.

– Rykszą? – powtórzył z powątpiewaniem Jurand.

– A masz lepszy pomysł? – odparł pytaniem na pytanie Ryszard. – Dzisiaj Barbórka, idę o zakład, że rankiem zaraz po godzinie policyjnej wielu będzie wracało w ten sposób z głowami ciężkimi jak młyńskie koła.

– A jeśli nas zatrzymają? – Brodacz nadal nie wydawał się przekonany.

– Chyba jestem zbyt zmęczony, żeby teraz się tym przejmować – rzekł Ryszard z rozbrajającą szczerością.

– Na górze jest pokój – powiedział Jurand. – Ma wszystkie ściany, okna, a nawet tapczan. Ciepło nie będzie, ale na pewno lepiej niż tu.

– Zostanę z nim – zaoferowałam. Miałam sporą wprawę w opiece nad rannymi. Wiedziałam, że sobie poradzę. – Idź się prześpij.

Ryszard pokręcił głową.

– Pójdziemy razem – zawyrokował. – Jurand obejmie pierwszą wartę.

– Dlaczego ja? – jęknął brodac.

– Bo my poskładaliśmy Szczawika i wciąż dycha – odpowiedział.

Podobało mi się to, że użył liczby mnogiej. Poczulałam się doceniona.

Jurand wymamrotał coś pod nosem, ale nie sprzeciwiał się więcej. Usiadł na połamanych deskach obok rannego, wsunął dłonie w rękawy i skulił plecy.

– Tylko nie zaśnij – upomniął go Ryszard.

– Nie śmiałbym – odburknął tamten, niezgrabnie przysuwając się do fajerki.

– Na pocieszenie. – Ryszard podał mu butelkę z resztką wódki. – Ktoś musi rano porządnie wonieć, żeby było wiarygodnie. Obudź mnie o trzeciej, zmienię cię.

Brodacz natychmiast się rozchmurzył. Wzięliśmy torbę i oświetlając sobie drogę słabym światłem latarki, ruszyliśmy po schodach na górę. Jurand mówił prawdę. Tuż nad piwnicą znajdowało się mieszkanie. Weszliśmy do środka i zamarliśmy. Skąpiana w księżycowej poświacie jadalnia wyglądała tak, jakby ktoś przeciął ją niczym tort urodzinowy. Stół i krzesła stały na swoich miejscach, na ścianach wisiał obraz Maryi z zatkniętymi zań wyschłymi już kwiatkami. Tylko zamiast przeciwległej ściany zionęła upstrzona gwiazdami czerń nocy. Wzdrygnęłam się. Ryszard otworzył kolejne drzwi i znaleźliśmy się w pokoju, który opisywał brodac. Ściany wytapetowano w drobne

różyczki, a obok tapczanu stała niska toaletka pomalowana na biało. To musiał być pokój małej dziewczynki.

Ciekawe, co się z nią stało? – pomyślałam i ogarnęło mnie przygnębienie.

Ryszard zdjął z łóżka zakurzoną kapę i rozłożył jedno z prześcieradeł, które przyniosłam z domu.

– Lepiej nie będzie – stwierdził.

– Powiesz mi chociaż, kto to był? – spytałam nagle.

– Syn naszego dowódcy – odparł.

– Dowódcy?

Popatrzyliśmy sobie w oczy. Ryszard doskonale znał pytanie, które kryło się w moim spojrzeniu.

– Jesteś za młoda – rzekł. – Nie chcę cię narażać.

– Naprawdę? – Uśmiechnęłam się kpiąco. – A ten chłopak ile miał lat, co? Czternaście? Może piętnaście? Idę o zakład, że był młodszy ode mnie.

– To co innego.

– Bo co? – zdenerwowałam się. – Bo to syn dowódcy czy może do chłopaków przykładacie jakąś inną miarę?

– Marianno, to nie zabawa...

– Powtarzasz się – skwitowałam. – Przed wrześnie też nieraz słyszałam to zdanie, a potem chyba udowodniłam, że rozumiem jego sens. Dziś też tak było, prawda?

– Byłaś bardzo dzielna – pochwalił mnie. – Zrozum, jestem twoim starszym bratem, czuję się w obowiązku... Eh... Przecież tylko chcę cię chronić.

– To dlatego nie powiedziałeś mi, że jestem twoją siostrą?

– Marianno, w tych czasach naprawdę lepiej nie wiedzieć zbyt wiele. Wszystko, co robimy, jest nielegalne i grożą za to surowe kary. Struktury organizacyjne naszej działalności są jeszcze w powijakach, system walki z okupantem dopiero się tworzy. Czas chaosu zwykle jest najniebezpieczniejszy – mówił wyraźnie wzburzony. – To rana postrzałowa. Posiadanie broni przez Polaków jest nielegalne. Nawet nie chcę myśleć o tym, co w razie wpadki zrobiłyby z nami psy Hitlera.

– Ja też chcę pomagać. – Zebrałam się na odwagę, by wypowiedzieć to, o czym myślałam przez cały ten czas. – Chcę walczyć, jak wy.

– Ty musisz się uczyć – odpowiedział słowami, którymi matka kwitowała ostatnio niemal każdą moją wypowiedź. – Zaraz matura.

– Będę się uczyć – rzuciłam twardo. – Wiesz dobrze, że maturę z matematyki mogłabym zdać choćby dziś, nawet po nieprzespanej nocy.

– Wiem, wiem – mruknął pojednawczo.

– Daj mi szansę – poprosiłam.

– To nie zależy ode mnie.

– W takim razie powiedz, komu trzeba, że chcę wstąpić do organizacji – nalegałam. – Jestem prawie dorosła.

– Zobaczą, co się da zrobić – powiedział Ryszard.

– Dziękuję, braciszku! Dziękuję! – Rzuciłam mu się na szyję.

– Ale niczego nie obiecuję – zaznaczył, wyplątując się z moich objęć. – Tu naprawdę nic nie zależy ode mnie.

– Skontaktuj mnie z nimi, a ja już sama ich przekonam, by mnie przyjęli – zapewniłam.

– W to nie wątpię – rzekł ze śmiechem Ryszard, po czym opadł na materac, mimo prześcieradła wzburzając chmurę kurzu. Zaniósł się kaszlem. – A teraz chodźmy spać. Mam nadzieję, że się nie podusimy tym pyłem.

Położyłam się obok niego i szczelnie otuliłam płaszczem. Patrzyłam na widoczny w rogu okna księżyc i rozmyślałam o wszystkim, co wydarzyło się tego wieczoru. Byłam pewna, że nadmiar wrażeń i panujące w pomieszczeniu zimno nie pozwolą mi zasnąć. Myliłam się jednak. Nim zdążyłam ułożyć sobie cokolwiek w głowie, odpłynęłam w objęcia Morfeusza.

Zdawało mi się, że tylko się zdrzemnęłam, ale gdy poczułam szarpnięcie za ramię i otworzyłam oczy, zobaczyłam, że wewnątrz pokoju wypełnia szare światło zimowego poranka.

– Wstawaj, śpiochu. – Ryszard stał przy tapczanie i wyglądał na całkiem rozbudzonego. – Już po siódmej. Jurand znów czuwa na posterunku przy naszym rannym, możemy iść.

– Co ze Szczawikiem? – zapytałam zaspanym głosem.

– Byłem u niego przed chwilą. Stabilnie, ale nie nadaje się do realizacji mojego planu – rzekł zmartwiony. – Trzeba czekać. Po drodze dam znać dowódcy. Będą musieli coś wymyślić.

– Powinniśmy z nim zostać – zasugerowałam.

Ryszard pokręcił głową.

– Musimy zawiadomić jego ojca i być w domu przed rodzicami. To jest nasze zadanie.

Usiadłam. Całe ciało miałam odrętwiałe z zimna.

– Masz. – Ryszard podał mi niewielką buteleczkę.

Odkręciłam zakrętkę. Rzuciłam mu pytające spojrzenie.

– Pomoże ci się rozgrzać – rzekł.

– W ciągu kilku godzin wypiję więcej niż przez całe dotychczasowe życie – skwitowałam. – Matka nie będzie zadowolona. Skąd ty w ogóle masz te wszystkie specjały?

– Jurand to człowiek wielu talentów. – Ryszard uśmiechnął się zawadiacko. – Jednym z nich jest wyciąganie bimbru z kapelusza.

Starając się nie wachać trunku, pociągnęłam łyk i jak poprzednio zanosłam się kaszlem. Ryszard miał rację; cokolwiek to było, naprawdę rozgrzewało. Krew natychmiast zaczęła szybciej krążyć w moich żyłach. Wstałam i przeciągnęłam się.

– Jesteś pewien, że możemy zostawić Szczawika? – spytałam, wciąż niepewna, czy Ryszard ma słuszość.

– Rana wygląda kiepsko. Cud, że nie ma gorączki. Śpi, ale na wszelki wypadek zrobiłem mu jeszcze zastrzyk z morfiny. Trzeba odczekać jeszcze trochę. Obawiam się, że przy próbie podniesienia go czy posadzenia szwy by puściły. Nie martw się, jego ojciec już o wszystko zadba. Przetransportują go w jakieś bezpieczne miejsce, gdzie będzie mógł go doglądać prawdziwy lekarz – odpowiedział poważnie Ryszard.
– Mam nadzieję, że przeżyje tę drogę.

– Ty już jesteś prawdziwym lekarzem – zapewniłam żarliwie, przyglądając włosy, by włożyć na nie beret.

Uśmiechnął się słabo.

– Nie, Marianno. Muszę się jeszcze sporo nauczyć. Coraz wyraźniej widzę, jak wiele przede mną – odparł, po czym ciszej dodał: – Ale zrobiłem, co mogłem.

– Świetnie się spisałeś, naprawdę – powiedziałam i pogłaskałam go po ramieniu. – Wszystko będzie dobrze. Założę się, że ojciec będzie z ciebie dumny. I ten wasz Stary też.

– Dziękuję, że byłeś tu ze mną, Marianno – odezwał się jeszcze. – Chyba muszę spróbować przestać patrzeć na ciebie jak na małą dziewczynkę.

– Od dawna nią nie jestem.

– Wiem – stwierdził i niespodziewanie cmoknął mnie w czoło. – Ale cokolwiek by się działo, zawsze będziesz moją młodszą siostrą.

Spróbowałam wymierzyć mu kuksańca, ale zdołał uskoczyć. Nasz śmiech odbił się echem od pokiereszowanych ścian wymarłej kamienicy.

Zdawało mi się, że pierwsze okupacyjne święta Bożego Narodzenia to najsmutniejszy moment w moim życiu. Czas miał pokazać, jak mało wiedziałam wówczas o cierpieniu, stracie i rozpacz. Nie podejrzewałam nawet, że to pierwsza z pięciu ostatnich Wigilii Warszawy. W szóstą, w 1944 roku, nie będzie gałązek świerkowych czy jedliny, w pozbawionych szyb oknach nie zapłoną świeczki. Echo nie poniesie najcichszej nawet kolędy. Nie będzie ludzi, którzy mogliby je śpiewać – niemal wszyscy zostaną wypędzeni z rodzinnego miasta. Niemcy nie dotrzymają obietnicy złożonej po kapitulacji powstania warszawskiego, nie oszczędzą ocalałych fragmentów stolicy, nawet tych „obiektów o dużej wartości historycznej, kulturalnej i duchowej”. Bez wahania wypolerowanym do czysta czarnym butem zmiażdżą resztki skrwawionego miasta, które ośmieliło się stawić opór. Tydzień po upadku powstania zostanie podjęta decyzja o całkowitym zburzeniu Warszawy. Nie będzie okien, nie będzie budynków, nie będzie już miasta. Pierwsza gwiazdka 1944 zabłyśnie nad morzem ruin.

Nie, granice mojej wyobraźni pod koniec feralnego 1939 roku nie sięgały tak daleko.

W tamte grudniowe dni wciąż wracałam pamięcią do chwil wolności. Od kapitulacji Warszawy minęły niespełna trzy miesiące i nie zdążyłam jeszcze przywyknąć do takiego stanu rzeczy. Wciąż czułam się tak, jakbym była w podróży i siedząc wewnątrz pociągu, wypatrywała

chwili, gdy konduktor da sygnał do odjazdu. Byłam pewna, że wówczas wszystko będzie jak dawniej, moje życie popłynie znów znajomym nurtem. Na razie czekałam.

Od dziecka uwielbiałam przedświąteczny nastrój i wszystko, co z nim związane. Codzienne roraty, gdy pół miasta z zapalonymi świeczkami szło w ciemnościach do kościołów, zagniatanie piernika i kiszenie buraków na barszcz z odpowiednim wyprzedzeniem, kupowanie rozmaitych smakołyków, które z Ryszardem następnie wykradaliśmy ze spiżarki, i połajanki matki: „Zostawcie to natychmiast! To na święta!”, oglądanie migoczących od światełek wystaw domów towarowych. Pamiętam godziny spędzane przy wielkiej balii z wodą, w której na kilka dni przed Wigilią pływały przywiezione z hodowli żywe ryby. I wreszcie choinkę, na której wieszaliśmy jabłuszka, orzechy, błyszczące bombki i ozdoby z papieru.

Tak bardzo marzyłam, by pokazać cały ten mój bajkowy świat Jankowi, żeby przeżyć te dni, trzymając go za rękę. To miały być nasze pierwsze wspólne święta. Tymczasem wciąż nie miałam o nim żadnych wieści. Bez Janka Franka życie przybladło i nic nie cieszyło mnie tak jak przedtem, choć rodzice robili wszystko, by te święta były takie jak zawsze.

W przeciwieństwie do większości warszawiaków nam niczego jeszcze nie brakowało. Ojciec był zatrudniony w szpitalu, oprócz tego jak zawsze przyjmował pacjentów w prywatnym gabinecie i odwiedzał ich po domach, a ci płacili mu, czym mogli. Nierzadko jako zapłatę otrzymywał jajka, domowe przetwory, smalec, kielbasę, słoninę, worek grochu, a nawet bimber. W adwencie matka dzieliła się tymi dobrami z innymi. Tak wielu naszych bliskich i znajomych nie miało pieniędzy, pracy, wciąż brakowało im najbardziej podstawowych rzeczy. Kurczowo trzymaliśmy się jednak nadziei, że to tylko przejściowe trudności.

Choinki osiągały tego roku zawrotne ceny kilkunastu złotych, rodzice jednak i tak zdecydowali się na zakup. Drzewko było wprawdzie nieco mniejsze niż zwykle, ale gdy zapach świerkowego igliwia wypełnił

nasze mieszkanie, nastroje wszystkich w jednej chwili uległy poprawie. Nadchodziły święta, czas nadziei na lepsze jutro.

Przygotowanie tradycyjnej wieczerzy wigilijnej nastreczyło matce nie lada problemów. Śledzi nie było, a karp kosztował tyle, że kupiła jedynie dwa kawałki, po pół dla każdego.

– Coby tradycji stało się zadość – mówiła, układając jeszcze skurczoną wskutek smażenia rybę na pięknym półmisku i finezyjnie przybierając ją kwiatami z marchewki i buraków misternie wyciętymi skalpelem przez ojca. Mimo wysiłku rodziców ten widok był przygnębiający.

Oprócz znikomych ilości karpia na przykrytym białym obrusem stole znalazły się głównie potrawy z ziemniaków. Były więc barszcz czerwony z ziemniakami i fasolą, ziemniaki gotowane okraszone smażoną cebulą, kluski ziemniaczane z makiem i placki ziemniaczane z kapustą kiszoną. Oprócz tego pierogi z kapustą bez grzybów, jako że tej jesieni nikt nie miał głowy do grzybobrania.

Gdy spojrzałam na leżącego na moim talerzu smażonego karpia, miałam ochotę się rozplakać. To właśnie w tym momencie, nie podczas letnich przygotowań do wojny, nie w czasie obrony Warszawy, parady Hitlera w Alejach Ujazdowskich czy w okresie po kapitulacji, gdy nagle całe miasto zostało upstrzone czerwonymi flagami ze swastyką, lecz właśnie podczas tej pierwszej wigilii odczułam mocno, że coś mi odebrano.

Dzieląc się opłatkiem, życzyliśmy sobie zdrowia, spokoju i rychłego nadejścia wiosny. Wówczas wierzyliśmy jeszcze, że gdy stopnieją śniegi, Anglia z Francją ruszą na Niemcy i nasza niedola dobiegnie końca. Wszyscy modliliśmy się też za prezydenta Warszawy, Stefana Starzyńskiego, aresztowanego w ratuszu pod koniec października, a później więzionego w izolacji na Serbii, kobiecym oddziale Pawiaka. Nie wiedzieliśmy wówczas, że kilka dni wcześniej został rozstrzelany przez Gestapo.

– I niech Janek szybko wróci – życzył mi Ryszard. – Zanim zupełnie zgaśniesz.

Moje oczy natychmiast wypełniły się łzami. Nie rozmawialiśmy o zniknięciu mojego narzeczonego, a mimo to brat najwyraźniej i tak zauważył, co się ze mną dzieje.

– Tak bardzo mi go brak – odpowiedziałam i zamiast ułamać opłatek, mocno przytuliłam się do Ryszarda i zapłakałam cicho. Objął mnie niezgrabnie, a po chwili się odsunął.

– Ej, moczysz mi koszulę! – zawołał, a ja mimo głębokiego smutku zdołałam się uśmiechnąć.

Po wieczery matka zaintonowała kolędę. Spróbowaliśmy śpiewać, ale po chwili nasze głosy drżały już zbyt mocno, a wreszcie uwięzły nam w gardłach i wdzięczne nuty zastąpiły ciężkie westchnienia. Wróciliśmy do stołu, by zjeść po kawałku makowca i popić kompotem z suszonych owoców, ale nawet słodkości nie były już w stanie rozproszyć przygnębienia.

Niemieckie zarządzenia wprowadzające godzinę policyjną sprawiły, że pasterki mogły odbyć się dopiero nad ranem w Boże Narodzenie. W mroku zimowego poranka wraz z tłumami przygarbionych warszawiaków o poszarzałych twarzach i podkrążonych oczach poszliśmy więc do kościoła, ale nie było w tym nic z radosnej ekscytacji niegdysiejszych adwentowych dni. Po południu, objedzona do granic możliwości, na wpół siedząc, zapadałam w drzemkę, a matka przykryła mnie dwoma grubymi kocami, bo w salonie, gdzie stała choinka, było niewiele cieplej niż na dworze.

Największy problem stanowił dla nas tamtej zimy opał. O węgiel czy drewno było bardzo trudno. Raz czy drugi Ryszard z kolegami udali się na nielegalną wycinkę pod Warszawę, ale było to tak niebezpieczne, że matka wymogła na nim przysięgę, iż więcej tego nie zrobi.

– Dopóki na suficie nie pojawią się sople, matuś – przyrzekł Ryszard, robiąc przy tym uroczystą minę, choć w jego głosie pobrzmiwały żartobliwe tony. Słowa jednak dotrzymał, więc paliliśmy w piecach oszczędnie, na tyle, by poważnie się nie rozchorować. Jedynymi

ciepłymi pomieszczeniami były kuchnia i gabinet ojca w godzinach przyjmowania pacjentów.

– Nie mogę kazać się chorym rozbierać w wyziębionym pomieszczeniu – oznajmił kategorycznie.

Tuż po świętach stolicę zelektryzowała wiadomość, że nad ranem dwudziestego siódmego grudnia w akcji odwetowej w podwarszawskim Wawrze Niemcy rozstrzelali stu sześciu mężczyzn. Wystarczyło kilka godzin, by przekazywana z ust do ust opowieść o tych wydarzeniach rozeszła się po całym mieście.

W uroczystość Świętego Szczepana dwóch miejscowych kryminalistów wypuszczonych z więzienia na mocy amnestii wrześnieowej, Marian Prasła i Stanisław Dąbek, postrzeliło w Otwocku granatowego policjanta, a gdy służby mundurowe podniosły alarm, ci dwaj ulokowali się w restauracji Antoniego Bartoszcza w Aninie. Na prośbę o dokumenty odpowiedzieli ogniem, zabijając dwóch niemieckich podoficerów. Na konsekwencje tego czynu nie trzeba było długo czekać. Właściciela restauracji okrutnie pobito, a następnie powieszono nad progiem lokalu. Ponad stu mężczyzn w wieku od piętnastu do ponad sześćdziesięciu lat, mieszkańców okolicznych domów lub wizytujących bliskich w czasie świąt, wyciągnięto z łóżek, a następnie po krótkim przesłuchaniu i spisaniu personaliów spędzono na plac między ulicą Błękitną a Spizową. Około piątej rano przy świetle reflektorów samochodowych Friedrich Wilhelm Wenzel dał sygnał do rozpoczęcia egzekucji. Padły strzały. Zaledwie siedmiu spośród tych niewinnych mężczyzn udało się przeżyć.

Była to jedna z pierwszych masowych egzekucji ludności cywilnej, pierwsza wykonana niemal pod naszymi oknami, więc wszyscy przeżyliśmy wstrząs.

– Przecież prawo międzynarodowe zakazuje odpowiedzialności zbiorowej – burzono się, ale był to bardziej wyraz bezradnej rozpacz i strachu niż iskra mogąca wzniecić bunt.

Szczególnie opłakiwany był Tadzio Ryszka, który miał zaledwie piętnaście lat.

– To było jeszcze dziecko – wzdychały kobiety, tuląc do siebie swoich synów.

Ważne rzeczy, niezwykle, piękne, przerażające, których doświadcza się po raz pierwszy, na zawsze zapadają człowiekowi w pamięć. Z czasem jednak przywykliśmy do okupacyjnego terroru. Łapanie, zbiorowe aresztowania, publiczne egzekucje i wiele innych straszliwych spraw stały się nieodłącznymi częściami naszej codzienności, nie robiły już na nas aż takiego wrażenia. Zresztą po jakimś czasie trudno było się nawet zorientować, za co dokładnie grozi kara śmierci, bo zdawało się nam, że niemal za wszystko. Ten i ów z właściwym warszawiakom czarnym humorem powtarzał, że boją się wyroków dopiero od kary śmierci w górę.

Na wielkich plakatach czytaliśmy obwieszczenia, gdzie, kogo i za co zabito, niemal od niechcienia, jak niegdyś czytało się ogłoszenia drobne w gazecie. Emocje wywoływały wówczas jedynie znajome nazwiska. Cała reszta zbijała się w bezimienną masę ofiar wojny. Zbrodni popełnionej tamtej poświętej nocy w Wawrze nikt z nas miał już nigdy nie zapomnieć.

Przed końcem roku raz jeszcze wybrałam się do matki Janka. Gdy otworzyła drzwi, zdawała mi się jeszcze drobniejsza i starsza niż poprzednio, jakby troski stopniowo odbierały barwę jej włosom, pozbawiały jędrności skórę, pogłębiały zmarszczki.

– Nic nie wiem, Marianno – zapewniła mnie słabym głosem, a potem zaniosła się brzydkim kaszlem.

– Powinien panią obejrzeć doktor – stwierdziłam rzeczowo.

Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się pobłaźliwie, jak często rodzice uśmiechają się do dzieci, gdy te mówią coś niedorzecznego, ponieważ nie znają jeszcze zasad funkcjonowania świata dorosłych.

– Jeśli pani pozwoli, poproszę ojca, żeby wracając ze szpitala, zaszedł do was z wizytą – nie ustępowałam.

– Dziękuję, Marianno, ale nie ma takiej potrzeby. – Pani Frankowska znów się rozkaszlała. – Idź już, dziecko, idź. Przeciąg mi nie służy.

Nie stałyśmy w przeciagu, to była wyłącznie wymówka i obie o tym wiedziałyśmy. Mimo to skinęłam głową. Nie miałam prawa naciskać, a nie chciałam się okazać niegrzeczna.

Całe popołudnie biłam się z myślami. Wieczorem postanowiłam, że poproszę ojca. Janek z pewnością by tego chciał. Nie zliczę, ile razy słyszałam z jego ust cytat – z Hipokratesa rzecz jasna – „Jeśli chodzi o choroby, weź pod uwagę następującą zasadę: pomagaj, a przynajmniej nie krzywdź”.

Zapukałam we framugę, bo drzwi nie były zamknięte. Ojciec siedział w gabinecie przy biurku pochłonięty wypełnianiem dokumentów.

– Można? – spytałam.

– Wejdz, Marianko, wejdz – polecił mi, nie podnosząc głowy nad czytanych dokumentów. – Szkopy rozbiły naszą armię, a teraz chcą dobić pozostałych.

– Jak to?

– Wypełnianie tych wszystkich formularzy, wniosków, podań... Cała ta dokumentacja pozbawia mnie sił – westchnął ciężko. Złożył ostatni podpis i zakreślił pióro. – Jak tak dalej pójdzie, medycy zaczną padać jak muchy i nie będzie komu leczyć – zażartował, jak to miał w zwyczaju, gdy był szczególnie przygnębiony.

Uśmiechnęłam się bardziej z grzeczności niż z faktycznego rozbawienia.

– Usiądź, córuś – polecił mi ojciec, wskazując krzesło naprzeciwko biurka, przy którym zwykle sadzał swoich pacjentów i przepytывał ich przed rozpoczęciem badań. – I mów zaraz, co cię trapi.

– Chodzi o matkę Janka Franka – powiedziałam i spuściłam wzrok. Wciąż czułam się onieśmielona, rozmawiając z rodzicami o mężczyźnie, który był moim narzeczonym.

– Coś jej dolega? – zapytał ojciec, udając, że nie zauważa mojego skrępowania.

– Mocno schudła, a przecież widziałam ją zaledwie kilka tygodni temu, i ma silny suchy kaszel. – Opisałam objawy najlepiej, jak umiałam. – Taki świszczący.

Ojciec pokiwał głową z aprobatą.

– Wspominałem już kiedyś, że byłabyś znakomitym lekarzem?

Przewróciłam oczami i sapnęłam ze zniecierpliwieniem.

– Papo...

– Dobrze już, dobrze, nic nie mówię. – Ojciec podniósł dłonie w obronnym geście. – Na kiedy mnie zaanonsowałaś?

– Właściwie... – Zawahałam się, niepewna, jakich użyć słów, ale ojciec zaraz domyślił się wszystkiego.

– Nie chciała, żebym przeszedł, prawda?

Zaprzeczyłam.

– W takim razie nie będę mógł pomóc – stwierdził.

– To matka Janka! – zachnęłam się.

– Rozumiem. – Ojciec pokiwał głową. – Jest mi bardzo przykro, ale jeśli pacjent nie chce podjąć leczenia, nic nie mogę zrobić.

– To nie tak!

– Przecież mówiłaś...

– Wiem, co mówiłam! – Własna bezsilność coraz bardziej mnie rozsierdzała. – Tyle że mnie się zdaje, iż ona nie chce cię przyjąć nie dlatego, że odmawia leczenia, ale ze wstydu.

– Ze wstydu? – zdziwił się ojciec.

– Oni są bardzo biedni – wyznałam.

Dopiero po chwili odważyłam się podnieść głowę i zerknąć na ojca. Próbowałam wyczytać z jego twarzy, jak przyjął tę informację. Domyślałam się, że Janek Franek nie należy do najbogatszych, ale nie zakładałam pewnie, że pochodzi z nizin i jest naprawdę ubogi. Ten fakt musiałby zmartwić każdego ojca.

Klemens Jurasz zdawał się jednak nieporuszony.

– Nie, Marianko, nie mogę tego zrobić.

– Ale dlaczego?! – zdenerwowałam się. – Przecież cały czas odwiedzasz ludzi, którzy ci nie płacą, i jakoś nikt cię nie wyrzuca.

– Z szacunku – odparł spokojnie. – To matka twojego narzeczonego. Jeśli jest tak, jak mówisz, nie mogę zrobić nic wbrew jej woli.

Byłam tak zdenerwowana, że łzy piekły mnie pod powiekami, ale nie prosiłam go więcej. Ojciec wstał, podszedł do szafki z lekami, wyjął z niej dwie buteleczki i postawił przede mną na stole.

– Bez osłuchania niewiele mogę zdziałać, ale to powinno złagodzić kaszel.

– Dziękuję – bąknęłam, przyciągając do siebie buteleczki.

Wstałam i zagniewana ruszyłam ku drzwiom.

– Jeszcze jedno, Marianno – zatrzymał mnie ojciec.

– Tak?

– Przez jakiś czas nie zachodź do nich z wizytą – poprosił. – To może być jakaś zakaźna choroba, a ja i Ryszard pracujemy na co dzień w szpitalu i ...

– Nie chcecie narażać swoich pacjentów – parsknęłam z goryczą.

Przytaknął. Wyszłam rozzalona i do cna zdeglustowana hipokryzją ojca, który w moim odczuciu po prostu nie chciał pomóc matce Janka. W rzeczywistości wiedział już, że niewiele może zrobić. Był pewien, że pani Frankowska ma gruźlicę, a bieda i wojna nie sprzyjały leczeniu tej

choroby. Dla nas nie była ona niebezpieczna. Byliśmy jednymi z pierwszych osób zaszczepionych przeciwko gruźlicy. Masowe szczepienia rozpoczęto, gdy miałam zaledwie trzy lata, ale szczepionek było wciąż za mało i ojciec mówił, że do wybuchu wojny zaszczepiono nie więcej niż siedemdziesiąt tysięcy ludzi.

– Kropla w morzu – wzdychał.

Najbiedniejsi zawsze szczepili się ostatni. Ojciec z pewnością gotów był iść o zakład, że rodzina Janka nie dostała szczepionki. Nie mógł też zalecić wyjazdu na kurację do górskiego uzdrowiska czy chociaż Mińska Mazowieckiego czy Otwocka, obfitej i zróżnicowanej diety ani wietrzenia pomieszczeń, szczególnie teraz, zimą, gdy w całej Warszawie brakowało opału. Miał związane ręce. Dawniej mówiono, że przyczyną gruźlicy jest melancholia. Klemens Jurasz musiał zdawać sobie sprawę, że to bzdura, a mimo to wiedział dobrze, że głęboki smutek osłabia pacjentów. Ciało matki, która od tylu miesięcy nie ma żadnych wieści o losach swojego syna, z pewnością nie będzie stać na walkę z tak wyniszczającą chorobą.

Nieświadoma tego wszystkiego, zaraz następnego dnia zapakowałam lekarstwa i kilka poświęconych smakołyków do koszyka, nakryłam białą serwetką i ruszyłam na Czerniaków. Nie miałam dość śmiałości, by wręczyć prezent osobiście, więc postawiłam go na wycieracze.

Pani Frankowska zmarła przed Trzema Królami, nie doczekawszy się żadnych wieści o synu.

Była sylwestrowa noc pierwszego roku niewoli. Niemcy nie zamierzali zrobić z tej okazji żadnego wyjątku. Godzina policyjna obowiązywała, zabroniono zabaw tanecznych w lokalach prywatnych i publicznych, a w całym Generalnym Gubernatorstwie od godziny dwudziestej obowiązywał całkowity zakaz rozprowadzania alkoholu.

Nasi rodzice na przekór panującym wokół grobowym nastrojom postanowili urządzić małą potańcówkę. Zaprosili ciotkę Barbarę z mężem i kilkoro znajomych. Zabawa trwała w najlepsze, choć na zewnątrz wciąż było jasno, gdy nagle Ryszard otarł usta serwetką i wstał od stołu.

– Muszę iść, mamó – rzekł i ucałował jej dłoń.

– Do szpitala? – spytała matka tonem sugerującym, że przyniesiona przez ciotkę wiśniowa nalewka była mocniejsza niż zwykle.

– Tak, matuś – odparł Ryszard, wciąż ściskając jej dłoń. – Do szpitala.

– Czyli prędko nie wrócisz – westchnęła teatralnie matka. – Będę tęskniła. Wielka szkoda, że zobaczymy się dopiero w przyszłym roku.

Wybuchnęła śmiechem, a wszyscy, nie wyłączając Ryszarda, z przyjemnością jej zawtórowali. Ja także się uśmiechnęłam, choć niemal cała moja uwaga skupiona była na bracie. Wszystkie te doniesienia z obławy odwetowej w Wawrze sprawiły, że od kilku dni nie

mogłam znaleźć sobie miejsca. Potrzebowałam działania. Wpatrywałam więc okazji, by porozmawiać z Ryszardem na osobności, ale pech chciał, że właśnie w tym czasie zniknął na całe dni, a i nierzadko nie wracał na noc, wymawiając się dyżurami, co ojciec kwitował znaczącym milczeniem, a matka pretensjami, że za dużo pracuje i nazbyt się przemęcza. Poprzedniego dnia wrócił wprawdzie przed godziną policyjną, ale ja zajęta byłam ucieraniem twarogu z jajkami na sernik. Ogarnięta szalem przygotowań do sylwestra matka wynajdywała mi coraz to nowe zadania. Gdy wreszcie uporałam się ze wszystkim, Ryszard spał już głęboko, o czym świadczyło dochodzące zza ściany głośnie chrapanie. W ostatnim dniu feralnego 1939 roku matka zaangażowała w przygotowania wszystkich domowników, nie wyłączając ojca, co nie zdarzało się często. Ranek upłynął nam na porządkach, nakrywaniu, krojeniu i garniowaniu, a wczesnym popołudniem przybyli już pierwsi goście. Nie było nawet chwili, by zamienić parę słów w cztery oczy.

– Pójdę za nim zamknąć – rzuciłam tylko w odpowiedzi na pytające spojrzenie matki i ruszyłam do przedpokoju.

Brat stał już w butach i zimowym palcie. Sięgnął po kapelusz, ale po chwili najwyraźniej zmienił zdanie i nasunął na głowę mało wyjściową, ale za to wyjątkowo ciepłą wełnianą czapkę narciarską. Spojrzał w lustro i westchnął ciężko z niezadowoleniem, mimo to nie zdjął nakrycia głowy.

– Ryszard. – Złapałam go za rękaw płaszcza.

– Spieszę się – burknął, delikatnie się wyswobadzając i sięgając klamki.

– Ja zajmę ci tylko minutę, a nawet kilkadziesiąt sekund, obiecuję – wypluwałam słowa z prędkością karabinu.

– W takim razie twój czas właśnie minął. – Brat ani myślał przepuścić okazji do podroczenia się ze mną. Udałam jednak, że nie dosłyszałam jego słów.

– Ryszardzie, ja też chcę działać – powtórzyłam prośbę, którą wypowiedziałam kilka tygodni wcześniej. Przez te wszystkie dni Ryszard ani razu nie nawiązał do tamtej rozmowy i zaczęłam się już obawiać, że całkiem o niej zapomniał. – Proszę, daj mi szansę.

– Już ci mówiłem...

– Ja wiem, co mówiłeś – przerwałam mu. – Pamiętam, że to nie od ciebie zależy i tak dalej, ale może mógłbyś im o mnie przypomnieć.

Ryszard obrócił się nerwowo w stronę salonu, skąd dochodziły głosy zaproszonych na sylwestra gości.

– Na Boga, ciszej – syknął.

– Przypomnisz im o mnie? – poprosiłam, zniżając głos. – Na pewno się do czegoś przydam.

– Bo umiesz liczyć i grać w szachy? – zadrwił. – To prawdziwa wojna, wiesz?

– Gra w szachy to w zasadzie też liczenie – uściśliłam, a Ryszard przewrócił oczami. – Sam wiesz, że to tylko część, niewielka część, moich zalet. O ile wiem, na długo zanim Hitler rzucił się na nas z pazurami, w sztabie generalnym była komórka zajmująca się kryptografią i kryptoanalizą. Mieli siedzibę w pałacu Saskim, nieprawdaż?

– Marianno, a była wśród nich jakaś kobieta? – spytał, przyglądając mi się uważnie.

Wiedziałam, co miał na myśli. Wojna czy pokój, to nie miało znaczenia, wciąż odbijałam się od tej samej ściany. Wyglądało na to, że najpoważniejszą przeszkodą w moim życiu była moja płeć.

– Mam skończony kurs sanitarny – westchnęłam z rezygnacją. – Przydam się przy rannych, przy zabiegach. Jestem szybka i odważna, mogę przenosić korespondencję czy meldunki, sama nie wiem co jeszcze. Kobiety chyba są zwykle dobrymi łączniczkami. Mogę robić wszystko!

- Obawiam się, że jesteś za młoda.
- Wiele harcerek jest młodszych ode mnie.
- Ale to harcerki.

Wypuściłam głośno powietrze.

– To, że nie jestem harcerką, nie powinno mnie dyskwalifikować, prawda?

– Prawda – przyznał Ryszard. – Tyle że one były w większości od małego przygotowywane do pełnienia służby, słuchania rozkazów, znają zasady i potrafią ich bezwzględnie przestrzegać. To żołnierki, ty jesteś cywilem.

– To zrób ze mnie żołnierza.

– To nie takie proste...

– Czyli wracamy do punktu wyjścia – sapnęłam i wzniosłam ręce.

– To nie jest rozmowa na teraz. – Ryszard otarł pot z czoła. Był grubo ubrany i aż poczerwieniał z gorąca. – Naprawdę muszę już iść.

– No tak, do szpitala – zadrwiłam.

Byłam zła. Na siebie, na niego, na cały świat. Inaczej wyobrażałam sobie przebieg tej rozmowy. Ryszard patrzył na mnie przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Przypominasz naszą matkę – stwierdził nieoczekiwanie.

Rzuciłam mu ponure spojrzenie.

– Masz jej urodę – dodał.

– To miłe z twojej strony, ale nie liczyłam na komplementy, tylko na jakieś prawdziwe ważne zadanie – bąknęłam. – Chcę działać, walczyć, jak ty i... – Zawahałam się jak zwykle, gdy miałam wymówić imię narzeczonego.

Ryszard skinął głową. Byłam przekonana, że teraz padną kolejne zapewnienia o tym, że spróbuje, ale nic takiego się nie wydarzyło.

– Mam pomysł – rzekł. – Porozmawiam o nim z moimi przełożonymi i zobaczymy, co da się zrobić.

– Naprawdę? – W jednej chwili zapomniałam o dąsach.

– Naprawdę – przytaknął. – A teraz pozwól mi już wyjść, bo czuję, że zaraz zacznę parować.

Rok 1940 zaczął się ponuro. Pierwszego stycznia o świcie obudziło mnie łomotanie do drzwi wejściowych. Przeżona zerwałam się z łóżka i wybiegłam na korytarz, gdzie wpadłam na rozespanego ojca.

Klemens Jurasz nie pijał alkoholu. „Bycie lekarzem to służba, która nigdy się nie kończy” – zwykł mawiać.

Wczoraj, w przeciwieństwie do reszty biesiadników, ledwie umoczył usta w nalewce ciotki, by symbolicznie uczcić koniec starego roku. Dlatego tylko nas obudził łoskot. Pozostali spali ciężkim snem ludzi, którzy poprzedniego dnia nadużyli trunku.

– Gestapo? – spytałam.

Ojciec nie odpowiedział, ale w jego oczach wyraźnie dostrzegłam coś, czego nie widziałam nigdy wcześniej – przerażenie. Dom był pełen ludzi, których nie powinno tu być. Wszystkim groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Wracaj do pokoju – powiedział, kierując się ku drzwiom.

– Nie zostawię cię – szepnęłam.

Ojciec położył dłoń na moim policzku. W tym momencie dudnienie się powtórzyło.

– Marianno, wracaj do pokoju – powtórzył i cofnął rękę.

Odeszłam zaledwie kilka kroków, by w razie potrzeby pospieszyć ojcu z pomocą. Nie wiedziałam wprawdzie, co mogłabym zrobić, gdyby naprzeciwko mnie stanęło dwóch rosyjskich mężczyzn w czarnych płaszczach, policjanci albo esesmani, ale i tak uznałam, że powinnam czuwać w pobliżu. Ryszarda nie było przecież w domu. Czy to jego szukali? Może dowiedzieli się jakoś o jego podwójnym życiu i przyszli go aresztować? Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie przemknąć do sypialni rodziców i nie zbudzić matki, ale wówczas ojciec odsunął zasuwę.

W progu stał granatowy policjant. Zamarłam.

– Profesor Klemens Jurasz? – spytał, a w jego słowach dało się słyszeć przynaglenie.

Ojciec potwierdził. Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy, a oddech spłyca się niebezpiecznie.

– Pójdzie pan ze mną – rzekł mundurowy.

– A dokąd, jeśli wolno spytać? – głos ojca drżał lekko.

– Moja żona rodzi – odparł tamten. – To blisko, dwie kamienice stąd.

Gdybym nie opierała się o framugę, z pewnością zemdlałabym z ulgi. Nie chodziło o aresztowanie, ale o pomoc medyczną.

– Marianno – przywołał mnie ojciec swym zwykłym, rzeczowym tonem. – Przygotuj torbę. Ja idę się ubrać.

– Pójdę z tobą – zaoferowałam. – Może przyda ci się pomoc?

– Zostań – polecił mi szeptem, zagłuszając dźwięk swoich słów stukotem narzędzi. – Ktoś musi powiedzieć matce.

– Obudzę ją – zapewniłam szybko.

– Nie. – Złapał mnie za rękę, a potem zerknął przez ramię na przestępującego z nogi na nogę policjanta. – Wiesz, że porody są zawsze nieprzewidywalne. Skoro tu przyszedł, coś musi być nie tak, inaczej zabrałby ją do szpitala, ale pewnie obawia się transportu, zresztą

mniejsza o to. Coś może pójść nie po mojej myśli, a zrozpaczony człowiek, zwłaszcza jeśli dysponuje jakąś władzą, jest zawsze groźny.

– Ojcie... – Przerazenie powróciło.

– Gdy tylko wyjdziemy – ciągnął – obudź wszystkich, niech wracają do siebie.

Skinęłam głową.

– Szybciej! – ponaglał z korytarza policjant.

– Już, już! – zawołał ojciec.

Funkcjonariusz wydał z siebie niezrozumiały pomruk.

– A teraz najważniejsze. – Ojciec zniżył głos tak, że ledwie go słyszałam. – Pod stelażem łóżka Ryszarda jest coś, czego nie powinno tam być. Opakuj to w brudne szmaty i zanieś do tej opuszczonej piwnicy, wiesz gdzie?

Potwierdziłam.

– Natychmiast po naszym wyjściu – podkreślił, patrząc mi prosto w oczy.

– Dobrze, ojcie.

Uśmiechnął się do mnie i wyszedł, po drodze wkładając płaszcz i kapelusz.

– Chodźmy – powiedział do policjanta.

Przyciśnięta do drzwi słuchałam kroków na klatce schodowej, a gdy umilkły, rzuciłam się przez salon do okna. Granatowy policjant właśnie zniknął za rogiem w bramie naszej kamienicy, ojciec szedł za nim.

Obudziłam matkę i powtórzyłam jej słowa ojca. Wszystkie oprócz drugiego zadania, jakie mi wyznaczył. Dobrze zapamiętałam lekcję, której Ryszard udzielił mi podczas ratowania Szczawika. Mniejsza wiedza redukowałą niebezpieczeństwo.

Korzystając z powstałego rozgardiaszu, wślizgnęłam się do pokoju brata i zanurkowałam pod łóżko. W pierwszej chwili niczego nie zauważyłam. Pomyślałam, że może ojciec się pomylił albo Ryszard sam usunął już zagrożenie. Nie wiedziałam nawet, czego szukać. Dla pewności jednak zaczęłam wsuwać rękę pomiędzy materac a kolejne szczeble. Przy szóstym ogarnęło mnie zniechęcenie.

– To bez sensu – wymamrotałam do siebie, ale przy następnym zobaczyłam skrawek materiału. Podsunęłam się tam i wyciągnęłam pistolet.

Nie znałam się zbyt dobrze na broni, ale nawet ja potrafiłam rozpoznać visa. Natychmiast przypomniałam sobie sprawę kierowcy Karola Leszniewskiego, który został rozstrzelany w połowie października za to, że mimo zakazu nie oddał broni. Serce podeszło mi do gardła.

– Marianno. – W tej samej chwili usłyszałam głos matki. – Goście wychodzą.

Musiałam pójść się pożegnać. Wysunęłam się spod łóżka. Zdjęłam poszewkę z poduszki Ryszarda i owinęłam nią pistolet. Potem zabrałam wiszącą na krześle koszulę i wyszłam z pokoju.

– Wybaczcie mi, proszę, zbieram brudną bieliznę – wyjaśniłam w odpowiedzi na pytające spojrzenia.

– W Nowy Rok? – spytała matka, a jej brwi poszybowały w górę. Z pewnością nie dała wiary moim deklaracjom, ale powstrzymała się od dalszych komentarzy.

Wymieniła z ciotką spojrzenia, których znaczenia nawet nie chciałam się domyślać.

– Zaraz będę – rzuciłam, uśmiechając się przeproszająco, i zniknęłam w łazience. Zaplątałam pistolet w brudne, pachnące pastą szmaty, którymi jeszcze wczoraj gospodyni czyściła podłogi, i z tym naręczem wyszłam pożegnać gości.

– Marianno, co ty, na Boga, wyczyniasz! – wykrzyknęła matka.

– Wczoraj widziałam w piwnicy kociątka – skłamałam, starając się nie patrzeć przy tym matce w oczy. – Jest taki mróz; na pewno potrzebują legowiska... – jęknęłam żałośnie.

– Mam nadzieję, że się nie rozchorowała i wszyscy się nie pozarażamy – szepnęła do męża ciotka Barbara na tyle niedyskretnie, że wszyscy słyszeli jej słowa.

Ciotka odchrząknęła skrepowana, a matka zaczęła ją wylewnie żegnać, jakby nic się nie stało.

– Odprowadzę gości – zaoferowałam.

– Naprawdę nie trzeba. – Ciotka próbowała mnie zatrzymać, ale ja już byłam na schodach.

W tamtej chwili pokonanie każdego stopnia zdawało mi się nie lada wyczynem, nogi miałam jak z waty. Oczyma wyobraźni widziałam, jak potykam się, przewracam, zawiniątko wypada mi z rąk, a spomiędzy szmat wysuwa się broń. Jak zareagowaliby ci, których uważaliśmy za bliskich? Rodzina i przyjaciele? Może podnieśliby larum? Może broń dojrzałby ktoś z sąsiadów, spoglądając przez wizjer? Czy ktoś z nich by na mnie doniósł?

Wtedy po raz pierwszy w życiu poczułam się samotna. Nigdy wcześniej nie przypuszczałam, że kiedykolwiek będę miała podobne myśli o ludziach, wśród których się wychowałam. Wcześniej świat był prostszy, nie było tylu zmiennych do uwzględnienia w równaniu.

Nowy rok w nowym świecie.

Przy wyjściu z budynku grzecznie pożegnałam wujostwo i znajomych rodziców. Mimo mrozu kilka chwil stałam jeszcze w drzwiach z dłonią podniesioną w pożegnalnym geście. Wreszcie cofnęłam się i szybko zbiegłam do piwnic. Gdy ukryłam pistolet, odetchnęłam z ulgą. Niemal fizycznie odczuwałam, jak wielki ciężar stacza mi się z barków.

– Oczekuję wyjaśnień – powitała mnie matka, gdy tylko przekroczyłam próg mieszkania.

Zrobiłam minę niewiniątka.

– Mówisz o papie? – spytałam, po czym zalałam ją potokiem słów, raz jeszcze przekazując wszystkie informacje. – Baliśmy się, że to Gestapo, ale gdy papa otworzył drzwi, okazało się, że to granatowy policjant. Jego żona rodziła i potrzebował pomocy, ale ojciec i tak kazał was wszystkich obudzić i powiedział, żeby goście wrócili do siebie. Strzeżonego Pan Bóg strzeże i tak dalej.

Nie skłamałam. Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak powiedziałam. Pomięłam tylko kwestię pistoletu, nic więcej, a mimo to ukrywanie czegoś ważnego przed matką po raz pierwszy było dla mnie wstrząsem, a jednocześnie... przyniosło mi coś na kształt ulgi? Namiastkę wolności? Może gdy raz przekroczy się granicę, dalsze jej przekraczanie nie stanowi już trudności? Może tylko ten pierwszy raz jest trudny, a gdy orientujesz się, że nie spotkało cię nic złego, brniesz dalej, gnasz na złamanie karku, licząc, że gdzieś tam jest miejsce, w którym już nie będziesz musiał się kryć?

Nigdy wcześniej nie wyobrażałam sobie nawet, że mogłabym nie powiedzieć matce prawdy. Teraz fakt, że tak postąpiłam, po raz pierwszy wydał mi się czymś naturalnym. Było bowiem coś, co przewyższało wartością wszystko inne. Sprawa. Walka o niepodległość, którą utraciliśmy. Nawet podczas kampanii wrześniowej czułam się jak pomocnik, uczennica słuchająca nauczyciela. Gdy Ryszard pozwolił mi sobie pomóc, po raz pierwszy od kapitulacji Warszawy poczułam, że mogę mieć na coś realny wpływ. Walczyliśmy ramię w ramię o życie Szczawika, który został postrzelony, bo sprzeciwił się Niemcom panoszącym się po naszym świecie. Chyba właśnie wtedy, w chwili, gdy mój brat niewprawnie wyjmował kulę z ciała tego chłopaka, zrodził się we mnie bunt tak silny, że musiał znaleźć ujście w działaniu. Nie musiałam czekać na to, co przyniesie bieg wydarzeń. Nie musiałam płynąć z prądem, biernie przyjmując rolę niewolnicy. Mogłam działać i pragnęłam tego ze wszystkich sił.

To dlatego przez te ostatnie dni byłam tak niespokojna. Zaślepieni Hitlerem Niemcy odebrali mi wszystko, co kochałam: Polskę, wolność, szkołę, lekcje szachów i człowieka, który był całym moim światem. Tego ostatniego szczególnie nie mogłam puścić im płazem. Pragnęłam zemsty, krwi, pragnęłam służyć Sprawie. Wszystko inne, nawet matka, nieoczekiwanie dla mnie zeszło na dalszy plan.

Kolejne godziny spędziłyśmy w niepewności. Każda z nas usiłowała się czymś zająć. Bezskutecznie. Na niczym nie potrafiłyśmy skupić uwagi dłużej niż kilka minut. Co i rusz podchodziłyśmy do okna, wypatrując powrotu ojca. W nocy padał śnieg i całe podwórze przykryte było puszystą pierzyną, która migotała w promieniach słońca. Ten sielankowy obraz dziwnie kontrastował z naszym lękiem.

– A jak kocięta? – spytała nieoczekiwanie matka.

– Jakie kocięta? – zapytałam, zanim zdążyłam się zastanowić.

– Za dużo tajemnic w tym naszym domu. – Matka pokiwała smutno głową. – Uważaj, żeby się w nich nie zagubić, Marianko. Bardzo łatwo jest zacząć wierzyć we własne kłamstwa i całkiem stracić z oczu granicę pomiędzy prawdą a fałszem.

Nie odpowiedziałam. Odwróciłam się do okna i wbiłam wzrok w lśniącą biel na podwórzu. Policzki piekły mnie ze wstydu.

Ojciec wrócił po kilku godzinach. Wyglądał na zmęczonego, a gdy ściągnął płaszcz, okazało się, że całe ubranie miał we krwi. Wymieniłyśmy z matką zaniepokojone spojrzenia, ale żadna z nas nie odważyła się pierwsza zadać pytania.

– Przeżyli – sapnął ojciec, ciężko opadając na krzesło. – Matka i dziecko. Chłopiec.

Odetchnęłam z ulgą.

– Dzięki Bogu – westchnęła matka.

– Dziecko było źle ułożone i miało pępowinę owiniętą wokół szyi – ciągnął ojciec. – Niewiele brakowało, żeby... To prawdziwy cud, że

żyją.

– Nie wierzysz w cuda – przypomniała mu matka. – Tylko w naukę, w medycynę.

– Pewnie za jakiś czas będę w stanie rozłożyć przebieg tego porodu na czynniki pierwsze i odkryć, jak udało mi się ocalić ich oboje, ale teraz jestem śmiertelnie zmęczony i głodny.

Elżbiecie Jurasz nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zerwała się z krzesła i szybkim krokiem poszła do kuchni przygotować posiłek dla męża.

– Schowałaś? – spytał ojciec, gdy tylko matka zniknęła nam z pola widzenia.

Skinęłam głową.

– Zuch dziewczyna – pochwalił mnie ojciec, a ja poczułam, jak rozpiera mnie duma.

Podobało mi się to uczucie. Chciałam, by był ze mnie dumny, i zamierzałam dać mu ku temu mnóstwo powodów. Najpierw jednak musiałam zmusić mojego brata do działania. Był jedynym łącznikiem pomiędzy mną a ludźmi z konspiracji.

Gdy tego wieczoru Ryszard wrócił do domu, poszłam za nim do jego sypialni.

– Musimy porozmawiać – rzuciłam, zamykając za sobą drzwi i opierając się o nie.

– Jestem wykończony. – Ryszard przetarł twarz dłonią. Miał poszarzałą skórę i głębokie cienie pod oczami. Naprawdę był zmęczony.

Zrobiło mi się go szkoda, mimo to nie zamierzałam ustąpić. Wypadki tego dnia napęłniły mnie dziwną odwagą i planowałam to wykorzystać.

– Jutro, Marianno, jutro.

– Porozmawiałeś, z kim trzeba, o mojej sprawie? – spytałam ostro.

– Marianno, proszę – jęknął błagalnie.

– To ja cię proszę – przerwałam mu. – Od wielu tygodni.

– Już ci mówiłem, że to nie takie proste...

– To może zrobmy tak, ty porozmawiasz o mojej sprawie, a jak to zrobisz, oddam ci twojego visa. Chyba jest dla ciebie ważny, skoro tak dobrze go schowałeś?

Ryszard raptownie wyprostował się jak struna.

– Szperałaś w moich rzeczach?! – wrzasnął.

– Rano była policja – wyjaśniłam szybko, nieco przestraszona gwałtownością jego reakcji. – Ojciec bał się rewizji i kazał mi schować twoją broń.

Ryszard opadł na łóżko i oparł czoło na dłoniach.

– Ależ ty jesteś uparta – westchnął ciężko.

– To u nas rodzinne – odparłam. – To co, jutro porozmawiasz, tak?

– Jutro – przytaknął.

Ryszard powiedział, że mam zjawić się na miejscu za kwadrans pierwsza.

– Zachowuj się naturalnie. Zamów kawę, poczytaj gazetę – instruował mnie brat, gdy staliśmy nieopodal wejścia do kawiarni, w której miało odbyć się spotkanie. – Staraj się za bardzo nie rozglądać. Pułkownik Jawor widział twoje zdjęcie. Znajdzie cię. Podejdzie do twojego stolika i zapyta o ciotkę Stefanię.

– A kto to taki? – spytałam, zanim zdążyłam się zastanowić.

Ryszard spojrział na mnie z politowaniem.

– Nikt – odparł – To hasło, na które masz odpowiedzieć, że ciotka nie wróciła jeszcze z Otwocka, ale ty przyszedłaś na spotkanie w jej zastępstwie.

– To nie ma sensu...

– To nie musi mieć sensu – wycedził Ryszard. – To tylko hasło, które umożliwi wam identyfikację.

– Rozumiem. – Poprawiłam zapięcie rękawiczki. – Poradzę sobie.

– Na pewno? – Brat rzucił mi kpiące spojrzenie.

Udałam, że go nie widzę.

– Zaczekać tu na ciebie? – spytał jeszcze.

– A nie masz nic lepszego do roboty?

Uśmiechnął się.

– Do zobaczenia w domu.

Nigdy wcześniej nie byłam w tak eleganckiej kawiarni. Rodzice nie zabierali nas w takie miejsca, twierdzili, że nie są odpowiednie dla dzieci. Nie rozumiałam też, jak taki lokal może funkcjonować w okupowanej Warszawie. Wszyscy, których znałam, cierpieli niedostatek, a tu, na obitych pluszem fotelach i kanapach, siedzieli wytwornie ubrani ludzie. Czytali gazety, rozmawiali, śmiali się, jedli ciastka z kremem, popijając je gęstą czarną kawą, jakby nie było żadnej wojny. Poczulałam się nieswojo, mimo to usiadłam przy wolnym stoliku tuż przy oknie. Modliłam się, by nie podszedł do mnie kelner. Nie wiedziałam, jak z nim rozmawiać. Brakowało mi obycia. Na szczęście o tej porze w kawiarni panował spory ruch i młodzi kelnerzy w białych marynarkach uwijali się jak mrówki, niemal biegając między stolikami. Po chwili światło błysnęło w szklanych drzwiach. Zerknęłam ku wejściu i od razu wiedziałam, że mężczyzna, na którego patrzę, jest tym, którego oczekiwałam. Miał kasztanowe włosy, był wysoki i szczupły, szeroki w ramionach, wąski w talii. Trzymał się prosto, a sposób, w jaki chodził, zdradzał żołnierskie wychowanie. Ubrany był w świetnie skrojony garnitur. Miałam na sobie swoją najlepszą sukienkę z szerokim białym kołnierzykiem, a mimo to poczułam się przy nim jak uboga krewna.

– Dzień dobry, ciotka Stefania to pani? – spytał niepewnie, przystając przy mnie.

Wiedziałam, że udaje, i musiałam przyznać, że jak na wojskowego był też niezgorszym aktorem.

– Ach, skąd – roześmiałam się nerwowo. – Ciotka Stefania nie wróciła jeszcze z Otwocka. Przyszłam w jej zastępstwie. Proszę, niech pan siada.

Mężczyzna odsunął krzesło i usiadł. W jego ruchach była swoboda stałego bywalca. Sięgnął po kartę i przez chwilę ją studiował. Nie

wiedziała, co ze sobą zrobić, więc wbiła wzrok w swoje dłonie i zastygła w oczekiwaniu. Nagle zamknął kartę i odłożył ją na stolik.

– Nie jestem głodny – oświadczył. – Może miałaby pani ochotę na spacer?

Skinęłam głową. Nogi miałam jak z waty. Byłam pewna, że wszyscy ludzie się nam przyglądają i dokładnie wiedzą, kim jesteśmy.

Zaraz ktoś powiadomi żandarma – rozmyślałam gorączkowo. Aresztują nas. Czułam na sobie ich wzrok i z trudem powstrzymywałam chęć ucieczki. Ukradkiem zerknęłam na mężczyznę, ale on zdawał się całkiem spokojny. Otworzył przede mną drzwi i puścił mnie przodem.

– Przepraszam, ale ceny w tej kawiarni były nazbyt wygórowane – rzekł tonem usprawiedliwienia, gdy odeszliśmy parę kroków. Śnieg skrzypiał nam pod stopami. – Poza tym kawiarnia to doskonale miejsce na pierwsze spotkanie, ale zupełnie nie da się tam porozmawiać na osobności.

– Oczywiście, to zrozumiałe – wymamrotałam.

– Jawor – przedstawił się, nie zwalniając nawet kroku.

– Marianna Jurasz.

– Żadnych imion i nazwisk – polecił. – Zapamiętać.

Skinęłam głową, bo ze zdenerwowania całkiem zaschło mi w gardle.

– Prosiła pani o spotkanie ze mną – odezwał się znów, łagodniej.

Przytaknęłam. Miałam w głowie ułożoną całą przemowę, wiedziałam dokładnie, co chcę powiedzieć, a jednak teraz, gdy nadszedł właściwy moment, kompletnie ją zapomniałam. Pułkownik Jawor mnie onieśmiał. Wbiłam dłonie w kieszenie płaszcza.

– Mam dla pani kwadrans – oznajmił. – Możemy spacerować w milczeniu, rozkoszując się mroźnym powietrzem. Pogoda sprzyja spędzaniu czasu na zewnątrz, a ruch, jak wiadomo, jest dobry i dla ciała, i dla umysłu, ale zdaje mi się, że zamierzała pani mówić ze mną o czymś konkretnym.

– Chciałabym się zapisać do konspiracji – wypaliłam. Czułam rozpierający mnie entuzjazm i bałam się stracić szansę.

Pułkownik Jawor zatrzymał się nagle. Odwrócił w moją stronę i wbił we mnie spojrzenie, z którego nic nie potrafiłam wyczytać. Poczulałam się jednak bardzo mała i nic nieznacząca. Im dłużej patrzył, tym bardziej byłam zdenerwowana. Po chwili bez słowa ruszył dalej.

– Mogłabym zostać szyfrantką – ciągnęłam, usiłując słowami przykryć zdenerwowanie. – Już przed wojną marzyłam o karierze naukowej. Zamierzałam w przyszłości specjalizować się w kryptologii...

Nieznacznie pokręcił głową. Umilkłam.

– To nie jest praca dla młodych kobiet – uciął krótko.

Nie ośmieliłam mu się sprzeciwić, choć łzy zapiekły mnie pod powiekami.

– Znajomość języków obcych? – spytał.

– Francuski i łacina – pochwaliłam się.

– Niemiecki?

– Trochę – powiedziałam z nieco mniejszym przekonaniem.

– Będzie czas, żeby się nauczyć – stwierdził. – Pojedzie pani do jednego z naszych miast włączonych do Rzeszy.

Nie zdołałam powstrzymać westchnienia zdumienia. W ogóle nie brałam pod uwagę takiego scenariusza. Nikt mnie nie uprzedził, że może zaistnieć konieczność działania w terenie, wyjazdu, opuszczenia domu, rodziny, przyjaciół. Byłam pewna, że dostanę przydział tu na miejscu i będę działała tak jak Ryszard, nocie spędzając we własnym łóżku, mieszkając z bliskimi, w znanym sobie otoczeniu, że to konspiracyjne życie stanie się po prostu kolejnym elementem codzienności, a nie całkowicie ją zburzy.

– Jestem niepełnoletnia – rzuciłam w popłochu, licząc, że pozwolą mi zostać w Warszawie. Zaraz jednak zawstydziłam się tej słabości.

– Rozważamy, czy nie odmłodzić pani jeszcze o rok, choć moim zdaniem nie jest to konieczne – rzekł. – Pojedzie pani do szkoły.

– Do szkoły? – powtórzyłam i zamrugałam szybko. Nic z tego nie rozumiałam.

Pułkownik Jawor skinął głową.

– Nauczyć się niemieckiego...

– Przecież umiem – odparłam i aż poczerwieniałam, gdy obrzucił mnie swym żołnierskim, pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

– Jeśli chce się pani znaleźć na właściwej volksliście, „trochę” nie wystarczy. Konieczna będzie biegła znajomość tego języka.

– Nigdy nie podpiszę volkslisty – oznajmiłam dumnie. – Chciałam służyć Polsce, a nie ją zdradzać.

– Podniosłymi deklaracjami nie wygrano jeszcze żadnej wojny – powiedział pułkownik Jawor. – Czasem, by móc służyć, należy przełamać pewne schematy, zacząć myśleć i działać jak wróg, pamiętając jednak zawsze o tym, kim się jest i jaki obrało się cel.

– Mam zostać Niemką?!

– Gorliwą wyznawczynią Hitlera – dodał, patrząc mi poważnie w oczy.

– Przecież... – dukałam, kręcąc głową. – Przecież... to... To jest niemożliwe. Nikt nie da się na to nabrać.

– Proszę mi wierzyć, jeśli dobrze przygotuje się pani do zadania, nikt nie będzie niczego podejrzał. Dlatego wybraliśmy właśnie panią.

– Jako Polka powinnam chyba poczuć się urażona – bąknęłam.

– Albo wyróżniona, zależy, jak na to spojrzeć – odparł bez wahania. – Słyszała pani o Margarecie Gertrudzie MacLeod, z domu Zelle?

Nie miałam pojęcia, kim jest czy była ta kobieta, więc zgodnie z prawdą zaprzeczyłam.

– Większość ludzi zna ją pod jej pseudonimem scenicznym. Była słynną w całej Europie tancerką.

Nie miałam pojęcia, do czego zmierza pułkownik Jawor i jaki to mogłoby mieć związek ze mną, ale jego opowieść wydawała mi się coraz dziwniejsza.

– Jej pseudonim po indonezyjsku oznacza podobno Oko Dnia, czyli słońce – ciągnął. – Mata Hari. Mówi to coś pani?

Oczywiście wiedziałam, kim była Mata Hari. Wszyscy znali tragiczne losy pięknej tajemniczej tancerki, której czarowi nie mógł się oprzeć żaden mężczyzna, będącej podwójnym szpiegiem. Po zdemaskowaniu przez Francuzów została rozstrzelana przed wschodem słońca.

Kilka lat wcześniej wyświetlano o niej film z Gretą Garbo w roli głównej. Rodzice stwierdzili, że zarówno ja, jak i Ryszard jesteśmy zbyt mali, i choć błagaliśmy ich ze wszystkich sił, nie pozwolili nam pójść na seans. Jednak przez wiele kolejnych dni na pocieszenie ojciec co wieczór opowiadał nam jedną z przygód Maty Hari. Ile z nich naprawdę było częścią jej biografii, a ile wymyślił sam Klemens Jurasz, tego nie potrafiłam stwierdzić.

– Mata Hari to chyba nie najlepszy przykład. W końcu zginęła śmiercią zdrajczyni – przypomniałam.

– Lecz czy naprawdę nią była? – odpowiedział pytaniem na pytanie pułkownik Jurasz.

Wzruszyłam ramionami.

– Przecież i tak nigdy się nie dowiemy.

– Taki już los wywiadowczyń i wywiadowców – stwierdził i zdało mi się, że słyszę w jego głosie nutki smutku.

– Szpiegów – poprawiłam go.

– Szpieg wykrada informacje stanowiące tajemnice państwowe i przekazuje je wrogowi. To szkodnik – pospieszył z wyjaśnieniami pułkownik. – Wywiad zdobywa o przeciwnikach informacje, które mogą

posłużyć interesom państwa, któremu służy. To jednak spora różnica, nieprawdaż?

– Czarny i biały charakter, jak w filmie.

– W prawdziwym życiu czasem trudno odróżnić jednych od drugich – powiedział w zamyśleniu, bardziej do siebie niż do mnie.

– A jaki to ma związek ze mną? – spytałam, by skierować rozmowę na interesujące mnie tory. – Mam zostać wywiadowczynią?

– Jeszcze nie wiemy, czy da pani radę – odparł szczerze pułkownik Jawor.

– Ale nie wyklucza pan takiej możliwości? – dopytywałam, czując narastające podekscytowanie.

Byłam młoda, spragniona przygód, działania, robienia wielkich rzeczy, czucia się ważną. Zbyt młoda, by zdawać sobie sprawę z konsekwencji lub znać cenę tych marzeń.

– Nie.

Przez chwilę milczeliśmy, patrząc na siebie w napięciu. Walczyłam z chęcią zasypania go pytaniami, ale wreszcie doszłam do wniosku, że i tak pewnie nie mógłby mi na nie odpowiedzieć. To była partia szachów, w której kolejne posunięcie zależało od poprzedniego.

– Najpierw muszę jednak mówić po niemiecku jak Niemka, tak? – upewniłam się.

– A nawet lepiej – odpowiedział, uśmiechając się, a w kącikach jego oczu pojawiły się promienie zmarszczek.

– Tak jest! – zawołałam niemal radośnie, ale on zdążył już znów spoważnieć.

– Jak dobrze pójdzie, w pani zasięgu znajdują się dwie niższe kategorie volkslist, czerwona i zielona. Niebieska kategoria przypisana jest rzecz jasna rodowitym Niemcom, których pochodzenie i znajomość języka nie budzą najmniejszych wątpliwości. Tym, którzy mieszkali w Polsce, ale zachowywali odrębność kulturową, a najlepiej, jeśli dodatkowo byli

zaangażowani w ruch hitlerowski jeszcze przed wojną – dodał Jawor dla porządku. – Pozostali volksdeutsche dzielą się na dwie grupy...

– Zieloną i czerwoną – wtrąciłam gorliwie, co skwitował pobłażliwym uśmiechem.

– Szybko się pani uczy – pochwalił, a ja, zamiast ucieszyć się z komplementu, znów się zawstydziałam.

W pułkowniku Jaworze było coś, co sprawiało, że cały czas czułam i zachowywałam się jak dziecko, choć ze wszystkich sił starałam się mu pokazać, że jestem już dorosła.

– Zieloną otrzymują częściowo spolonizowani Niemcy – tłumaczył. – Ci, którzy posyłali dzieci do polskich szkół, pracowali w polskiej administracji czy służbach państwowych, niepewni politycznie. Czerwona lista jest przeznaczona dla Niemców całkowicie spolonizowanych, których trzeba będzie w przyszłości wysłać do Rzeszy celem zniemczenia.

– Dlaczego ja? – Poczułam, że dłużej nie wytrzymam, koniecznie muszę poznać odpowiedź na to pytanie.

– Podobno dobrze gra pani w szachy.

Takiej odpowiedzi się nie spodziewałam.

– A to oznacza, że ma pani kilka cech wysoce pożądanых przy działalności wywiadowczej, których nie sposób się nauczyć: cierpliwość, skupienie, zmysł obserwacji, zdolności analityczne, które pozwalają nie tylko zrozumieć zachowanie przeciwnika, ale i przewidzieć jego plany.

Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób, ale miał rację, cechowało mnie to wszystko.

– W dodatku, proszę mi wybaczyć bezpośredniość, jest pani bardzo ładna, a to równie ważne jak pozostałe przymioty.

Czułam, że się czerwienię.

– Dokąd mnie wyślecie? – spytałam lekko ochryplym z emocji głosem.

– Tego dowie się pani w dniu wyjazdu – odparł. – Na razie dość pani wiedzieć, że do Rzeszy, o ile oczywiście podciągnie się pani trochę z niemieckiego.

Zapewne obawiali się, bym nie wyjawiała komuś w sekrecie celu misji. Byłam młodziutką, a oni potrzebowali czasu, by ugruntować się w przekonaniu, że mogą mi zaufać.

– A moi rodzice? – spytałam, tknięta nagłą myślą. – Co mam im powiedzieć?

– Najlepiej nic.

– Jak to nic?!

– Powinna pani zniknąć.

– Mam siedemnaście lat – przypomniałam mu. – Będą mnie wszędzie szukali, zamartwiali się.

– Tak – rzucił krótko. – Naturalnie, tak właśnie będzie.

– I mówi pan o tym z takim spokojem?

Pułkownik odwrócił się w stronę okna i wyjrzał na zewnątrz.

– Trwa wojna – odezwał się po chwili milczenia. – Każdy musi coś poświęcić. Strata jest wpisana w walkę.

– Ale ja muszę im coś powiedzieć – upierałam się. – Jakoś wyjaśnić...

– Przygotuje ich pani do tego.

– Jak?

– Zachowując się inaczej niż zwykle, sprawiając, by myśleli, że wpadła pani w złe towarzystwo albo, nie wiem, zakochała się.

Spuściłam wzrok, co nie uszło jego uwadze.

– W kimś innym niż dotąd – dodał. – Proszę późno wracać do domu, znikać na całe dni. Upicie się raz czy drugi może być wcale niezłym pomysłem

– Słucham?! – Nie wierzyłam własnym uszom.

– W którym miejscu wyraziłem się niejasno? – zapytał, patrząc mi prosto w oczy. – To zadanie jak każde inne, przekonać rodziców, że dzieje się z panią coś niedobrego, a potem zostawić liścik i upozorować ucieczkę z domu.

Zabrakło mi słów. Otworzyłam szeroko oczy ze zdumienia.

– I tak, będą pani szukać, to jasne – mówił dalej pułkownik – ale w inny sposób. Nie po policji, szpitalach, obozach.

Musiałam przyznać, że dobrze to wymyślił. Mimo to wciąż nie mogłam sobie wyobrazić, że robię coś takiego moim rodzicom.

– A mój brat? – zapytałam. – On będzie wiedział, że wysłano mnie z misją i wykonuję konspiracyjne rozkazy, prawda?

– Będzie wiedział tyle, ile uznamy za konieczne.

– Przecież to mój rodzony brat i jest zaprzysiężony.

– Czy to zmniejszy niebezpieczeństwo? Czy będzie przez to bardziej odporny na bicie i szykany podczas przesłuchania na Gestapo? A może ta wiedza ściągnie jeszcze większe kłopoty na niego, panią, waszych rodziców?

Pokręciłam głową.

– Nie mogę tak po prostu zniknąć...

– Nikt do niczego pani nie zmusza. Lecz jeśli złoży pani przysięgę, będzie zobowiązana wypełniać rozkazy, jak każdy żołnierz – przypomniał mi pułkownik. W jego słowach nie było gniewu czy pretensji, tylko stwierdzenie faktu. Jeśli przyjmę zobowiązanie, nie będę mogła poddać się przy pierwszej trudności, choćby posłuszeństwo rozkazom miało złamać mi serce.

Skinęłam głową.

– Na kiedy miałabym być gotowa? – spytałam z determinacją.

– Pośpiech jest złym doradcą – uspokoił mnie Jawor. – Najpierw musi pani być pewna, że naprawdę tego chce, potem szkolenie.

Te ostatnie słowa wzbudziły we mnie nutkę ekscytacji.

– Szkolenie? – zagadnęłam, ale pułkownik tylko pokręcił głową.

– Wszystko w swoim czasie. Na razie proszę się dobrze zastanowić, ile jest pani w stanie poświęcić.

Słowa zawisły między nami jak gęsta mgła.

– Pójdę już – rzucił Jawor, a ja odetchnęłam z ulgą.

– Do widzenia – pożegnałam się uprzejmie.

– Mam nadzieję, że do zobaczenia.

Uśmiechnęłam się nieśmiało. W głowie miałam tak straszny mętlik, że jedyne, czego teraz potrzebowałam, to chwila samotności, by uporządkować to wszystko i choć spróbować się domyślić, czy naprawdę jestem tak dzielna, jak mi się wydaje.

– Jeszcze jedno – odezwał się Jawor, jakby przypomniał sobie nagle o czymś ważnym.

– Tak?

– Ten chłopak...

– Co z nim? – zapytałam, a serce zaczęło mi gwałtownie bić w piersi.

– On też nie może się o niczym dowiedzieć.

– Nie dowie się – szepnęłam, odruchowo sięgając po wiszący na łańcuszku nieśmiertelnik. – Nie wiem nawet, gdzie teraz jest.

Kolejne dni mijały, a ja nie potrafiłam podjąć ostatecznej decyzji. Pułkownik Jawor powiedział, żebym się dobrze zastanowiła, ale nie byłam pewna, co właściwie powinnam rozważyć. Paliłam się do działania. Chciałam walczyć za Polskę. Czułam tak wielki zapał, że niekiedy na samą myśl o tym, czego mogłabym dokonać, ogarniało mnie rozrzewnienie, patriotyczna żarliwość, ale potem patrzyłam na krzątającą się matkę, bladego ze zmęczenia ojca, wiecznie zabieganego Ryszarda i nie mogłam, po prostu nie potrafiłam wyobrazić sobie tego wszystkiego. Wizja, którą roztoczył przede mną pułkownik, bardziej przypominała powieść sensacyjną czy film akcji niż realne życie, a przecież ono trwało mimo okupacji i wszechobecnych flag ze swastyką.

Rodzice byli zajęci swoimi sprawami. Nasza gospodyni wypowiedziała posadę i wróciła na wieś, tłumacząc, że łatwiej tam teraz żyć. Matka miała więc na głowie cały dom. Ojciec zwykle zimą pracował za dwóch. Był to bowiem czas szalejących chorób zakaźnych i licznych złamań, najczęściej wywołanych wypadkami na śliskim bruku.

Przyglądałam się ich zabieganej codzienności i zastanawiałam, jak wyglądałoby życie rodzinne beze mnie. To wyobrażenie napawało mnie dziwnym smutkiem. Nie, chyba nie byłam gotowa na rozstanie.

Gdy tak trwałam w zawieszaniu, nie mogąc zdecydować się na krok w żadną stronę, gruchnęła wiadomość, która przypieczętowała moją

decyzję o włączeniu się do walki. W kawiarence szachowej zorganizowanej w mieszkaniu Franciszka Kwiecińskiego na trzecim piętrze kamienicy przy Marszałkowskiej Niemcy aresztowali trzydzieści osób, w tym mistrza Polski i wicemistrza świata amatorów, mojego największego idola, Dawida Przepiórkę.

– Ale jakie niebezpieczeństwo mogą dla Niemców stanowić szachiści?! – wykrzykiwałam, chodząc tam i z powrotem po pokoju.

Ryszard, który przyniósł mi te ponure wieści, wzruszył ramionami.

– Przecież gracze tego kalibru nie konspirują nad szachownicą! – dawałam upust swojemu wzburzeniu.

– Obawiam się, że to aresztowanie nie ma nic wspólnego z szachami – rzucił Ryszard.

Zatrzymałam się w pół kroku.

– Co masz na myśli?

– Pamiętasz te plakaty, na których Niemcy obiecywali dwa tysiące złotych za jakiegokolwiek informacje o jakimś Kazimierzu Kotcie? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– No jasne, były wszędzie.

– To ważny człowiek – powiedział, ale rzecz jasna nie wyjaśnił mi nic więcej. – Spróbuj sobie wyobrazić, jak szkopy musiały się wściec, gdy Kott im zwiął. Plakaty to jedno, a aresztowania drugie. Oprócz rodziny i bliskich Kotta w odwecie co i rusz aresztują członków warszawskiej inteligencji, rzekomo powiązanych ze zbiegłym. Pech chciał, że tym razem padło na szachistów.

– Przecież to głupie...

– A czego się spodziewałaś po szkopach?

– Wiadomo, gdzie ich trzymają?

Ryszard zawahał się przez chwilę, ale widocznie uznał, że nie zdradzi żadnej tajemnicy.

– W areszcie śledczym na Daniłowiczowskiej – rzekł, a po chwili, zapewne chcąc spróbować mnie pocieszyć, dodał: – Podobno humory im dopisują. Rozgrywają turnieje szachowe.

Uśmiechnęłam się niemrawo do tej wizji, ale myśl o aresztowanych szachistach nie dawała mi spokoju.

Po kilku dniach część z nich wypuszczono, ale ci, którzy mieli żydowskie korzenie, pozostali w niewoli, wśród nich Dawid Przepiórka, jego zięć Jakub Rabinowicz, Stanisław Kohn, Achilles Frydman i kilku innych.

Tej nocy, wciąż wstrząśnięta tym, co opowiedział mi brat, podjęłam decyzję. Zamierzałam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby świat wrócił na swe dawne tory.

– Przekaż Jaworowi, że się zgadzam – poprosiłam Ryszarda następnego dnia rano.

Dopiero wtedy poczułam, jak wielki ciężar nosiłam na barkach przez ostatnie dni. Teraz, gdy decyzja była już podjęta, nareszcie poczułam się wolna.

Na początku lutego złożyłam przysięgę w prywatnym mieszkaniu na Woli i zostałam żołnierzem Związku Walki Zbrojnej, który w lutym 1942 miał zostać przemianowany na Armię Krajową. Odebrał ją ode mnie Jawor i drugi mężczyzna, który musiał być kimś znacznym, bo pułkownik odnosił się doń z wyjątkowym szacunkiem.

– W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Maryi Panny, Królowej Korony Polskiej, kładę swe ręce na ten Święty Krzyż, znak Męki i Zbawienia, i przysięgam – mówiłam drżącym ze wzruszenia głosem – być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięcie na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary z mego życia. Wszelkim rozkazom będę posłuszna, a tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało.

– Przyjmuję cię w szeregi żołnierzy Wolności – rzekł Jawor. – Obowiązkiem twoim będzie walczyć z bronią w ręku o odzyskanie Ojczyzny. Zwycięstwo będzie twoją nagrodą, zdrada będzie ukarana śmiercią.

Gdy skończył, miałam łzy w oczach. Było mi lekko na duszy, jakbym właśnie dokonała czegoś wielkiego. Jawor podszedł bliżej, ujął moją dłoń i pocałował ją z szacunkiem. Poczulałam się mile polechtana tym gestem, mimo to szybko cofnęłam palce z jego uścisku.

– Żołnierza nie całuje się w rękę – powiedziałam stanowczo.

Nieznajomy mężczyzna pokiwał głową z aprobatą. Wyciągnął do mnie rękę. Moja drobna dłoń niemal ginęła w jego muskularnej ręce, gdy uścisnęliśmy sobie dłonie. Byliśmy towarzyszami broni. Mieliśmy walczyć ramię w ramię za Sprawę.

Znów czekałam. Tym razem jednak nie miałam nawet jak próbować przyspieszyć całego procesu.

Dni robiły się coraz dłuższe, a mnie coraz trudniej było znieść bezczynność. W maju znów zakwitły kasztany, a ja zdałam tajną maturę. Z matematyki miałam najwyższy możliwy do osiągnięcia wynik.

I co z tego? – myślałam z goryczą, gdy nauczyciele i rodzice gratulowali mi serdecznie tego osiągnięcia.

Wciąż nie zdołałam pogodzić się z tym, że nawet w czasie wojny kobiety nie mogą w pełni wykorzystywać swojego potencjału i są wpychane w stereotypowe role. Moja wymarzona kryptoanaliza była poza moim zasięgiem. Zamiast tego miałam wrócić do szkoły!

Mimo wszystko rozkaz był rozkazem i w czasie wolnym od codziennych spraw uczyłam się niemieckiego. Byłam konsekwentna i metodyczna, a to – o czym przekonałam się gdzieś w połowie szkoły podstawowej – prędzej czy później zawsze przynosiło rezultaty. Codziennie chodziłam teraz do biblioteki na Koszykowej, gdzie w dwóch czytelniach, dla palących i dla niepalących, zgromadzono blisko trzydzieści tysięcy niemieckich książek. Żołnierze mogli korzystać ze zbiorów za darmo, ja musiałam płacić miesięczny abonament w wysokości złotówki. Mimo wyraźnego zakazu matki potajemnie kupowałam też „Warschauer Zeitung”. Warszawa zmagiała

się z ciągłym brakiem żywności, ceny były horrendalnie wysokie, więc dwukrotnie trzeba było oglądać każdą monetę. Kupowanie wydawanego przez okupanta szmatławca było nie tylko fanaberią, ale też swojego rodzaju występkiem przeciwko dobru rodzinnemu. Mimo to go kupowałam. Wiedziałam, że jeśli miałam wyjechać do Rzeszy, powinnam być zorientowana w niemieckich sprawach, a gazety były najlepszym źródłem tej wiedzy.

Wreszcie poczułam, że więcej sama się nie nauczę, i poprosiłam ojca o lekcje niemieckiego.

– A na co ci ten szwargot? – zapytał, wybałuszając na mnie oczy. Nigdy wcześniej nie przejawiałam specjalnych zainteresowań lingwistycznych.

– Trzeba znać język wroga – stwierdziłam, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. – W niepewnych czasach lepiej chyba umieć więcej niż mniej, prawda?

Ojciec przyglądał mi się przez chwilę w zadumie, po czym skinął głową. Okazało się, że jedna z jego stałych pacjentek, pani Różycka, była emerytowaną nauczycielką niemieckiego.

– Dawno temu pracowała jako guwernantka kilku kolejnych polskich hrabianek, których bliscy robili interesy z Austrią i Prusami – poinformował mnie ojciec. – Sądzę, że z chęcią będzie cię uczyła. Brakuje jej pracy, ale zbytnio się boi, żeby się zaangażować w tajne nauczanie.

Niemcy z wielką gorliwością prowadzili w Generalnej Guberni Akcję AB, nadzwyczajną operację pacyfikacyjną wymierzoną w polską inteligencję. Intelktualiści, artyści, nauczyciele, profesorowie, wykładowcy akademicki, naukowcy byli masowo aresztowani, wysyłani do obozów i mordowani. Paradoksalnie okupanci w tym samym czasie podjęli wysiłki, by podnieść poziom bezpieczeństwa, i zaczęli polowanie na polskich bandytów wypuszczonych z więzień na mocy amnestii wrześniowej, którzy coraz śmielej sobie poczynali, korzystając z chaosu.

„Inteligencja i bandyci ścigani jednakowo” – wzdychał ojciec. „Oto nasza nowa rzeczywistość”.

Spodobał mi się pomysł skorzystania z pomocy jego pacjentki. Byłam pewna, że pani Różycka oprócz języka jest też dobrze zorientowana w kulturze niemieckiej, co miało dla mnie szczególne znaczenie. Nie pomyliłam się. Kobieta, co przyznała mi w wielkim sekrecie i z jeszcze większym zawstydzeniem dopiero po kilku tygodniach naszych lekcji, kochała wszystko, co niemieckie, zaczynając od kompozytorów, przez niemieckich malarzy doby romantyzmu, filozofów, z Schopenhauerem na czele, po poetów i prozaików. Kiedy coś ją pasjonowało, potrafiła opowiadać o tym godzinami w tak zajmujący sposób, że czas upływał mi każdorazowo zdecydowanie zbyt szybko.

Lekcje z panią Różycką odbywały się dwa razy w tygodniu, poza tym... czekałam.

Z początku sprawdzałam skrzynkę kontaktową codziennie. Jawor powiedział, że zostawi mi wiadomość przyklejoną pod ławką w kościele jezuitów. Klękałam i wsuwałam dłoń pomiędzy dwie specjalnie przygotowane listewki. Nieodmiennie napotykałam pustkę.

Matka patrzyła podejrzliwie na mój nagły entuzjazm do porannych mszy świętych, ale nic nie powiedziała. Pomyślałam nawet, że ta kolejna drobna anomalia może być preludium do przedstawienia, które przyjdzie mi odegrać, gdy nadejdzie właściwy czas.

Miałam nadzieję, że dostanę rozkazy, nim lato wybuchnie w pełni. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że miałabym spędzić ten czas w Warszawie, ale już bez Janka. Ta perspektywa połączona z oczekiwaniem okropnie mnie smuciła.

Pod koniec lipca zaglądałam do kościoła raz w tygodniu, czasem rzadziej, bez najmniejszej wiary, że coś się wydarzy. Podpytywany o moje zadanie Ryszard tylko wzruszał ramionami.

– Nic nie wiem – powtarzał. – Ty masz swojego dowódcę, ja swojego, a zasada „im mniej wiesz, tym bezpieczniej” cały czas obowiązuje.

Kiwałam więc tylko smętnie głową. Nienawidziłam tego lata równie mocno, jak kochałam minione.

W święto Matki Boskiej Zielnej kościół pękał w szwach. Jakimś cudem udało mi się wcisnąć do wyznaczonej ławki i gdy wszyscy pogrążeni byli w modlitwie, wsunęłam rękę do skrytki. Serce podskoczyło mi do gardła, gdy pod palcami poczułam papier.

– Idźcie, zaraz do was dołączę – szepnęłam do matki, która po mszy podeszła do mnie, byśmy razem, całą rodziną wrócili do domu.

Gdy miałam pewność, że nikt na mnie nie patrzy, sięgnęłam po karteczkę. Widniały na niej adres, data i godzina, nic więcej.

– Zapadła decyzja – przywitał mnie Jawor, gdy trzy dni później pojawiłam się pod wskazanym adresem, w sklepie szczotkarskim. – Pojedziesz do Rzeszy, do niemieckiej szkoły BDM...

– BDM?

– Żeński odpowiednik Hitlerjugend – wyjaśnił szybko. – Niełatwo było cię tam umieścić, ale po wielu tygodniach starań się udało. Musisz zrobić wszystko, żeby wystarać się o volkslistę. To bardzo ważne. Jutro o ósmej rano w okolicach łąchy Siekierkowskiej, przy Kolonii Dorożkarzy, wiesz, gdzie to jest?

Przytaknęłam. Janek Franek poprzedniego lata zabrał mnie tam, by – jak się wyraził – pooglądać dryndy.

– Tam odbędziesz szkolenie. Podejdzie do ciebie młody chłopak i spyta, czy możesz mu pożyczyć szachownicę, a ty odpowiesz, że nie masz jej przy sobie.

– Ciekawa jestem, kto wymyśla te hasła i odzewy – zadrwiłam.

– Przynajmniej masz pewność, że nie zapomnisz – odparł Jawor.

– Fakt. A co będzie dalej?

– Trzydziestego sierpnia masz stawić się w szkole – wyjaśnił. – Jutro dostaniesz adres, bilet na pociąg, pieniądze na drobne wydatki i niezbędne dokumenty. Reszta w twoich rękach.

– A jeśli coś pójdzie nie tak? Jeśli nie dam rady?

– Nad tym trzeba się było zastanowić wcześniej – rzekł ostrym tonem.

– Teraz musisz zrobić wszystko, by wypełnić rozkazy.

Wracając ze spotkania z Jaworem, po raz pierwszy w życiu kupiłam bimber. Musiałam czym prędzej zacząć przekonywać rodziców, że coś jest ze mną nie w porządku. Nie wiedziałam, dokąd pójść, bałam się łapanek i godziny policyjnej, więc ostatecznie zaszyłam się we własnej piwnicy. Wystarczyła połowa butelki, bym zwymiotowała pod nogi własnej matki, gdy ta zalana łzami strachu o los jedynej córki otworzyła mi drzwi w środku nocy.

Wszystko odbyło się tak, jak zapowiedział Jawor. Z tym wyjątkiem, że po wczorajszym bimbrze pękała mi głowa.

– Masz, wypij – powiedział rano Ryszard, wysuwając w moim kierunku piersiówkę.

Powąchałam, skrzywiłam się z obrzydzeniem i pokręciłam głową.

– No wypij – nalegał. – Zrobi ci się lepiej.

Powstrzymując mdłości, sięgnęłam po piersiówkę i pociągnęłam spory łyk. Byłam pewna, że zwymiotuję, ale nic takiego się nie stało. Po kilku chwilach faktycznie poczułam się nieco lepiej.

– Weź sobie na drogę butelkę kompotu – poradził mi jeszcze. – Tylko posól go odrobinę. Będzie ci się łatwiej skupić.

– Skąd wiesz, że będę potrzebowała skupienia?

– A po cóż innego by ci było całe to przedstawienie wczoraj, co? – odpowiedział Ryszard. – Dostałaś zadanie – dodał bez cienia wątpliwości.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy i nie trzeba było mówić nic więcej. Gdy wychodziłam, ojca nie było w domu, a matka na mój widok odwróciła się i bez słowa wyszła do kuchni. Zabolalo, a wiedziałam przecież, że to dopiero początek.

Siekierki, położone na uboczu głównego nurtu miasta, o tej porze roku były wyjątkowo urokliwym miejscem. Na polach dojrzewało zboże, krępe drzewka w sadach uginały się pod ciężarem owoców, na ławeczkach przed domami siedziały starsze kobiety w chustkach na głowach. Jedne łuskały groch, inne fasolę, a jeszcze inne wyplatały wiklinowe koszyki. Słońce raziło mnie niemiłosiernie. Głowa wciąż pulsowała i nadal czułam lekkie mdłości. Polecono mi, by udając spacerowniczkę, przechadzać się między domami, aż ktoś mnie zagadnie. Tymczasem chodziłam już dość długo i nic się nie działo. Czułam na sobie jedynie spojrzenia staruszek, które wyraźnie intrygowało moje zachowanie. Przystanęłam i przesłoniłam dłonią oczy, by się rozejrzeć. W tej samej chwili jak spod ziemi wyrósł przede mną chłopak.

– Biały – przedstawił się, gdy wymieniliśmy przypisane nam hasła.

Był niezbyt wysoki jak na mężczyznę, mniej więcej mojego wzrostu. Miał kasztanowe włosy, piwne oczy i kwadratowy podbródek. Amelia byłaby nim zachwycona – pomyślałam.

Biały mówił zwięźle i konkretnie, ale niewiele się nauczyłam. Zbyt mało, by poczuć się uzbrojoną, opancerzoną wiedzą. Nieliczne zasady były dość proste.

– Kłam możliwie najmniej – mówił półgłosem. – Zawsze staraj się, by twoje słowa składały się raczej z półprawd lub były delikatnie tylko wypaczoną prawdą. Dzięki temu trudniej będzie ci się pogubić w szczegółach.

Cieszyłam się, że to, co mówił, było tak nieskomplikowane i łupanie w głowie nie przeszkadzało mi aż tak.

– Każdy ma słabości. Sztuka polega na tym, by je prawidłowo zidentyfikować i umiejętnie wykorzystać.

Kiwałam głową, która coraz bardziej mi ciążyła.

– Słuchasz? – spytał nagle.

– Oczywiście – zapewniłam żarliwie, a Biały uśmiechnął się lekko, ale powstrzymał się od dalszych komentarzy.

– Ludzie lubią, gdy dzieli się ich emocje. W pierwszej kolejności zawsze spróbuj wyczuć stan, w jakim znajduje się dana osoba. – To mówiąc, puścił do mnie oko. – Płacz z płaczącymi, śmieję się, gdy inni się śmieją.

Roześmiałam się i natychmiast przestałam. Dźwięk własnego śmiechu mnie zawstydził. Poczułam się tak, jakbym zdradziła Janka.

– Coś się stało? – zapytał zaniepokojony Biały.

– Nie, nie, kontynuuj, proszę.

– Pożądanie, gniew, rozpacz i zemsta to najsilniejsze motywy kierujące ludźmi. Umiejętne nimi sterowanie może dać ci potężną władzę.

W tamtej chwili nie potrafiłam sobie tego wyobrazić, jeszcze nie. Byłam zbyt niewinna, a moja wiara w wielkie ideały i bohaterstwo wydawała się niezmierną. Wszystko, o czym mówił, było dla mnie teorią, ziemią nieznaną, przestrzenią, z którą nigdy nie miałam zbyt wiele do czynienia, choć wiedziałam, że istnieje.

– To by było na tyle – powiedział.

– Już? – zdziwiłam się. Całe moje szkolenie nie trwało dłużej niż godzinę. – A broń?

Biały zrobił rozbawioną minę.

– Jaka broń? – zapytał, gdy zrozumiał, że nie żartuję.

– Jakakolwiek, pistolet, granat...

– A po co ci granat w szkole? – Przystanął i przyjrzał mi się uważnie.

– Przydzielono cię do wywiadu. Twoją bronią będą spryt, intelekt i wygląd, rzecz jasna.

Zaczerwieniłam się, a Biały zaczął opowiadać mi o tym, jak najłatwiej odnaleźć skrytki i jak je otworzyć. Był to bodajże jedyny prawdziwie użyteczny element mojego szkolenia wywiadowczego.

Dostałam nową tożsamość i małe aparat fotograficzny, którym można było robić zdjęcia, nie przykładając go do oczu.

– Od tej pory nazywasz się Leni Köhler – wyjaśnił Biały. – Mówisz, myślisz, modlisz się i śnisz po niemiecku. Jesteś sierotą przygarniętą przez dalekich krewnych, którzy posłali cię do szkoły BDM z internatem. Twój ojciec był Ślązakiem, służył w Wehrmachcie. Zginął na froncie w pierwszych dniach wojny. Matka, pół Austriaczka, pół Polka, umarła na zapalenie płuc poprzedniej zimy. Tu masz świadectwo urodzenia, metrykę chrztu, świadectwo ślubu twoich rodziców.

Zastanawiałam się, czyje życie mi opowiada. Czy to wszystko jest zmyślane, czy może gdzieś żyła Leni, której rodzinę spotkał tak tragiczny los? Co się z nią stało? Jak polskie podziemie weszło w posiadanie jej tożsamości i dokumentów? Dlaczego wybrano właśnie ją? Czy byłyśmy do siebie podobne?

– Leni. – Biały po raz pierwszy zwrócił się do mnie moim nowym, obcym imieniem, z którym nie potrafiłam się jeszcze identyfikować. – Jeśli chcesz, mogę ci udzielić rady – ciągnął po niemiecku. Jakiś głos we mnie sprzeciwiał się temu. Nie rozumiałam, dlaczego przestał nagle zwracać się do mnie po polsku. Musiałam jednak przyznać, że posługiwał się językiem Rzeszy płynnie, bez cienia akcentu. – Bądź ostrożna. Gra, którą właśnie rozpoczynasz, jest wyjątkowo niebezpieczna.

– Nie takie partie rozgrywałam – rzuciłam butnie. – Dam sobie radę.

KALISZ

1940–1941

Podróż w nieznane wspominam jak przez mgłę. Wstrząs, który wywołała we mnie konieczność opuszczenia rodziny, wyjazdu z dnia na dzień bez słowa wyjaśnienia, wprowadził mnie w dziwny trans. Bardzo dobrze pamiętam za to pierwsze dni po przybyciu na miejsce. Moje początki w szkole Bund Deutscher Mädel okazały się trudniejsze, niż przypuszczałam. Placówka mieściła się w dawnym budynku liceum pamiętającego jeszcze czasy pruskie. Było to ogromne, ponure gmazysko. Pomieszczenia na niższych piętrach pozostały klasami, te na wyższych przerobiono na zbiorowe sale sypialne, w których nie było mowy o jakiegokolwiek prywatności. Od zawsze miałam własny pokój i konieczność nieustannego przebywania w czyimś towarzystwie okazała się trudniejsza, niż przypuszczałam. Na łóżkach obok mnie spały dwie dziewczyny. Nele była Niemką z Łodzi, którą wychowywali dziadkowie. Franziska pochodziła spod Kalisza. Matka była wprawdzie Polką, a ojciec Niemcem, ale oboje rodzice należeli do zagorzałych zwolenników Hitlera. Ostatnie łóżko w naszym pokoju zajmowała Agnes, Niemka czystej krwi, której rodzice przyjechali tu po włączeniu Warthegau do Rzeszy. Idealna Aryjka, wysoka, jasnowłosa i niebieskooka, z parszywym charakterem.

Na ścianie naszego pokoju, przy której stało moje łóżko, wymalowano starannie słowa wypowiedziane przez Rudolfa Hessa podczas zjazdu NSDAP w Norymberdze we wrześniu na pięć lat przed wybuchem

wojny: „Partia to Hitler. Ale Hitler to Niemcy, tak jak Niemcy to Hitler! Niech żyje zwycięstwo!”. Nad łóżkiem Agnes wypisano: „Ty jesteś niczym, twój naród jest wszystkim”. „Święte słowa” – powtarzała wychowawczynie, ilekroć przychodziła sprawdzić porządek i jakość ścielenia łóżek w naszej sypialni. Kiwałyśmy posłusznie głowami.

W całej szkole pełno było flag ze swastyką, z każdego rogu wзираły różnej wielkości portrety Führera, które wiosną i latem dziewczęta przystrajały kwiatami, jesienią kolorowymi liśćmi, a zimą anielskimi włosami.

W szkole BDM obowiązywało mnóstwo zasad, o których należało pamiętać. Dotyczyły niemal wszystkich dziedzin życia. Im więcej reguł poznawałam, tym większy był mój podziw dla tych, którzy je układali. Dla przykładu, ściśle uregulowana była kwestia naszego wyglądu. Włosy wolno było upinać lub układać w koronę z warkoczy w stylu Gretchen. Nie było mowy o krótkim uczesaniu czy ondulacji. Przepisowy strój stanowiły białe bluzki, spódnice do kolan i masywne półbuty. Po raz pierwszy ktoś mówił mi, jak mam się ubrać czy uczesać, więc nim nabrałam wprawy, kilka razy zostałam ukarana za dość niedbały strój czy rozpuszczone włosy.

Najgorsze było jednak to, że choć w moich papierach wszystko się zgadzało, musiałam jeszcze zdać egzamin sprawnościowy.

– Czy to konieczne? – dopytywałam dyrektorkę, która po zakwaterowaniu poinformowała mnie, że testy sprawnościowe odbędą następnego ranka.

– Oczywiście – rzekła z niezmaconym spokojem. – Brak odpowiednich predyspozycji fizycznych pozbawia szans na członkostwo w BDM.

W pierwszą noc w nowym miejscu nigdy nie potrafiłam zasnąć. Teraz dodatkowo przeszkadzało mi pochrapywanie trzech innych dziewcząt, skrzypienie ich łóżek, mamrotanie przez sen, sapanie. Zakryłam głowę poduszką. Sen z oczu spędzała mi też wizja egzaminu. Moja misja mogła się skończyć, jeszcze zanim zaczęła się na dobre. Czy moi przełożeni nie

wiedzieli o tym warunku? A może założyli, że jestem młoda i zdrowa, więc z pewnością sobie poradzę? Nie wiedzieli tylko, że sport nigdy nie był moją najmocniejszą stroną, a ze wszystkich dyscyplin najbardziej lubiłam niewymagające wysiłku fizycznego szachy.

– Dam radę – powtarzałam sobie w myślach, gdy ubrana w przepisowy strój gimnastyczny szłam na boisko.

Kazano mi przebiec sześćdziesiąt metrów w czasie krótszym niż czternaście sekund i rzucić piłką lekarską, która była tak ciężka, że po wykonaniu rzutu zachwiałam się i upadłam na trawę. Następnie dostałam mapę i bez żadnych dalszych wskazówek polecono mi pójść do wyznaczonego punktu i wrócić w dwie godziny. Wróciłam po godzinie i pięćdziesięciu siedmiu minutach.

– Pływanie zaliczysz na obozie – oznajmiła nauczycielka gimnastyki i choć wszystkie wyniki miałam w dolnej granicy normy, ostatecznie wydała mi tymczasowe zaświadczenie sprawnościowe. Zostałam warunkowo przyjęta do szkoły BDM.

Tego wieczoru przed kolacją wszystkie uczennice zgromadziły się w świetlicy. Dziesiątki par oczu śledziły każdy mój ruch, gdy wchodziłam na podium, by złożyć przysięgę. Ujęłam rąbek ogromnej flagi ze swastyką ustawionej na samym środku i powtarzałam słowa odczytywane mi przez dyrektorkę szkoły. Moje dołączenie do grona dziewcząt Hitlera przyjęto z umiarkowanym entuzjazmem. Kilka koleżanek, w tym Nele i Franziska, zaklaskało niemrawo, reszta przestępowała z nogi na nogę, gdyż były już bardzo głodne.

Idąc do stołówki, w końcu jako pełnoprawna członkini BDM, wspominałam przysięgę złożoną przed pułkownikiem Jaworem. Jak inaczej się wtedy czułam, jak bardzo byłam szczęśliwa.

Niemiecki, jak się okazało, nie był dla mnie żadną przeszkodą. Większość dziewcząt mówiła z różnymi akcentami, zdradzającymi miejsce pochodzenia. Było nawet kilka Polek, volksdeutschek, których rodzice marzyli o całkowitym zniemczeniu córek. Te radziły sobie z niemieckim zdecydowanie słabiej od reszty. Szybko zauważyłam, że

dziewczeta mówią o domach z pewnym dystansem, jakby ojciec i matka byli tylko figurami w ich życiu, a nie najbliższą rodziną.

Mnie najbardziej doskwierała nie tyle zmiana miejsca czy konieczność nieustannego przebywania z innymi uczennicami, ale właśnie brak bliskich. Moja tęsknota była jednak różna od tej ich. One zadawały sobie głównie pytanie, co na to czy tamto powiedzą rodzice. Chciały, żeby byli z nich dumni, chciały im udowodnić, że są dorosłe, że dobrze wypełniają swoje obowiązki, jakby i w rodzinie brały udział w jakichś zawodach.

Ja tęskniłam za domem. Za przytuleniem matki, spokojną obecnością ojca, za przekomarzankami z bratem, wspólnymi posiłkami i rozmowami przy herbacie. W tamtych pierwszych dniach, gdy inne dziewczeta już spały, często płakałam w poduszkę. Nie mogłam znieść myśli o przykrości, jaką wyrządziłam ojcu i matce, znikając tak nagle. Jedynym moim pocieszeniem była nadzieja, że Ryszard wszystko zrozumie. Sam wprowadził mnie do organizacji, musiał się domyślić, że dostałam rozkazy i misję, której celu nie mogłam ujawnić nawet najbliższemu. Miałam nadzieję, że gdy będą mnie szukać, Jawor dyskretnie potwierdzi jego przypuszczenia. Nie musiał przecież znać treści mojego zadania. Liczyłam, że mój brat, niczego nie zdradzając, by nie narażać rodziców, zdoła ich uspokoić. Nie miałam pojęcia, jak miałby tego dokonać, ale wierzyłam, że znajdzie sposób i zapewni, że nie zrobiłam nic złego i nigdy, przenigdy, nie przestałam ich kochać. Wciąż wracał do mnie obraz ostatniego poranka, gdy przed świtem, z przewieszoną przez ramię szkolną torbę, w której miałam najpotrzebniejsze rzeczy, szłam korytarzem ku wyjściu. Wciąż doskonale pamiętałam moment, gdy zatrzymałam się pod drzwiami sypialni rodziców. Chciałam lekko je uchylić, choć przez szparę zajrzeć do środka, pożegnać ich przynajmniej spojrzeniem. Odsunęłam jednak tę pokusę i wybiegłam z domu.

Co noc powtarzałam sobie, że skontaktuję się z nimi, gdy tylko będę mogła, i zasypiałam na mokrej od łez poduszce.

Nasze życie w szkole BDM, pełne reguł, podporządkowane było ścisłemu harmonogramowi.

Lekcje odbywały się od poniedziałku do soboty. Zaczynałyśmy punktualnie o ósmej, a kończyłyśmy o trzynastej. Przerwy były zaledwie pięciominutowe, a spóźnienia surowo karane. Dłuższą pauzę miałyśmy po godzinie dziesiątej, ale i ona nie była przeznaczona na swobodną zabawę czy rozmowy, ale na ćwiczenia fizyczne oraz krótki apel.

Naukę ograniczono do minimum. Niemiecki miałyśmy zaledwie raz w tygodniu, historię i geografię dwa razy, tak samo śpiew, na którym uczyłyśmy się wszystkich zwrotek *Deutschland, Deutschland über alles* czy *Horst Wessel Lied*. Matematyka była wpisana w plan codziennie, ale połączono ją w jeden blok tematyczny z gospodarstwem domowym, więc zwykle na naukę przedmiotu nie zostawało więcej jak kilka minut. Zadania dotyczyły głównie prowadzenia rachunków domowych, wymagano umiejętności dodawania, odejmowania, mnożenia i dzielenia. Gotowa byłam się założyć, że o całkach czy logarytmach żadna z dziewcząt nigdy nie słyszała, choć zbliżały się do dorosłości. Po prawdzie nie byłam nawet pewna, czy słyszała o nich nauczycielka matematyki, bo zdarzało jej się popełniać błędy i w prostych obliczeniach. Miałyśmy też zajęcia z rasoznawstwa, ideologii, gdzie wkuwałyśmy kalendarz świąt nazistowskich i żywoty męczenników NSDAP, lekcje zdrowia i eugeniki. Nauczycielki tych przedmiotów chwaliły mnie za uważne słuchanie i skupienie. W rzeczywistości siedziałam w klasie jak zaklęta i chłonełam to wszystko z bezbrzeżnym zdumieniem i dziwnym poczuciem, że to nie może dziać się naprawdę.

Niewątpliwie najważniejszym przedmiotem było prowadzenie gospodarstwa domowego, a w jego ramach podstawą było prawidłowe ścielenie łóżek.

Nigdy nie zadawano nam prac domowych. Nie musiałyśmy też zwykle przygotowywać się do lekcji. Wiadomości do przyswojenia było tak mało, że słuchanie podczas zajęć w zupełności wystarczyło, by wszystko zapamiętać.

Popołudnia wypełniały nam zajęcia sportowe. Po kolacji zwykle miałyśmy czas wolny, ale kilka razy w tygodniu wieczorami odbywały się dodatkowe lekcje, głównie dotyczące seksualności.

– Kobieta ma być zdrowa i kusząca. Jej wygląd ma stanowić zachętę do prokreacji – mówiła nauczycielka całkowicie wyzutym z emocji głosem. – Wysportowane ciało ma być dowodem germańskiej siły. Jak powiedział nasz Wódz... – Zawiesiła teatralnie głos.

W klasie rozległo się szuranie krzesel. Dziewczęta zerwały się, wyrzuciły w przód prawe ramię w rzymskim pozdrowieniu.

– *Heil Hitler!*

Po chwili znów wszystkie siedziały na miejscach, a nauczycielka kontynuowała równie beznamiętnie jak przedtem.

– ..., „Z żony i rodzicielki jest dla Niemiec większa pociecha niż z absolwentki uniwersytetu”. Goebbels wyraził to słowami: „Zadaniem kobiety jest być piękną i wydawać dzieci na świat”.

Dziewczęta pokiwały entuzjastycznie głowami. Któraś zachichotała. Słuchałam tego wszystkiego w osłupieniu. Nie mogłam zrozumieć, jak nauczyciel może mówić coś takiego. Brak wykształcenia odcinał kobiecie drogę do jakiegokolwiek lepiej płatnej pracy, a to z kolei czyniło ją zależną finansowo, zmuszało do pełnego posłuszeństwa i poddania się woli mężczyzn. W białych rękawiczkach pozbawiano je wolności, a one kiwały radośnie głowami i żartowały. Wychowane przez fanatycznych rodziców, a potem kształtowane konsekwentnie od dziesiątego roku życia w Jungmädelbund, nie czuły nawet, że coś im się odbiera. Nie znały innego życia. Były szczęśliwe w tych kajdanach i to chyba przerażało mnie najbardziej. Jakby uśmiechały się, śniąc piękny sen, ale nie chciały się obudzić i spojrzeć, co tak naprawdę jest z nimi robione. Z trudem powstrzymałam się przed wstaniem i wykrzyknięciem sprzeciwu.

Ku własnemu zdumieniu szybko odkryłam, że po kilku pierwszych tygodniach wysiłek fizyczny zaczął mi sprawiać ogromną przyjemność.

Wreszcie zaczęłam nawet prosić o pozwolenie na dodatkowy czas na bieżni czy sali gimnastycznej. Wychowawczynie kiwały z zadowoleniem głowami, a dyrektorka powiedziała podobno, że czasem z brzydkiego kaczęcia wyrasta piękny łabędź i że ona od początku przeczuwała, że coś ze mnie będzie.

Sport pozwalał mi zapomnieć. O domu, o Janku, o wszystkim, co znane i kochane, o przerażeniu, jakie budziła we mnie ta upiorna szkoła, o czekających mnie zadaniach, na które nie czułam się gotowa, o niebezpieczeństwie, z którego dopiero teraz zaczęłam powoli zdawać sobie sprawę. Byłam gotowa na śmierć za Ojczyznę, ale życie w wiecznej niewoli wydawało mi się teraz o wiele gorsze.

Musiałam przyznać, że po pierwszych trudnościach dni mijały mi coraz szybciej. Nie czekałam na nic. Wiedziałam, że dopóki nie znajdę sposobu na wpisanie się na volkslistę, nie mam co liczyć na inne zadania. Wpadłam w szkolny rytm i sama nie wiedziałam kiedy upłynęły mi miesiące od Bożego Narodzenia do początku kolejnego lata. Drugiego lata, które miałam spędzić bez Janka. Nie mogłam uwierzyć, że czas tak prędko mijał.

Tuż przed wakacjami, które wszystkie dziewczęta miały spędzić razem na obozie na wsi, wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Pewnego późnowiosennego ranka do naszej klasy, w której uczyły się najstarsze dziewczęta, wpadła rozemocjonowana dyrektorka.

– Niezapowiedziana wizytacja! – zapiszczała, załamując ręce. – Wysoka komisja z samego ministerstwa.

Zdążyłyśmy przygładzić włosy, poprawić krawaty i wyprostować się na krzesłach, gdy w progu stanął niski, brzuchaty mężczyzna w okrągłych okularach i z założonymi na plecach rękoma. Za nim wślizgnęło się jeszcze trzech innych, wyższych wprawdzie od tego, który wszedł pierwszy, ale z jakiegoś powodu wydawali się od niego mniejsi. Wszyscy ubrani byli w mundury SA. Mężczyźni usiedli na katedrze, na wystawionych dla nich krzesłach. Rozpoczęła się lekcja matematyki. Nauczycielka napisała na tablicy zadanie. Moja ręka wystrzeliła w górę, nim kobieta zdążyła odłożyć kredę.

– Leni? – udzieliła mi głosu.

Podalam prawidłową odpowiedź, a potem równie szybko rozwiązałam cztery kolejne równania. Pękaty mężczyzna wydał z siebie pomruk aprobaty. Pozostałe dziewczęta wbiły we mnie spojrzenia. Wzrok Agnes płonął ogniem nienawiści.

Zadźwięczał dzwonek. Nie ruszyliśmy się z miejsc. Jedynie nauczycielka zeszła z katedry, pożegnała się i wymieniła się w drzwiach z frau Barkhofen, która uczyła nas języka niemieckiego.

Tego dnia miałyśmy omawiać tragedię *Philotas* Gottholda Ephraima Lessinga.

– Która z was przypomni nam, kim był Lessing?

W klasie zapadła straszliwa cisza. Nie byłam pewna, czy to obecność wizytatorów oniesmieliła dziewczęta, czy może wiedza z nerwów całkiem wyparowała im z głów, ale żadna nie garnęła się do odpowiedzi. Wiedziałam, że Agnes się nie zgłosi, ponieważ na każdym kroku podkreślała, że czytanie książek ogłupia. Gorączkowo usiłowałam przypomnieć sobie wszystko, co wiem o Lessingu. Nagle wróciło wspomnienie pani Różyckiej, która w uniesieniu opowiadała mi o tym, jak zreformował teatr niemiecki w dobie Oświecenia. Zanim zdążyłam się rozmyślić, podniosłam rękę. Nauczycielka udzieliła mi głosu skinieniem głowy. Gotowa byłam przysiąc, że na jej twarzy odmalowała się bezbrzeżna ulga. Frau Barkhofen zadawała pytania, a ja odpowiadałam na nie wyczerpująco i z widocznym zaangażowaniem. Na koniec wyrecytowałam fragment *Philotasa*. Łzy szczęścia załśniły w oczach dyrektorki, która przez cały ten czas siedziała na końcu sali i bacznie wszystko obserwowała.

– Wiedziałam, wiedziałam – szeptała wzruszona, gdy wizytatorzy opuścili naszą szkołę, zapewniając, że napiszą pozytywne rekomendacje. Trzymała mnie za ramiona i raz po raz potrząsała mną lekko. – Jesteś łabędziem. Ocaliłaś honor naszej szkoły.

– Pewnie dostaniesz jakieś odznaczenie – rozmarzyła się Nele, gdy tego wieczoru leżałyśmy już w łóżkach.

– I nagrodę – dodała Franziska.

– Idźcie spać – bąknęła Agnes, odwracając się twarzą do ściany.

Dwa tygodnie później okazało się, że czeka mnie coś o wiele lepszego od wszystkich nagród czy odznaczeń. Dyrektorka użyła swoich kontaktów i zadbała, by jej najzdolniejszą uczennicę, bez udowodnionego pochodzenia i odpowiedniego stopnia zniemczenia sprzed wojny, wpisano na niebieską volkslistę.

Podczas apelu na zakończenie roku szkolnego, gdy odbierałam świadectwo z wyróżnieniem, w nagrodę otrzymałam dyplom oraz eleganckie wydanie *Mein Kampf* z osobistym podpisem Adolfa Hitlera.

Od pierwszych chwil pobytu na obozie nie mogłam pozbyć się wspomnień o tych spośród moich koleżanek, które należały przed wojną do harcerstwa. Ich opowieści, których nie szczędziły nam w pierwszych tygodniach września, wracały teraz do mnie jak fala wciąż na nowo obmywająca brzeg. Nie mogłam zrozumieć, jak dwa tak odległe światy mogą być jednocześnie tak uderzająco podobne.

Wszystko to było dla mnie całkiem nowe, a przez to zachwycające. Nigdy wcześniej nie byłam na obozie. Każde wakacje spędzałam z rodzicami na letnisku nad morzem czy w górach albo na podróżach zagranicznych, gdy ojciec miał wystąpienie na jakiejś konferencji medycznej lub przeprowadzał pokazowe operacje. Dałam się porwać przygodzie.

Całe dni spędzałyśmy zanurzone w soczystej zieleni. Promienie słońca przeciskały się pomiędzy gęstym listowiem, chmury płynęły leniwie po niebie, tatarak szeleścił kojąco.

Nasz czas był rzecz jasna starannie zaplanowany. Odbywałyśmy musztry i ćwiczenia gimnastyczne, chadzałyśmy na wielogodzinne piesze wędrówki, wycieczki rowerowe, kąpałyśmy się w jeziorze, przygotowywałyśmy posiłki, robiłyśmy porządki oraz, co najistotniejsze, wykonywałyśmy zadania dla partii – darłyśmy bandaż, szyłyśmy koszule dla żołnierzy, szydełkowałyśmy skarpety, obrębiałyśmy chusteczki do nosa.

– Niedługo będziemy mogli przejść do Glaube und Schönheit – westchnęła tęsknie Nele.

W myślach musiałam przyznać, że twórcy hitlerowskich organizacji młodzieżowych mieli niezwykły talent do nadawania nazw. Kiedy wymawiało się słowa „Wiara i piękno”, niemal słyszało się szelest skrzydeł wrózek sfruwających do kwiatowego kielicha.

Dużo ćwiczyłyśmy, ubrane w krótkie czarne spodenki i wsunięte za gumkę białe podkoszulki bez rękawków ze znaczkiem BDM na piersi. Obcisłe ubranie szczelnie opinało każdy fragment mojego ciała, co z początku, szczególnie gdy tuż obok naszego ośrodka obóz rozbili chłopcy z Hitlerjugend, przysparzało mi niemałych trudności. Czułam się naga. Zdawało mi się, że wszyscy patrzą na krągłości moich piersi, na odznaczający się wzgórek łonowy, na jędrne pośladki. Codzienne ćwiczenia były dla mnie nie tylko treningiem ciała, ale i przełamywania wstydu.

Najtrudniej było wówczas, gdy w okolicy pojawiał się jakiś mężczyzna lub gdy musiałyśmy ćwiczyć obok chłopców. Świdrowali nas wzrokiem, a powietrze gęstniało od napięcia. Nie mogłam pojąć, jak radziły sobie z tym inne dziewczęta. Większość zdawała się całkiem nieskrępowana, a były i takie, które – jak mi się zdawało – jeszcze mocniej ściągały łopatki lub wykonując skłony, specjalnie skręcały lekko ciała, by pokazać chłopcom z Hitlerjugend zarys pośladków. Było w tym coś nienaturalnego, a ten brak autentyczności wywoływał we mnie silne skojarzenie z czymś, czego początkowo nie potrafiłam zidentyfikować.

Codziennie odbywały się pomniejsze zawody i turnieje. Lubiłyśmy ze sobą rywalizować. Śmiałyśmy się, okrzykami zachęcając do większego wysiłku. Mnie także udzielała się ta euforia zbiorowości, choć przecież wiedziałam dobrze, co kryje się pod spodem.

– A to co? – Agnes wskazała na nieśmiertelnik, który podczas ćwiczeń wysunął mi się spod koszulki.

W szkole obowiązywał całkowity zakaz noszenia ozdób. Nie miałam pewności, czy i tu obowiązuje, więc pozwoliłam sobie na noszenie

pamiętki po Janku. Coraz częściej nie mogłam sobie przypomnieć jego twarzy, a ilekroć się na tym przyłapywałam, ogarniał mnie straszliwy smutek. Gdy miałam przy sobie nieśmiertelnik, było mi raźniej, jakby cząstka narzeczonego była przy mnie. Tysiące razy otwierałam go i wpatrywałam się w litery BCK, usiłując przywołać w pamięci brzmienie jego głosu.

– Nic takiego – zapewniłam i szybko wsunęłam go z powrotem.

– Pokaż, pokaż – nie ustępowała tamta, przyglądając mi się czujnie. – Chyba że to jakaś tajemnica?

Wiedziałam, że nie da mi spokoju. Wyjęłam nieśmiertelnik i pokazałam dziewczętom.

– To pamiętka rodzinna – powiedziałam.

– To nieśmiertelnik – stwierdziła Nele.

Skinęłam głową.

– Starego typu – dodała po dalszych oględzinach. – Austriacki, prawda?

– Tak – potwierdziłam.

– Przodkowie naszego Führera też takie nosili – rzekła ze wzruszeniem Franziska.

Dziewczęta zamilkły, z nabożnym szacunkiem wpatrując się w mój nieśmiertelnik. Odetchnęłam z ulgą. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

– Chyba powinnyśmy wrócić do ćwiczeń – stwierdziła ostro Agnes, wyraźnie niezadowolona z takiego obrotu spraw, i wbiegła na podwyższenie.

Wsunęłam wisiorek pod koszulkę i natychmiast poczułam ciepło na sercu. Sięgnęłam po patyk. „BCK” – napisałam na piasku.

– Gdzie jesteś, Janku? – szepnęłam cichutko, zamazując litery.

Pewnej lipcowej soboty zaraz po śniadaniu zaplanowano dla nas długą wędrowkę wśród okolicznych pól. Spakowałyśmy kanapki, a także wodę w dużych blaszanych baniakach, które dźwigałyśmy na zmianę. Ustawiliśmy się w dwóch równych kolumnach i ruszyłyśmy. Dzień był pogodny, acz nie nazbyt gorący. Pogoda zachęcała do spacerów.

– *Sei wahr! Sei klar! Sei deutsch!* – skandowałam wraz z innymi, maszerując wzdłuż drogi. – Bądź prawdziwa! Bądź przejrzysta! Bądź niemiecka!

Ciągle wykrzykiwałyśmy jakieś hasła albo śpiewałyśmy, jakby cisza była czymś niepożądanym. Może nasze wychowawczynie bały się, że mogłybyśmy w niej usłyszeć nasze własne myśli, a z wolnego myślenia mógłby zrodzić się bunt. My zaś miałyśmy być posłuszne i oddane bez reszty wierze w Hitlera.

Nagle jedna z dziewcząt idąca tuż przede mną się zatoczyła.

– Marie, uważaj! – ryknęła zamykająca pochód gruppenleiterin.

Rytm kroków całej kolumny został już jednak zburzony, dziewczęta powpadały na siebie i na chwilę zapanował chaos. Nikt nie zwrócił uwagi na to, że winowajczyni całego zajścia upadła na pobocze i zwinęła się w kłębek.

– Marie? – Podbiegłam do niej i przyklękłam obok.

Była blada, a na jej czole perlily się krople potu. Zaciskała oczy, jej twarz była wykrzywiona cierpieniem.

– Marie, co ci jest? – spytałam ponownie, przykładając jej dłoń do czoła. Była mocno ciepła, ale nie rozpalona.

W odpowiedzi usłyszałam tylko jęk.

– Ruszamy! – padła komenda.

– Coś się stało Marie! – odkrzyknęłam, przywołując gruppenleiterin.

Dziewczęta zbiły się w stadko wokół nas.

– Pewnie się przeżarła – zakpiła Agnes, Marie należała bowiem do nieco pulchniejszych dziewcząt.

– Daj spokój, Agnes – ofuknęła ją Nele. – Nie widzisz, że ją boli?

– Dziewczęta Führera są dzielne i wytrwałe – rzuciła Agnes i przeciągnęła się tak, by przez chwilę wszyscy mogli podziwiać jej idealnie płaski brzuch. – Odrobina bólu tylko je wzmacnia.

Ostrożnie, by nikt nie dostrzegł w tym fachowych ruchów, dotknęłam klatki Marie. Serce łomotało jej o wiele zbyt prędko. Trzymała się mocno za brzuch.

– Marie, gdzie cię boli? – spytałam.

Pokazała dół brzucha po prawej stronie.

– Długo to trwa? – dopytywałam, coraz bardziej zaniepokojona diagnozą, która mi się nasuwała.

– Od kilku dni – wysapała, krzywiąc się z bólu. – Modliłam się do Führera, składałam cierpienie mojego ciała w ofierze za zwycięstwo...

Poczułam pod powiekami łyzy wściekłości. Marie była zakochana w Hitlerze. Jej rodzina, przedtem żyjąca w skrajnej nędzy, zawdzięczała mu wszystko, uważała go za zbawcę Niemiec. Marie co wieczór modliła się do Hitlera, a przed snem całowała jego fotografię, którą potem wsuwała pod poduszkę. Ugryzłam wewnątrz policzka, żeby zapanować

nad rozpaczą zmieszaną z gniewem. Gdyby poskarżyła się wcześniej, być może lekarz obozowy postawiłby diagnozę w odpowiednim czasie.

– Kiedy ból stał się mocniejszy?

– Dzisiaj rano – wymamrotała i znów skuliła się mocniej. – Byłam u wychowawczynie, lecz... – Skurcz przeszył ją tak silnie, że nie dała rady mówić dalej, ale ja bez trudu domyśliłam się ciągu dalszego. Zapewne została zbesztana za to, że próbuje wymigać się od całodzienniej wędrówki. Przykazano jej pewnie wziąć się w garść, bo przeciwności należy pokonywać, a nie poddawać się im.

– Musimy wracać do ośrodka – odezwała się gruppenleiterin, która wszystkiemu się przysłuchiwała. – Powinien ją obejrzeć lekarz.

– Ona nie da rady iść – odezwałam się ostrożnie.

– Da radę – stwierdziła twardo tamta. – Niemieckie kobiety są o wiele silniejsze, niż się wydają.

– To może być wyrostek robaczkowy – podpowiedziałam, choć strach, że zostanę ukarana, ścisnął mnie w żołądku. – Pilnie potrzebuje pomocy chirurga. Powinna jak najszybciej znaleźć się w szpitalu.

Opiekunka rzuciła mi zdziwione spojrzenie, ale po chwili, która wydawała mi się wiecznością, skinęła głową, a potem zaczęła robić to, co potrafiła najlepiej: wydawać rozkazy.

– Agnes i Franziska, biegnijcie do wsi najszybciej, jak potraficie – poleciła ostro. – Powiedzcie, że pilnie potrzebujemy transportu dla chorej dziewczyny. Niech ktoś przyjedzie tu wozem. Zapłacimy.

Nie trzeba było im dwa razy powtarzać. Widziałam, jak oczy moich koleżanek błyszczą z ekscytacji. Takie niezwykle zdarzenia, nawet jeśli wiązały się z niebezpieczeństwem, były odstępstwem od rutyny i jako takie budziły trudny do ukrycia entuzjazm.

Dwie kolejne dziewczyny zostały posłane do strumienia po zimną wodę na okłady. Reszta szeptała nam nad głowami jak stado trzepoczących skrzydłami gołębi.

Marie zwymiotowała i straciła przytomność. Trzy kwadranse później podjechał samochód. Zamachałyśmy, żeby go zatrzymać, ale było to zbędne. We wnętrzu siedziały nasze koleżanki.

– Oto, jakie miałyśmy szczęście! – wykrzyknęła Agnes, wyskakując z wozu.

Za kierownicą siedział żołnierz Wehrmachtu. Wziął Marie na ręce – jęczała przy każdym ruchu – i obiecał zawieźć ją do najbliższego szpitala. Zastanawiałam się, dlaczego nasza opiekunka nie pojechała z nią. Powierzyła kilkunastoletnią chorą opiece całkiem obcego człowieka, a sama zajęła się przywracaniem porządku wśród pozostałych dziewcząt.

Choć wracałyśmy do ośrodka w ponurych nastrojach, gruppenleiterin zarządziła śpiewanie. Miałyśmy nie myśleć, nie rozpaczać, nie martwić się o koleżankę, lecz skupić się na wychwalaniu III Rzeszy.

Późnym popołudniem poprosiłyśmy wychowawczynię, by zadzwoniła do szpitala – w okolicy był tylko jeden – dowiedzieć się o stan zdrowia Marie. Z początku nie chciała nawet o tym słyszeć.

– Jest w dobrych rękach – tłumaczyła. – Nie powinnyście przeszkadzać lekarzom w pracy. To nieodpowiedzialne.

Namawiałyśmy ją jednak tak długo, aż w końcu uległa.

Gdy wyszła z gabinetu, miała surowy wyraz twarzy.

– Marie nie żyje – oświadczyła sucho. – Appendix. Zmarła kilkanaście minut po przybyciu do szpitala. Jej rodzina została już zawiadomiona. A teraz proszę rozejść się do swoich zajęć. Dość czasu już dziś zmarnowałyście.

Otepiała wieścią o tej bezsensownej śmierci, wyszłam na zewnątrz. Nie zmieniawszy stroju na gimnastyczny, za co w regulaminie przewidziane były konsekwencje, poszłam na bieżnię i zaczęłam biec. Gdy straciłam siły, opadłam na kolana i zaniósłam się rozpaczliwym płaczem.

– Znosiła cierpienie dla Führera. Nie chciała okazać słabości – mówiła dyrektorka kilka godzin później na popołudniowym apelu. – Umarła jak żołnierz na posterunku, w mundurze. *Sieg heil!*

Kilka dziewcząt uroniło łzę, ale większość stała dumnie wyprostowana.

Tego wieczoru rozpaliliśmy wielkie ognisko. Leżałyśmy na rozłożonych na trawie kocach, wpatrywałyśmy się w iskry unoszące się ku niebu gęsto usianemu gwiazdami i śpiewałyśmy smutne piosenki o umieraniu dla Hitlera.

Następnego dnia życie potoczyło się swoim dawnym biegiem, jakby śmierć Marie nigdy się nie wydarzyła. Dziewczęta śmiały się, rozmawiały, oddychały zatrutym powietrzem ideologii nazistowskiej i czuły się szczęśliwe.

Tego sierpniowego ranka poprosiłam o zgodę na wieczorne bieganie. Po kolacji nie wolno nam było opuszczać zajęć wspólnych. Treningi na bieżni były jednak jedynym zajęciem, które pozwalało mi nie popaść w rozpacz. Nie potrafiłam poradzić sobie ze śmiercią Marie. Cały czas powtarzałam sobie, że nic więcej nie mogłam zrobić, że przecież starałam się pomóc, ale wyrzuty sumienia i poczucie winy nie chciały mnie opuścić. Może gdybym się sprzeciwiła, porozmawiała z Marie o tym, że Hitler nie jest Bogiem, zrobiła cokolwiek, żeby wydrzeć ją z diabelskich sidła nazizmu, wciąż by żyła. Wiedziałam, że to błędne koło, ale byłam bezsilna wobec czarnych myśli kłębiących się w mojej głowie. Dlatego musiałam biegać. Lato było gorące, a wysokie temperatury pozbawiały mnie sił, zanim zdążyłam choć trochę rozproszyć mrok. Wolałam biegać po zachodzie słońca, gdy nieco się ochładzało, a większość dziewcząt, zmęczona po całym dniu wysiłku fizycznego, odpoczywała, siedziała przy ognisku lub uczestniczyła w pogadankach ideologicznych.

Otrzymałam zgodę. Miałam wrócić najpóźniej po zachodzie słońca, zanim zrobi się całkiem ciemno. Gdy zostałam sama, odetchnęłam z ulgą. Źle znosiłam towarzystwo innych. Nawet obecność Nele i Franziski była dla mnie nieprzyjemna. Nie mogłam zrozumieć, jak mogły tak po prostu zapomnieć, przejść do porządku dziennego nad śmiercią jednej z nich. Miałam do nich żal, ale było coś jeszcze, jakby

odraza. Wstręt do tego, czym się stały, co zrobiła z nich ideologia, do tego, kim były pod fasadą atletycznych ciał, gładkich buź, idealnie wyprasowanych koszul i perfekcyjnych fryzur.

Biegłam. Dzień dogasał, a głosy w mojej głowie powoli milkły.

Gdy w końcu poczułam się zmęczona, słońce schowało się za horyzontem. Świat pogrążał się powoli w szarości letniego zmierzchu. Gdzieś w oddali rozszczękały się psy. Kończył się kolejny dzień obozu. Miałam nadzieję, że po powrocie doczekam się wreszcie jakiegoś rozkazu, który pozwoli mi zostawić to wszystko za sobą. Osiągnęłam wszystko, czego chcieli moi dowódcy: zdałam rok w niemieckiej szkole z wyróżnieniem, zyskałam wpis na niebieską volkslistę, a nawet książkę z autografem Hitlera. Byłam gotowa, by pójść dalej.

Oddychając ciężko, otarłam twarz ręcznikiem, a potem przerzuciłam go sobie przez kark i ruszyłam do ośrodka. By nie narażać się na karę za spóźnienie, poszłam na skróty przez wysokie trawy. Policzki mi płonęły, oddech nie chciał się uspokoić, a w nogach czułam nienaturalną słabość, zaczęłam nawet się obawiać, czy starczy mi sił, by wrócić, mimo to byłam zadowolona. Morderczy trening zawsze przynosił mi ulgę i co ważniejsze, zapewniał mocny sen bez dręczących wizji czy marzeń. Kładłam głowę na poduszkę i zapadałam się w ciemność.

Nagle usłyszałam jakiś dziwny odgłos. Zatrzymałam się i czujnie rozejrzałam z obawy przed zwierzyną. Odgłos dochodził z zagajnika mieszczącego się na środku polany. W krzakach coś się poruszało. Chciałam się cofnąć i ostrożnie oddalić, ale młodzieńcza ciekawość zwyciężyła. Słyszałam, że w tej okolicy można było spotkać sarny, jelenie, a nawet łosie. To nie są drapieżniki – uspokajałam samą siebie w myślach – nie zrobią mi krzywdy. Tylko zerknę.

Najciszej, jak umiałam, podeszłam bliżej. Moje uszy znów wyłowiły ten sam dźwięk. Teraz jednak nie miałam już żadnych wątpliwości. To nie było zwierzę. Po wrześniu spędzonym w walczącej Warszawie wszędzie rozpoznałabym ten odgłos. Nie miałam cienia wątpliwości, że słyszę ludzkie pojękiwanie. Przed oczami stanął mi obraz zwijającej się

z bólu Marie. Serce załomotało mi w piersi. Pełna złych przeczuć zrobiłam jeszcze kilka kroków i zza zasłony rozłożystego krzewu malin wyjrzałam na polankę zagajnika.

Wtedy ich zobaczyłam. Stojący do mnie tyłem mężczyzna z opuszczonymi do kostek spodniami przyciskał do drzewa dziewczynę, której w pierwszej chwili nie rozpoznałam. Jego nagie pośladki w półmroku wydawały mi się dziwnie lśniące. Dziewczyna jęczała, a ja nie byłam pewna, czy z bólu, czy z rozkoszy. Nigdy wcześniej nie widziałam ludzi uprawiających miłość. To, na co patrzyłam, wywołało we mnie wstrząs, a jednocześnie dziwną fascynację. Coś podpowiadało mi, że nie powinnam na to patrzeć, ale musiałam mieć pewność, że nie dzieje się jej żadna krzywda, że nie potrzebuje pomocy. Nagle mężczyzna pchnął mocniej, po czym się z niej wysunął.

– Jeszcze – usłyszałam ciche błaganie i dziewczyna obróciła się w jego stronę.

To była Agnes. Mężczyzna chwycił ją mocno za pośladki i uniósł w górę. Oplotła go nogami w pasie, a on przycisnął ją plecami do drzewa i zaczął ponownie poruszać biodrami. Jęknęła, gdy znów przyspieszył. Wplotła palce w jego włosy i nienaturalnie wygięta przylgnęła do niego, opierając podbródek na muskularnym ramieniu. Wyszepiała coś, czego nie mogłam usłyszeć, a potem niespodziewanie podniosła wzrok i spojrzała wprost na mnie.

Miałam wrażenie, że przez chwilę ujrzałam na jej twarzy niepokój, a może nawet wstyd, ale mogło mi się tylko wydawać. Wokół było niemal ciemno. Popatrzyliśmy sobie w oczy. W tym momencie mężczyzna odsunął ją od siebie ręką i znów przyciskając do drzewa, zaczął miętosić jej pierś. Nie było w tym żadnej czułości, tylko jakaś dzikość. Spojrzenie Agnes było czujne, skupione na mnie, jakby to, co mężczyzna robi z jej ciałem, zupełnie jej nie obchodziło. Po chwili młodzieniec wydał z siebie krótki, ochryply okrzyk i rozluźnił uścisk. Agnes przywarła do niego. Opuściła powieki. Odwróciłam się i najszybciej, jak mogłam, pobiegłam przed siebie.

Dwa kwadranse później skończyłam brać prysznic. Z natrysków płynęła jedynie lodowata woda, która miała nas zahartować. Wytarłam się do sucha i mimo letniej pory, dygocząc z zimna, owinełam się ręcznikiem.

– Podglądałaś. – Nie wiedzieć kiedy Agnes znalazła się przy mnie. Pchnęła mnie na ścianę.

Uderzyłam plecami o zimne kafelki. Zadygotałam.

– Nieładnie tak podglądać – syknęła, podchodząc do mnie.

– Wracalam z bieżni – powiedziałam, starając się zapanować nad drżeniem głosu.

– Przez zagajnik? – spytała kpiąco. – Słuchaj, jeśli chciałaś sobie popatrzeć, trzeba było powiedzieć, zamiast czaić się w krzakach.

Mimowolnie splonęłam rumieńcem.

– Nie wiedziałam, że na obozie Hitlerjugend masz narzeczonego – powiedziałam wreszcie.

– Bo nie mam. – Agnes wzruszyła ramionami.

– Nie rozumiem...

Przewróciła oczami, cofnęła się, podskoczyła lekko i usiadła na parapecie.

– Jest dwudziesty wiek. Kobiety nie potrzebują świętych więzów małżeńskich, by dać upust potrzebom ciała.

– Wiesz chociaż, jak ma na imię ten chłopak? – spytałam, tak zszokowana tym, co usłyszałam, że zapomniałam nawet o zimnie i wodzie kapiącej mi z włosów na plecy.

– Heinrich... – odparła z wahaniem. – Chyba. Ale wiem, że ma großer ariernachweis, zaświadczenie o aryjskości pierwszego stopnia, żadnych Żydów w rodzinie, żadnej brudnej krwi. To najważniejsze.

Trawiłam w milczeniu jej słowa, a Agnes machała nogami w białych podkolanówkach.

– Organizacja zachęca do jednorazowych stosunków – odezwała się znowu. – Na pewno słyszałaś hasło: „Nie każda może mieć męża, ale każda może urodzić dziecko”.

Skinęłam głową. Oczywiście, że słyszałam. Odkąd nieopodal naszego ośrodka powstał obóz Hitlerjugend, powtarzano nam to po wielokroć, robiąc przy tym tajemnicze miny.

– To był twój pierwszy mężczyzna? – Zebrałam się na odwagę.

Agnes uśmiechnęła się z wyższością, lecz odwróciła wzrok, nagle zajęta poprawianiem sznurówki.

– Czytałaś *Mein Kampf*, wiesz zatem, że seks jest niczym więcej, jak tylko rodzajem hodowli. – Wzruszyła ramionami, ale wciąż nie patrzyła mi w oczy. – Zwykle jedna próba nie wystarcza, by klacz się ożrebiła.

– Ale w przypadku szlachetnych koni zwykle krzyżuje się ją z jednym ogierem, żeby mieć pewność ojcostwa.

– Tu nie ma takiej potrzeby. Każdy prawdziwy Aryjczyk jest najszlachetniejszym ogierem – rzuciła ostro. – Niemieckie kobiety rodzą dzieci nie dla siebie, nie dla rodu, nazwiska czy innych bzdur minionej epoki, z konstytucją Republiki Weimarskiej na czele, ale dla Tysiącletniej III Rzeszy. Führer pragnie dziewcząt gardzących sentymentami.

Mimo wszystko wolałabym wiedzieć, kto jest ojcem mojego dziecka – cisnęło mi się na wargi, ale zdołałam zatrzymać te słowa dla siebie.

– Wiesz, że w październiku trzydziestego dziewiątego roku funkcjonariusze SS i SA otrzymali rozkaz płodzenia nieślubnych dzieci?

– Nie wiedziałam – odparłam szczerze.

– A wiesz, kto go wydał? – zapytała znowu, po czym, nie czekając na moją odpowiedź, odparła: – Sam Himmler. Żołnierze SS mogą też dostać na wniosek żony specjalny urlop prokreacyjny.

Nie potrafiłam nawet sobie wyobrazić, jak kobieta mogła złożyć taki wniosek w jednostce, w której służył jej mąż. To rzeczywiście był

całkiem nowy, wyzwolony, swobodny świat, a mimo to nie byłam pewna, czy odnalazłabym się w rzeczywistości, gdzie państwo ma aż tak głęboki wgląd w najintymniejsze szczegóły życia swoich obywateli.

– A jeśli naprawdę... – Byłam córką lekarza. Od małego wiedziałam, skąd się biorą dzieci, i nie mogłam nie pomyśleć o najbardziej oczywistym, mimo to wstydziłam się zadać pytanie, które przyszło mi do głowy.

– Jeśli naprawdę zajdę w ciążę? – spytała Agnes z lekko kpiącym uśmiechem, by okazać pogardę dla mojego zacofania i drobnomieszczańskiej pruderyjności.

Skinęłam głową.

– Słyszałaś o zlocie norymberskim Hitlerjugend i BDM w trzydziestym szóstym? – spytała.

Na wszelki wypadek nie zaprzeczyłam. Wymamrotałam coś niewyraźnie, całkiem nie pojmując, jaki to ma związek z tematem, o którym rozmawialiśmy.

– Przyjechało około tysiąca członków – ciągnęła Agnes, która widocznie bardzo chciała opowiedzieć mi tę historię. – Równo dziewięćset dziewcząt, w wieku od piętnastu do osiemnastu lat, wróciło z brzuchem. Udało się ustalić ojcostwo połowy dzieci.

– To straszne!

– To wspaniałe! – wykrzyknęła Agnes z naciskiem. – Skrwawiona w wielkiej wojnie Rzesza potrzebuje ludzi. Rasa panów musi rosnąć w siłę, by rządzić, gdy zdobędziemy świat.

Zimny dreszcz przeszedł mi po plecach. Otuliłam się ramionami, ale na niewiele się to zdało.

– Ale co dokładnie się z tobą stanie? – chciałam wiedzieć, choć nogi drżały mi z zimna, a ciało pokryło się gęsią skórką.

– Mam nadzieję, że wyślą mnie do Lebensbornu – oświadczyła. – Niełatwo się tam dostać. Trzeba być czystą rasowo bodajże od tysiąc

osiemsetnego roku, mieć zaświadczenie lekarskie o dobrej jakości genetycznej i wypełnić masę papierów. Tam będę mogła urodzić czystego rasowo Aryjczyka, a potem następnego i następnego, aż zaliczą mnie do grona bohaterek narodowych i może... – Zawahała się, jakby obawiała się wypowiedzieć szczególnie ważne słowa. – Może pewnego dnia dane mi będzie urodzić dziecko samego Führera.

Na samą myśl, że ta piękna młodziutka dziewczyna miałaby obcować z Hitlerem, zrobiło mi się niedobrze. Jednak twarz Agnes promieniała, a jej oczy płonęły nadzieją. Być może naprawdę sądziła, że jest to jej największe marzenie, choć zostało jej zaszczerpione przez system, w którym wzrastała. A może tymi wszystkimi słowami, całą tą paplaniną próbowała stłumić własne wątpliwości, przekonać samą siebie, że tego właśnie pragnie.

Nie potrafiłam nawet sobie wyobrazić, jak mogłabym pozwolić dotknąć się komuś, kogo nie kochałam. Sama myśl o tym budziła mój wewnętrzny sprzeciw, graniczący z obrzydzeniem. Nagle przed oczami stanęła mi twarz Janka Franka i zalała mnie fala współczucia. Czy Agnes i tym wszystkim dziewczętom kiedykolwiek dane będzie zaznać miłości podobnej do tej, która łączyła mnie z Jankiem?

– A co z twoją przyszłością? Nie chciałabyś czegoś osiągnąć? Pracować? Nie być od nikogo zależna? Jesteś przecież dobra w tak wielu rzeczach.

– Führer wyraził się chyba dość jasno, nie? – odpowiedziała pytaniem na pytanie, a gdy nie zareagowałam, wyjaśniła: – Emancypacja to żydowski wymysł. Nierówność płci jest czymś naturalnym, tak samo jak nierówność rasowa.

Wspomniałam czytany niedawno artykuł, w którym autorka podkreślała, jak ważne jest powstrzymanie dziewcząt przed nadmiernym pędem do wiedzy, by mogły się zdrowo rozwijać. III Rzesza masowo produkowała niewolnice seksualne. Dziewczęce marzenia o wielkiej miłości zastąpiono fanatyczną wiarą, której bóstwem był Adolf Hitler, a one wszystkie składały mu ofiarę z samych siebie.

Żadna wojna nie trwała wiecznie. Pewnego dnia to wszystko się skończy. Jeśli Hitler wygra, jego dziewczęta i kobiety będą trybikami doskonale naoliwionej maszyny.

Ale co się stanie, jeśli przegra? – kołatało mi po głowie. – Co stanie się wówczas z tymi wszystkimi dziewczętami gotowymi pokładać się z obcymi, byle tylko urodzić Führerowi czystej krwi Aryjczyków? Z pozbawionymi wykształcenia kobietami, które zostaną całkiem same z gromadką dzieci? Z dziećmi, którym nie będzie można powiedzieć, że są owocami wielkiej miłości, tylko ojciec zginął na wojnie?

Chyba właśnie wtedy, nie wśród krwi, wybuchających bomb i pożarów w Warszawie, pojęłam, jak niebezpieczna jest wizja świata Hitlera. Śmierć Marie, która odeszła w zapomnienie wraz ze wschodem słońca, dzieci poczynane z całkowitą obojętnością przez dwoje obcych sobie ludzi – a wszystko to dla obietnicy lepszego świata. Zło nie brało się tu z przemocy, ale z oświecenia umysłów, zmiążdżenia wstydu, usunięcia wrażliwości, wychowania młodych nie do wolności, ale do bycia bezwzględnie posłusznymi i w dodatku zadowolonymi z tego. To były prawdziwe pęta, ponieważ nie dało się ich zauważyć, na co dzień nie uwierały, były niewidzialne.

– Idę spać. – Agnes zeskoczyła z parapetu. Odwróciła się do lustra i kokieteryjnym ruchem poprawiła włosy. – To był dzień pełen wrażeń.

– Mhm – wymamrotałam, byle powiedzieć cokolwiek.

– A, i gdybyś następnym razem chciała popatrzeć, naprawdę daj znać – rzuciła, wychodząc z łazienki.

Na tydzień przed zakończeniem pobytu zorganizowano turniej szachowy. Każdy, kto chciał wziąć w nim udział, mógł się zapisać. Zrazu niewielu okazało entuzjazm, mimo iż podobno szachy cieszyły się wielką popularnością wśród żołnierzy Wehrmachtu. Młodzi mężczyźni i dziewczęta woleli jednak inne, bardziej imponujące formy rywalizacji. Szczególnie oblegane były wszelkie dyscypliny lekkoatletyczne i to one gromadziły największą publiczność.

Kierownik obozu męskiego, herr Block, był jednak zapalonym szachistą i choć istniało ryzyko, że nikt nie stanie do zawodów, i tak wywiesił listę dla chcących się zapisać. Ku mojemu zdumieniu kartka zappełniła się dość szybko. Oczywiście byłam jedyną dziewczyną. Nie obchodziło mnie to. Od śmierci Marie nie mogłam pomieścić w sobie złości, a to, czego byłam świadkiem, i późniejsza rozmowa z Agnes tylko podsyciły ten płomień. Musiałam jakoś wyrazić swój sprzeciw, a nie miałam pomysłu, jak mogę to zrobić, nie narażając misji, dla której przecież tu przybyłam. Wpisanie na volkslistę było sprawą urzędową, więc zakładałam, że pozostaje kwestią czasu, aż podziemie dowie się o tym fakcie i dowódcy wyznaczą mi kolejne zadanie. Teoretycznie mogłam zostać w szkole jeszcze rok, na pewno nie dłużej. Zwykle po maturze dziewczęta otrzymywały oficjalny przydział do którejś z jednostek wojskowych Flugmeldedienst, skąd z pewnością o wiele trudniej byłoby mnie wydobyć bez przyciągania uwagi. Ze względu na

wybitne osiągnięcia naukowe mnie pozwolono zostać dłużej w roli korepetytorki najmłodszych uczennic. Po tym wszystkim, co wydarzyło się w czasie obozu, miałam jednak dość i nie mogłam wyobrazić sobie powrotu.

Turniej trwał cały dzień. Osiągnęłam poziom skupienia graniczący z transem. Grałam tak, jakby od tego zależało moje życie. Dla Marie, Agnes i dla wszystkich dziewcząt, którym system posługujący się pięknymi hasłami odebrał rozum, niewinność, zdrowie, a nawet życie. Wygrywałam partię za partią. Podczas finałowej rozgrywki miałam zmierzyć się z chłopakiem o imieniu Heinrich, tym samym, którego widziałam z Agnes na polanie. Wykonałam klasyczny mat Legala, z partii, której zapis przetrwał do czasów współczesnych, rozegranej w 1750 roku w Café de la Régence, najśłynniejszej paryskiej kawiarni szachowej. Bałam się, że skoro Heinrich doszedł do finału, może znać obronę francuską pozwalającą uniknąć mata, ale za wysoko go oceniłam. Popęłniał błąd za błędem, a ja byłam bezwzględna. Wykonywałam ruchy błyskawicznie, niemal bez zastanowienia, wywierając na nim presję, nie dając czasu na przemyślenie kolejnego posunięcia. Był coraz bardziej rozproszony, a koledzy dowcipkujący za jego plecami i komentujący ciągi zbierane od dziewczyny nie poprawiali jego sytuacji. Wygrałam niemal bez wysiłku.

Heinrich był czerwony z wściekłości, gdy herr Block zmusił go do honorowego podania mi ręki.

– Dziewczyno, gdzie ty się nauczyłaś tak grać?! – wykrzyknęła Franziska, ściskając mnie mocno.

Od polskich szachistów żydowskiego pochodzenia – cisnęło mi się na wargi, ale potrafiłam już nieźle nad sobą panować i zamiast tego tylko się uśmiechnęłam. Zauważyłam, że milczenie i zakrywanie twarzy tajemniczym uśmiechem zwykle sprawia, że ludzie nie zadają więcej pytań.

– I ta mina pupilka herr Blocka – zachichotała, a ja zawtórowałam jej, tak jak mnie uczono. Zaufanie zdobywa się, dzieląc emocje. – Zdaje się,

że jeszcze nigdy nie przegrał z dziewczyną – dodała szeptem, a ja właśnie w tej chwili poczułam prawdziwy smak zwycięstwa.

Co rano przy śniadaniu rozdawano pocztę. Nie spodziewałam się niczego dostać, więc nie zaprzętałam sobie głowy wyczytywanymi nazwiskami dziewcząt, które miały zgłosić się po przesyłkę.

– Leni. – Franziska szturchnęła mnie łokciem. – Wołają cię.

Rzuciłam jej nieprzytomne spojrzenie, ale szybko wstałam i podbiegłam do wychowawczynie.

– To dla ciebie. – Podała mi pocztówkę.

Podziękowałam i jak gdyby nigdy nie wróciłam na miejsce, choć serce waliło mi w piersi jak młotem. Byłam pewna, że to wiadomość. Nareszcie!

– Ciotka w końcu napisała? – zagadnęła Franziska, usiłując rozsmarować na chlebie stwardniałą margarynę. Znała dobrze moją opowieść o dalekich krewnych, którzy posłali mnie do szkoły, żeby nie musieć się mną opiekować. To tłumaczyło, dlaczego nigdy nie dostawałam żadnych paczek ani listów od bliskich, jak inne dziewczęta.

– Tak, to na pewno ona – odpowiedziałam, wciąż wpatrując się w obrazek na kartce. Był to brzydki modernistyczny czteropiętrowy budynek, który nie kojarzył mi się absolutnie z niczym.

– O, jaka ładna kartka! – zachwyciła się Nele, nieco na wyrost, zapewne nie chcąc zrobić mi przykrości. – Moi dziadkowie mieszkają w Łodzi, wiesz?

– Naprawdę? – zainteresowałam się. Zaczęłam się zastanawiać, co wiem o Łodzi. Niewiele tego było. Słyszałam coś o przemyśle włókienniczym i określenie, że jest to miasto kominów, fabryk i komunistów.

– Od zawsze – odparła z dumą. – Dziadek był kierownikiem zmiany w przędzalni, a gdy odebrano ją z rąk tych żydowskich szcurków, jako czystej krwi Niemiec został mianowany zarządcą.

– Nigdy nie byłam w Łodzi – westchnęłam, licząc, że Nele opowie mi coś więcej.

– Litzmannstadt – poprawiła mnie.

– Słucham?

– Na Deutschlandplatz ustawiono specjalną tablicę z napisem: „Z rozkazu Führera to miasto nazywa się Litzmannstadt” – wyjaśniła Nele.

– Babka przysłała mi niedawno wycinek z gazety. Widziałam zdjęcie.

– To zapewne na cześć generała Carla von Litzmanna, tego, który w listopadzie tysiąc dziewięćset czternastego roku w jednej z największych bitew na froncie wschodnim odparł Rosjan spod Łodzi, to znaczy spod Litzmannstadt – dopowiedziałam prędko, pomna rad Jawora, by przy każdej możliwej okazji podkreślać zasługi Niemiec i swoją wiedzę o nich.

– Nie miałam pojęcia – przyznała Nele. Historia nie była jej mocną stroną.

– Jeszcze tego nie przerabialiśmy, ja po prostu interesuję się tamtym okresem – pocieszyłam ją prędko, by przypadkiem nie zmienić tematu rozmowy. – W każdym razie to naprawdę ładna nazwa. Pasuje do miasta?

Nie myliłam się. Nele lubiła być w centrum uwagi, a rzadko nadarzała się ku temu sposobność, więc teraz rozsiadła się wygodniej i zaczęła mówić.

– Litzmannstadt początkowo miał tak jak Warszawa stać się częścią Generalnej Guberni, ale gauleiter NSDAP Artur Greiser, dobry znajomy Himmlera, zdołał wymusić włączenie go do Rzeszy – opowiadała. – Większość Polaków wysiedlono. Szczęśliwców, którzy z różnych powodów musieli pozostać, głównie by obsługiwać maszyny, przeniesiono na przedmieścia. Inaczej niż w Warschau Polak nie może być w Litzmannstadt urzędnikiem czy policjantem.

– Słusznie, słusznie. – Franziska pokiwała głową.

– Jasne, że słusznie – przytaknęła Nele. – To czytelny sygnał i wyraźne przypomnienie, że Polacy w Litzmannstadt są jedynie siłą roboczą, pracownikami, nie gospodarzami.

– A co to za budynek? – zapytałam, wskazując na pocztówkę. – Znasz go?

– Oczywiście – zachnęła się Nele. – Obecnie mieści się tam Komisariat Rzeszy do Spraw Umacniania Niemczyzny.

– No dalej, czytaj, co napisali – spytała zaciekawiona Franziska.

Ku mojemu zdumieniu na pocztówce były tylko pozdrowienia z wakacji w Litzmannstadt. Nazwa miasta została szczególnie pięknie wykaligrafowana. Poczulałam ukłucie przykrości. Podałam kartkę koleżankom.

– Tylko tyle? – Nele zrobiła zawiedzioną minę.

– Nie jesteśmy zbyt zżyci – stwierdziłam, starając się nie okazać zawodu.

Przez resztę śniadania zerkałam na pocztówkę, usiłując odgadnąć, o co chodzi. Dopiero po jakimś czasie rzucił mi się w oczy dodatkowy stempel pocztowy składający się z samych cyfr. Wpatrywałam się w niego jak zahipnotyzowana, niemal pewna, że skrywa jakąś tajemnicę. Musiałam tylko dopasować właściwy szyfr.

– Playfair! – szepnęłam do siebie.

– Coś mówiłaś? – spytała Nele.

– Nie, nie, nic takiego – mruknęłam.

Zaraz po kolacji schowałam się w łazience z ołówkiem i kawałkiem kartki. Odtworzyłam z pamięci liczby ze stempla i zaczęłam wpisywać litery w kwadrat. Byłam bowiem pewna, że mam do czynienia z szyfrem wymyślonym przez genialnego fizyka i wynalazcę Charlesa Wheatstone'a, a spopularyzowanym przez lorda Playfaira. Nie miałam żadnych wątpliwości, że słowem kluczem jest nazwa miasta: Litzmannstadt.

Nie myliłam się.

– Jam jest Jacek Soplica. – Po kilku minutach przeczytałam odszyfrowane słowa.

Był to fragment X księgi *Pana Tadeusza*. Spowiedź Jacka Soplicy.

– Konfesjonał – wyszeptałam.

W okolicy było tylko jedno miejsce, w którym znajdował się konfesjonał. Kaplica w miasteczku, nieopodal szpitala.

Kilka dni później udało mi się wybrać do miasta. Zgłosiłam się na ochotnika do grupy dziewcząt, które szły z kwiatami złożyć wizytę rannym żołnierzom leżącym w tamtym szpitalu. Była to stała praktyka przez cały czas trwania obozu, ale nie chciałam być członkiem tej delegacji. To była placówka, w której umarła Marie. Teraz z niecierpliwością czekałam na możliwość sprawdzenia, czy prawidłowo rozwiązałam zagadkę. Po odwiedzinach na chwilę udało mi się odłączyć od grupy. Musiałam działać szybko. Miałam tylko jedną szansę – za dwa dni opuszczaliśmy to miejsce. Weszłam do niewielkiej kaplicy stojącej pomiędzy szpitalem a ratuszem. Podeszłam do konfesjonału, uklękłam przy kratkach i zaczęłam je obmacywać. Już miałam zrezygnować, gdy moje palce wyczuły nierówność. Nacisnęłam to miejsce i kawałek deski odskoczył, ukazując niezwykle pomysłową skrytkę. Wewnątrz była koperta, a w niej zwolnienie ze szkoły dla Leni Köhler i wezwanie do służby gdzieś w głębi Rzeszy. Wiedziałam jednak, że to fałszywka. Znałam prawdziwy kierunek, który powinnam obrać.

Gdy wróciliśmy do ośrodka, od razu zgłosiłam się z dokumentami do dyrekcji. Skłamałam, że po drodze spotkałam listonosza z przesyłką. Dyrektorka była zbyt zajęta rozgardiaszem związanym z końcem obozu, by wnikać w szczegóły. Wystarczyła jej wyraźna pieczęć na dokumentach.

Zamierzałam czym prędzej udać się na stację. Poszłam do pokoju, opowiedziałam dziewczętom bajeczkę o nagłym wezwaniu do jednostki. Nele i Franziska wyglądały na prawdziwie zasmucone, ale wiedziały, że służba krajowi jest najważniejsza. W pośpiechu spakowałam swoje rzeczy.

– A gdzie Agnes? – spytałam, rozglądając się za koleżanką. – Chciałam się z nią pożegnać.

Nele i Franziska wymieniły spojrzenia.

– Nic nie wiesz? – zdziwiła się Franziska.

– O czym?

– Nie wie, przecież była u rannych – przypomniała jej Nele.

– Dziś rano przyjechali po nią rodzice – wyjaśniła Franziska. – Agnes też nie wraca do szkoły.

– Jak to?! – Nie kryłam zdziwienia.

– Jest w odmiennym stanie – rzekła Nele szeptem, jakby mimo całej dumy niemieckich kobiet mówiła o jakimś brudnym sekrecie. – Pojedzie do domu, a potem, jak jej się poszczęści...

– ...do Lebensbornu – wymamrotałam, pochłonięta własnymi myślami.

Wszystko ułożyło się w logiczną całość.

Czy wiedziała, kto jest ojcem? Było pewne, że nie jest to Heinrich, upłynęło zbyt mało czasu. Dlaczego w ogóle się tym przejmowałam, skoro rodzenie dzieci dla III Rzeszy było największym marzeniem Agnes? Skoro tego pragnęła, powinnam cieszyć się jej szczęściem. A jednak nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że dla Agnes nie było już ratunku i choć od początku nie darzyłyśmy się zbyt dużą sympatią, zrobiło mi się jej tak potwornie szkoda...

ŁÓDŹ

JESIEŃ 1941 – POCZĄTEK 1944

Nie potrafiłam powiedzieć, kiedy dokładnie to się stało. Zmiana zaszła niezauważalnie. Gdy jechałam pociągiem do Litzmannstadt, ubrana w mundurek, wiedziałam już, że przynajmniej z zewnątrz jestem kimś innym. Pobyt w BDM zmienił moje ciało. Codzienne ćwiczenia wyrzeźbiły mięśnie i wyprostowały postawę, pływanie wysmukliło sylwetkę. Odpowiednia dieta, ruch, czas spędzany na świeżym powietrzu – wszystko to sprawiło, że moja cera promieniała, a włosy stały się lśniące jak nigdy przedtem. Szybko zorientowałam się, że ludzie mi się przyglądają. Kobiety zerkały z zaciekawieniem, mężczyźni, z dziwnym błyskiem w oczach, nierzadko długo odprowadzali mnie wzrokiem. Zmieniło się coś jeszcze. Coś w głębi mnie. Od zawsze byłam nad wiek poważna, przez co sprawiałam wrażenie starszej, ale teraz poczułam się naprawdę dorosła. Nie było nikogo, kto mógłby mnie chronić. Rodzina i pułkownik Jawor zostali w Warszawie. Wyszłam spod klosza niemieckiej szkoły, gdzie obowiązujące zasady również zapewniały namiastkę bezpieczeństwa. Ktoś przecież podejmował za mnie całe mnóstwo codziennych decyzji. Od teraz o wszystko musiałam zatroszczyć się sama. Wszystko zależało tylko ode mnie.

Pociąg wyraźnie zwolnił. Konduktor zajrzał do przedziału, w którym siedziałam.

– Następna stacja: Litzmannstadt – rzucił pośpiesznie i ruszył dalej.

Przeszył mnie dreszcz, sama nie wiedziałam, czy ekscytacji, czy strachu, ale nie zamierzałam dociekać. Czekano na mnie zadanie, a jeśli jakąś umiejętność opanowałam do perfekcji, to było to właśnie skrupulatne wypełnianie zadań.

Ostrożnie zdjęłam z półki niewielką walizkę, w której mieścił się cały mój dobytek. Nie była ciężka. Nie miałam zbyt wiele. Pożegnałam się uprzejmie ze współpasażerami, starszym małżeństwem – okrągłą kobietą, która przez większość podróży nie zamykała ust, jedząc lub opowiadając coś swemu chudemu jak patyk, śniącemu na jawie mężowi – oraz korpulentnym jegomościem z wąsikami i okrągłymi okularami. Po chwili pociąg jęknął przeciągle i zatrzymał się na stacji.

Wysiadłam na peronie. Wokół kłębili się ludzie spieszący w różnych kierunkach. Każdy zdawał się mieć jakiś cel, ku któremu czym prędzej dążył. Tylko ja stałam i rozglądałam się niepewnie. Takie zachowanie musiało przyciągać uwagę.

– Dzień dobry, czeka pani na kogoś? – spytał policjant, który niespodziewanie pojawił się tuż przy mnie.

Pokręciłam głową i wbiłam w niego ufne spojrzenie.

– Nie mam natomiast pojęcia, którądy do Komisariatu Rzeszy do Spraw Umacniania Niemczyzny, na ulicę... – Sięgnęłam do torebki i wyjęłam niewielką karteczkę zapisaną starannym pismem. – Adolf-Hitler Straße 133. Czy byłby pan tak uprzejmy i wskazał mi, jak się tam dostać?

Mnie samą zadziwiało, z jak wielką łatwością przychodziło mi odgrywanie zagubionej i bezradnej istoty, choć w rzeczywistości szczerze gardziłam tym typem kobiet. Policjant udzielił mi szczegółowych wyjaśnień, a nawet odprowadził kawałek.

Wyciągnęłam pocztówkę i porównałam obraz z rzeczywistością. Na tym kończyły się wskazówki. Dalej musiałam kroczyć już w całkowitej ciemności. Po chwili namysłu z braku lepszych pomysłów postanowiłam wejść do środka.

– *Heil Hitler* – przywitałam się jak na zagorzałą przedstawicielkę niemieckiej młodzieży przystało.

Siedząca za biurkiem kobieta natychmiast się poderwała i odpowiedziała mi tym samym.

– Dzień dobry, nazywam się Leni Köhler – przedstawiłam się uprzejmie. – Polecono mi tu przyjść.

Kobieta zrobiła minę, która mogła wyrażać tylko jedno: nie miała pojęcia, kim jestem. Pochwaliłam się w myślach za wybór takiego stroju podróznego. Przepisowy mundur członkini BDM, długa do połowy łydki czarna spódnica, biała koszula, krawat i brązowa marynarka z kieszeniami i odznakami przyszytymi do rękawa, a do tego czarny beret zgrabnie upięty po lewej stronie głowy w połączeniu z odpowiednim przywitaniem od razu ustawiały mnie na pozycji kogoś, z kim lepiej obchodzić się ostrożnie. Kobieta skinęła więc tylko głową i przybrała służbowy uśmiech.

– Proszę tu poczekać – powiedziała, wskazując mi rząd krzeseł po przeciwnej stronie wąskiego przejścia. – Zaraz do pani wrócę, fraulein Köhler.

Czekałam długo. Po prawdzie zaczęłam się już niecierpliwić, a przede wszystkim bać, że zaszła jakaś pomyłka, źle zinterpretowałam polecenie albo umknęło mi coś ważnego. Wyjęłam pocztówkę i po raz setny uważnie się jej przyjrzałam. Nie odkryłam jednak nic nowego. Byłam w obcym mieście – zmęczona, głodna i spragniona. Potrzebowałam odpoczynku. Nie wiedziałam, co zrobić, gdy kobieta odprawi mnie z niczym. Dokąd pójść? Czy powinnam wówczas wrócić do Warszawy? A może do szkoły? Nie miałam tu żadnego kontaktu, nikogo, kogo mogłabym zapytać o jakieś wskazówki, co dalej robić. Zostałam wystawiona na próbę, ale nie byłam pewna, czy jestem na nią gotowa. Ogarniało mnie coraz większe z wątpienie.

– Fraulein Köhler? – usłyszałam męski głos.

Zerwałam się z miejsca. Serce podeszło mi do gardła. W moją stronę szedł mężczyzna w esesmańskim mundurze.

– *Sieg heil!* – Wyrzuciłam przed siebie prawą rękę.

Odpowiedział mi tym samym, choć z mniejszą gorliwością. Jego gładko ogolona twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Proszę za mną – rzekł i bez zwłoki ruszył w głąb korytarza.

Po drodze rozglądałam się za kobietą, ale nigdzie jej nie było. Może ukryła się, by nie narażać się na nieprzyjemność konfrontacji, konieczność spojrzenia w twarz młodej dziewczynie, którą zadenuncjowała.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami opatrzonymi tabliczką „Amt I – Umsiedlung und Volkstum”.

Przesiedlenia – rozbrzmiało w mojej głowie, a wraz z echem tego słowa natychmiast zrodziła się nadzieja. Być może tu będą mieli jakieś informacje o Janku. W takim miejscu z pewnością są jakieś kartoteki, listy osób wywiezionych na roboty przymusowe. Poczułam nagły przypływ odwagi.

Mężczyzna nacisnął klamkę i puścił mnie przodem. Znalazłam się w niezwykle przestronnym jasnym pomieszczeniu. Prostopadle do ścian ustawiono w równych rzędach kilkadziesiąt biurek, przy których siedziały zajęte pracą młode kobiety zatrudnione jako maszynistki. Jasne, starannie uczesane głowy pochylały się nad maszynami do pisania, a palce z paznokciami delikatnie pociągniętymi lakierem wystukiwały treść kolejnych dokumentów. Panował tu nastrój wielkiego skupienia, który z jakiegoś powodu skojarzył mi się z klasztorem. Odetchnęłam z ulgą. Skoro przyprowadzono mnie do biura, najprawdopodobniej nie zamierzano mnie przesłuchiwać ani torturować.

Esesman poprowadził mnie między biurkami i zastukał do drzwi znajdujących się za plecami kobiet.

– Wejść – padło polecenie.

Mężczyzna otworzył przede mną drzwi, ale nie wszedł do środka. Rzuciłam mu pytające spojrzenie.

– Obergruppenführer prosi – powiedział tonem, jakby te dwa słowa w jakiś oczywisty sposób miały wystarczyć za całe wytłumaczenie.

Weszłam do gabinetu, który w niczym nie przypominał sali kazi, i stanęłam przed szczupłym mężczyzną po czterdziestce, z zaczątkami łysiny nad czołem i imponującymi uszami. Za jego plecami wisiał ogromny portret Adolfa Hitlera, a tuż obok nieznacznie tylko mniejszy Heinricha Himmlera. Siedzący za biurkiem i Himmler łysieli w podobny sposób.

– Fraulein Köhler? – upewnił się, nie podnosząc wzroku znad trzymanego w dłoniach dokumentu.

– Zgadza się, herr obergruppenführer – powiedziałam, przybierając rzeczowy żołnierski ton.

Wciąż na mnie nie patrzył, ale widziałam, że się uśmiechnął.

– Doskonale – skwitował, sięgając po cieniutką teczkę. Rozwiązał troczki. – Popatrzmy, co my tu mamy. Matura z wyróżnieniem, odznaczenie Ministra Rzeszy do spraw Nauki, Wychowania i Wykształcenia za szczególne osiągnięcia, dobre wyniki w sporcie, nienaganna postawa obywatelska, głębokie zaangażowanie polityczne – mamrotał, a ja zrozumiałam, że czyta moje akta osobowe.

Nie miałam pojęcia, jak się tu znalazły. Wprowadzenie mnie do tego urzędu musiało być nie lada wyzwaniem.

– Francuski i łacina? – zdziwił się, ale nie dodał żadnego komentarza.
– Polski?

– Znam, choć nie tak dobrze jak francuski – odparłam.

Zamknął teczkę, podniósł głowę i spojrzał na mnie. Czulałam jego wzrok prześlizgujący się po mojej twarzy i ciele, ale żaden mięsień na mojej twarzy nawet nie drgnął. Była to kolejna umiejętność wyniesiona ze szkoły. W jego oczach błysnęła aprobata.

– Witamy na pokładzie, fraulein Köhler – rzekł. – Cieszę się, że skierowano panią właśnie do nas. Wie pani, oczywiście, czym będzie się zajmować, prawda?

Pomna zasady, by kłamać jedynie wówczas, gdy jest to konieczne, pokręciłam głową.

– Ale otrzymała pani zawiadomienie o przydziale?

Znów zaprzeczyłam. Bałam się, że następne pytanie będzie dotyczyć tego, w jaki sposób dowiedziałam się zatem, gdzie mam się stawić, a na to nie miałam przygotowanej odpowiedzi.

– Doprawdy, trzeba coś zrobić z tym bałaganem w przydziałach. To niedopuszczalne! Każdy winien wykonywać swoją pracę, a nie zrzucać ją na barki innych – obruszył się ku mojemu zdziwieniu mężczyzna, a potem splótł dłonie przed sobą, westchnął głęboko i monotonnym głosem człowieka bez reszty znudzonego treścią, którą zmuszony jest powtarzać kolejny raz, zaczął mówić: – RKFDV zajmuje się planowaniem polityki germanizacyjnej. Przesiedlenia cywilów, germanizacja, konfiskaty, wysiedlenia, deportacje na roboty, akcje zatrudnieniowe, słowem: mnóstwo pracy.

Wpatrywałam się w niego z uwagą, pilnie chłonąc każde słowo.

– Amt I to skrótowiec od Amtsgruppe pion A – kontynuował. – Dział, którym kieruję i do którego panią przydzielono, zajmuje się przesiedleniami. Planowanie, koordynacja, nadzór, organizacja, wszystko na naszych barkach.

– Odpowiedzialna praca – stwierdziłam, wkładając w ton głosu tyle podziwu, ile zdołałam.

Najwyraźniej obergruppenführer poczuł się mile połączony, bo jego twarz nieco się rozpuściła.

– Tak to już jest. – Pokiwał głową. – Ale służba jest najważniejsza!

– *Sieg heil!* – wykrzyknęłam.

– Niech żyje zwycięstwo! – zawtórował mi, po czym wstał od biurka, podszedł do mnie i uściśnął mi dłoń. – Frau Fischer wprowadzi panią we wszystkie niuanse. Gdyby miała pani jakieś pytania, proszę nie wahać się ich zadać – mówił, delikatnie kierując mnie ku wyjściu – Widziałem, że został pani przydzielony pokój pracowniczy. Frau Fischer poda pani adres. Rozumiem, że ktoś z pani przeszłością zapisał się już, oczywiście dobrowolnie, do Glaube und Schönheit?

– Na dniach zamierzam to zrobić – zapewniłam, w duchu kpiąc z dobrowolności zapisywania się.

– Zatem do zobaczenia jutro! Proszę się nie spóźnić – zakończył tonem, jakby opowiedział właśnie doskonały żart.

Uśmiechnęłam się uprzejmie.

Pokój, który mi przydzielono, znajdował się w obskurnej kamienicy dwie ulice od urzędu. Był mały, ciemny i niezbyt przytulny, a mimo to w tamtym czasie zdawał mi się najwspanialszym miejscem na ziemi. Miałam wreszcie kawałek własnej przestrzeni, z łóżkiem, małym stołem i szafą. Łazienka i kuchnia znajdowały się na korytarzu i były wspólne dla wszystkich lokatorów, ale dla mnie, przywykłej przez ostatnie miesiące do życia w szkole z internatem, nawet to nie stanowiło problemu.

Spacer do pracy zajmował mi nie więcej niż pięć minut. Frau Fischer okazała się świetną przewodniczką po świecie urzędowych zawilóści, a sama praca, którą mi powierzono, była bardzo niewymagająca. Przez większość czasu musiałam po prostu przepisywać dokumenty. Moje wykształcenie, na które tak bardzo zwracał uwagę przełożony, było całkowicie nieprzydatne.

Dni mijały, a ja nudziłam się jak mops. Odkąd na obozie BDM otrzymałam pocztówkę z zaszyfrowaną wiadomością, czekałam w napięciu na dalszy rozwój wypadków. Liczyłam, że teraz zostanę włączona do prawdziwej rozgrywki. Spodziewałam się odpowiedzialnych zadań okraszonych ryzykiem, których wypełnieniem wreszcie mogłabym jakoś przysłużyć się Ojczyźnie. Gdy jeszcze w Warszawie przyglądałam się codzienności mojego brata, zdawało mi się, że jest ciągle zajęty, wciąż dostaje nowe rozkazy, które musi

natychmiast wykonać. Tymczasem moje życie od blisko półtora roku składało się głównie z czekania.

Każdego dnia przez osiem godzin przepisywałam nic nieznaczące dokumenty. Zrazu powoli, gdyż nie miałam zbyt wielkiego doświadczenia w pisaniu na maszynie, lecz szybko nabrałam wprawy. Gdyby dano mi wybór, bez wahania wróciłabym do szkoły, tam przynajmniej mogłam uprawiać sport, a Nele i Franziska jawiły mi się teraz jako doskonałe towarzyszki codzienności. W urzędzie panował całkowity zakaz rozmów. Pracowałyśmy w ciszy, a potem rozchodziłyśmy się każda w swoją stronę. Całymi dniami potrafiłam nie odezwać się do nikogo poza panią ze stołówki pracowniczej, która podawała obiady.

Pewnego ranka, mniej więcej po miesiącu mojego pobytu w Litzmannstadt, wśród dokumentów na swoim biurku znalazłam niewielką wydrukowaną wizytówkę z adresem. Na odwrocie widniał odręczny zapisek uczyniony zamaszystym pismem, rzecz jasna po niemiecku: „Odebrać kwiaty o ósmej”. Byłam pewna, że jeszcze wczoraj jej tu nie było. Rozejrzałam się wokół, ale nikt nie patrzył w moją stronę. Pozostałe stenotypistki sprawiały wrażenie jak zawsze bez reszty pochłoniętych pracą przy wtórze maszyn do pisania. Wsunęłam wizytówkę do kieszeni i wróciłam do swoich zadań, z trudem powstrzymując drżenie rąk. Godziny pracy płynęły tego dnia jeszcze wolniej niż zwykle, a może tylko mnie, zmęczonej beczynnością i bezgranicznie podekscytowanej nadzieją na wyrwanie się z urzędniczego marazmu, tak się wydawało.

Jakież było moje zdziwienie, gdy wskazany adres okazał się salonem piękności. Weszłam do środka niepewna, czy czegoś nie pomyliłam. Przywitał mnie dzwoneczek nad drzwiami. W lokalu nie było nikogo – ani klientek, ani obsługi.

– Dzień dobry – rzuciłam w przestrzeń.

Widok pustych foteli przyprawił mnie o dreszcz niepokoju.

– A dzień dobry, dzień dobry. – Upiorną ciszę przeciął nagle tubalny, chropowaty głos, jak się wkrótce okazało, całkiem niepasujący do jego właścicielki.

Rozległ się łoskot, jakby ktoś wrzucił coś do metalowej skrzyni, i zza zasłonki, która zapewne oddzielała salonik od zaplecza, wyszła szczupła, wysoka kobieta w typie Heleny Grossówny. W moich uszach natychmiast rozbrzmiały słowa przeboju z filmu *Zapomniana melodia*. Miałam ochotę zanucić: „Już nie zapomnisz mnie, piosenka ci nie da zapomnieć”.

– Co też panienkę do mnie sprowadza? – Dźwięk jej głosu wyrwał mnie z osłupienia.

– Polecono mi odebrać kwiaty o ósmej – odparłam.

Skinęła głową i cofnęła się na zaplecze.

– Proszę za mną! – zawołała po chwili.

Wsunęłam się za zasłonkę i znalazłam się w niewielkim pomieszczeniu szczelnie wypełnionym metalowymi regałami, na których w równych rzędach stały dziesiątki słoików w różnych rozmiarach.

– Antygona – przedstawiła się.

– Przepiórka. – Wymieniłyśmy szybki żołnierski uścisk dłoni.

– Wejdź za parawan i rozbierz się do bielizny – poleciała mi Antygona.

Wciągnęłam głośno powietrze.

– No nie patrz tak na mnie tymi wielkimi sarnimi oczami – rzuciła, nagle z niemieckiego przechodząc na polski, co wywołało we mnie kolejny wstrząs. Dopiero teraz dotarło do mnie, jak mocno przesiąkłam niemczyzną. Dokładnie tak, jak polecił mi Biały, przez ostatnie miesiące mówiłam, myślałam i modliłam się po niemiecku. – Muszę zobaczyć, z jakim materiałem mam do czynienia.

Całkiem skonfundowana zniknęłam za parawanem. Gdy po chwili wyszłam cała w pąsach, Antygona stała już z centymetrem krawieckim. Za ucho miała zatknięty ołówek.

– Nie muszę cię nawet mierzyć, żeby stwierdzić, że masz doskonałe proporcje – pochwaliła, obchodząc mnie. Podniosła moją rękę, opuściła, przyłożyła miarę do pleców, zapisała coś na kartce i znów sięgnęła po centymetr, cały czas mamrocząc pod nosem. Nie zwracała sobie mną głowy, choć cała jej uwaga skoncentrowana była na mnie. Jakbym była i nie było mnie jednocześnie.

Czułam się jak dzieło sztuki, obiekt do podziwiania, nie osoba.

Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, co powiedzieć, ale ona najwyraźniej nie oczekiwała słów. Wreszcie zawiesiła sobie miarę na szyi i pochyliła się, by zrobić notatki na kawałku papieru.

– To by było na tyle – powiedziała po czasie, który wydawał mi się nieskończenie długi. – Możesz się ubrać.

– Strasznie dużo mierzenia! – zawołałam zza parawanu.

– Mam zrobić z ciebie rasową Niemkę, nieprawdaż? – odpowiedziała pytaniem. – Chyba rozumiesz, że bez odpowiednich ubrań się nie obejdzie.

– Rasową? – powtórzyłam, stając naprzeciwko niej i zapinając pasek spódnicy.

– Elegancką damę, bywalczynię faszystowskich salonów. W typie Magdaleny Goebbels. – Antygona wzruszyła ramionami. – Dwa kostiumy, kilka sukienek popołudniowych, dwie wieczorowe, to powinno wystarczyć.

– Do czego? – dopytywałam. Odwróciłam się w stronę lustra i zapięłam ostatnie guziki bluzki.

– Już ci mówiłam, że nie wiem. Robię, co mi kazano. Jestem tylko kosmetyczką, po godzinach, jak chyba wszyscy w Łodzi, zajmującą się szyciem.

– Kto ci kazał? – spytałam, zanim zdążyłam pomyśleć.

Uniosła brwi, przybierając kpiący wyraz twarzy. Natychmiast zrozumiałam swój błąd.

– No tak, jasne – wymamrotałam.

– Zapraszam na fotel – powiedziała Antygona, przytrzymując mi zasłonkę. – Skoro mamy zrobić z ciebie wzorcową aryjską piękność, musimy zacząć od rozjaśnienia włosów. Nie martw się, nauczę cię, jak pozbywać się odrostów. Wyrównamy brwi, zrobimy manicure. Jeszcze henna na rzęsy. Umiesz używać zalotki, prawda?

Pokręciłam głową. Moja matka miała w toalecie puder i szminkę, ale używała ich może dwa razy do roku, na wielkie wyjścia. W szkole BDM makijaż był zakazany.

– Czeką nas zatem mnóstwo pracy – westchnęła Antygona, ale nie wydawała się naprawdę smutna z tego powodu, przeciwnie, miałam wrażenie, że wyzwanie ją cieszy. – Lekcja pierwsza: musisz być zawsze idealnie uczesana i pomalowana. Nie ma mowy o nieopiłowanych paznokciach, suchych dłoniach czy bladych ustach. To największe grzechy eleganckiej kobiety.

Skinęłam głową.

– Musisz zrozumieć, że twój wygląd będzie twoją najpotężniejszą bronią. Zasłoną dymną, zza której będziesz prowadzić swoją działalność. Gdy znajdziesz się w niebezpieczeństwie, może uratować ci życie – dodała Antygona, nagle poważniejąc.

Nie miałam pojęcia, ile wie ta ekscentryczna kobieta. Miałam ochotę raz jeszcze spróbować podpytać ją, na czym będzie polegało moje zadanie, ale się nie ośmieliłam.

Tego popołudnia zostałam tlenioną blondynką i nauczyłam się używać falownicy tak, by nie spalić włosów.

Od tej pory godziny po pracy, które wcześniej spędzałam, szwendając się bez celu po mieście, stały się surrealistyczną mieszanką, niemal podróżą między dwoma biegunami. Kiedy tylko mogłam, zaglądałam do Antygony, która uczyła mnie, jak stać się obiektem pożądania, całkowitym przeciwieństwem żon, jak zwykła mawiać. Wprowadziła mnie w świat szykownej bielizny, koronek i tiuli, zasad pielęgnacji

twarży, zadbanych dłoni i stóp, sztuki doboru i używania zapachów. Cały czas, który jeszcze niedawno poświęcałam na sport, teraz spędzałam, wklepując w twarz kolejne specyfiki na rozjaśnianie, oczyszczanie, nawilżanie, na podkrążone oczy, na opuchnięte powieki. Trochę mnie to irytowało, a trochę bawiło, choć gdyby ktoś kazał mi wybierać, bez zastanowienia wskazałabym, że wolę gimnastykę.

Antygona uczyła mnie chodzić, tańczyć, siadać, jeść sztucami.

– Przecież potrafię posługiwać się nożem i widelcem – sapnęłam rozdrażniona, gdy posadziła mnie przy stole, zapowiadając temat kolejnej lekcji. – Odebrałam dobre wychowanie.

– Doprawdy? – Antygona uśmiechnęła się przebiegle. – A potrafisz jeść tak, żeby mężczyzna ani na chwilę nie oderwał wzroku od twoich warg? Choćby stała przed nim najsmakowitsza pieczeń?

– To głupie – skwitowałam. – I niemożliwe...

Chciałam dodać: „Wiem, co mówię, mam starszego brata”, ale w porę ugryzłam się w język.

– Założysz się?

To powiedziawszy, Antygona usiadła i zaczęła jeść kawałek chleba nożem i widelcem. Wpatrywałam się w nią z fascynacją i niekłamanym podziwem. Odetchnęłam dopiero, gdy znów odłożyła sztucce.

– Gdzie nauczyłaś się tego wszystkiego? – wyszeptałam z nabożnym szacunkiem, ale ona tylko znów się uśmiechnęła.

Raz w tygodniu chadzałam na spotkania Glaube und Schönheit. Towarzyszące mi młode Niemki zdawały się bez reszty zafascynowane zajęciami z gospodarstwa domowego. Miałyśmy też kurs podstaw opieki medycznej, urządzania domu oraz rytmikę. Najgorsze ze wszystkiego były dla mnie jednak ćwiczenia mające przygotowywać do ciąży i porodu. Chciało mi się śmiać, gdy obserwowałam zaangażowanie pozostałych dziewcząt. Utrzymywałam powagę jedynie dzięki wspomnieniu o Agnes. Ilekroć o niej myślałam, ogarniał mnie dziwny smutek.

Pewnego dnia, gdy skończyłyśmy z Antygoną kolejną lekcję, wyciągnęła z szuflady niewielkie pudełko i położyła je przede mną na stole.

— To prezent — rzuciła w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie.

Uśmiechnęłam się i zaintrygowana sięgnęłam po pudełeczko. Zajrzałam do środka i poczułam, jak zalewa mnie fala gorąca.

— Wiesz, co to jest, prawda? — spytała Antygoną.

Wprawdzie w moim domu nie rozmawiało się o tych sprawach, a w BDM wszelkie praktyki służące zapobieganiu ciąży były uważane za haniebne, ale i tak rozpoznałam gumowy kapturek dopochwowy i diafragmę. Nie podnosząc wzroku, przytaknęłam.

— Umiesz tego używać? — zapytała łagodnie.

Pokręciłam głową.

— Nauczę cię... — zaczęła.

— Nie trzeba — przerwałam jej pospiesznie i odsunęłam od siebie pudełko. — To nie będzie mi potrzebne, naprawdę.

Antygoną usiadła na krześle obok mnie.

— Będzie — powiedziała cicho, ale stanowczo.

Serce zadudniło mi w piersi. Aż do tej chwili ze wszystkich sił starałam się odpychać od siebie podobne myśli. Tłumaczyłam sobie, że to nie mieści się w moich obowiązkach, że Jawor nigdy nie powierzyłby mi zadania obarczonego takim ryzykiem, tak niehonorowego. A jednak jakaś część mnie od początku bała się takiej możliwości.

Pokręciłam głową.

— Obie wiemy, że będzie — odezwała się Antygoną.

— Z Niemcami nie wolno... — wydukałam. — Gola za to głowy... Szykanują...

– W Polsce – ucieła Antygona. – Tu obowiązują inne zasady, Przepiórko. Co innego jest ważne dla Sprawy.

– Ale... Ja... – Słowa z trudem przechodziły mi się przez zaciśnięte z emocji gardło. – Ja nigdy...

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Zastanów się, czy nie chciałabyś zrobić tego po raz pierwszy z kimś życzliwym – odezwała się znów Antygona. Mówiła powoli i łagodnie, jakby tłumaczyła coś dziecku. – Może tak byłoby łatwiej...

Zdawało mi się, że w szkole BDM przywykłam do swobodnego rozmawiania o seksualności. Teraz jednak uświadomiłam sobie, że dotyczyło to zawsze innych, nie mnie. Ogarnęły mnie panika i trudne do przewyciężenia pragnienie ucieczki. Chciałam znaleźć się jak najdalej od tego miejsca, Antygony, samej siebie i tych wszystkich myśli, które naraz zaatakowały moją głowę.

– Nie mówmy o tym więcej – poprosiłam.

Antygona skinęła głową. Gdy wstała, wiedzona dziwnym instynktem wsunęłam pudełko do torebki. Miałam jednak nadzieję, że dane mi będzie o nim zapomnieć.

Trzy tygodnie później, gdy na zapleczu zakładu kosmetycznego mierzyłam cudowną sukienkę w kolorze czerwonego wina, dzwoneczek nad drzwiami zabrzączał. Z zachwytem przyglądałam się własnemu odbiciu w lustrze, gdy Antygona wprowadziła nowo przybyłego.

– Dzień dobry, Leni – usłyszałam znajomy głos.

Odwróciłam się gwałtownie. Przede mną stał Biały. Ostatni raz widziałam go, gdy z polecenia Jawora przedstawiał mi moją nową tożsamość przed wyjazdem z Warszawy. Teraz miałam wrażenie, jakby od tamtego czasu minęła wieczność.

Nie odpowiedziałam na przywitanie. Nie mogłam uwierzyć w to, że ktoś, kto należał do tamtego świata, jest teraz tu, w Litzmannstad. Biały

także nic nie mówił. Stał i patrzył. Nie, nie patrzył, pożerał mnie wzrokiem. Spłoniałam się pod wpływem tego spojrzenia.

Odwróciłam się znów do lustra, udając, że poprawiam coś w połach sukni. Białą odchrząknął.

– Widzę, że nie próżnowałaś – zwrócił się do Antygony, z ociąganiem odrywając ode mnie wzrok, i puścił do niej oko.

– Robi wrażenie, nieprawdaż? – odparła, uśmiechając się z wyraźnym zadowoleniem.

– To będzie ostateczny sprawdzian – powiedział Biały, nie patrząc mi w oczy. – Próba generalna.

Siedzieliśmy w eleganckiej restauracji i rozmawialiśmy po niemiecku, jedząc obiad. Przypomniała mi się kawiarnia, w której pierwszy raz spotkałam się z pułkownikiem Jaworem. Tak dobrze pamiętałam własne skrepowanie. Teraz, odpowiednio ubrana i uczesana, czułam się w tych wytwornych wnętrzach jak ryba w wodzie. Przyciągałam spojrzenia, dokładnie tak, jak mówiła Antygona. „Najważniejsze, żeby wszyscy cię widzieli” – pouczała mnie. „Patrząc na słońce, ludzie nie widzą gwiazdy, a jedynie jej blask. Ciemniejsze plamy na jej powierzchni można zobaczyć dopiero przez teleskop”.

– Ładna próba generalna – stwierdziłam, wdzięcznie zakładając nogę na nogę. – Wizyta w kasynie.

– Inicjowanie pierwszych kontaktów – doprecyzował Biały i westchnął ciężko.

Wiedziałam, że coś go niepokoi. Byłam jednak pewna, że zapytany, nie odpowie. A może bałam się usłyszeć tę odpowiedź? Sugestia zawarta w prezencie od Antygony nie dawała mi spokoju, ale za nic na świecie nie zdobyłabym się na próbę zdobycia wyjaśnienia od Białego.

– Mhm – mruknęłam nieuważnie, usiłując odsunąć od siebie natrętne myśli.

– Pierwsze kroki ku dostaniu się na niemieckie salony. Kiedyś musiał nadejść dzień, gdy porządnie weźmiesz się do pracy, zamiast tylko stroszyć piórka – powiedział i pociągnął łyk dopiero co przyniesionego przez kelnera napoju. Skrzywił się lekko. – Mocne.

Sięgnęłam po szklankę i patrząc mu prosto w oczy, wypiłam jej zawartość. Alkohol sprawił, że w mojej głowie zapadła cisza. Biały cmoknął z uznaniem.

– Widzę, że szkolenie nie poszło na marne.

– Powiedzmy, że Antygona nauczyła mnie wielu rzeczy wykraczających poza podstawowy zakres zagadnień – odparłam z promiennym uśmiechem.

– Tylko nie przesadz, damie nie wypada – zażartował niezdarnie, najprawdopodobniej zawstydzony, że tak łatwo poradziłam sobie z napitkiem.

– Nie mam być damą, ale niemiecką damulką – odparowałam. – Przynętą.

– *Femme fatale* jak Mata Hari – dodał, jednocześnie znów uciekając spojrzeniem. – Wracając do konkretów: pamiętaj, żeby grać.

– Tak, tak – przytaknęłam z udawanym znudzeniem, bo prowadziliśmy już podobną rozmowę. – Kto nie gra w kasynie, jest podejrzany. Mam obstawiać, grać, cieszyć się ze zwycięstwa i uroczo smucić przegraną – zakończyłam, zniżając głos.

Zastanawiałam się, czy i Białego nie próbuję kokietować, a jeśli tak, dlaczego właściwie to robię. Nie był Niemcem, z którego miałam wyciągnąć jakieś informacje, a przecież wciąż byłam zaręczona.

Wspomnienie Janka całkowicie mnie otrzeźwiło. Zapragnęłam nagle powiedzieć o nim Białemu, żeby nie było żadnych nieporozumień. By nie pozwolić mu na złudzenia.

– Mogę cię o coś spytać? – zagadnęłam, jakby tknięta nagłą myślą.

– O co tylko zechcesz.

– Znasz kogoś, kto zniknął we wrześniu?

– Jak to zniknął? – Biały rzucił mi nierozumiejące spojrzenie.

– Wyparował. – Zrobiłam gest jak magik nad kapeluszem.

– Umarł? Wzięli go do obozu?

– Nic z tych rzeczy. – Zniecierpliwiłam się. – Był wraz ze swoim oddziałem i nagle go nie było, ani wśród żywych, ani wśród umarłych.

– I nikt niczego nie zauważył? Nie ma o nim żadnych wieści?

Pokręciłam głową.

– Nie – przyznał po chwili namysłu. – Chyba nie słyszałem o takim przypadku. Ludzie nie znikają. Zawsze znajdzie się ktoś, kto coś wie, widział. Popytali w okolicy?

Skinęłam.

– To był ktoś ważny? – spytał ostrożnie.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy. Czułam, że przygląda mi się w wielkim skupieniu. Nagle naszła mnie ochota, by zrezygnować z powziętego uprzednio zamiaru. Zaraz jednak na powrót ukłuło mnie poczucie winy.

– Mój narzeczonny – wyznałam pospiesznie.

– Nie wiedziałem, że masz narzeczonego. – Biały sięgnął po pustą już szklanę, zajrzał na dno, po czym odstawił naczynie.

– W tych czasach im mniej wiemy o sobie nawzajem, tym lepiej.

– Święte słowa. – Próbował się uśmiechnąć, przywrócić żartobliwą, przyjazną atmosferę, ale nic z tego nie wyszło. Dobry nastrój prysł.

Przywołał kelnera i zapłacił rachunek, zostawiając odpowiedni napiwek.

– To do zobaczenia jutro – rzekł, gdy znaleźliśmy się na skąpanej w słońcu ulicy.

– Będziesz tam? – zdziwiłam się.

– Przyjechałem tu specjalnie dla ciebie – rzucił, ale zabrzmiało to dziwnie smutno. – Przynajmniej na początku ktoś musi cię osłaniać.

– Biały... – zaczęłam, ale tak naprawdę nie miałam mu nic do powiedzenia.

– Serwus! – odpowiedział po polsku i zniknął za rogiem.

Kasyno mieściło się na parterze niezbyt okazałej dwupiętrowej willi. Wstęp mieli jedynie zaproszeni goście. Przed drzwiami wejściowymi przy wysokim pulpicie stał pracownik kasyna ubrany we frak, śnieżnobiałą koszulę i lśniące pantofle. Przypominał raczej dyrygenta kierującego orkiestrą niż srogiego cerbera strzegącego wejścia do piekieł. Uśmiechał się serdecznie do każdego, kłaniał się w pas co znaczniejszym osobistościom, które natychmiast rozpoznawał i w podziwu godnym tempie odnajdował na jednej z leżących przed nim list nazwisko okazującego zaproszenie.

– Życzę miłego wieczoru, panno Köhler – odezwał się śpiewnie i rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

Skinęłam mu głową i weszłam do środka, usiłując za wszelką cenę nie przyspieszyć kroku. Gnący się w ukłonach służący hotelowy odebrał ode mnie futro. Stałam przed wielkim kryształowym lustrem w złoconej ramie. Zerknęłam na swoje odbicie. Wiedziałam, że to ja, a jednak patrzyłam na kogoś całkiem innego. Przycięte do ramion rozjaśnione włosy ułożone według obowiązującej mody w miękkie fale, mocniej zarysowane brwi, rzęsy podkreślone starannie czarnym tuszem, usta obrysowane konturówką i pomalowane lśniącą czerwoną szminką. Obrzuciłam wzrokiem całą postać w obcisłej, ciągnącej się po ziemi sukni, która zdawała się opływać bujne piersi, wąską talię i przyjemnie zaokrąglone biodra niczym woda. Miałam wrażenie, że widzę tę kobietę

po raz pierwszy w życiu. Była olśniewająca, ale zupełnie obca. To spostrzeżenie wprawiło mnie w dziwny nastrój. Ogarnął mnie strach, że wszyscy wyczują fałsz.

Okna zasłonięto szczelnie ciężkimi kotarami sięgającymi samej ziemi, które bardziej przypominały kurtyny teatralne niż zwyczajne zasłony.

Pod sufitem pysznił się olbrzymi kryształowy żyrandol, którego światło odbijało się w zawieszonych na ścianach wielkich lustrach. Farba na ramie części z nich łuszczyła się nieznacznie. Zastanawiałam się, czy jest to celowy zabieg mający przydać im lat, czy zaniedbanie wskazujące na nie najwyższej klasy lokal.

Mężczyźni wpatrywali się we mnie mniej lub bardziej dyskretnie.

Czułam, że rumienię się pod wpływem tych spojrzeń, ale ku własnemu zdumieniu odkryłam, że wcale nie krępuje mnie to tak, jak się tego obawiałam. Przeciwnie, ich podziw mi schlebiał, sprawiał przyjemność, jakiej nie doświadczyłam nigdy przedtem. To chyba wówczas po raz pierwszy naprawdę poczułam się pożądaną kobietą i choć jeszcze nie rozumiałam, co dokładnie się dzieje, wypełniła mnie płynąca z tego faktu siła. W jednej chwili przestałam się bać. Oni widzieli tylko moją ponętą figurę, długie nogi, raz po raz wychylające się dyskretnie z rozcięcia sukni, zgrabnie ufryzowane lśniąco loki, rzęsy okalające wielkie oczy i pełne usta. Rozkwitłam i nagle w pełni to sobie uświadomiłam. Poczulałam własną siłę, władzę, jaką miałam nad tymi wszystkimi mężczyznami wpatrującymi się we mnie z cielecym zachwytem.

Ściągnęłam mocniej łopatki i ruszyłam dalej. Ciągająca się po ziemi suknia migotała jak skrzący się w promieniach słońca śnieg.

Wyglądałam zjawiskowo i wiedziałam to. Widziałam to w ich oczach.

– Co podać, madame? – spytał kelner, który nieoczekiwanie zmaterializował się tuż przy mnie.

Uśmiechnęłam się szeroko.

– Nie, tylko nie „madame” – odezwałam się niskim głosem, który wszyscy zapewne wzięli za ton uwodzicielki, nie wiedząc, że usiłuję tylko nie zdradzić targających mną emocji. – „Mademoiselle”.

Kelner skłonił się z galanterią.

– Co podać, mademoiselle?

– Szampana z truskawkami, rzecz jasna – usłyszałam za sobą głęboki męski głos.

Odwróciłam się i zobaczyłam wysokiego mężczyznę w mundurze.

Błyskawice – przemknęło mi przez myśl. Czułam, jak drżą mi nogi. – Schutzstaffel, w skrócie: SS.

– A dla pana, herr obersturmbannführer?

Jego poufały ton świadczył wyraźnie, że wojskowy musiał być tu stałym bywalcem.

– To samo – odparł nieznajomy, podnosząc pustą już szklanekę.

– Oczywiście – rzucił przymilnie kelner i zostawił nas samych.

– Skoro wiem już, że nie jest pani mężatką, mademoiselle... – zaczął, przybliżając się do mnie tak, że poczułam gorzkawy zapach pomarańczy jego wody po goleniu. Z trudem zwalczyłam pragnienie cofnięcia się. Nigdy wcześniej nie byłam tak blisko nieznajomego mężczyzny. – ... sądzę, że powinniśmy się poznać. Obersturmbannführer Hans Flogger, do usług.

Gdy podałam mu dłoń, byłam niemal pewna, że usłyszałam dudnienie serca w mojej piersi.

– Do usług? – powtórzyłam powoli, zastanawiając się, co mówić dalej. Nie przygotowano mnie na podobne sytuacje. Wiedziałam, jak się zachować, jak przyciągać wzrok, hipnotyzować spojrzeniem, ale miałam jedynie nikłe pojęcie o tym, jak rozmawiać z mężczyznami. Nie zdążyłam nawet przyjrzeć się innym kobietom czy podsłuchać, o czym one z nimi dyskutują.

Ku mojemu zdumieniu to nic niewnoszące pytanie wystarczyło. Hans Flogger jakby tylko na to czekał.

– Cokolwiek pani zechce – odparł.

Zachichotałam, bo absurdalność tej sytuacji naprawdę mnie rozbawiła. Ten esesman był wyraźnie przekonany, że z nim flirtuję. Musiał wziąć mnie za naiwną słodką głuptaszkę, bo uśmiechnął się jeszcze szerzej, tak że w prawym policzku pojawił mu się dołeczek. Chcąc nie chcąc musiałam przyznać, że dodawał mu urody.

– Nie tak prędko – zaszczebiotałam zbyt wysoko. – Dopełnijmy najpierw prezentacji. Leni Köhler.

Ujął moją dłoń, pochylił się i nie spuszczać ze mnie wzroku, pocałował mnie w rękę. Rozkoszny dreszcz przeszył całe moje ciało.

Natychmiast opadły mnie wyrzuty sumienia. Co ty wyprawiasz? – zapytywałam samą siebie. – Jesteś żołnierzem. Skup się na zadaniu.

– Bardzo miło mi panią poznać, panno Köhler – rzekł, nie wypuszczając mojej ręki.

– Mnie również. – Wysunęłam powoli dłoń spomiędzy jego palców i rozejrzałam się po sali, byle na niego nie patrzeć. – Równie miło byłoby napić się szampana, ale kelner najwyraźniej o nas zapomniał.

– Proszę mi wierzyć, nie zapomniał – zapewnił Flogger. – O pani nie da się zapomnieć, gdy raz się ją ujrzało, a ja daję dostatecznie duże napiwki.

W podziękę za komplement obdarzyłam go promiennym uśmiechem. W rzeczywistości ucieszyłam się, że rozmowa zmierzała w interesującym mnie kierunku. Postanowiłam wykorzystać tę szansę.

– Wnioskuje zatem, że często pan tu bywa, herr Flogger? – zapytałam od niechcena.

– W każdy piątek, jeśli jestem w mieście – odparł.

– Wspaniale! – Klasnęłam w dłonie. – Może zechce pan zatem zostać moim nauczycielem i wyjaśnić mi zasady gry w ruletkę. Kiedyś przez

chwilę przyglądałam się temu wszystkiemu, ale przyznam szczerze, że zupełnie nie rozumiem na przykład, dlaczego ktoś wygrywa, choć nie wypada liczba, na którą postawił żetony.

Hans Flogger uśmiechnął się pobłaźliwie. Miałam tylko nadzieję, że to skrajnie niemądre pytanie nie wzbudzi jego podejrzeń.

– Zapewne obstawiali kolor – wyjaśnił tonem mędrca.

– Kolor? – spytałam i zatrzepotałam rzęsami.

Z jednej strony czułam się niedorzecznie i naprawdę nie potrafiłam pojąć, jak ten dojrzały i z pewnością doświadczony mężczyzna może nie rozumieć, że moje zachowanie to tylko gra. Z drugiej strony jakaś częśćka mnie doskonale się przy tym bawiła. Cieszyło mnie to, że tak łatwo przychodzi mi odgrywanie roli, mimo iż wiedziałam rzecz jasna, że ruletkę w jej obecnym kształcie wymyślił Blaise Pascal, eksperymentując z rachunkiem prawdopodobieństwa.

– Pani pozwoli. – Obersturmbannführer ujął delikatnie moją dłoń, złożył na swoim przedramieniu i poprowadził mnie do stolika, przy którym krupier właśnie wprawiał w ruch obrotowy koło ruletki. – Proszę spojrzeć – rzekł Flogger. Stał za mną, tak blisko, że czułam bijące od jego dłoni ciepło na swoich nagich plecach. – Na tarczy w czerwone i czarne pola wpisane są kolejne liczby.

– Mhm – mruknęłam z nadzieją, że zabrzmiało to wystarczająco zmysłowo.

– Grający obstawiają, a ich wygrana zależy nie tylko od tego, co wypadło, ale także od rodzaju zakładu. Mogą grać na kolory albo na kombinacje, obstawiać liczby parzyste albo nieparzyste. Możliwości jest mnóstwo.

– A zero? – spytałam, usiłując jednocześnie sobie przypomnieć, kim był Louis Blanc, któremu, jak pamiętałam, zawdzięczano dołączenie zera do ruletki Pascala. – Dlaczego ma inny kolor?

– Zero rządzi się swoimi prawami... – zaczął, lecz w tej chwili przystanął przy nas kelner, niosąc tacę z napojami.

– Podać do stolika? – zapytał.

Flogger skinął głową i natychmiast zapomniał o ruletce. Wskazał na miejsce w przeciwległym rogu sali, zakątek idealny do intymnych rozmów i nie tylko. Zmarszczyłam nos jak rozkapryszone dziecko, choć w rzeczywistości poczułam, że żołądek zaciska mi się ze strachu.

– Coś nie tak? – zapytał natychmiast esesman.

– Może usiądziemy bliżej sceny? – zasugerowałam, posyłając mu powłóczyście spojrzenie. – Posłuchamy muzyki...

– Pani życzenie jest dla mnie rozkazem, mademoiselle.

Znów podał mi ramię i tym razem poprowadził do stolika nieopodal orkiestronu. Rozglądałam się z zaciekawieniem po wnętrzu, przypatrywałam się kobietom i mężczyznom, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Sączyliśmy napoje, kołysząc się w rytm muzyki i raz po raz wymieniając jakieś niezobowiązujące uwagi. Cieszyłam się, że bliskość orkiestry nie pozwalała na prowadzenie poważniejszej rozmowy. Nie wiedziałam jeszcze, jak długo udałoby mi się nie wypaść z roli. Z każdą chwilą czułam się coraz bardziej zmęczona.

– Zatańczymy? – spytał Flogger, gdy zagrano *Lili Marleen*. – To mój ulubiony szlagier.

Ochoczo pokiwałam głową. Gdy byliśmy już na parkiecie, jedną ręką objął mnie w tali, drugą ujął moją dłoń.

Podczas refrenu jego ręka przesunęła się w dół moich pleców.

– Herr Flogger – szepnęłam z teatralnym oburzeniem, choć krew tętniła mi w skroniach.

– Proszę o wybaczenie – odparł, uśmiechając się lubieżnie, i nim jego dłoń wróciła na moje plecy, zacisnął lekko palce na moich pośladkach. – Zapominam się w tańcu.

Te słowa... Nagle wróciły do mnie obrazy ostatniego przedwojennego lata, potańcówki nad Wisłą, gdy Janek trzymał mnie w ramionach. „Zapominam się w tańcu” – rzekł, całując mnie w obojczyk.

„Zapominam się przy tobie” – mruknął, a potem do końca piosenki szeptał mi do ucha słowa miłości, których nikt inny nie mógł usłyszeć.

Nie potrafiłam zapanować nad uczuciami, które we mnie teraz wezbrały. Byłam gotowa na wiele, ale nie na starcie ze wspomnieniami. Poczulałam mdłości. Czym innym były teoretyczne rozważania, lekcje z Antygoną, ćwiczenie teatralnych zachowań, czym innym ręka prawie nieznanego mężczyzny, esesmana, błędząca po moim ciele.

Wyszarpnęłam dłoń z uścisku.

– Przepraszam... – wymamrotałam. – Coś... coś musiało mi zaszkodzić.

Nie czekając na odpowiedź, szybkim krokiem wyszłam z sali. Pospieszyłam do gotowalni, gdzie przy specjalnie oświetlonych stoliczkach kobiety mogły poprawić urodę w trakcie wieczoru. Wpadłam do jednej w kabin, osunęłam się na podłogę i rozpaczliwie usiłowałam złapać powietrze. Nie byłam pewna, czy poradzę sobie z tym zadaniem. Wydawało mi się, że po naukach Antyfony jestem gotowa, ale nie byłam. W dodatku zaczęłam bać się samej siebie i tego, że jak przed chwilą niemal zatracę się w odgrywanej roli.

Kim była ta dziewczyna, której flirtowanie z esesmanem sprawiło przyjemność? Nie poznawałam jej.

– Dobrze ci poszło w kasynie – pochwalił mnie Biały, gdy dwa dni później spotkaliśmy się w salonie u Antygony.

Kobieta postawiła przed nami dwie szklanki z herbatą.

– Dziś musicie się obejść beze mnie – rzuciła i wyszła, zostawiając nas samych na zapleczu. Tego dnia w jej salonie panował wyjątkowy ruch.

– Nie drwij ze mnie – poprosiłam poirytowana. – Byłeś tam. Widziałeś, jak uciekałam.

– Doszły mnie słuchy, że herr Flogger następnego ranka przysłał ci do pracy bukiet kwiatów. – Splótł przed sobą palce rąk.

– Śledzisz mnie?

– Powiedzmy, że uważnie obserwuję – odparł, uśmiechając się krzepiąco.

Cieszyłam się, że tu był. Dzięki Antygonie czułam się w Litzmannstadt nieco mniej obco. Biały był jednak kimś więcej, jakby łącznikiem między dwoma światami, tym wykreowanym i tamtym prawdziwym, w Warszawie. Teraz jednak mogłam myśleć tylko o zadaniu, któremu nie sprostalam i o całym wachlarzu uczuć, których doświadczyłam tamtego wieczoru. Wciąż miałam z ich powodu mętlik w głowie.

– Uciekałam – powtórzyłam.

– Co było bardzo naturalne i jak się okazuje, intrygujące. Tacy jak on uwielbiają polowania.

– Biały... – zaczęłam z wahaniem. – Ja nie wiem... Myślałam, że się do tego nadaję, ale...

– Doskonale się nadajesz – wpadł mi w słowo. – Pułkownik Jawor powiedziałby to samo. Flogger nie miał cienia wątpliwości, że jesteś Niemką.

– Nie wiem, czy potrafię...

– Wykonując misje, każdy z nas odczuwa dyskomfort na różnych płaszczyznach, wierz mi – zapewnił. – Myślisz, że ja czuję się dobrze, usługując esesmanom, którym najchętniej poderzwałbym gardło?

Pokręciłam głową.

– Każde z nas ma do wykonania jakieś zadanie dla wspólnego dobra. Dla Sprawy. Dla zwycięstwa Polski. Musisz ciągle widzieć cel. Mieć go stale przed oczami. Kontakt z Floggerem jest w tym momencie kluczowy. Musisz zrobić wszystko, żeby był tobą zainteresowany.

Słowo „wszystko” odbiło się donośnym echem w mojej głowie. Żołądek zacisnął mi się ze strachu.

– A jeśli nie dam rady? – wykrztusiłam.

– Dasz – zapewnił z mocą. – Wiem, co widziałem.

Nie wiesz wszystkiego, nie widziałeś całej prawdy – pragnęłam wykrzyknąć. – Nie widziałeś mojego strachu. Nie widziałeś zagubienia.

Zacisnęłam mocno usta.

Podczas kolejnego spotkania, potańcówki w luksusowym hotelu, Flogger zachowywał się tak, jakbym była jego własnością. Mocno obejmował mnie w pasie i przyciskał do siebie tak, że brakowało mi tchu. Szampan lał się strumieniami. Piłam, byle zapobiec mdłościom, które podchodziły mi do gardła, ilekroć przez cienki materiał czułam na udzie jego nabrzmiałą męskość.

Bąbelki uderzały mi do głowy. Świat wokół mnie wirował. Strach zniknął. W ogóle przestałam myśleć. Tańczyłam z zapalem. Śmiałam się głośno. Wychylałam kolejne kieliszki. Wreszcie pozwoliłam się poprowadzić do apartamentu na piętrze. Po drodze zgubiłam gdzieś pantofle. Stałam boso na środku eleganckiego pokoju. Oddychałam ciężko, policzki miałam zaczerwienione od alkoholu i tańca, krew tętniła mi w skroniach. Jakiś cichy głos ostrzegał, że powinnam jak najszybciej stąd odejść, ale nie zdążyłam go posłuchać. Flogger jednym ruchem pchnął mnie na wielkie łóżko. Poczułam pod plecami chłód gładkiego atlasu, z którego uszyta była narzuta, a potem ciężar opadającego na mnie mężczyzny.

– Jesteś taka piękna, Leni – wyszeptał mi do ucha, a jego dłoń powędrowała wzdłuż mojej nogi, podciągając suknię. – Taka piękna.

Zamarłam. Dotarła do mnie cała groza sytuacji, w której się znalazłam, mimo to się nie poruszyłam. Leżałam jak sparaliżowana z szeroko otwartymi oczami. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Milczałam, gdy brutalnie wcisnął we mnie coś twardego. Milczałam, gdy poruszał się coraz szybciej, oddychając chrapliwie. Milczałam, gdy żyła na jego czole pulsowała, a rysy stężały. Milczałam, gdy moje wnętrze wypełniło się czymś ciepłym.

Flogger jęknął. Zsunął się ze mnie, opadł na materac i zasnął. Nie poruszyłam się. Nic nie czułam. Ani strachu, ani bólu. Nic. Jakby ktoś jednym cięciem odłączył mnie ode mnie samej.

W końcu i ja zasnęłam, a gdy się obudziłam, Floggera nie było w pokoju. Jak w transie wstałam, obciągnęłam sukienkę, poprawiłam włosy. Dygotałam jak w febrze. Na okrągłym stoliku stała kryształowa karafka wypełniona żółtawym płynem. Nalałam sobie pełną szklanekę i wychyliłam do dna, a potem jeszcze jedną. Drzenie ustało.

Boso wróciłam do mieszkania. Dopiero tam rozebrałam się, umyłam i przebrałam, po czym jak co dzień wyszłam do pracy. Moja głowa była całkowicie pusta. Wiedziałam jedynie, że stałam się kimś innym. Zupełnie obcym dla samej siebie.

Po wspólnie spędzonej nocy Flogger został niespodziewanie wezwany do Berlina, o czym poinformował mnie w bileciku dołączonym do podłużnego pudełeczka dostarczonego mi do biura kolejnego ranka. Odetchnęłam z ulgą. Nie potrafiłam sobie poradzić z tym, co się stało. Nie wiedziałam jak miałabym na niego spojrzeć, rozmawiać z nim, jak się zachować. Czułam się zbrukana, uszkodzona, jakbym utraciła coś bardzo ważnego.

Antygona miała rację. Powinnam była lepiej się przygotować. Przeżyć ten pierwszy raz z kimś choć trochę bliskim. Może wtedy nie czułabym się tak okropnie. Patrzyłam na lśniący łańcuszek bransoletki i z trudem powstrzymywałam mdłości.

Następne tygodnie pamiętam jak przez mgłę. Kolejne rozkazy, ważne kontakty, sprawdzanie poszczególnych osób, rauty, bale, wizyty w teatrach, obiady, kolacje i śniadania. Co wieczór inne ręce wodzące po moim ciele, obce usta muskające moją szyję. Przełykałam łzy i poczucie krzywdy. Zresztą czy można skrzywdzić kogoś takiego jak ja? Sama chciałam. Sama zgłosiłam się do akcji. Nikt do niczego mnie przecież nie zmuszał. Tańczyłam, głośno się śmiałam, piłam szampana, by szum krwi w głowie zagłuszył wyrzuty sumienia i obrzydzenie do samej siebie. Pełne podziwu spojrzenia nie sprawiały mi już takiej przyjemności jak tamtego pierwszego wieczoru. Byłam coraz bardziej zmęczona, brudna i lepka. Święciłam triumfy na salonach i czułam się nic niewarta. Gasłam.

Byłam niemal pewna, że Biały zniknął. Nie pojawiał się dłuższy czas, nie próbował nawiązać ze mną kontaktu. Na początku niepokoiło mnie to, zastanawiało, ale szybko zobojętniałam. Dlaczego miałabym przejmować się losem kogoś, kto bez skrpułów wepchnął mnie w ramiona wroga?

Szłam Piotrkowską. Partery kamienic niemal całkowicie przesłaniała kompozycja zieleni koron drzew i czerwieni ogromnych płacht ze swastykami. Gdy środkiem ulicy przejechał tramwaj, poczułam szarpnięcie za rękaw. Ktoś wciągnął mnie w pobliskie podwórko.

– Biały... – wymamrotałam, gdy rozpoznałam stojącego przede mną mężczyznę.

– Mam mało czasu – rzucił bez słowa przywitania czy wyjaśnienia.

Przygryzłam wargę, żeby powstrzymać cisnące mi się do oczu łzy.

– Podobno Flogger wrócił? – zapytał Biały.

Skinęłam głową.

– Zaprosił cię na koncert pieśni żołnierskiej organizowany w kasynie z okazji Oktoberfestu?

Znów przytaknęłam, wciąż na niego nie patrząc. Bałam się, że gdybym spojrzała mu w oczy, domyśliłby się wszystkiego. A może i tak już wiedział? Może tak jak Antygona od początku podejrzewał, że taki właśnie był plan Floggera wobec mnie?

Biały sięgnął do kieszeni i wyjął niewielką fotografię.

– To twoje kolejne, kto wie, czy nie najważniejsze zadanie – oznajmił, podając mi kartonik. – Obersturmbannführer Karl Thümmeler. Według naszych informatorów ma się pojawić na tym koncercie.

Skonfundowana spojrzałam na zdjęcie i wstrzymałam oddech. Esesman, z którym miałam nawiązać kontakt, był niemal wierną kopią mojego młodzieńczego ideału mężczyzny. Patrzyłam na sobowtóra Franciszka Brodniewicza, tyle że zamiast w prążkowany garnitur i białą koszulę z krawatem ten ubrany był w mundur, który zaprojektował Hugo Boss.

– Zapamiętałaś? – spytał.

Jak mogłabym zapomnieć? – cisnęło mi się na usta, ale w porę zmilczałam. Skinęłam głową.

– Doskonale – rzekł bez cienia życzliwości w głosie, chowając fotografię. Jego stosunek do mnie uległ wyraźnej zmianie. – Według naszych ustaleń będzie na koncercie i na raucie po nim, na który z pewnością zabierze cię Flogger. Uwielbia towarzystwo pięknych kobiet, którymi można pochwalić się przed kolegami jak nowym

samochodem czy rasowym koniem wyścigowym, a ty jesteś ostatnio wysoko w klasyfikacji.

Zrobiło mi się słabo. Skrzywiłam się, ale on nie zareagował.

– Karl Thümmler jest inny – rzeczowo wrócił do tematu Biały. – To nie jest jakiś tam pierwszy lepszy durny szkop. Jest bystry i przebiegły, wyczuje najłżejszy fałsz. Musisz zachować szczególną ostrożność. Tacy jak on to niebezpieczne typy.

– Lecz, jak się domyślam, zarazem wysoce użyteczne.

Biały potwierdził skinieniem.

– Jest bliskim współpracownikiem Friedricha Panzingera, kierownika Grupy IV A – wyjaśnił.

– Nic mi to nie mówi.

– To ta część Gestapo, w której siedzą gnidy zajmujące się zwalczaniem ruchu oporu.

Otworzyłam szeroko oczy.

– Czy dobrze rozumiem, że mam śledzić śledzącego?

– Najciemniej pod latarnią – stwierdził sentencjonalnie Biały.

– Posyłacie mnie w paszczę lwa – zauważyłam. – Nie lepiej nadałby się do tego ktoś nieco bardziej doświadczony w pracy wywiadowczej?

– Nie znam nikogo, kto lepiej mógłby sobie poradzić z tym zadaniem.

– A czemuż to, jeśli można wiedzieć? – spytałam, spodziewając się kolejnego komplementu w rzeczywistości wcale nim niebędącego.

– Tak się składa, że nie mamy na pokładzie żadnej innej szachistki – rzekł zimnym tonem – a obersturmbannführer Karl Thümmler kocha szachy.

– Czuję, że się polubimy – zakpiłam, ale Biały się nie uśmiechnął.

– Byle nie za bardzo – uciał. Musiał wziąć moje słowa na poważnie. – Nie strać czujności.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy mówi tak dlatego, że rzeczywiście troszczy się o moje bezpieczeństwo, czy dlatego, że zauważył poruszenie, jakie wywołała we mnie ta fotografia, i powiedział to, by obrzydzić mi rywala. A może było mu wszystko jedno, co myślę i co się ze mną stanie, i tak naprawdę bał się jedynie wsypy, tego, że plan dowództwa spali na panewce.

– Nie obawiaj się – pospieszyłam z zapewnieniami. – Nie boję się ani jego, ani żadnego innego psa ze sfory Hitlera.

Porównanie musiało przypaść mu do gustu, bo kąciki jego ust uniosły się w delikatnym uśmiechu. Szybko jednak znów spoważniał.

– Nie lekceważ Karla Thümmlera.

– Nie zamierzam – odparłam stanowczo. – Planuję raczej wykorzystać go do własnych celów i może pozbawić go nieco szachowej buty. Nie pozwolę mu wygrać ani jednej partii.

– Widzę, że pułkownik Jawor naprawdę wiedział, co robi, przysyłając tu właśnie ciebie – skwitował tonem pochwały, w której pobrzmiwały jednak smutne nuty. – Niedawno wydawałaś się taka złękciona... – Odchrząknął, nim dokończył: – A teraz istna lwica.

Poczułam się tak, jakby uderzył mnie pięścią w brzuch, mimo to zachowałam kamienną twarz. Podziękowałam mu za słowa uznania szybkim skinieniem głowy.

– Dziś wracam do siebie. Antygoną ulatnia się pod koniec miesiąca – oświadczył niespodziewanie Biały. Rzuciłam mu pytające spojrzenie, ale najwyraźniej nie zamierzał wyjaśniać mi, co oznacza to sformułowanie, a ja nie zapytałam. – Zostajesz sama.

Na te słowa poczułam szarpnięcie w brzuchu. Zacisnęłam pięść i wbiłam paznokcie we wnętrze dłoni, by powstrzymać atak paniki.

– Raporty i mikrofilmy raz w tygodniu zostawiaj w kościele ewangelicko-reformowanym przy Radwańskiej. Za skrzynką na datki jest specjalna skrytka. Ktoś się z tobą skontaktuje.

– Kiedy? – wyrwało mi się.

Miałam tylko nadzieję, że nie dosłyszał czającego się za tymi słowami przerażenia.

– Kiedy nadejdzie pora – odpowiedział, niczego nie wyjaśniając. – Teraz musisz skupić się jedynie na Thümmlerze. Jeśli ci się uda, zdobędziemy nieprawdopodobną przewagę.

– A jeśli nie?

– Nie przewiduję takiej możliwości.

W mojej głowie mnożyły się pytania. Bliżej lub dalej, ale zawsze ktoś przy mnie był, czułam się częścią większej społeczności, elementem układanki podtrzymywanym i wspieranym przez pozostałe. Nie potrafiłam wyobrazić sobie sytuacji, w której miałabym działać całkiem sama, przecież tak niewiele umiałam. Nierzadko ratował mnie tupet albo łut szczęścia. W moich działaniach wciąż jeszcze mało było profesjonalizmu, a wiedziałam dobrze, że jedno niedopatrzenie, najmniejszy nawet błąd mógł mnie drogo kosztować.

– A co z Floggerem? – spytałam tknięta nagłą myślą.

– Przy Thümmlerze to płotka – oświadczył. – Nie musisz się z nim więcej spotykać.

Pociemniało mi w oczach. Zrobiłam to wszystko tylko po to, żeby tak po prostu przejść z jednych rąk do drugich.

– Jakież pytania? – rzucił mój łącznik, jakby słyszał te myśli.

Duma kazała mi zaprzeczyć. Skoro dowództwo wierzyło, że mimo wszystko sobie poradzę, nie zamierzałam okazać słabości. Chciałam udowodnić im, że się nie mylą.

– Białe?

– Tak?

– Spotkamy się jeszcze, prawda? – zapytałam nieśmiało.

– Oczywiście – zapewnił. – Jeśli nie dane będzie nam wcześniej, to po rychło skończonej wojnie.

– W Warszawie?

– W Warszawie – przytaknął. Na jego twarzy odmalowało się wahanie, którego miejsce po chwili zajęła determinacja. Wbił dłoń w kieszenie.

– Serwus! – rzucił tylko i odszedł.

Weszłam do głównej sali kasyna prowadzona pod ramię przez dumnego jak paw Hansa Floggera. Na ten wieczór włożyłam prostą czarną sukienkę całkowicie pozbawioną ozdób, mimo to czułam, jak przyciągam męskie spojrzenia.

– Żadna z kobiet nie dorównuje pani urodą – zapewnił Flogger, gdy odsuwał przede mną krzesło.

Uśmiechnęłam się zdawkowo. W rzeczywistości skupiona byłam na dyskretnym rozglądaniu się w poszukiwaniu mężczyzny ze zdjęcia. Po ostatniej rozmowie z Białym coś we mnie stwardniało, co przyjąłam z pewną ulgą. O wiele łatwiej było teraz znosić niechciany dotyk i pocałunki, gdy to wszystko nie miało dostępu do mojego wnętrza, nie mogło już tak ranić. Rankami z coraz większym trudem wstawałam z łóżka, wieczorem potrzebowałam coraz więcej alkoholu, by zasnąć. Modliłam się tylko, by nikt nie zorientował się, że pod tą piękną powłoką kryje się zasysająca pustka. Szukałam wzrokiem Karla Thümmlera, a dłoń Hansa Floggera bezceremonialnie zaciskała się na moim udzie.

Gdy zaczął się koncert, byłam już pewna, że Thümmler nie przyszedł, i całkiem straciłam humor. Przytakiwałam Floggerowi, odpowiadałam półsłówkami na jego pytania, a im bardziej go zbywałam, tym bardziej zdawał się mną zainteresowany.

Rozległy się brawa.

– Nareszcie – sapnął Flogger.

– Nie lubi pan pieśni zagrzewających do boju naszych chłopców? – spytałam z naciskiem na „naszych”, nieznacznie podnosząc głos, by dać wyraz swemu oburzeniu.

Flogger omal nie zakrztusił się szampanem. Nie pospieszyłam mu z pomocą. Wstałam od stolika.

– Opuszcza mnie pani? – jęknął żałośnie.

Spojrzałam na niego z wyższością.

– Zamierzam wręczyć stosowny datek – wyjaśniłam, spoglądając w kierunku miejsca przy scenie, gdzie prowadzona była kwesta na potrzeby wojska. – I panu też radzę.

Flogger ruszył za mną z nieszczęśliwą miną. Humor nieco mi się poprawił. Kolacja dla zaproszonych gości serwowana była w sali bankietowej na piętrze. Skierowaliśmy się w tamtą stronę, gdy nagle w rogu korytarza spostrzegłam dwóch mężczyzn siedzących przy stoliku do palenia cygar. Wokół nich unosiła się gęsta zasłona dymu. Na blacie pomiędzy nimi stała szachownica, ale nie to było najważniejsze. Jednym z nich był bez wątpienia Karl Thümmeler.

– Zerknijmy – zaproponowałam Floggerowi, gdy zauważyłam, że kilka osób podeszło, by obserwować partię.

– Kolacja... – zaczął.

– Mamy jeszcze czas – rzuciłam i ruszyłam ku grającym, a on rzecz jasna powlókł się za mną jak wierny kundel.

Po chwili całkiem zapomniałam o nich wszystkich. Tak dawno nie widziałam szachów, nie przyglądałam się partii! Poczułam, jakby ktoś otworzył okno i wpuścił do mojego wnętrza powiew świeżego wiosennego powietrza. Rozgrywka pochłonęła mnie bez reszty. Z transu wyrwał mnie dopiero dźwięk dzwonka zapowiadającego czas zasiadania do stołu.

– Chodźmy – powiedział Flogger i lekko pociągnął mnie za łokieć.

– Powinien pan być ostrożniejszy po utracie kontroli nad linią h – rzuciłam do Thümmlera na odchodne. – Proszę trzymać hetmana bliżej króla, inaczej nic z tego nie będzie.

To rzekłszy, odwróciłam się i odeszłam spokojnym krokiem. Atmosfera zgęstniała od wrażenia, jakie wywarły moje słowa.

Kolacja ciągnęła się w nieskończoność, jedzenie było średniej jakości, głównie tłuste mięsne potrawy. Był to czas bawarskich dożynek chmielnych – o czym poinformował mnie entuzjastycznie Flogger, który pochodził z okolic Monachium – więc zamiast wina podano piwo, za którym nie przepadałam.

Thümmler nie pojawił się na kolacji. Zaczęłam się zastanawiać, po co w ogóle przychodził do kasyna tego wieczoru, skoro nie raczył wziąć udziału w żadnym z zaplanowanych wydarzeń, a moja irytacja rosła. Gdy ku wielkiej uciechu zebranych do sali wkroczyła grupka mężczyzn w zabawnych skórzanych spodniach na szelkach i z akordeonami, stwierdziłam, że mój dalszy pobyt tutaj był bezcelowy. Postanowiłam wrócić do domu. Wymówiłam się bólem głowy.

– Znów mi pani ucieka – rzekł Flogger, choć czułam, że duża ilość wypitego piwa i przyśpiewki z rodzimych stron nieco łagodziły jego żal.

– Przeciwnie, daję panu szansę, by mnie gonić – odparłam, posyłając mu pociągłe spojrzenie. – Mężczyzna taki jak pan z pewnością lubi polowania – powtórzyłam słowa Białego.

Podniosłam dłoń i pozwoliłam mu złożyć na niej soczysty pocałunek. Już z korytarza obserwowałam, jak wraca do stolika, lekko się zataczając. Upojony piwem i szczęściem. Zbierało mi się na mdłości.

Pragnęłam jak najszybciej znaleźć się we własnym pokoju, ale zadanie to okazało się trudniejsze, niż się spodziewałam. Planowałam przejść pieszo kawałek miasta dzielący kasyno od mojej kamienicy, ciepłego pokoju i własnego łóżka. Tymczasem gdy stanęłam w drzwiach hitlerowskiej jaskini hazardu i innych uciech, lunął deszcz. Nie był to drobny deszczyk ani nawet ulewa, ale oberwanie chmury. Zza kurtyny wody nie dało się dostrzec nawet światła najbliższej latarni. Deszcz ogłuszająco dudnił o szyby, a mimo to i tu słychać było dźwięki akordeonu. Pokręciłam z niedowierzaniem głową.

Nagle stanął przede mną Karl Thümmler.

– Pani tutaj? – zapytał z udawanym zaskoczeniem, strzepując wodę z szerokiego parasola.

– Co za zbieg okoliczności – zakpiłam. Byłam pewna, że na mnie czekał.

Uśmiechnął się drapieżnie.

– Wygrała pani – oświadczył. – Tak, czekałem na panią.

Wzdrygnęłam się. Skąd wiedział, że wyjdę sama?

– Śledzi mnie pan? – zapytałam wreszcie, starając się, by w moim głosie wybrzmiały i kokieteria, i stosowne do sytuacji oburzenie.

– Powiedzmy, że Gestapo wie wszystko – odparł.

Westchnęłam teatralnie, choć w tych okolicznościach odgrywanie roli przychodziło mi z dużym trudem. Zastanawiałam się, czy nie przyjechał tu, by mnie aresztować, ale czy wówczas tak nieskrępowanie by ze mną flirtował? Niepokój nie zniknął, ale rozum podpowiadał, że nic mi nie grozi, a Karl Thümmmler wrócił do kasyna ze zgoła odmiennej przyczyny.

– Pozwoli pani, że ją odprowadzę?

– W takim deszczu? – Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

– Wobec tego nie pozostaje mi nic innego jak zaprosić panią na kolację.

– Dziękuję, już jadłam.

– Czyżby? – Uniósł brwi. – Nie wygląda mi pani na miłośniczkę golonki i innych bawarskich przysmaków.

– Skąd te przypuszczenia?

– Powiedzmy, że z proporcji ciała – odparł całkiem poważnie.

Nie zdołałam powstrzymać śmiechu.

– A czym pan by mnie uraczył, gdybym przyjęła pańskie zaproszenie?

– Zabrałbym panią do restauracji w kasynie – odparł bez wahania.

– Chyba czegoś nie rozumiem – wyznałam szczerze. – Przecież właśnie stamtąd... – Ugryzłam się w język.

– ...pani uciekła?

– ...wyszłam – dokończyłam.

– Świętowanie Oktoberfestu odbywa się w sali bankietowej – wyjaśnił. – Restauracja jest z pewnością pusta. Kucharz to rodowity wiedeńczyk. W całym Litzmannstadt, ba, założę się, że w całym Warthegau, nie zje pani takiej duszonej wołowiny Tafelspitz czy sznycla wiedeńskiego.

– Udało się panu narobić mi apetytu. – Roześmiałam się. – Chodźmy więc.

Mówił prawdę. W restauracji oprócz dwóch wyraźnie znudzonych kelnerów nie było nikogo. Zajęliśmy stolik przy oknie. Po szybach spływały strugi wody. Złożyliśmy zamówienie i zaczęliśmy rozmawiać, jakbyśmy znali się od dawna. Najpierw o szachach, potem o wszystkim innym.

– Ile pani właściwie ma lat? – zapytał nagle, mrużąc oczy.

– Nie nauczono pana kultury? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

– Nie wie pan, że pytanie kobiet o wiek jest wysoce niestosowne?

– Być może – odparł. – Ale równie niestosowne jest chyba zalecanie się do zbyt młodej kobiety, jakkolwiek fascynująca by się wydawała.

Poczułam, że się czerwienię. Blask świec, doskonale wino reńskie, niebieskie oczy wpatrujące się we mnie tak intensywnie – to wszystko zanadto uderzyło mi do głowy.

– Osiemnaście – rzucił lekkim tonem. – Wspaniały wiek. Młodość w rozkwicie.

Zimny dreszcz przebiegł mi wzdłuż kręgosłupa, a serce podeszło do gardła. Strach znów we mnie zawibrował. Tysiące pytań rozdzwoniło się w mojej głowie. Jak głęboko sięgały macki Gestapo? Czy rzeczywiście wiedzieli wszystko?

– Proszę nie zaprzeczać – polecił mi, wciąż się uśmiechając. – Wiem, że miała pani w tym roku ważne urodziny.

– Skąd... – wykrztusiłam, a potem położyłam dłoń na piersi, jakby coś utknęło mi w gardle. Odchrząknęłam. – Skąd pan wie?

– Już pani mówiłem, Gestapo wie wszystko.

Nie czekając na kelnera, sięgnął po butelkę wina i napełnił nam kieliszki.

– Sądzę, że na wszelki wypadek powinniśmy wznieść toast z tej okazji – zaproponował. – Pełnoletnim staje się człowiek tylko raz.

Uniosłam kieliszek.

– Za młodość – powiedział.

– Za młodość – powtórzyłam.

– Skoro wyjaśniliśmy sobie najważniejsze rzeczy – powiedział, opierając się wygodnie na krześle i unosząc kieliszek do ust – proszę mi opowiedzieć, jak to było z tym pani odznaczeniem od Ministra Rzeszy do spraw Nauki, Wychowania i Wykształcenia. Bardzo chciałbym usłyszeć tę historię bezpośrednio od pani.

Zachichotałam i upiłam łyk wina, a potem jeszcze jeden – większy, starając się jakoś uciszyć gonitwę myśli. To nie był czas na analizę. Teraz musiałam grać dalej z nadzieją, że uda mi się przynajmniej zremisować w tej partii.

Mówiłam zajmująco, długo i barwnie. Karl słuchał uważnie. Kilka razy się uśmiechnął, ale szybko poważniał. Chłonał każde moje słowo, lecz zdawało mi się, że równie mocno chłonie moją obecność. Próbowałam sobie wmawiać, że intensywność jego spojrzenia mnie krępuje, ale to nie była prawda. Nic nie mogłam poradzić na to, że jego atencja w jakiś sposób mi schlebiała. Byłam młoda, zbyt młoda, żeby pozostać niewzruszoną na podobne wrażenia. Przyłapałam się nawet na tym, że nieco przeinaczam fakty, by jeszcze bardziej się mu przypodobać.

– Zatem lubi pani książki?

– Lubię w życiu trzy rzeczy – wyznałam szczerze, odstawiając pusty już kieliszek. Szampan wprawiał moje wnętrze w przyjemny dygot. Dziwiłam się temu, ale chciałam rozmawiać, flirtować, bawić się, czuć się młoda i beztroska. Ani na moment jednak nie zapomniałam się zupełnie. Widziałam wyraźnie granicę, której pod żadnym pozorem nie mogłam przekroczyć.

– Wolno mi spytać jakie?

– Książki – oznajmiłam, co skwitował skinieniem i pomrukiem aprobaty – matematykę i szachy.

– A mężczyzn? – zapytał głosem, od którego brzmienia stopiłam się jak wosk.

– Wolę matematykę – odparłam przekornie. Serce dudniło mi jak oszałałe, ale zdołałam to ukryć. Nie spuściłam wzroku, nie okazałam onieśmienia. Znów czułam się żywa, oddychałam pełną piersią, śmiałam się naprawdę i tylko to się dla mnie w tej chwili liczyło. – Jest bardziej... przewidywalna.

Wybuchnął śmiechem.

– Ma pani dość nietypowe upodobania jak na młodą kobietę – stwierdził rozbawiony.

– A mnie się zdawało, że odkąd kobiety zdobywają nagrody Nobla i zostają profesorami na najważniejszych uczelniach świata, skończyła się już era upodobań typowych i nietypowych? – wypaliłam.

Jako zagorzały zwolennik Hitlera zapewne popierał także kwestie polityki płci. Karl spoważniał i zmarszczył brwi. Zrozumiałam, że przeciągnęłam strunę. Zacisnęłam usta. To był dla mnie szczególnie drażliwy temat. Dwudziesty wiek, a wciąż takie zacofanie umysłowe. Za każdym razem to samo. Kobiety lekarze może i nie dziwiły tak jak dawniej, ale kobieta matematyk? Kryptografka w konspiracyjnej armii? O nie, to nie mieściło się w głowach dowódców, było już przekroczeniem jakiejś granicy. Wiedziałam, że niepotrzebnie dałam się ponieść emocjom.

Idiotka, wymyślałam sobie.

Odwróciłam wzrok, nagle szalenie zainteresowana wystrojem restauracji. Zdażyłam już policzyć pojedyncze kryształki na ozdobnych kinkietach wiszących po obu stronach okien, a milczenie się przedłużało. Szybko otrzeźwiałam. Teraz wyrzucałam sobie własną lekkomyślność. Przecież miałam zdobyć jego względy, przypodobać mu się, zbudować zaufanie, tak by z czasem móc wydobywać od niego informacje przydatne dla organizacji. Dlaczego nie mogłam trzymać języka za zębami i grać słodkiej, naiwnej istoty? Paniutki marzącej o rodzeniu

dzieci dla Hitlera? Wystarczyło powtarzać zdania Agnes, które wciąż doskonale pamiętałam. Przecież to właśnie takie kobiety w filmach i książkach zwykle owijały sobie mężczyzn wokół palca.

Z trudem powstrzymałam sapnięcie zniecierpliwienia. A co, jeśli podjęłam zbyt trudne wyzwanie? Nie miałam przecież wielkiego doświadczenia z mężczyznami. W zasadzie bliżej znałam tylko trzech, ojca, brata i Janka Franka. Dwóch pierwszych się nie liczyło, byli moją rodziną, a więzy krwi to opowieść całkiem inna niż pozostałe. Z kolei Janek, mój najdroższy, ukochany narzeczony, był całkowitym przeciwieństwem człowieka, którego miałam teraz przed sobą. Janek miał serce na dłoni, był szczery i prostolinijny. Janek był światłem, a Karl Thümmler miał w sobie coś mrocznego.

Moja panika narastała. Nie wiedziałam, jak mam się teraz zachować ani co grosza, jak zachowa się on.

– Nie chciałem pani urazić. – Ku mojemu zaskoczeniu Karl odezwał się pierwszy.

Byłam przekonana, że się rozgniewał, tymczasem on najwyraźniej poczuł się niezręcznie.

– Nie uraził pan – pospieszyłam z zapewnieniem.

– Dziękuję.

Chciałam jakoś zagaić, rozbawić go, wprowadzić znów w dobry humor, ale rozmowa jakoś się nam nie kleiła. Mój dobry nastrój prysł. Pozostało wyłącznie głębokie niezadowolenie z samej siebie. Karl nadal odpowiadał na moje pytania, ja na jego, ale swoboda, która jeszcze przed chwilą była między nami, gdzieś zniknęła.

– Obawiam się, że kucharz wybrał się na pole po ziemniaki – westchnął, gdy nasza kolacja nie nadchodziła, a butelka wina była już pusta.

– Jest późna jesień, więc raczej do piwnicy – poprawiłam go.

Uśmiechnął się krzywo i znów ogarnęło mnie poczucie, że powiedziałam coś nie tak. Ciągle czułam się przy nim jak na ważnym egzaminie.

– Chciałbym jeszcze kiedyś się z panią spotkać – rzekł nieoczekiwanie.

Uniosłam brwi i uśmiechnęłam się niepewnie. Czyżbym nie popsuła wszystkiego?

– O ile herr Flogger... – zaczął, ale prędko pokręciłam głową.

– Herr Flogger to bardzo przyjemny człowiek – oznajmiłam i z niekłamaną satysfakcją odnotowałam, że czoło Thümmlera przecięła zmarszczka niezadowolenia. – Ma jednak zasadniczą wadę, która, obawiam się... jest nieuleczalna.

– Tak? – zainteresował się nagle Karl, a mars na jego czole się wygładził. – A cóż to takiego?

– Nie gra w szachy.

Od tamtej pory widywaliśmy się niemal co dzień. Karl Thümmler do tego stopnia oplątał moje myśli, że nawet nie pożegnałam się z Antygoną. Gdy otrząsnęłam się z pierwszego zachwytu bliższą znajomością z obersturmbannführerem i poszłam do zakładu kosmetycznego, na drzwiach wisiała już tabliczka, że salon został zamknięty. Zrobiło mi się niezręcznie, ale to uczucie pierzchno natychmiast, gdy znów go zobaczyłam. Przyciągał jak magnes każdą moją myśl. Był jak tlen dla ognia; gdy znikał, przygasałam, by zapłonąć, kiedy tylko się pojawiał. Oczywiście nie okazywałam tego. Starłam się dobrze odgrywać swoją rolę, postępować racjonalnie i wmawiać sobie, że tak naprawdę nic do niego nie czuję, a jednak z każdym dniem wypatrywałam go z coraz większą niecierpliwością.

– Co to? – zapytał, gdy pewnego dnia odruchowo sięgnęłam po nieśmiertelnik.

– Nic takiego – odpowiedziałam szybko.

– Jakiś sekret?

– Nie – uciełam.

Tego wieczoru zdjęłam łańcuszek i schowałam do szuflady. Wspomnienie Janka nagle stało się czymś niekomfortowym jak kamyk w bucie. Wyrzutem sumienia, które tak bardzo chciałam zagłuszyć, a przy Karlu przychodziło mi to bez większej trudności.

Rozmawialiśmy o wszystkim, najczęściej jednak o szachach. Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś, kto interesowałby się nimi równie mocno. Dzielenie wspólnej pasji było dla mnie całkiem nowym, zaskakującym i zachwycającym odkryciem. Nie byliśmy parą, raczej znajomymi, którzy z każdym dniem mieli coraz więcej wspólnych tematów. Gubiłam się we własnych uczuciach, a ciągle napięcia i nieustanna czujność sprawiały, że nie miałam możliwości zastanowić się nad tym wszystkim, przeanalizować, spróbować usłyszeć swój prawdziwy głos, Mariannę Jurasz. Czasem miałam wrażenie, że ją także zapominam. Obraz mnie samej tracił ostrość, zacierał się we mnie jak twarze matki, ojca, Ryszarda, jak postać Janka Franka. Dręczyło mnie to, że nie potrafiłam przypomnieć sobie brzmienia ich głosów. Coraz częściej jednak zapominałam też własny. Wyraźnie słyszałam za to Leni Köhler.

Po pewnym czasie nie miałam już żadnych wątpliwości. Wiedziałam, że jestem zakochana. Czułam to tak wyraźnie, jak nigdy przedtem, ale nie zamierzałam się z tym zdradzać. Był Niemcem, esesmanem, złym człowiekiem, kimś, kogo powinnam nienawidzić, a nie kochać. W dodatku był żonaty.

– Zdrajca jest zawsze przydatny – powiedział któregoś dnia z niezmaconym spokojem Karl.

Rozmawialiśmy o nieudanym zamachu na Hitlera, którego dokonał stolarz Johann Georg Elser w listopadzie 1939 roku. Sam przygotował bombę i odniósłby sukces, bo eksplozja była potężna, gdyby Führer nie skończył swego przemówienia nieco wcześniej.

– ...ale zdrajcy się nie szanuje. Tacy ludzie są po prostu przydatni, więc podtrzymuje się ich w złudzeniu, że są kimś.

– A gdy przestaną być przydatni? – odważyłam się zadać nękające mnie pytanie.

– Widzisz, Leni, szpiegów zawsze należy pozbywać się w pierwszej kolejności – odparł, a ja poczułam, jak wzdłuż kręgosłupa przebiega mi lodowaty dreszcz. – Zwykle za dużo wiedzą, by puścić ich wolno.

– Tak po prostu się ich aresztuje, choć byli po tej samej stronie barykady?

– Jak zgrabnie ujął to bodajże doktor Werner Best, „Dopóki policja wykonuje polecenia przywództwa, działa legalnie”. Każdy kiedyś przestaje być potrzebny, a kto łamie prawo, podlega karze, nieważne, po której stronie stoi i jak szlachetne pobudki nim kierowały, by to prawo przekroczyć. Nie ma od tego wyjątków.

Te słowa mną wstrząsnęły, jakbym po raz pierwszy zobaczyła jego bezwzględność, radykalizm, a przecież od początku wiedziałam, kim jest. Czy emocje aż tak mnie zaślepiły?

W połowie grudnia wracaliśmy z dansingu oficerskiego. Karl był w mundurze SS. Szłam ubrana w podarowane mi przez niego futro, rozbawiona wspierałam się na jego ramieniu, chichocząc, momentami zdecydowanie głośniej, niż przewidywała etykieta.

– Marianna? – usłyszałam czyjś głos.

Zamarłam. Przede mną stała dziewczyna. Jej wielkie oczy na tle wychudłej twarzy zdawały się jeszcze większe. Natychmiast ją rozpoznałam. To była Amelka. Nie miałam pojęcia, co robi w Łodzi. Nie obchodziło mnie to. Czułam jedynie zalewającą mnie panikę i gorączkowo rozmyślałam, jak się zachować.

– Marianno, to ty? Ten śmiech...

Karl rzucił mi pytające spojrzenie. Wzruszyłam ramionami, jakbym nie miała pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Cieszyłam się, że było ciemno i nie mógł dojrzeć wyrazu moich oczu. Pochyliłam głowę. Otworzyłam torebkę i wyjęłam z niej parę banknotów.

– Wesołych świąt zimowego przesilenia – powiedziałam po niemiecku.

Wcisnęłam pieniądze w dłoń zszokowanej Amelki, po czym ujęłam Karla pod rękę i nienaturalnie wesoła pociągnęłam go w przeciwnym kierunku.

– Kto to był? – Pytanie Karla na moment mnie zmroziło, ale nie dałam niczego po sobie poznać.

– Żebraczka – odpowiedziałam tonem, jakbym nie rozumiała sensu jego pytania. – Przecież dałam jej pieniądze... Niedługo święta. Zrobiłam coś nie tak? – spytałam lekko płaczliwie, jak dziecko skarcone, choć miało dobre intencje.

– Skąd! – zapewnił, przyciągając mnie do siebie.

– Wspaniała noc... – zaczęłam nucić melodię dawnej kolędy *Stille Nacht, heilige Nacht*, której naziści zmienili słowa, usiłując zwalczyć tradycje bożonarodzeniowe.

Aż do tej chwili ani razu nie zajrzałam do kościoła, gdzie miałam regularnie zostawiać meldunki. Tego wieczoru, wróciwszy do domu, napisałam pierwszy. Spotkanie z dawną szkolną koleżanką na jakiś czas mnie otrzeźwiło. Nie mogłam dać się ponieść uczuciom, stracić czujności.

Zaczęłam częściej wypytywać Karla o pracę, kolegów, sprawy, którym poświęcał tak dużo uwagi. Opowiadał chętnie, a ja słuchałam go z roziskrzonym wzrokiem, uważnie zapisując w pamięci fakty, godziny, daty, miejsca, nazwiska, powiązania między poszczególnymi osobami. Thümmler niczego nie podejrzewał. Zdążył nabrać do mnie zaufania. Pod tym względem nie różnił się od innych mężczyzn. Był przekonany, że wpatrzonej weń pięknej młodej kobiecie może powiedzieć wszystko.

Był piękny wiosenny dzień. Słońce świeciło mocno, jakby jemu samemu spieszyło się do lata. Tego dnia Karl po raz pierwszy zaprosił mnie do siebie.

– Moja gospodyni gotuje o wiele lepiej od znakomitej większości tutejszych kucharzy – zachęcał mnie tak długo, aż w końcu przyjąłem zaproszenie. Taka okazja mogła się prędko nie powtórzyć.

Po doskonałej kolacji piliśmy kawę, a ja zastanawiałam się, pod jakim pretekstem mogłabym pójść do jego gabinetu, by trochę się rozejrzeć. Zamierzałam poprosić go, by pokazał mi swoją biblioteczkę. Od spotkania z Amelką starałam się trzymać swoje uczucia w ryzach. Nie było to łatwe, ale robiłam, co w mojej mocy, by nie ulegać czarowi Karla. Choć działał na mnie jak narkotyk, potrafiłam sobie go odmówić, a przynajmniej tak mi się zdawało.

– Jesteś niezwykłą kobietą – oświadczył nagle tego wieczoru, wbijając we mnie roziskrzone spojrzenie.

– Ach, tak? – Uśmiechnęłam się z wystudiowaną wyniosłością.

To tylko gra, to tylko gra – powtarzałam sobie, a jednak tęsknota za czymś prawdziwie intymnym przeważała. Usiłowałam sobie wmówić, że jego słowa nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia, ale to nie była prawda. Całą sobą chłonełam każde z nich. Byłam wygłodniała, tak spragniona bliskości, że gotowa byłam sobie ją wmówić, niczym rozbitek na

bezludnej wyspie usiłujący zbudować prawdziwą, głęboką, ludzką więź z papugą – jak Robinson Crusoe.

– Nigdy wcześniej... – Urwał. – Żadna inna kobieta... – Karl miotał się, wyraźnie poszukując słów, którymi zdołałby wyrazić własne uczucia.

Poczułam się zawstydzona. Oszukiwałam go. Był oficerem SS, Niemcem ślepo wierzącym we wszystko, co mówił Hitler, człowiekiem, który bez wahania zabiłby żydowskie dziecko. Powinnam była go nienawidzić, ale nie potrafiłam. Przeciwnie, ze wszystkich sił pragnęłam do niego przynależeć.

– Kobiety zwykle ukrywają swoje myśli – ciągnął. – Ale nie ty...

Zrobiło mi się nieswojo. Chciałam go powstrzymać. Nie rozumiałam, po co mówi mi to wszystko.

– Ty jesteś prawdziwa – powiedział cicho. – I właśnie tę prawdę kocham w tobie najbardziej.

Te słowa były jak cios wymierzony prosto w serce. Kochał we mnie to, czym nie byłam.

– Karl... – szepnęłam, ale wszystko to, co tak bardzo pragnęłam mu wyznać, uwięzło mi w gardle. – Karl...

Położył mi palec na ustach.

– Nie musisz nic mówić. – Jego głos drżał z emocji. – To wszystko... to tylko słowa. Najważniejsze jest tutaj.

To powiedziawszy, ujął delikatnie moją dłoń i przyłożył do swojej piersi.

– Czujesz? – zapytał po chwili.

Skinęłam głową. Pod opuszkami palców wyraźnie wyczuwałam mocne uderzenia jego serca.

– Nie mogę dłużej się z tym kryć... Leni, jeśli tylko zechcesz, moje serce będzie należało do ciebie.

– A twoja żona? – spytałam, choć wiedziałam, że nie powinnam tego robić. Nie w tak pięknej i podniosłej chwili.

Karl się skrzywił.

– Przecież ja jej wcale nie znam – wybuchnął, rozkładając szeroko ręce. – To małżeństwo zostało zaaranżowane, gdy byłem zbyt młody, by pomyśleć o własnym szczęściu. Wydawało mi się, że jeśli zgodzę się na mariaż zaplanowany dla mnie przez rodzinę, uszczęśliwiając ich, uszczęśliwię także samego siebie. Nie wiedziałem jeszcze, czym jest miłość.

Milczałam, a jego ostatnie słowo odbijało się w mojej głowie rozkosznym echem. Nie chciałam mu przerywać. Pragnęłam, by mówił bez końca.

– Konstanze to dobra kobieta – mówił, coraz szybciej wyrzucając z siebie wyrazy, jakby go paliły i chciał się ich jak najszybciej pozbyć. – W niczym mi nie uchybiła, tylko że...

Zawiesił głos. Spojrzał na mnie, jakby myśl, która przyszła mu do głowy, była dla niego czymś całkiem nowym, zaskakującym, a jednocześnie logicznym i jedynym właściwym – jak wynik równania, nad którym zbyt długo się głowił.

– Nigdy nie czułem się przy niej tak jak przy tobie – dokończył powoli. – Leni, przy tobie... mam wrażenie, że żyję naprawdę.

Przyglądałam mu się szeroko otwartymi oczami. Bałam się odetchnąć, mrugnąć, uczynić jakikolwiek gest. Czas wstrzymał swój bieg. Świat kręcił się teraz bez nas. Były tylko jego oczy, obezwładniające mnie spojrzenie i coś gdzieś w głębi duszy, czego nie potrafiłam nazwać.

Wzdrygnęłam się. Chwila przeminęła.

– Karl, ja... – wydusiłam, kręcąc głową.

Jego twarz steżała. Wyprostował się. Znów był żołnierzem, sługą wielkiej III Rzeszy, dumnym mężczyzną. Uniósł dłoń, by zatrzymać wzbierający we mnie potok słów.

– Nie musisz nic mówić – rzucił oschle. – Wszystko jest jasne.

– Nie rozumiesz...

– Wprost przeciwnie.

– Karl, pozwól mi wytłumaczyć... – prosiłam, choć nie byłam pewna, co właściwie miałabym mu powiedzieć.

Panika drżała we mnie jak skrzydła motyla. Nie mogłam wyjawić mu prawdy. Nie chciałam dłużej kłamać. Nie potrafiłam zapanować nad sercem, które rwało się ku niemu. Nie wiedziałam tylko, czy to jest miłość, czy samotność. Byłam zbyt młoda, by potrafić to rozróżnić.

Pokręcił głową. Wstał. Ja także zerwałam się z krzesła.

– Czas na mnie – powiedziałam.

– Ma pani rację, już późno – rzekł tonem zimnym i dźwięcznym jak stal. – Dziękuję za miły wieczór.

– Proszę mnie nie odprowadzać. Sama trafię do wyjścia.

Nie próbował mnie zatrzymać.

– Do widzenia, panno Köhler – rzekł tylko.

Jakiś głos podpowiadał mi, bym padła mu w ramiona i wyplakała wszystkie łzy zagubienia w uczuciach, które do niego żywiłam.

– Do widzenia, herr Thümmel – odpowiedziałam zamiast tego.

Byłam już przed progiem, gdy usłyszałam trzaśnięcie drzwi. Nagle wszystkie więzy puściły. Straciłam nad sobą panowanie.

– Karl – szepnęłam i pobiegłam do zamkniętych drzwi sypialni. Otworzyłam je bez pukania.

Gdy stanęłam przed nim, Karl popatrzył mi głęboko w oczy. Oddech mi przyspieszył, serce zaczęło bić mocniej. Starłam się opanować, ale nikt nie przygotował mnie na to, co teraz odczuwałam. Uczono mnie przełamywać strach, własne opory, pokonywać przeszkody, ale nikt nie powiedział mi, co mam zrobić z pożądaniem.

Zadrzałam w tej jednej chwili, ogarnięta falą silnego pragnienia.

Karl podniósł dłoń i przyłożył ją do mojego policzka. Przymknęłam powieki i wtuliłam twarz w jego rękę. Chłonełam bliskość, ciepło, zapach, a fala we mnie burzyła się coraz mocniej, jakby uderzała o wybudowaną przeze mnie tamę, zza której do końca misji nie miały się przedrzeć żadne prawdziwe uczucia.

Tama pękała.

– Leni... – szepnął tak cicho, że nie byłam pewna, czy naprawdę usłyszałam jego głos, czy był to tylko szelest moich myśli.

Otworzyłam oczy. Patrzył na mnie tak intensywnie, że dreszcz przeszył całe moje ciało. Drżałam coraz mocniej, jakby ogarniała mnie gorączka.

Nigdy wcześniej nie czułam czegoś podobnego. To wszystko w niczym nie przypominało chwil bliskości z Jankiem Frankiem, tamtych nieśmiałych pocałunków, delikatnego dotyku. Nie było w tym nic gwałtownego, żadnej burzy, jedynie czułość, miękkość kropel letniego deszczu padającego w promieniach słońca. Żadnego pośpiechu, żadnego pragnienia domagającego się, by natychmiast je ugasić – całkowity spokój. Pozwalaliśmy rozwijać się temu, co było między nami, we własnym tempie, nie pospieszaliśmy dobrego czasu, mieliśmy przecież być razem przez całe życie.

Teraz były to już tylko wspomnienia, które po tych kilku latach rozłąki przyblakły. Nie wiedziałam nawet, czy Janek żyje.

Ta gorączka nie przypominała też w niczym moich stosunków z mężczyznami podczas ostatnich miesięcy, gdy czułam przede wszystkim wstręt, do nich i do samej siebie. To było coś całkiem innego, nowego, świeżego jak woda z górskiego strumienia.

– Leni – powtórzył Karl, ujmując moją twarz w obie dłonie.

Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami. Bałam się, że gdy przymknę powieki, ta chwila minie bezpowrotnie.

Karl jęknął nagle, jakby ktoś mocno go uderzył. Wypuścił moją głowę. Odszedł w stronę okna.

Krew tętniła mi w skroniach, rozsadzając czaszkę. Nic z tego nie rozumiałam. Tkwiłam na środku jego sypialni i czułam się samotna jak nigdy przedtem.

Karl stanął przy oknie i dłuższy czas wpatrywał się w noc. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Byłam jak skamieniała. Patrzyłam, jak Thümmler sięga do kieszeni marynarki i wyjmując papierosa ze srebrnego puzderka. Wsunął go między wargi, ale zaraz wyciągnął i zniecierpliwionym ruchem odłożył z powrotem. W gęstym milczeniu, jakie panowało między nami, trzask zamykanej papierošnicy zabrzmiał jak grom. Drgnęłam.

– Leni – powiedział, odwracając się w moją stronę.

To było jak iskra, która wznieciła pożar. Przypadliśmy do siebie. W milczeniu zdarliśmy z siebie ubrania. Nasze nagie ciała lśniły w srebrnym świetle księżyca. Nie czułam żadnego wstydu. Nie zastanawiałam się nad niczym. Nie miałam żadnych wątpliwości. Było w tym coś pierwotnego. Umysł umilkł zupełnie. Pozwoliłam się prowadzić instynktowi. Oddychałam ciężko, a przyjemne zniecierpliwienie wprawiało moje ciało w dygot.

Karl wpatrywał się we mnie roziskrzonym wzrokiem. Moje sutki stwardniały, a pomiędzy udami poczułam wilgoć. Każda komórka mojego ciała go pragnęła. Nie poruszyłam się jednak, zahipnotyzowana jego spojrzeniem. Nie wiem, jak długo trwaliśmy tak w bezruchu, stojąc nago naprzeciwko siebie, gdy nasze przyspieszone oddechy mieszały się z sobą. Może trwało to zaledwie sekundę, może lata. To nie miało znaczenia wobec wszystkiego, co wydarzyło się potem.

Kochaliśmy się, najpierw gwałtownie, z zapalczywością człowieka, który w upalny dzień po wielu godzinach wędrówki odnajduje źródło. Nie mogliśmy się nasycić. Każdy dotyk, każda pieszczota, każdy pocałunek, wszystko było niewystarczające i zamiast gasić pragnienie, jeszcze je podsycalo.

Wreszcie zapadłam w krótką drzemkę, z której zbudziły mnie jego wargi błędzące po moim ciele.

– Nie otwieraj oczu – wyszeptał mi prosto do ucha.

Balansując na granicy jawy i snu, pozwoliłam mu poprowadzić się przez ogród nieznanych mi dotąd doznań. To był oniryczny spacer po kolejnych kręgach rozkoszy. Tym razem nie było żadnego pośpiechu. Karl grał na strunach mojego ciała jak wirtuoz doskonale znający każdy sekret instrumentu. Wiedział, kiedy szarpnąć mocniej, a kiedy ledwie musnąć, by osiągnąć najpiękniejsze brzmienie.

Gdy zasnął, wyszłam z sypialni. Wyjęłam z torebki mały aparat i ruszyłam do jego gabinetu, by sfotografować wszystkie leżące na biurku dokumenty i przekazać je polskiemu podziemi. Wypełnić rozkazy, które doprowadziły mnie aż tu.

Od tego dnia moje podwójne życie zaczęło się tak naprawdę. Im bardziej angażowałam się w związek z Karlem, tym gorliwiej wywiązywałam się ze swoich obowiązków wywiadowczyń. Nieustannie zdradzałam wszystkich. Jego, ich i samą siebie. Z coraz większym trudem przychodziło mi znoszenie tego wszystkiego. Z Karlem byłam bezgranicznie szczęśliwa, ale gdy zostawałam sama, budziły się demony.

Po kolejnej przepłakanej w poduszkę nocy uderzyłam z całej siły pięścią w lustro. Moja twarz rozszczępiła się nagle na dziesiątki kawałków. Nie miałam pojęcia, na kogo patrzę.

Latem zamieszkaliśmy razem. Oficjalnie zostałam jego gospodynią. Zatrzymałam wprawdzie swoją posadę w urzędzie, ale pojawiałam się w pracy z rzadka i nikt nie miał do mnie o to pretensji. Wszyscy wiedzieli, czyją protegowaną jestem. W teorii staraliśmy się być dyskretni, ale nie wychodziło nam to najlepiej.

Źle spałam. W bezsenne noce często patrzyłam na wygładzoną snem twarz Karla albo wodziłam palcem po wytatuowanej na wnętrzu lewego ramienia grupie krwi i zastanawiałam się, co by zrobił, gdybym powiedziała mu całą prawdę o sobie. Czułam, że jesteśmy sobie bardzo bliscy, lecz i niezmiernie dalecy jednocześnie. Mówił, że mnie kocha, i byłam głęboko przekonana, że tak jest. Czułam to, widziałam w jego czynach, słyszałam w słowach, doświadczałam w pieszczotach.

Tylko czy miłość by nam wystarczyła? A może jej potęga była tylko wytworem wyobraźni poetów, a życie w rzeczywistości było czystą kalkulacją, w której każdy kolejny ruch zależał od posunięcia przeciwnika? Kochał, ale być może nie mnie, a jedynie wyobrażenie o mnie, w które kazałam mu wierzyć? Piękną, doskonałą Leni Köhler, wytresowaną przez Antygonę? Czy równie mocno pokochałby Marianne? Czy odróżniłby je od siebie? Czy wydobyłby spomiędzy tych zasłon prawdę o mnie? A jeśli nie, czy mogłam mieć do niego o to jakiegokolwiek pretensje lub żal, skoro sama gubiłam się w tych

podwójnych życiorysach? Desperacko potrzebowałam jakiegokolwiek prawdy, szczerości. Życie w ciągłym kłamstwie wysysało ze mnie siły.

Często nie potrafiłam jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, kim jestem. Kto się nad tym zastanawiał: Marianna Jurasz czy Leni Köhler? Polka czy Niemka? Wywiadowczyni Armii Krajowej czy oddana służebnica III Rzeszy? Narzeczona Janka Franka czy kochanka Karla Thümmlera? Ten dwugłos był nie do zniesienia. Wtedy docierało do mnie, jak bardzo przywiązałam się do tego człowieka, jak głęboką więź stworzyłam z kimś, kto był moim wrogiem. To, co nas łączyło, było zaprzeczeniem wszystkiego, w co wierzyłam, co dodawało mi sił przez ostatnie lata. Czułam do siebie palącą nienawiść. Brzydziłam się sobą na wspomnienie tych wszystkich mężczyzn, którzy dotykali mnie dla Sprawy. Na myśl o tym, co robiłam niegdyś i teraz, gdy kochałam kogoś, kogo powinnam była nienawidzić, chwytaly mnie mdłości.

Chciałam ukryć się przed światem, uciec przed samą sobą. Kochałam. Zdradzałam i pragnęłam o tym wszystkim zapomnieć.

Karl otrzymał rozkaz dwutygodniowego wyjazdu do Hamburga. Gdy powiadomiłam o tym swoich przełożonych, w odpowiedzi polecono mi dołożyć wszelkich starań, by wyjechać wraz z nim. Dokonanie jakiegokolwiek rozpoznania w Hamburgu było trudne. Wszyscy prawdziwi czy domniemani przeciwnicy Hitlera byli pod ciągłym nadzorem Gestapo, władze niemieckie pilnie śledziły migracje ludzi – ktokolwiek pojawił się w mieście, musiał natychmiast zgłosić swoją obecność i wypowiadać się z celu podróży. Mnie mogło udać się pozostać niemal niezauważoną. Miał mnie osłaniać cień wysoko postawionego nazisty. Gdy wyraziłam zgodę, dostarczono mi broszurę zawierającą instruktaż dotyczący wywiadu morskiego. Znalazły się tam katalog jednostek pływających, ze szczególnym uwzględnieniem okrętów wojennych, garść informacji o strukturze hitlerowskiej marynarki wojennej i tym podobne. Nie było tego wiele, ale musiało wystarczyć.

- Nigdy nie byłam w Hamburgu – zagałam tego samego wieczoru, gdy po kolacji siedzieliśmy przy stole i piliśmy herbatę, czytając gazety.
- Podobno to największy port w Europie?

Karl złożył wieczorny dziennik i spojrzał na mnie z rozbawieniem.

- Nie wiedziałem, że lubisz statki.

– Sama jeszcze nie wiem, czy lubię – odparłam, zadowolona, że połknął haczyk. – Nigdy nie byłam nad morzem.

– Hamburg nie leży nad samym morzem – wyjaśnił – ale w ujściu Łaby do Morza Północnego. Nie jest to szczególnie ładne miasto, wszędzie statki i składy.

– Szczegóły. – Machnęłam ręką, udając zniecierpliwienie. – Słowo „ujście” zawiera w sobie obietnicę, że do morza jest blisko, prawda?

Karl skinął głową, a wyraz jego twarzy sugerował, że z trudem powstrzymuje śmiech. Wstałam zza stołu i podeszłam do niego. Musnęłam dłonią jego ramię, dając znak, że chciałabym usiąść mu na kolanach. Odsunął krzesło i zrobił mi miejsce. Objęłam go za szyję.

– Zabierz mnie ze sobą – poprosiłam przepojonym słodyczą głosem.

– Tak bardzo chcesz zobaczyć morze? – spytał, a ja wiedziałam już, że wygrałam i on tylko się ze mną droczy. Mimo to nie przerwałam gry.

– Nie chcę się z tobą rozstawać – powiedziałam ciszej. Ton mojego głosu sprawił, że oddech Karla przyspieszył. Pochylił się i pocałował mnie.

Dwa dni później byliśmy już w Berlinie, dokąd zostaliśmy odwiezieni samochodem przez kierowcę. W biurze koleżanki wielokrotnie narzekały, że w czasie wojny ludność cywilna nie może normalnie podróżować, bo w każdym wagonie większość miejsc zarezerwowanych jest dla wojska. Tymczasem Karl bez trudu zdobył dla nas cały przedział w nocnym pociągu do Hamburga. Droga nie była daleka, ale skład często się zatrzymywał i na miejsce dotarliśmy dopiero wczesnym rankiem.

Dzień leniwie wstawał z mgieł. Słońce migotało w wodach rzeki, a powietrze raz po raz przecinał jęk sygnałów dźwiękowych wydawanych przez wchodzące do portu statki.

Poszliśmy do hotelu. Karl ogolił się i zmienił mundur.

– Nie będziesz się nudziła sama w obcym mieście? – spytał, wkładając czapkę oficerską z lśniącym czarnym daszkiem i orłem III Rzeszy. Spieszył się tak bardzo, że nawet nie spojrzał w stronę przyniesionego właśnie śniadania.

Pokręciłam głową.

– Zjem, pójdę na spacer... – powiedziałam ostrożnie, ale on nie zwrócił uwagi na moje słowa.

– Zobaczymy się wieczorem – rzucił, całując mnie w czoło.

Podeszłam do okna i zza zasłony patrzyłam, jak się oddala, by wreszcie zniknąć za rogami. Dopiero wtedy pospiesznie wyłuskałam z bagażu broszurę, aparat i specjalny notatnik, w którym miałam zapisywać zebrane informacje, wklejony w okładkę przedwojennego przewodnika Baedeker po Hamburgu. Niewątpliwym plusem podróżowania w towarzystwie wysokiej rangi wojskowego było to, że aż dotąd nikt nie próbował nawet przeprowadzić rewizji mojego bagażu. Jedyłą osobą, przed którą musiałam naprawdę dobrze się pilnować, był Karl. Raz jeszcze przejrzałam broszurę, po czym wsunęłam ją do woreczka z podpaskami miesięcznymi i schowałam w szufladzie na bieliznę.

Moim zadaniem było dokonanie rozpoznania rozmieszczenia jednostek obrony przeciwlotniczej, miejsc stacjonowania wojsk i co najważniejsze, lokalizacji oraz sposobu maskowania strategicznych obiektów przemysłowych na terenie miasta i portu. Wymagania przerażająco wysokie, gdy wziąć pod uwagę skromne przeszkolenie, którego mi udzielono. Pierwszego dnia włóczyłam się bez celu po mieście, nie mając pojęcia, jak zabrać się do wykonywania zadania. Kiedy to samo powtórzyło się drugiego i trzeciego dnia, niemal straciłam wiarę, że mój przyjazd w ogóle na coś się przyda.

Mój zły nastrój nie uszedł uwagi Karla.

– Nie podoba ci się Hamburg? – spytał w końcu.

– Strasznie tu brudno – bąknęłam, byle powiedzieć cokolwiek.

Kiedy byłam już niemal pewna klęski powierzonej mi misji, niespodziewanie uśmiechnęło się do mnie szczęście. Stałam na nabrzeżu. Znudzona i zniechęcona wpatrywałam się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, gdy nagle z hukiem wylądowało obok mnie. Pisnęłam z przerażenia.

– Bardzo przepraszam – usłyszałam ni to męski, ni to chłopięcy głos. – Nie chciałem panienki przestraszyć.

Z bijącym sercem odwróciłam się w stronę chłopaka, który nie czekając na moją odpowiedź, zaczął przywiązywać cumę do żelaznego słupka, przy którym stałam. Młody Niemiec miał nie więcej niż szesnaście lat i to on z impetem wyskoczył z łódki na brzeg. Mój umysł szybko zanalizował sytuację i dostrzegł w tym całym zamieszaniu szansę, kto wie, czy nie jedyną.

– Śmiertelnie mnie pan wystraszył – odezwałam się zbolalym tonem.

Chłopak, mile polechtany tym, że zwróciłam się do niego per pan, wyprostował się, otarł pot z czoła i posłał mi promienny uśmiech.

– Raz jeszcze bardzo przepraszam – powtórzył.

– Co pan tu robi? – zagadnęłam od niechcienia.

– Rano przewożę robotników do pracy, o tam. – Pokazał dłonią coś na przeciwległym brzegu. W niczym nie przypominało to fabryki. – A po południu przywożę.

– To co pan robi przez całe dni?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Czekam.

– Nie nudno tak panu? – Mój głos przepojony był słodyczą.

– Praca jak praca – bąknął. – Trochę pływania, trochę czekania.

– Ależ panu zazdroszczę! – wykrzyknęłam z nieco przesadnym entuzjazmem. – Taka swoboda, tyle wolności. I może pan pływać po

porcie, ile pan zechce. Całe dni na łódce! Słońce, woda, ta żywotność portowa! Wymarzone życie.

Chłopak pociągnął nosem, wyraźnie speszony. Zaczęłam się zastanawiać, czy aby nie przesadziłam, ale nie było już odwrotu.

– Też bym tak chciała... – westchnęłam rozmarzona. – Kołysać się na wodzie, oglądać wszystko z całkiem innej perspektywy. Niestety przez tę okropną wojnę rejsy wycieczkowe w porcie są zakazane.

– Ja mam przepustkę – pochwalił się. – Mogę pływać po całym porcie, gdzie zechcę.

– Jak wspaniale... – szepnęłam smutno, spod spuszczonej powieki uważnie obserwując chłopaka, który wyglądał, jakby zastanawiał się nad czymś intensywnie.

Spojrzał na podniszczony zegarek, potem na słońce i znów na zegarek.

– Gdyby... – zaczął z wahaniem. – Gdyby miała panienka ochotę...

– Tak? – Rzuciłam mu pełne nadziei spojrzenie, chcąc dodać mu odwagi.

– No, mógłbym zabrać panienkę na przejażdżkę – dokończył, jakby coś go gonilo. – Wprawdzie to niezgodne z regulaminem, ale...

– Naprawdę?! – wpadłam mu w słowo, by nie pozwolić zastanowić się nad konsekwencjami tej propozycji. – Mógłby pan to dla mnie zrobić?

Chłopak zaczerwienił się po nasadę włosów i skinał głową.

Kwadrans później kołysaliśmy się na spokojnych wodach Łaby, a młody Niemiec, podekscytowany do granic możliwości moim towarzystwem i uwagą, jaką mu poświęcałam, paplał bez opamiętania. Okazało się, że port w Hamburgu jest jego drugim domem. Mieszkał nieopodal, w dzielnicy Speicherstadt, gdzie znajdowały się wielkie magazyny. Znał tu każdy zakątek i zachęcany pozornie niezobowiązującymi pytaniami, niczego nie podejrzewając, dzielił się ze mną ochoczo swoją wiedzą, a ja skrzętnie zapisywałam w pamięci informacje. Popołudnie nadeszło zbyt szybko i chłopak musiał płynąć po

robotników, ale zdążył jeszcze zaprosić mnie na dzień następny. Ochocho przyjąłam jego propozycję.

Przez kolejne dni na plan portu udało mi się nanieść kilka ważnych punktów, w tym miejsca produkcji U-bootów i doskonale zamaskowaną stocznię, z daleka wyglądającą jak pagórek z paroma drzewami i niewielkimi budynkami.

– To makiety – poinformował mnie chłopak, mrugając porozumiewawczo.

Z pomocą mojego przewodnika szybko spenetrowałam port i okolice. Ostatniego dnia przed wyjazdem odważyłam się zabrać aparat. Chłopak, który przez te dni zdążył już stracić dla mnie głowę, zgodził się, bym go fotografowała. Nie zainteresował się nawet, skąd mam tak mały aparat, nazbyt był poruszony faktem, że chcę zrobić mu zdjęcie, by na zawsze zachować w pamięci wspólnie spędzone chwile. Fotografowałam go właśnie na tle stanowiska baterii przeciwlotniczej nazywanej potocznie Flak, gdy z budynku, obok którego przepływaliśmy, wyszedł obersturmbannführer Thümmel. Serce załomotało mi w piersi. Natychmiast schowałam aparat do torebki. Nasze oczy się spotkały, ale Karl nie zatrzymał się, jak gdyby nigdy nic poszedł dalej z towarzyszącymi mu oficerami.

Pospiesznie pożegnałam mojego przewodnika. Był wyraźnie niepokieszony, jakby spodziewał się większej wylewności, ale nie zaprzętałam sobie nim więcej głowy. Wróciłam do hotelu. Schowałam mikrofilm i przewodnik do tego samego woreczka z przyborami higienicznymi i z duszą na ramieniu czekałam na powrót Karla. Zjawił się jak zwykle wieczorem, a gdy się odświeżył, zamówiliśmy kolację. Wszystko było jak zawsze i zaczęłam wierzyć, że może tylko mi się zdawało i w porcie wcale mnie nie zauważył.

Odpnęłam się i sięgnęłam po kieliszek z winem.

– Leni, czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć? – spytał nagle, patrząc mi poważnie w oczy.

– Zależy, o co pytasz – odparłam, siląc się na wesołość.

– Jeśli chciałabyś mi coś powiedzieć... – Zawahał się. – Pamiętaj, że możesz mi ufać.

Serce załopotało mi w piersi, ale usta pozostały zaciśnięte. Pokręciłam głową. Na twarzy Karla odmalowała się ulga.

W Litzmannstadt oddałam wszystkie materiały. Dopiero wracając z punktu kontaktowego, poczułam, jak ogromny ciężar niosłam na barkach przez ostatnie tygodnie. Nie wiedziałam, czy Karl czegoś się domyślał. Czasem przyglądał mi się w zadumie, lecz gdy próbowałam pochwycić jego spojrzenie, odwracał szybko wzrok. Poza tymi rzadkimi chwilami, które wprawiały mnie w zakłopotanie, wszystko było jednak jak przedtem, więc w końcu udało mi się wmówić samej sobie, że to tylko wybryki zmęczonej wyobraźni.

W nocy z dwudziestego czwartego na dwudziesty piąty lipca 1943 roku wojska alianckie zbombardowały Hamburg. W mieście rozpętało się piekło. Nadany akcji kryptonim „Gomorra” nie był przesadą. „A wtedy Pan spuścił na Sodomę i Gomorę deszcz siarki i ognia od Pana. I tak zniszczył te miasta oraz całą okolicę wraz ze wszystkimi mieszkańcami miast, a także roślinność [...]. I gdy spojrział w stronę Sodomy i Gomory i na cały obszar dokoła, zobaczył unoszący się nad ziemią gęsty dym, jak gdyby z pieca, w którym topią metal”. Te słowa rozbrzmiewały mi w głowie, gdy czytałam doniesienia prasowe o losie Hamburga.

Pierwszej nocy w niecałą godzinę na miasto zrzucono ponad dwa tysiące ton bomb. Zniszczony został kościół Świętego Mikołaja, ratusz, a także ogród zoologiczny, w którym zginęło ponad sto czterdzieści zwierząt. Hamburg stanął w płomieniach. Sytuację pogarszały trwające od kilku tygodni upały i susza. Ogień był wszędzie. Pożary łączyły się ze sobą, płomienie sycił się gromadzonymi przez mieszkańców miasta zapasami węgla na zimę, co czyniło je niepokonanymi. Władzę nad miastem przejął rozszalały żywioł.

Dwudziestego ósmego lipca przez miasto przeszła burza ogniowa, pochłaniająca wszystko. W temperaturze ponad tysiąca stopni cegły, betonowe konstrukcje, szkło, ciała ludzi wcześniej uduszonych z braku tlenu lub zaczadzonych topiły się jak masło. W ciągu kilku godzin zginęło ponad czterdzieści tysięcy ludzi.

Z zapartym tchem śledziłam wszystkie doniesienia o tych wydarzeniach. Wiedziałam, że jestem w dużej mierze odpowiedzialna za gehennę tego portowego miasta. Nie czułam satysfakcji mściciela, a jedynie przerażenie ogromem cierpienia, do którego się przyczyniłam. Przez wiele dni w snach nawiedzała mnie twarz chłopaka, który pokazywał mi miasto. Budziłam się zlna potem, usiłując przypomnieć sobie jego imię, ale nie potrafiłam. Miał pozostać w mej pamięci bezimiennym wyrzutem sumienia.

Po raz pierwszy wojna doświadczyła Niemców tak bezpośrednio i mocno. Wielu ludzi czuło się zagubionych, a mimo to Adolf Hitler odmówił przybycia do Hamburga. Bał się, że widok cmentarzyska, w jakie w kilka dni zmieniło się tętniące życiem portowe miasto, przyniesie pecha i może negatywnie zaważyć na dalszych losach wojny.

We wrześniu 1943 roku najbliższy przyjaciel Karla został szefem Reichssicherheitshauptamt. RSHA, czyli Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy, miał swoją siedzibę w Berlinie. Karl miał dołączyć do niego na początku 1944 roku.

Choć kochałam go nad życie, ucieszyła mnie ta perspektywa. Po bombardowaniu Hamburga nie potrafiłam poradzić sobie sama ze sobą. Owszem, wiedziałam, że trwa wojna i że wojny wymagają ofiar, a mimo to nie umiałam przestać się zadreć w wizjami tysięcy cywilów ginących w ogniu. Potrzebowałam przerwy od tego wszystkiego. Liczyłam, że rozłuka pozwoli mi uporządkować własne emocje, powrócić do równowagi. Nie od razu zaraportowałam o jego wyjeździe. Bałam się, że dostanę rozkaz, by mu towarzyszyć, a nie miałam na to siły. Nie chciałam kolejnej misji, która mogłaby mieć tak straszne skutki jak ta wiosenna.

– Z Berlina do Litzmannstadt nie jest znów tak daleko – pocieszałam go.

– Jedź ze mną – powtarzał.

– Nie mogę – odmawiałam za każdym razem. – Mam tu pracę...

Oboje wiedzieliśmy, że to tylko wymówka.

– Znajdę ci nową – nie ustępował.

– Tu jestem potrzebna. – Trwałam uparcie przy swoim. – Teraz o wiele bardziej niż wcześniej.

W końcu przestał mnie przekonywać. Poddał się. Wypowiedział mieszkanie, a ja wróciłam do mojego przydzielonego pokoju.

Ostatnią noc w mieszkaniu, które dzieliliśmy przez tyle miesięcy, spędziliśmy, kochając się bez pamięci, pogrążeni w miłości, dając w ten sposób upust żalowi za tym, co minęło, który odtąd mieliśmy odczuwać nieustannie. Rankiem już miałam wychodzić, ale coś mnie zatrzymało. Ogarnęło mnie niejasne, lecz bardzo intensywne przeczucie, które kazało mi przystanąć i rozejrzeć się wokoło. W jednej chwili nabrałam przekonania, że widzę Karla po raz ostatni. Zabrakło mi tchu. Kolana mi zmiękły, zakręciło mi się w głowie. To tylko zdenerwowanie z powodu chwilowej rozłąki, powtarzałam sobie, usiłując się uspokoić.

– Leni? – spytał Karl, dostrzegając nagłą zmianę mojego zachowania.
– Coś się stało? Zapomniałaś czegoś?

Pokręciłam głową. Nie mogłam wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Ujął w dwa palce moją brodę i zmusił, bym na niego spojrzała.

– No już – powiedział łagodnie. – Mów, co cię trapi.

Patrzyłam na jego idealnie aryjską twarz, jasną grzywkę lekko opadającą o poranku na oczy barwy letniego nieba i zrozumiałam, że ten Niemiec, zbrodniarz, morderca i gorący zwolennik Hitlera, stał się najbliższym mi człowiekiem. Ta myśl mnie poraziła. Zapragnęłam nagle porzucić przeszłość, wyjechać z nim gdzieś daleko i zacząć wszystko od nowa, zostać z nim na zawsze. To trwało tylko kilka sekund, lecz przez tę chwilę dla Karla Thümmlera pragnęłam wyrzec się matki, ojca, brata, Janka, Sprawy, Armii Krajowej, Polski. Byłam bez pamięci zakochaną dwudziestojednoletnią kobietą, dla której liczył się tylko stojący przed nią mężczyzna.

– Karl, ja... – zaczęłam, choć zdawało mi się, że dudnienie mojego serca zagłusza dźwięk z trudem wypowiedzanych słów.

– Tak? – Przyglądał mi się uważnie, jakby chciał wyczytać wszystko z mojej twarzy.

– Byliśmy tu szczęśliwi, prawda? – szepnęłam.

Rozciągnął usta w uśmiechu, a jego oczy zalśniły radością.

– Jesteśmy, Leni – zapewnił. – I będziemy.

Chciałam, by nie przestawał mówić. Pragnęłam karmić ledwie pełgającą nadzieję jego słowami. Bezskutecznie. Złe przeczucia okazały się silniejsze, a ja byłam zbyt słaba, by je przemóc.

Karl mnie objął. Przycisnęłam głowę do jego piersi, wsłuchując się w bicie jego serca.

– Powinniśmy już iść – wyszeptał wreszcie.

Pokręciłam głową, nie odrywając się od niego.

Spodziewałam się, że po wyjeździe Thümmlera Armia Krajowa prędzej czy później przydzieli mi nowe zadanie. Liczyłam, że zostanie przeniesiona do innego miasta, gdzie łatwiej mi będzie zapomnieć, i tam zacznę od nowa. Nic więcej nie mogłam tu zdziałać. Nienawidziłam tego miasta, swojej samotności, siebie samej za wszystkie decyzje, które podjęłam. Przede wszystkim za to, że pozwoliłam Karlowi odjechać. Nie przysłał listu ani telegramu. Nie zadzwonił do biura. Próbowалам jeszcze wmawiać sobie, że jest zajęty nową pracą, ale wiedziałam, że w rzeczywistości tylko oszukuję samą siebie. W napięciu czekałam na rozkazy, karmiąc się nadzieją, że może to coś zmieni, może uda mi się jakoś odnaleźć na nowo, nie postradać zmysłów. Tymczasem usiłowałam żyć tak, jakby nic się nie wydarzyło.

– Znow się spotykamy – usłyszałam za plecami czyjś głos, gdy miesiąc po wyjeździe Karla po raz pierwszy wybrałam się do kasyna. Potrzebowałam rozrywki. Głośnej muzyki, szumu rozmów, alkoholu.

Głos wydawał mi się znajomy, lecz choć pamięć miałam znakomitą, przez chwilę nie potrafiłam przypisać go do osoby. Mimo to przywołałam na twarz czarujący uśmiech i powoli się odwróciłam.

Przede mną stał Hans Flogger.

Chciałam wierzyć, że to przypadek, ale już dawno nauczyłam się nie ignorować podszeptów intuicji, a ta podpowiadała mi teraz, bym miała

się na baczności.

– Herr Flogger – przywitałam go, wciąż nie przestając się uśmiechać.

– Pamięta pani – rzekł, przybierając oficjalny ton, jakbyśmy nie mieli wspólnej przeszłości.

Przyglądał mi się przy tym w taki sposób, jakby był wygłodniałym drapieżnikiem, który wreszcie stanął oko w oko z ofiarą. Ciarki przeszły mi po plecach na myśl, że od dawna na mnie polował, ale starałam się nie dać niczego po sobie poznać. Cieszyłam się tylko, że jesteśmy w kasynie i z każdej strony otaczają nas ludzie.

– Jakżebym mogła zapomnieć? – odpowiedziałam, siląc się na wesołość, jednocześnie gorączkowo szukałam wymówki, która pozwoliłaby mi się oddalić. – Dawno się nie widzieliśmy.

– Niestety są sprawy, którymi nie powinienem dzielić się z nikim, nawet z najpiękniejszymi kobietami – odparł.

Uśmiechnęłam się, jakby jego komplement sprawił mi przyjemność, i dyskretnie lustrowałam otoczenie, szukając kogoś znajomego, z kim koniecznie musiałabym się przywitać, pozbywając się tym samym kłopotliwego towarzysza.

– Na długo pan przyjechał, herr Flogger? – spytałam, grając rolę zainteresowanej tą niezobowiązującą konwersacją.

– To zależy od wielu czynników...

– O których, rzecz jasna, nie może pan mówić – zgadłam.

– Z panią mogę mówić o wszystkim – rzekł. – O ile pani zechce.

– Obersturmbannführer Thümmeler... – zaczęłam, ale nie pozwolił mi dokończyć.

– Thümmeler wyjechał miesiąc temu – warknął. – Z Berlina nie wraca się na prowincję. Im szybciej się pani z tym pogodzi, tym lepiej dla pani.

– Myli się pan.

– Nie, nie myślę – zapewnił. – Była pani jego zabawką, pupilkiem, rozrywką, ale to wszystko już skończone.

Pokręciłam głową. Wiedziałam, że Flogger kłamie, a mimo to jego słowa syciły moje lęki. Nawet w wypowiedzi szaleńca jest zwykle ziarnko prawdy.

– Zna pani jego adres w Berlinie? – zapytał.

– Oczywiście.

– A czy wie pani, do kogo należy ten dom?

Pokręciłam głową, choć jakaś część mnie natychmiast domyśliła się prawdy.

– Do jego żony – rzekł z nieskrywaną satysfakcją. – Wrócił do żony, rozumie pani.

Poczułam nagłą słabość w ciele, ale zdołałam utrzymać się w pionie.

– To niczego nie zmienia.

– To zmienia wszystko – zaprzeczył. – Pozbawiona opieki łatwo może pani wpaść w tarapaty. Szczególnie że była pani wiosną w Hamburgu...
– zawiesił teatralnie głos.

Nie miałam pojęcia, czy coś wie, ale byłam pewna, że od tej chwili zależy wszystko. Nie mogłam pozwolić, by dostrzegł choć cień mojego wahania, choć odrobinę lęku.

– Obersturmbannführer Thümmeler wykonywał tam rozkazy...

– A pani? – Uśmiechnął się znów nieprzyjemnie.

– Towarzyszyłam mu w tej podróży.

– Mętne wyjaśnienia – skwitował. – Tyle osób przesłuchano w sprawie wycieku poufnych informacji z Hamburga, a pani nikt nie przesłuchał...

– Pokręcił głową z kiepsko udawanym niedowierzaniem.

– Coś pan sugeruje? – spytałam, z coraz większym trudem panując nad głosem.

– Skąd! – Wysunął obie dłonie w obronnym geście. – Jako dawny przyjaciel chcę tylko pani uświadomić, że obersturmbannführer już nad panią nie czuwa i może przydałby się pani nowy przyjaciel. A właściwie dawny... – Zniżył głos i posłał mi lubieżny uśmiech.

Poczułam się naga i lepka. Wróciły wszystkie wspomnienia, które przy Karlu udało mi się zagrzebać głęboko w najodleglejszym zakamarku duszy.

– To nie będzie konieczne – zapewniłam szybko. – Żegnam pana, panie Flogger. Obyśmy się więcej nie spotkali.

– Spotkamy się na pewno! – wykrzyknął nieco histerycznie, a ja wiedziałam, że dotrzyma słowa.

Odrzuciłam go, a on, jak się wkrótce okazało, nie zamierzał puścić mi tego płazem.

We wtorek ze snu wyrwało mnie walenie do drzwi. Natychmiast rozpoznałam ten łomot, niemal identyczny z tym w Nowy Rok 1940.

Przez głowę przemknęła mi niemądra myśl, że może w programie szkolenia członków Geheime Staatspolizei znajdują się specjalne zajęcia z walenia do drzwi nad ranem. Szybko wstałam z łóżka, duszkiem wychyliłam szklankę wody i okryłam się jedwabnym szlafrokiem, prezentem od Karla.

– Już idę! – zawołałam z korytarza, po czym bezszelestnie podeszłam do wizjera.

Po drugiej stronie drzwi stał rosły gestapowiec.

– Niech cię piekło pochłonie, Flogger – wymamrotałam.

Odetchnęłam głęboko, by uspokoić drżenie rąk. Sięgnęłam po leżącą na toalecie szczotkę i przeciągnęłam nią po włosach.

Lepiej nie będzie – stwierdziłam i otworzyłam drzwi.

– Leni Köhler? – spytał mężczyzna w lśniącym czarnym płaszczu i z kapeluszem na głowie.

Doskonale wystudiowanym kokieteryjnym gestem odrzuciłam włosy. Miękkimi falami opadły mi na plecy. Splotłam dłonie na piersiach i uniosłam prawą brew.

– Zależy, kto pyta – odpowiedziałam, zniżając głos. Moja pewność siebie i płynna niemczyzna wyraźnie zbiły go z tropu.

– Odpowiadać na pytania – warknął mimo to.

Po wyrazie jego twarzy widać było, że nie grzeszy intelektem. Jego rozkazodawcy sądzili chyba, że zatrzymanie młodej, drobnej kobiety nie będzie zbyt wymagającym zadaniem.

– Wypadałoby, żeby najpierw pan odpowiedział na moje. – Usiłowałam zachować spokój i nie wypaść z roli. – To kwestia kultury.

Poprawiłam poły jedwabnego szlafroka, w który byłam ubrana. Mój wygląd musiał zrobić na nim wrażenie, bo głośno, zbyt głośno, przełknął ślinę.

– Oberscharführer Friedrich Schneider – przedstawił się.

– Leni Köhler. – Wyciągnęłam ku niemu rękę. – Bardzo mi przyjemnie.

Wyraz zagubienia, który odmalował się na jego twarzy, sprawił, że z trudem utrzymałam powagę. Miałam ochotę się roześmiać. Mężczyźni, w mundurze czy bez, byli tak przewidywalni.

Ujął moją dłoń i przytknął do niej wargi z gracją niedźwiedzia wpuszczonego do sali pełnej kryształowych waz.

– Skoro prezentację mamy już za sobą, proszę mi powiedzieć, czym mogę panu służyć, herr Oberscharführer. – Mój głos był przesycony słodyczą.

Mężczyzna odruchowo zerknął w głąb korytarza, jakby szukał tam pomocy. Uśmiechnęłam się pobłaźliwie, oparłam swobodnie o framugę i wbiłam w niego pytające spojrzenie.

– Pani Köhler...

– Panno.

Odchrząknął.

– Panno Köhler, pójdzie pani ze mną – wydukał jak aktor, który nie opanował zbyt dobrze swojej kwestii.

Zimne macki strachu ścisnęły mój żołądek, ale ani na moment nie przestałam się uśmiechać.

– To polecenie obersturmbannführera Thümmlera?

Na dźwięk stopnia i nazwiska Karla gestapowiec wyprostował się jak struna, a po jego czole spłynęła kropelka potu.

– Nie mogę ujawniać, kto wydaje rozkazy – odezwał się po dłuższym milczeniu.

– Ależ oczywiście, oczywiście – powiedziałam ze zrozumieniem. – Wszystko rozumiem. Tajemnica służbowa.

Skinął głową.

– Dobrze – rzuciłam. – Proszę dać mi chwilę. Nie pojedę przecież na Gestapo w szlafroku.

Friedrich Schneider zrobił głupią minę, ale zapewne wciąż rozbrzmiewające w jego uszach echo nazwiska Karla sprawiło, że nie ośmielił się mnie zatrzymać.

– Wejdzie pan do środka czy woli zaczekać tu? – spytałam z pozoru spokojnie, choć w głowie gorączkowo analizowałam kolejne ruchy.

– Zaczekam – odparł krótko.

– Na dole po lewej stronie drzwi jest duża popielnica, gdyby chciał pan zapalić.

Miał żółtawe zęby palacza. Sięgnęłam w głąb korytarza po papierośnicę. Otworzyłam ją i wyciągnęłam puzderko w kierunku gestapowca.

– Proszę się poczęstować. Austriackie.

Mężczyzna ujął grubymi palcami papierosa i skinął głową. Już zamykałam drzwi, gdy odwrócił się w moją stronę.

– Ma pani dziesięć minut – rzekł tonem, który zdawał się zawierać w sobie groźbę, bym nie próbowała żadnych sztuczek.

Wydełam wargi jak niezadowolona z prezentu mała dziewczynka.

– Elegancka kobieta naprawdę potrzebuje paru chwil, by doprowadzić się do porządku.

– Dziesięć minut – warknął. – I tak nie powinienem tego robić.

– Ach, tak, wiem. – Machnęłam ręką przed sobą, jakby wygadywał jakieś bzdury. – Już pędzę.

Zamknęłam drzwi i wsłuchiwałam się w odgłos ciężkich kroków Oberscharführera. Przyłożyłam dwa palce do skroni i usiłowałam zebrać myśli.

Czego mogą ode mnie chcieć? – zastanawiałam się gorączkowo. Czy chodziło o Karla? Czy może Flogger naopowiadał im jakichś bzdur na mój temat? Czy spełnił swoją groźbę i doniósł, komu trzeba, o moim pobycie w Hamburgu?

Niepokój, który odczuwałam gdzieś w głębi trzewi, podpowiadał mi, że wpadłam w tarapaty. Szybko przemierzyłam salon i podeszłam do szafy. By dobrze odegrać rolę ofiary, kobiety skrzywdzonej przez zazdrosnego mężczyznę, musiałam wyglądać oszalamiająco. Po chwili wahania zdecydowałam się na prostą czerwoną sukienkę z cienkim paseczkiem i dekoltem, którego głębokość trudno było nazwać przyzwoitą. Do tego rękawiczki, czarny kapelusz z woalką, spod której wystawały jedynie usta starannie pomalowane krwistoczerwoną szminką, i pantofle na wysokim obcasie.

Z zadowoleniem spojrzałam na własne odbicie w lustrze i sięgnęłam po płaszcz. Na mój widok gestapowiec wytrzeszczył oczy i przez chwilę nie ruszył się z miejsca, jakby zmienił się w słup soli.

– Idziemy? – spytałam uprzejmie.

Tuż obok niego stała popielnica, ale on i tak rzucił pet na ziemię i przygniótł czubkiem buta, po czym bez słowa ruszył ku bramie, gdzie

czekał już samochód z kierowcą. Zatrzymałam się przed lśniącymi drzwiami. Czekałam. Oberscharführer cofnął się, obszedł samochód i otworzył mi drzwi, a gdy znalazłam się w środku, zamknął je za mną.

Jechaliśmy w milczeniu. Patrzyłam na ulice Łodzi i mimowolnie powracałam pamięcią do chwil spędzonych z Karlem. Powinnam była zbierać w sobie siły na to, co miało nastąpić, a nie pozwolić, by wezbrały we mnie naraz żal i tęsknota.

Wiedziałam, co mnie czeka. Niemcy nic na mnie nie mieli. Donos Floggera mógł jednak sprawić, że zainteresują się mną mocniej, zaczną węszyć. Jedyne, co ciążyło mi na sumieniu, to zaniedbywanie pracy urzędniczej, ale było to usprawiedliwione romanssem z wysoko postawionym nazistą. Za utrzymywanie intymnych kontaktów nie groziło bicie ani tortury. Gdy spytają o Hamburg, będę opowiadała o mojej relacji z Karlem, o niczym innym, uznałam. Co mogło mi grozić? Może kilka miesięcy więzienia w zależności od tego, jak bardzo urósł w siłę Flogger. Przemknęło mi przez myśl, by się ratować, zawiadomić Karla, ale szybko się rozmyśliłam. Jeśli Hans Flogger mówił prawdę, Karl był już przeszłością. Wrócił do swojego dawnego świata, do Berlina, do żony. A może byłam dla niego tylko zabawką? Chwilową rozrywką? Rozpraszaczem samotności? Może wcale mnie nie kochał?

Ta myśl raniła mnie najmocniej.

WARSZAWA–BYDGOSZCZ

1945–1947

W łódzkim więzieniu, do którego trafiłam po przesłuchaniu na Gestapo, doczekałam końca wojny. Wiosną 1945 wróciłam do Warszawy. Nie wiedziałam, gdzie jestem. Moje miasto zniknęło, wchłonięte przez morze ruin. Nawet budząca się do życia przyroda, obsypane białym, żółtym i różowym kwieciem drzewa, intensywnie zielona trawa upstrzona drobnymi kwiatkami nie mogły rozproszyć cmentarnej grozy. Trel ptaków wśród zgliszczy brzmiał raczej jak pieśń żałobna niż hymn na cześć życia.

Pięć lat – przemknęło mi przez myśl. Nie było mnie tu pięć lat. Pięć lat długich jak całe życie. Przez ten czas z nieśmiałej, niewinnej dziewczyny stałam się kobietą, która bez skrupułów wykorzystywała swoje ciało, wdzięk, urodę i intelekt, by osiągnąć cel. Byłam wywiadowczynią Armii Krajowej, uczennicą szkoły BDM, Niemką z niebieskiej volkslisty, urzędniczką III Rzeszy, przedmiotem pożądania nazistów, więźniarką Gestapo, narzeczoną Janka Franka, miłością Karla.

– Janku... – szepnęłam, a tęsknota wywołana widokiem ruin naszego miasta sprawiała mi niemal fizyczny ból.

Natychmiast potrząsnęłam głową, jakby latała wokół mnie wyjątkowo natrętna osa. Nie. Nie ma już Janka. To przeszłość. Koniec. Zamknięty rozdział, do którego nie zamierzałam wracać. Rana, której nie miałam zamiaru więcej rozdrapywać. W więzieniu nie zdołałam zapanować nad wspomnieniami. Podczas tortur mój umysł mimowolnie uciekał

w przeszłość, szukając jakichkolwiek okruchów nadziei, jasności, ciepła. Czegokolwiek, co pozwoliłoby mi przetrwać. Cofał się w głąb świata, w którym doświadczałam niczym nieskażonego piękna. Ale teraz byłam znów na wolności.

Chciałam zapomnieć o tym wszystkim. Zostawić za sobą te pięć lat, odciąć się od nich, spuścić zasłonę milczenia, cofnąć się w czasie. Wrócić do tamtego dnia, gdy nie budząc ojca i matki, nie pożegnawszy się z nimi, zbiegłam po schodach, uciekając z domu, by wyruszyć na misję wywiadowczą. Na pięć lat oddałam swój los w ręce innych. Przez pięć długich lat grałam powierzoną mi rolę. Stałam się trybikiem wielkiej maszyny, pionkiem w grze, której zasady szybko przestałam rozumieć. Grałam jednak dalej. Grałam swoją rolę tak długo i z takim zaangażowaniem, że w końcu zgubiłam samą siebie, a to największa krzywda, jaką można sobie wyrządzić.

Prawie nie pamiętałam, kim byłam wcześniej, ale desperacko pragnęłam się tego dowiedzieć, odzyskać swoją tożsamość, znów być sobą.

Wracałam do domu. Zamierzałam wyznać wszystko rodzicom, tylko im, nikomu więcej. Byłam pewna, że mi wybaczą, a ta spowiedź uwolni mnie od demonów, będzie pierwszym krokiem do pogrzebania przeszłości, ostatecznego zamknięcia tego rozdziału. Czułam, że dopiero wtedy, gdy usunę ruiny, będę mogła zacząć coś budować.

Przy wielkim, bujnie kwitnącym majem kasztanie skręciłam w prawo, w uliczkę, przy której, gdy byłam tu po raz ostatni, stała nasza kamienica. Pospiesznie zamknęłam oczy. Robiłam tak dawno, dawno temu, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką, ilekroć coś zbroiłam i nie chciałam mierzyć się z konsekwencjami. Zdawało mi się wówczas, że jeśli zamknę oczy, zniknę, a wraz ze mną zniknie też stłuczona piłka szyba, rozlane na dywan mleko czy toczące się po podłodze korale matki zerwane ze sznurka. To zaklęcie nigdy nie działało i po otwarciu oczu wszystko było rzecz jasna jak przedtem, ale to jakoś nie umniejszało mojej wiary i przy kolejnym niefortunnym zdarzeniu postępowałam tak

samo. Zaciskałam powieki, wszystko wokół znikało w ciemności, a ja wierzyłam, że sama też mogę zniknąć.

Teraz także się bałam. Nie wiedziałam, co zobaczę, gdy spojrzę w głąb uliczki. Lej po bombie? Zgliszcza po pożarze? Rumowisko, gdzie między kawałkami cegieł będą wały się niczym śmieci okruchy życia ludzi, którzy kiedyś tu mieszkali, naszego życia? A może spod sterty zwalonych kamieni będzie wystawała ludzka ręka, wokół której będą kłębiły się muchy?

Zrobiłam kilka kroków w ciemności powiek, ostrożnie stawiając stopy. Zdawało mi się, że ptaki skryte w koronie drzewa zaczęły głośniej ćwierkać, jakby chciały przekrzyczeć szum kołysanych wiatrem liści.

Odetchnęłam głęboko i otworzyłam oczy. Poczułam wielkie wzruszenie. To był cud. Pierwszy cud. Zwiastun dobrej nowiny.

Nasza uliczka pozostała nietknięta.

– Będzie dobrze – mamrotałam do siebie. – Wszystko się ułoży.

Pchnęłam ciężkie drzwi i weszłam na klatkę schodową. Wszystko tu było tak bliskie, tak dobrze mi znane, a jednak w pierwszej chwili poczułam się obco, jakbym już nie należała do tego świata. Schody skrzypiały pod moimi stopami, gdy szłam na piętro. Nim nacisnęłam dzwonek, musnęłam palcami pozłacaną tabliczkę na drzwiach. „E&K Juraszowie”, Elżbieta i Klemens. Nazywam się Marianna Jurasz, a to są moi rodzice – powtórzyłam sobie dwukrotnie. Nie wiedziałam, co powiem, gdy otworzą mi drzwi. Jak się przywitam? Jak wyjaśnię to, że zniknęłam bez słowa na tyle lat? Co odpowiem, kiedy zapytają o ten czas? Gdzie byłam, co robiłam? Będą pytali z troski, a mnie może nie starczyć odwagi i zacznę kłamać, patrząc w ich kochające oczy, potem nie będzie już odwrotu, zabrnę za daleko. Czy będę umiała to zrobić? O wiele łatwiej jest unikać pytań bliskich niż odpowiadać nieprawdę. Najtrudniej zaś wyznaczyć wszystko i zdać się na osąd tych, na których zależy nam najbardziej.

Nagle zapragnęłam się cofnąć, uciec, skryć znów w głębi siebie, w bezpiecznej przestrzeni samotności. Zaraz jednak przypomniałam sobie, że tym, co mnie tu przywiodło, była właśnie samotność. Nieznośna, bolesna, raniąca do żywego tak mocno, że niejednokrotnie chciałam wyć od tego niewidzialnego dla nikogo cierpienia. Rozpaczliwie potrzebowałam bliskości.

Ze strachu, że się rozmyślę, szybko nacisnęłam dzwonek. Nasłuchiwałam, ale po drugiej stronie drzwi panowała cisza. Poczułam gorzki smak w ustach. Jakże byłam naiwna, sądząc, że po czterech latach zjawię się nagle w progu rodzinnego domu, ojciec otworzy mi drzwi, a matka wyciągnie do mnie ramiona na powitanie. Dla nich przecież czas się nie zatrzymał. Choć uliczka pozostała niezniszczona, z pewnością i tu wydarzały się okupacyjne potworności. Umysł zaczął podsuwać mi kolejne scenariusze losu, który mógł spotkać rodziców. Aresztowanie? Gestapo? Łapanka uliczna? Egzekucja w odwecie za któryś z zamachów na niemieckich oficjeli? Tyfus? Wywózka do obozu? Przez blisko pięć lat tak bardzo skupiałam się na powierzonych mi zadaniach, że nie miałam czasu zainteresować się losem moich najbliższych.

Zakręciło mi się w głowie. Oparłam się dłonią o drzwi, usiłując uspokoić dudniące w piersi serce. Nagle zamarłam, nasłuchując, zdawało mi się bowiem, że po drugiej stronie usłyszałam jakiś szelest. Zastukałam mocno.

Drzwi się otworzyły i czyjaś ręka wciągnęła mnie do środka. To stało się tak szybko, że z trudem utrzymałam równowagę. Oddychałam szybko, starając się nie dać pochłonąć panice.

Gdy pierwszy wstrząs minął, zobaczyłam mężczyznę, który przyklejony do drzwi spoglądał w napięciu przez wizjer. Był wysoki i przerażająco chudy. Ubranie wisiało na nim, jakby był kilkuletnim chłopcem, który włożył rzeczy swego ojca. W pierwszej chwili wydawało mi się, że nie widziałam go nigdy wcześniej, ale po paru sekundach ostrzegłam coś znajomego w tych zaokrąglonych plecach, delikatnie odstających uszach.

– Ryszard? – wychrypiałam.

Odwrócił się gwałtownie.

– Szli za tobą? – spytał. – Ktoś cię śledził?

W jego oczach strach mieszał się z obłędem. Broda była w nieładzie i podobnie jak włosy posklejana w strąki, jakby nie mył się od wielu dni.

– Nie – odparłam, z wysiłkiem powstrzymując falę emocji. – Nikogo nie widziałam.

– To nie znaczy, że ich tam nie było – rzucił i przysunął się do wizjera, by zerknąć na klatkę schodową.

– Ryszardzie, naprawdę nikt za mną nie szedł – przekonywałam, coraz bardziej zaniepokojona, już nie tylko jego wyglądem, ale i zachowaniem brata. – Uwierz mi, spokojnie.

Spojrzał na mnie, a po jego twarzy przebiegł dziwny grymas. Nie odpowiedział jednak, tylko znów popatrzył na zewnątrz.

– Posłuchaj, nie wiem, kto cię szuka, przed kim się ukrywasz, ale czy nie sądzisz, że gdyby ktokolwiek chciał cię znaleźć, w pierwszej kolejności przyszedłby właśnie tu, pod twój przedwojenny adres? – stwierdziłam rzeczowo. – Skoro nikt się nie pojawił, to może być znak, że jednak cię nie szukają.

Znów nic nie powiedział, ale odwrócił się od drzwi i teraz przyglądał mi się uważnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Dobrze cię widzieć – odezwałam się w końcu pierwsza.

Czułam się dziwnie onieśmielona tym jego spojrzeniem, z którego nie potrafiłam nic wyczytać, a przecież był moim bratem. Właśnie skończyła się wojna. Po tych wszystkich latach rozłąki powinniśmy paść sobie w ramiona, obsypać się mokrymi od łez pocałunkami, zapewnieniami o tęsknocie, a potem usiąść razem przy stole i nad kubkiem herbaty przez wiele godzin opowiadać sobie o minionym czasie. W moich wyobrażeniach tego momentu bałam się najbardziej, ale nawet ten strach nie mógł mnie powstrzymać przed spotkaniem z bliskimi. Umiałam

kłamać. Poza tym może wcale bym nie musiała? Może wystarczyłoby tylko coś pominąć, wygładzić jakiś epizod?

Tymczasem wszystko było nie tak, jak sobie wyobrażałam. Ryszard zachowywał się niczym zwierzę w cyrkowej klatce, wymizerowane, zaszczute, przeleknione.

– Są rodzice? – spytałam, gdy nie raczył obdarzyć mnie ani jednym słowem, tylko wciąż patrzył tak dziwnie, że czułam gęsią skórkę na przedramionach.

Pokręcił głową. Mogłam się tego domyślić. Nawet jeśli nie wyjechali z miasta przed powstaniem, zostali z pewnością wygnani wraz z innymi już po jego upadku. Warszawa miała być przecież zrównana z ziemią i gdyby na miejscu Niemców, nazbyt metodycznie podchodzących do sprawy, znaleźli się ogarnięci szalem zniszczenia ludzie Stalina, z pewnością nie ostałby się kamień na kamieniu.

Czekałam, czy powie coś jeszcze, ale znów zatopił się w milczeniu. Tylko wyraz jego oczu się zmienił. Miejsce dzikości zajął głęboki smutek.

– Ryszardzie, gdzie matka? Gdzie ojciec? – dopytywałam, usiłując zapanować nad drżeniem głosu. – Gdzie oni są?

– Teraz się martwisz? – prychnął i uśmiechnął się nieprzyjemnie.

Ten uśmiech przeważał szalą goryczy.

– Nie wiem, co się z tobą dzieje! Nie wiem, o co ci chodzi! – wybuchnęłam, dając upust wezbranemu we mnie kłębowisku emocji. – Ale czy mógłbyś choć na chwilę odłożyć na bok te swoje gierki i humory i po prostu powiedzieć mi, gdzie są moi rodzice? Proszę... – zakończyłam ciszej, oddychając szybko.

– Zapewne w jakiejś zbiorowej mogile albo na górze prochów z krematoryjnych pieców – odparł całkiem spokojnie. – Obawiam się, że tego akurat możesz się nigdy nie dowiedzieć.

Pokręciłam głową. Przemknęło mi przez głowę, że to tylko żart, okrutny żart Ryszarda. Kiedyś przecież bardzo lubił robić kawały i kpić ze wszystkiego. Zaraz z pewnością wyjaśni mi, że to nieprawda, że tylko chciał mi dokuczyć. A potem przyszło otrzeźwienie. Po wojnie nikt przecież nie żartuje w ten sposób. To nieludzkie.

– Jak... – wydusiłam.

– Zupełnie zwyczajnie – odparł. – Znaleźli się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, o co w ostatnich latach nie było trudno. Zapakowano ich na ciężarówkę i wywieziono z tym, co mieli na sobie. Usiłowałam coś zrobić, ale było zbyt wielu ważnych więźniów do wymiany czy wpłacenia za nich okupu, by ktoś się przejmował starszym doktorem i jego żoną. – Wzruszył ramionami. – Nie doczekali wyzwolenia. Przyszły tylko zawiadomienia z obozu, że nie żyją.

Jego słowa były przesączone goryczą, a mimo to wciąż wypowiadał je z tym samym spokojem, który tak mnie przerażał.

– Zawiadomienia leżą w szufladzie na listy, gdybyś chciała sama zobaczyć – dodał.

Na miękkich nogach weszłam do pokoju i podeszłam do komody, której pierwsza szuflada była węższa od pozostałych. To tam rodzice trzymali listy, kartki, zaproszenia oczekujące odpowiedzi. Pociągnęłam za miedzianą kulkę uchwytu i zajrzałam do środka. Uderzył mnie znajomy zapach, mieszanina drewna, kurzu i czegoś nieuchwytnego, woń dzieciństwa. Żal chwycił mnie za gardło. Napływające do oczu łzy zamazały wzrok. Sięgnęłam po leżące na wierzchu koperty opatrzone niemieckim stemplem. Obie nadano jesienią 1943 roku.

Byłam wtedy z Karlem. Gdybym tylko wiedziała, może mogłabym spróbować ich stamtąd wydostać. Ocalić.

Nie zdołałam dłużej powstrzymać łez. Słone krople jedna po drugiej spływały mi po policzkach i spadały na napisane na maszynie słowa zawiadamiające o zgonie rodziców.

– Pewnie wtedy gziłaś się z jakimś szkopem, co? – spytał Ryszard, opierając się o framugę i splatając ręce na piersiach.

– Nie rozumiem... – wykrztusiłam.

Miałam w gardle gułę, przez którą z trudem przeciskały się słowa. Patrzyłam na mojego brata, widziałam w nim nos naszego ojca i usta matki. Pamiętałam dobrze, skąd ma tę jasną, cienką bliznę pod prawym okiem. Byłam z nim, gdy goniąc za piłką, wpadł na ostrą gałąź, prowadziłam go do domu całego zalanego krwią. To był mój brat, mój przyjaciel. Przecież to on skontaktował mnie z Jaworem, przekazał w ręce dowództwa.

– Czego nie rozumiesz? – spytał ostro i wciąż nie patrząc mi w oczy, drżącą ręką sięgnął do marynarki po papierośnicę. – Myślisz, że nie wiem, jak to działa, co?

– Ryszardzie...

– Tak, tak, w wywiadzie na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone, nieprawdaż? Dzięki pieniądзом, alkoholowi czy odpowiednio *przeszkolonej* kobiecie można z każdego wyciągnąć najgłębiej skrywane tajemnice – ciągnął ze złośliwym uśmieszkiem.

– Przecież wiesz, że tylko wykonywałam rozkazy. – Wyraźnie słyszałam w moim głosie błagalne nuty.

– Z pewnością nikt nie wydał ci polecenia, żebyś z nimi sypiała.

– Miałam zdobyć informacje za wszelką cenę...

– A ty zinterpretowałaś to jako polecenie wskoczenia jednemu czy drugiemu esesmanowi do łóżka, tak? – Zmrużył oczy i wypuścił z ust kłęb szarawego dymu.

– To nie takie proste...

– To jest bardzo proste – uciął.

– Wykonywałam rozkazy! – wrzasnęłam. – Gromadziłam informacje i przekazywałam organizacji! Narażałam życie tak samo jak wy. Nie masz pojęcia, przez co przeszłam! Nic o mnie nie wiesz!

– Wiem, że sypiałaś z nazistami – warknął. – Nie potrzebuję wiedzieć nic więcej. To mi wystarczy.

– Dostałam rozkaz – powtórzyłam już słabiej. Oboje wiedzieliśmy, że nie mogę zaprzeczyć. – Sam mówiłeś, że przysięgaliśmy, iż dla Sprawy powinniśmy być gotowi na wszystko.

– Na bohaterską śmierć. Oddanie życia za Ojczyznę – uściślił wrogo, zgniatając niedopałek w przepelnionej popielniczce i sięgając po kolejnego papierosa. – Nie na zabawianie się ze szkopami.

Szarpnęłam głową, jakby wymierzył mi siarczysty policzek. Odetchnęłam głęboko, próbując się uspokoić. Emocje to zwykle najgorsi doradcy. Postanowiłam zmienić temat.

– Oboje jesteśmy zmęczeni – powiedziałam, starając się brzmieć pewnie. – Porozmawiamy jutro.

Chciałam wyjść na korytarz wiodący do pokoi, ale Ryszard zastąpił mi drogę.

– A ty dokąd? – mruknął niewyraźnie. Z jego ust zwiślał niezapalony papieros.

– Do mojego pokoju – odpowiedziałam. – Chcę się położyć. Liczę, że jutro uda nam się porozmawiać spokojniej.

Zrobiłam krok w przód, ale Ryszard się nie cofnął.

– Zapomniałaś, że wojna się skończyła. – Pstryknął zapalniczką. Błysnął fioletowawy ogienek. Brat przypalił papierosa, zaciągnął się, a potem powoli wypuścił z ust dym. – To wszystko zmienia. Nie możesz tu zostać.

– To mieszkanie moich rodziców!

– Których los nie obchodził cię przez pięć lat wojny – bąknął i znów się zaciągnął. – Nie masz tu czego szukać. Nie chcę mieć nic wspólnego z kimś, kto robił takie rzeczy.

Poczułam, że brakuje mi powietrza. Otwierałam i zamykałam usta jak ryba wyciągnięta na brzeg.

– Sam mnie z nimi skontaktowałeś. To był rozkaz – wyszeptałam tak cicho, że sama nie byłam pewna, czy te słowa naprawdę popłynęły z moich ust, czy tylko tak mi się wydawało.

– A teraz musisz zmierzyć się z życiem, nie zasłaniając się rozkazami.

– Czy tego chcesz, czy nie, jesteś moim bratem!

Przez chwilę przyglądał mi się w skupieniu. Miałam nadzieję, że tak jak do mnie, wracają do niego wspomnienia tych wszystkich słonecznych, radosnych chwil wspólnego dzieciństwa i pierwszej młodości, nim nadeszła wojna. Odwrócił wzrok. Zaciągnął się papierosem, po czym rzucił niedopałek wprost na podłogę i zgniótł go czubkiem pantofla.

– Nie mam już siostry – powiedział, a w jego głosie nie było smutku czy żalu. Tylko niechęć.

– Ryszardzie, proszę... – jęknęłam błagalnie.

Wyciągnęłam rękę i spróbowałam chwycić jego dłoń, ale odepchnął ją, jakby była brudna.

– Daj mi spokój – warknął. – Przestań mnie nachodzić.

– To mój dom...

– To mój dom – syknął z naciskiem. – Dom mojego ojca i matki, którzy na szczęście dla nich umarli, zanim się dowiedzieli, że ich córka została kochanką nazistów.

Zapadłam się w siebie, niezdolna wydusić słowa.

– Jeśli jeszcze raz tu przyjdiesz, doniosę do bezpieki – rzekł wciąż zimno i beznamiętnie. – Z pewnością będziesz dla nich godnym uwagi tropem. A teraz idź już.

– Dobrze, odejdę – poddałam się. – Jeśli naprawdę tego chcesz, zniknę, choć jestem twoją jedyną rodziną.

– Nic tu po tobie.

Odsunął się nieco, robiąc mi przejście i wykonując ręką zamaszty gest w stronę drzwi. Spuściłam głowę i ruszyłam ku wyjściu.

– Ryszardzie... – Odwróciłam się gwałtownie.

– Wyraziłem się nie dość jasno? – syknął, a jego twarz stężała w wyrazie wściekłości.

– Janek... – wykrztusiłam. – Wiesz coś o Janku?

– Jeszcze go pamiętasz? – zadrwił.

– Jak mogłabym zapomnieć? Przecież to mój narzeczony. – Głos silnie mi dygotał. – Wiem, że jeszcze zimą żył. Na przesłuchaniu Niemcy pokazali mi moją fotografię, tę, którą tak lubiła mama. Powiedzieli, że znaleźli ją przy jakimś więźniu. Na pewno chodziło o Janka. Nikt inny nie zdołałby zmusić matki, by oddała mu to zdjęcie. Nikt inny nie nosiłby przy sobie mojej podobizny. To był on. Na pewno.

– Doprawdy wzruszające. – Ryszard roześmiał się, ale nie był to przyjemny śmiech.

– Wiesz coś?

– Naprawdę sądzisz, że on chciałby z tobą rozmawiać? – spytał po chwili, wciąż się uśmiechając. – Janek brzydziłby się tobą tak samo jak ja. Gdziekolwiek jest, jeśli wie, czym się stałaś i jak się zabawiałaś w czasie wojny, z pewnością żałuje, że kiedykolwiek cokolwiek was łączyło.

Pchnęłam drzwi i wypadłam na schody. Zbiegłam na podwórko, na którym przed laty bawiliśmy się z Ryszardem w wojnę. Ja i mój starszy brat walczyliśmy ramię w ramię przeciwko bandzie z frontowej części naszej kamienicy. Ujrzałam nas znów, dziesięcioletniego chłopca z pistoletem z patyka i siedmioletnią dziewczynkę z warkoczykami i bez dwóch jedynek uzbrojoną w procę.

„Razem zawsze wygramy” – usłyszałam echo jego słów.

Dwa dni później zostałam aresztowana. Może było to dzieło przypadku, nieszczęśliwego dla mnie zbiegu okoliczności. Może podejrzenia Ryszarda nie były bezpodstawne i po prostu nie zauważyłam tego, że od jakiegoś czasu ktoś mnie śledził. A może Ryszard był im obojętny, ale wykorzystali go jako przynętę – czekali na mnie? Nigdy nie poznam odpowiedzi na to pytanie, choć przebywając w areszcie, odtwarzałam w pamięci każdą minutę spędzoną w Warszawie, by rozwiązać tę zagadkę. Chyba to właśnie pozwoliło mi nie popaść w obłęd. Mój analityczny umysł, przywykły do rozwiązywania trudnych problemów, domagał się odpowiedzi i nie mógł się załamać, dopóki jej nie uzyska.

Od pierwszej chwili miałam jednak pewność, że wiedzieli, kim jestem.

Był słoneczny dzień. Szłam zamyślona i zapewne dlatego zorientowałam się, że coś jest nie tak, dopiero wtedy, gdy znalazłam się pomiędzy dwoma roslymi mężczyznami, mimo ładnej pogody ubranymi w długie ciemne płaszcze. Coś w wyrazie ich twarzy, gestach i ruchach przypominało mi gestapowców, tyle że ci tu mieli ubłocone buty i brud za paznokciami.

– Marianna Jurasz? – spytał jeden z nich.

Gwałtownie przystanąłam, ale wówczas ten, który zadał pytanie, ujął mnie pod łokieć i pociągnął do przodu.

– Idziemy spokojnie przed siebie – instruował. – Żadnych scen.

Skinęłam głową, jednocześnie wyszarpując rękę. Nie próbował jej przytrzymać. Widocznie był pewien, że i tak nie mam żadnych szans na ucieczkę. Szkoda, że nie mogłam im powiedzieć, jak świetne wyniki w biegach osiągnęłam pod koniec szkoły BDM. Po rozmowie z Ryszardem byłam jednak kompletnie załamana i zrezygnowana. Myśl o ucieczce nawet nie powstała w mojej głowie. Wydawało mi się, że wszystko mi jedno, co się ze mną stanie. Kolejne tygodnie miały pokazać, jak bardzo się myliłam.

Co ciekawe, ubecy nie spisali moich personaliów, jakby nie potrzebowali niczego ustalać. Zrozumiałam, że zadali to pytanie tylko po to, żeby mi uświadomić, że wiedzą, kim jestem. Chcieli zyskać przewagę, wzbudzić mój strach.

Zostałam przewieziona więzienną furgonetką do aresztu śledczego w Bydgoszczy. Gdy wrzucono mnie do ciasnej celi, w której stała jedynie pozbawiona siennika drewniana prycza, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że już kiedyś tu byłam. A może wszystkie areszty i więzienia świata, wszystkie miejsca, w których torturami wymusza się zeznania lub przyznanie do winy, są do siebie podobne.

To wrażenie jeszcze się wzmogło, gdy zabrali mnie na przesłuchanie. Gołe ściany pozbawione okien, zimny beton na podłodze, żadnych farb, ozdób czy tkanin, czegokolwiek, z czego trudno byłoby zmywać krew i ekskrementy. Przesłuchania zwykle odbywają się w piwnicach czy suterrenach. Nad głowami katowanych i poniżanych więźniów toczy się całkiem zwyczajne życie. Sekretarka popija kawę, sprzątac zamyka korytarz, młodzik przynosi dokumenty z jednego pokoju do drugiego, za oknami szczeka pies. Żadne z tych dźwięków nie docierają jednak niżej. Żadne nie mogą się stamtąd wydostać. Na nic krzyki, wołanie o pomoc, jęki, błagania, płacz, wycie. To naturalne odruchy człowieka cierpiącego, wbrew rozsądkowi wierzącego, że może ktoś przyjdzie mu z pomocą. Tymczasem tylko traci on cenne odrobiny sił. Grube ściany skutecznie tłumią każdy dźwięk. Nikt nie usłyszy. Nikt nie przyjdzie.

Na początku liczyłam dni, zaznaczając paznokciem na ścianie małe pionowe kreski, ale gdy straciłam paznokcie, jeden po drugim wyszarpięte mi podczas przesłuchania, straciłam też rachubę. Wciąż zadawali te same pytania, a ja odpowiadałam, po prostu mówiąc jedną z wersji prawdy, których miałam aż w nadmiarze, i sama się w tym wszystkim gubiłam.

– Czy była pani członkinią wrogiej Armii Krajowej?

– Tak.

– Czy pracowała pani w wywiadzie wrogiej Armii Krajowej?

– Tak.

– Czy szpiegowała pani nazistów?

– Tak.

– Czy czerpała pani korzyści majątkowe z tej działalności?

– Tak.

– Czy utrzymywała pani bliskie kontakty z Niemcami?

– Tak.

– Czy szpiegowała pani na rzecz obcych wywiadów?

– Nie.

– Czy prowadziła pani działalność antykomunistyczną?

– Nie.

Pytania mnożyły się jak wezwania w litanii, a wraz z nimi spadały na mnie kolejne razy. Bili mnie okrutnie, jakby w każdy cios wkładali cały swój gniew. Tylko czym wzbudziłam taką złość?

– Pora na wiatraczek! – chichotali jak małe dzieci, a potem ciągnęli mnie za włosy po podłodze.

Okładali mnie pięściami, kablami, gumowymi rurkami, nogą od krzesła, przypalali rozgrzanym pogrzebaczem albo cętkowali, czyli kładli mnie na podłodze i rzucali na mnie zapalone zapalki, które gasły

na mojej skórze. Zabawiali się w skubanie gęsi, wyrywając mi włosy z różnych części ciała. Lubili też zadawać pytania, gdy stałam na jednej nodze z rozłożonymi ramionami.

– Ale cycki ma niezłe – komentowali. – Tyłek też niczego sobie.

Dotykali mnie lubieżnie. Najczęściej jeden przesuwał dłonią po moim ciele, a drugi patrzył z ręką wsuniętą w spodnie. To chyba właśnie wtedy powstał pomysł, by wykorzystać konia Andersa. Posadzono mnie naga na nieco skróconej metalowej nodze odwróconego taboretu. Nacisk mojego ciała sprawiał, że noga powoli wbijała mi się w odbyt. Chodziło o to, by sprawić niewyobrażalne cierpienie, ale nie przebić żadnego organu. Nie zabić. Wyłam tak przeraźliwie, że jeden z oprawców wyszedł przed końcem swojej zmiany. Bardzo szybko straciłam przytomność.

Obudziłam się w celi na podłodze, zlane zimnym potem, w kałuży krwi, moczu i ekskrementów. Koń Andersa musiał mimo wszystko coś we mnie uszkodzić, bo straciłam kontrolę nad potrzebami fizjologicznymi. Niespodziewanie załatwiałam się pod siebie.

Przez kilka kolejnych dni mnie nie przesłuchiwali. Od tamtej pory przestali też zabawiać się mną seksualnie. Widocznie zbytnio się mnie brzydzili. To był jedyny moment wytchnienia przez długie tygodnie. To właśnie tu, w polskim areszcie UB, po raz pierwszy pomyślałam o samobójstwie.

Najzabawniejsze i najtragiczniejsze zarazem było to, że przez specyfikę mojej działalności nie mogłam nikogo wsypać. Nikogo przecież nie znałam. Nie potrafiłam wskazać żadnych nazwisk. Antygona? Jawor? Biały? Nie wiedziałam nawet, jak mieli naprawdę na imię. Same pseudonimy przecież nic nie znaczyły. Adresy? Pamiętałam tylko jeden. Adres zakładu kosmetycznego w Łodzi, który przestał być aktualny jeszcze w czasie wojny. To wszystko. Gdybym wiedziała coś więcej, z pewnością zdradziłabym każdy sekret, byle zakończyć to wszystko. Naprawdę dużo mogłabym im powiedzieć o łódzkich

esesmanach, ale po przegranej naziści nie interesowali ludzi Stalina. Nie miałam nic, co mogłabym im dać, ale oni nie chcieli mi uwierzyć.

Przesłuchujący zmieniali się co kilka godzin. Byli zmęczeni, a przesłuchanie miało trwać bez przerwy. Mnie pozbawiano snu. Nie dawano mi pić. Głodzono mnie. Urządzano kąpiele, podczas których woda przez wiele godzin powoli, kroplami spadała mi na głowę. Rotmistrz Pilecki miał ponoć napisać, że przy tym, co przeżył w katowni UB, Oświęcim był igraszką. Nigdy nie byłam w obozie, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić bardziej piekielnego miejsca.

Nie zliczę, ile godzin stałam całkiem naga po kostki w wodzie lub tuż przy ścianie, nie mogąc się o nią oprzeć. Musiałam stać nieruchomo. Najmniejsze drgnięcie karane było polewaniem lodowatym strumieniem. To były szczególnie praktyczne metody dręczenia, bo nie zostawiały śladów, podobnie jak męczenie psychiczne.

Niemal cały czas krzyczeli na mnie, wyzywali mnie, ale najgorsze były szepty. Potrafili godzinami szeptać mi do ucha jeden i ten sam wyraz. Najczęściej wybierali słowo: „dziwka”.

Umysł szalał. Dostawałam omamów, majaczyłam. Szepty nie ustawały. Błagałam o koniec. Pragnęłam śmierci.

– Nie umrzesz – syczał któryś. – Nie pozwolimy ci umrzeć. Dla takich jak ty nie ma wybawienia. Będziemy cię pieścić bykowcem, a potem przywracać do życia, aż twój umysł się podda.

Ta perspektywa nieskończoności wydawała mi się gorsza niż inne tortury. Tak była przynajmniej nadzieja. Może uderzą za mocno? Może spadnę twarzą do wody, zachłysnę się i utonę, nim zdążą się zorientować? Może nieostrożnie silniej zacisną mi palce na gardle i mnie uduszą? Może ktoś zapomni wyjąć nabój z pistoletu przed pozorowaną egzekucją? Myśl, że to wszystko miałoby nie mieć końca, odbierała mi rozum. Wśród szepców wspomnienia mieszały się z abstrakcyjnymi obrazami, miałam halucynacje, atakowały mnie przerażające wizje. Mieszało mi się w głowie.

Byłam skrajnie wyczerpana. Nie wiedziałam, czy jest dzień, czy noc.
Pograżyłam się w beczasie.

W końcu chyba dotarło do nich, że naprawdę nic nie wiem. Dali mi spokój. Pewnego dnia strażniczka wręczyła mi kawałek szmaty i mydło i zaprowadziła do łazienki. Prawdziwej łazienki wyłożonej kafelkami. Zrobiłam na rękach trochę piany i usiłowałam się umyć, ale nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że dotykam obcego ciała, zwłok. Stałam więc tylko pod strumieniem letniej wody, dopóki znów po mnie nie przyszła. Dostałam czyste ubranie, a nawet grzebień.

– Jutro masz rozprawę – rzuciła strażniczka, która rankiem przyniosła mi kubek czarnej kawy i kawałek chleba.

Wchodząc do gmachu sądu, dokąd wprowadzano mnie ze skutymi rękoma, jakbym mogła stanowić dla kogoś zagrożenie, wspominałam, jak na początku okupacji w ostatnie ciepłe październikowe dni matka z sąsiadkami siadywały na ławeczce przed naszą kamienicą i wzdychały do życia po wojnie. Pogoda była tego dnia podobna do tamtej. Kobiety, które przez ostatni miesiąc posiwiały i postarzały się od trwogi i zmartwienia, wystawiały twarze do słońca, snuły plany, marzyły i choć na chwilę robiło im się lżej na sercu. „Byle tylko dożyć”. Kiwały głowami, a ich rozświetlone przez chwilę twarze znów zasnuwał cień.

Ja dożyłam, mamó, i co z tego? – myślałam, drobiąc pomiędzy dwoma wysokimi mężczyznami w mundurach. – I gdzie jest ten szczęśliwy świat? To piękne życie w pokoju?

Szłam na chwiejnych nogach, z trudem stawiając kolejne kroki. Moje udęczone ciało odmawiało posłuszeństwa.

Rozprawa trwała krótko. Nie zadano mi żadnych pytań, nie przesłuchiowano świadków. Po kilku minutach rozpoczęło się odczytywanie wyroku.

– Wojskowy Sąd Rejonowy w obecności oskarżyciela, w nieobecności obrońcy, rozpoznał sprawę Marianny Jurasz alias Leni Köhler, córki Elżbiety i Klemensa, urodzonej dwudziestego czwartego października tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku Polki, stanu wolnego, posiadającej maturę niemiecką, znającą język niemiecki, francuski i łaciński, bez majątku, orderów i odznaczeń, rzekomo niekaranej w Wojsku Polskim, niesłużącej, w wojnie udziału niebiorącej, nie rannej, ostatnio bez stałego adresu zamieszkania, pozostającej w Warszawie... – Sędzia zrobił dłuższą pauzę, sięgnął po stojącą przed nim szklanę i upił łyk wody. – ...oskarżonej o przestępstwo z artykułu osiemdziesiątego ósmego, paragrafu pierwszego, w związku z artykułem osiemdziesiątym szóstym paragrafem drugim kodeksu karnego Wojska Polskiego i artykułu sto dziewięćdziesiątego pierwszego kodeksu karnego, na podstawie całokształtu okoliczności ujawnionych w toku postępowania przewodu sądowego postanowił, co następuje.

Było mi obojętne, co przeczyta dalej. To były tylko słowa. Nie mogły mi wyrządzić żadnej krzywdy, sprawić bólu. Nie bałam się ich. Stałam skulona, opierając obie dłonie o blat stołu. Chciałam wyprostować się dumnie, trzymać głowę wysoko i nie dać im wszystkim satysfakcji, ale nie miałam na to siły. Moje udęczone ciało z trudem utrzymywało się w pozycji pionowej. Wyrok był mi obojętny. Pragnęłam tylko stąd wyjść, położyć gdzieś głowę i zasnąć.

– Oskarżona Marianna Jurasz, będąca od tysiąc dziewięćset czterdziestego roku członkiem podziemnej organizacji, odbywszy stosowne przygotowanie, przez cały okres wojny pracowała dla Gestapo, dostarczając odpowiednich informacji AK. Była wywiadowczynią nielegalnej organizacji, pełniła funkcję informatora, otrzymując

wynagrodzenie w wysokości pięciu tysięcy złotych miesięcznie oraz zwrot wydatków z kasy nielegalnej organizacji.

„Nielegalnej organizacji” – powtórzyłam z goryczą w myślach. W areszcie dowiedziałam się, że w nowym, komunistycznym porządku świata Armia Krajowa podczas wojny stała z bronią u nogi i nie kiwnęła palcem dla Polski. Zamiast tego donosiła Niemcom i współpracowała z Gestapo w pozbywaniu się komunistów. Nie mogłam tego objąć umysłem. Nie rozumiałam, jak to możliwe, żeby w kilka miesięcy tak bardzo wypaczyć obraz rzeczywistości i w dodatku z zadziwiającą konsekwencją kłamać, wtłaczać ludziom do głów tę nową definicję świata. Na co liczyli? Że kłamstwo powtórzone odpowiednio wiele razy stanie się rzeczywistością? Że odmienią przeszłość? Przecież to nie mogło się udać! Żyło zbyt wielu ludzi, którzy znali prawdę, byli tam, widzieli, rozumieli, mogli zaświadczyć.

Wtedy dotarło do mnie, że wystarczy konsekwentnie łamać jednostki, jedną po drugiej, jak zapalki, by zamiast sprzeciwu wybrały milczenie.

– By ukryć swą tożsamość i przynależność do nielegalnej organizacji, posługiwała się fałszywym dowodem osobistym czasu okupacji na nazwisko Köhler – czytał sędzia. – Wyżej wymienionych dokumentów używała do chwili zatrzymania. Powyższe ustalono na podstawie przesłuchania oskarżonej, niebudzącego żadnych wątpliwości.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Słowo „przesłuchanie” odbiło się echem w mojej głowie. Głos sędziego zlał się w jedno ze wspomnieniami wołania strażników. Brzdęk kluczy, zgrzyt otwieranej zasuw, jęk drzwi i rozkaz: „na przesłuchanie”. Jęknęłam. Skuliłam ramiona jakby w obawie przed ciosem. Ten jednak nie nadszedł.

Otrzeźwiałam. Znowu byłam w dusznej sali sądowej, do której przez wielkie okna wlewało się ostre wiosenne słońce. Przesunęłam palcami po drewnianym blacie. Odetchnęłam głęboko.

– W tym stanie rzeczy – czytał niezmiennie wyzutym z emocji tonem sędzia – Sąd przyjmuje za udowodnioną winę oskarżonej Jurasz Marianny co do brania udziału w nielegalnej organizacji AK, w której

pełniła funkcję wywiadowczyni i informatorki. Wina oskarżonej nie budzi wątpliwości, gdyż przyznała się do niej całkowicie.

„Nawet najdzielniejsi pękają” – rozbrzmiały mi w uszach słowa pułkownika Jawora. „To nie jest powód do wstydu. Każdy prędzej czy później się złamie”.

Tak, przyznałam się. Przyznałam się do wszystkiego, do czego chcieli, bym się przyznała. Działałaś na szkodę państwa polskiego? Tak. Odbywałaś stosunki seksualne z Niemcami? Tak. Z iloma? Nie wiem. Z iloma? Z jednym. Z iloma? Z trzema? Piętnastoma? Wpiszcie, ilu chcecie!

Przykładam obie dłonie do uszu. Kręcę głową. Nie chcę słyszeć tych głosów. Niech umilkną. Zabierzcie je! Zabierzcie. Wszystko powiem.

– Wszystko powiem! – wyrwało mi się z ust.

Po sali przebiegł szmer.

– Już powiedziałaś – rzekł prokurator, po czym wyprostował się, uśmiechnął szeroko, a następnie, lekko skłoniwszy głowę, powiódł wzrokiem po zgromadzonych, jakby był aktorem, który dziękuje swej publiczności za uznanie.

Przyjrzałam mu się. Tętno powoli mi się uspokajało, oddech wyrównywał.

– Czy można kontynuować? – spytał nieprzyjaźnie sędzia. – Czy woli pani dodatkową karę pozbawienia wolności za naruszenie powagi, spokoju i porządku czynności sądowych?

– Przepraszam – powiedziałam cicho i ponownie spuściłam głowę.

– Czyny oskarżonej całkowicie wyczerpują znamiona przestępstw z artykułu osiemdziesiątego ósmego paragrafu pierwszego w związku z artykułem osiemdziesiątym szóstym paragrafem drugim kodeksu karnego Wojska Polskiego i artykułem sto dziewięćdziesiątym pierwszym kodeksu karnego – ciągnął mężczyzna. – Przy wymiarze kary sąd wziął pod uwagę, że oskarżona wykazywała bardzo dużą

działalność, starając się jak najwięcej zasłużyć dla nielegalnej organizacji, do której należała, uważając, że wszelkie środki są godziwe dla niegodziwego celu. Sąd nie znalazł u niej żadnej okoliczności łagodzącej i dlatego skazuje ją na najwyższy wymiar kary.

Kolejny pomruk publiczności zlał się w jedno z potokiem moich myśli. Byłam winna. Nie doszukali się żadnych okoliczności łagodzących. Nikt nie zwrócił uwagi na to, że wstępując do owej nielegalnej organizacji, miałam zaledwie siedemnaście lat. Nie, nie byłam dorosła. Nie, nie byłam dojrzała. Nie, nie byłam przygotowana na to wszystko, co stało się moim udziałem, ale wojna się skończyła i teraz nikogo to nie obchodziło. Świat zaczął się od nowa. Wkrótce miała powstać nowa Warszawa, nowa ludowa Polska z nową władzą wierną Stalinowi. Ja przypominałam gruzy stolicy. Nikt nie widział w nich już pięknych kamienic, urokliwych pałacyków, zabytkowych budynków. Teraz były rumowiskiem utrudniającym przemieszczanie się, wadzącym, kłopotliwym, koniecznym do usunięcia.

Ze mną było tak samo. Nawet Ryszard, mój rodzony starszy brat, już nie pamiętał tamtej niewinnej, ślicznej, zdolnej dziewczyny rwącej się do walki o wolność. Nie znajdował żadnych okoliczności łagodzących. Uznał mnie za zbędną.

– Czy oskarżona rozumiała treść wyroku?

– Słucham? – zapytałam tonem człowieka wyrwanego ze snu.

– Sąd wymierza skazanej karę łączną dziesięciu lat więzienia – odczytał najprawdopodobniej po raz drugi mężczyzna w todzie, każde słowo wymawiając głośno i wyraźnie, jakby miał do czynienia z osobą ograniczoną umysłowo. – Na poczet orzeczonej kary pozbawienia wolności zalicza się okres tymczasowego aresztowania. Czy oskarżona rozumiała treść wyroku?

Skinęłam głową. Sędzia zakończył rozprawę, nakazując odprowadzenie mnie do więzienia dla kobiet politycznych w Fordonie. Patrzyłam na prokuratora. Widziałam jego radość – wygrał i cieszył się ze skazania groźnej przestępczyni. Sama nie czułam nic, ani smutku, ani

złości, ani strachu. Miałam tylko jedno pragnienie: nigdy więcej nie być przesłuchiwana przez katów Urzędu Bezpieczeństwa. W tamtej chwili perspektywa spędzenia dziesięciu lat w więzieniu nie robiła na mnie wrażenia. I tak nie miałam dokąd pójść, gdzie się podziać. Byłam nikim.

Siedziałam w kantynie i czułam, że ktoś mi się przygląda, ale zignorowałam to wrażenie. Po kilku miesiącach wciąż byłam traktowana jak nowa, zapewne mniej lub bardziej otwarcie przyglądali mi się wszyscy, ciekawi, kim jestem. Nic nie było o mnie wiadomo poza tym, że mam akowski wyrok. Ja o niczym nie chciałam mówić. Odpowiadałam na pytania grzecznie i wymijająco, nie zdradzając żadnych konkretów. Nie dodawałam też nic od siebie i nie pytałam o nic innych, a to budziło podejrzliwość. Psychologia grupy, nic poza tym. Jadłam dalej, z obrzydzeniem przełykając brejowatą maź mającą udawać zupę jarzynową. Pływały w niej kawałki ryby, która pachniała tak intensywnie, że nabrałam poważnych podejrzeń co do jej świeżości. Najchętniej odsunęłabym od siebie miskę, ale moje regenerujące się ciało łaknęło pożywienia. Wiedziałam też, że głód jest złym doradcą, a ja musiałam pozostać czujna, przynajmniej dopóki nie zrozumieć obowiązujących tu reguł i hierarchii. To nie było gestapowskie więzienie, gdzie każdy z założenia ufał każdemu, a jeden osadzony był bratem drugiego. Wszyscy mieliśmy tam wspólnego wroga – Niemców. W tym nowym świecie nie było wiadomo, kto jest kim. Komu można zaufać, kto donosi na współwięźniów, a kto jest prowokatorem. Należało zachować ostrożność. Zresztą ktoś taki jak ja nie mógł zaufać nikomu.

Najbardziej lubiłam Mirkę. Gdy się pojawiłam, nie zadawała żadnych pytań, po prostu pewnego dnia przysiadła się do mnie i przedstawiła się.

– Mirka.

Zerknęłam na nią ukradkiem. Była mniej więcej w moim wieku, miała ładną twarz, jeśli nie liczyć nosa skrzywionego po złamaniu i śladów po przypalaniu papierosem w kącikach oczu i ust. Jadłyśmy w milczeniu.

Dopiero po kilku dniach zdecydowałam się do niej odezwać.

– Marianna – powiedziałam ochryłym głosem.

– Miło mi cię poznać – odparła i wyciągnęła do mnie rękę.

Nie uścisnęłam jej. Jeszcze nie. Bałam się dotyku, spodziewałam się bólu pokiereszowanych dłoni.

Mirka знаła bardzo dużo historii. Przed wojną uczyła polskiego, w jej czasie była łączniczką, a po zakończeniu została skazana za działalność akowską.

– Słyszałam o pewnym mężczyźnie, który po wojnie powrócił na swoją wieś – opowiadała nam w celi któregoś wieczoru, gdy już zgaszono światło i wszystkie leżałyśmy wyciągnięte na swoich pryczach. – Poszedł rozminować pole, dawną ziemię swego ojca i dziada, teraz należącą do kolchozu. Musiał to zrobić, by móc coś na niej zasiać. Ludzie we wsi usłyszeli tylko potężny wybuch i tyle z niego zostało. Krew wsiąkła w glebę, jak niegdyś pot wylewany podczas orki przez jego przodków. A przecież kilka lat walczył z wrogiem, cierpiał głód, nędzę, upokorzenie, wciąż myśląc o powrocie do wsi, w której przyszedł na świat. Przeżył. Doczekał wolności i wkrótce pochowali jego rozszarpane przez minę szczątki w tej jego ojczystej ziemi. I tyle było ze snów o przyszłości.

Ta historia zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Właśnie tak się czułam. Jakbym po latach udręk wróciła do domu i tam została pogrzebana żywcem w murach więzienia, osadzona za zbrodnie, których nie popełniłam, choć ludzie Stalina twierdzili inaczej.

– Nie opowiadaj takich historii na noc – jęknęła Wanda, sanitariuszka z powstania, przy której znaleziono też jakieś ważne dokumenty. – Dość mam własnych koszmarów.

Pozostałe dziewczęta zamruczały z aprobatą, więc Mirka zaczęła recytować *Pana Tadeusza*. Znała obszerne fragmenty na pamięć.

Większość dziewczyn z naszej celi pochodziła z inteligentkich rodzin. Z przyjemnością przysłuchiwałam się ich rozmowom o literaturze, sztuce, muzyce. Chętnie opowiadały o podróżach, które odbyły, odwiedzonych miejscach, obejrzanych filmach i przedstawieniach.

– Gdy tak wspominają, czasem mam wrażenie, jakby ten świat jeszcze istniał – szepnęła mi kiedyś na ucho Mirka. – Jakby dało się tam wrócić.

Skinęłam głową. Obie wiedziałyśmy, że to niemożliwe.

Podobnie jak w BDM, tak i tu obowiązywał uniform: jednakowe sukienki i drewniane chodaki. Zimą dostawałyśmy zbyt cienkie kurtki i grube pończochy, które jednak musiałyśmy oddawać w pierwszym tygodniu marca, gdy zdaniem kierownika oddziału była już wiosna. Do wszystkiego szło się przyzwyczaić, choć czasem ta czy inna lądowała na oddziale szpitalnym z poważniejszym przeziębieniem czy zapaleniem płuc. Katarem czy kaszlem w zimowe miesiące nikt się nie przejmował, wszystkie pociągałyśmy nosami.

Wrażenie, że jestem obserwowana, nie słabło. Rozejrzałam się więc ostrożnie po sali. Wiele kobiet skończyło już posiłek i teraz siedziały rozparte na krzesłach i rozmawiały. Nagle zobaczyłam postać skrytą w cieniu drzwi do zmywalni.

Nie miałam cienia wątpliwości – to był Staszek Marchwicki. Szybko odwróciłam wzrok. Czułam pulsowanie krwi w skroniach. Nie rozumiałam, dlaczego tak się przestraszyłam. Czy bałam się samego Marchwickiego, czy tego, co mógłby opowiedzieć o mnie innym? Czy wiedział, kim byłam? Może Ryszard mu powiedział? Czy wykorzysta tę wiedzę przeciwko mnie? Skaże na ostracyzm? Wykluczy? Dlaczego zjawił się akurat teraz, gdy zaczynałam wydostawać się z matni?

Może to nie mnie się przyglądał? – myślałam gorączkowo. Może wcale mnie nie zauważył?

W tej samej chwili usłyszałam odgłos ciężkich kroków butów strażnika. Nie było odwrotu. Podniosłam wzrok i spojrzałam na Marchwickiego, który stanął przy moim stoliku.

Te kilka lat i na nim odcisnęło piętno. Wciąż był przystojny, jak wówczas, gdy widzieliśmy się po raz ostatni, a on był adeptem prawa, ale w jego twarzy czaiło się coś niebezpiecznego. Najgorsze było lodowate spojrzenie jego oczu, przywodzących na myśl lśniące szklane kulki, które wkładano w oczodoły porcelanowych lalek.

– Proszę, proszę, Marianna Jurasz – powiedział tonem, od którego poczułam dreszcz na plecach.

– Witaj, Staszku – odparłam z udawaną obojętnością. Wciąż potrafiłam doskonale udawać, oddzielić się, schować wewnątrz samej siebie, tak by nikt nie mógł odgadnąć moich prawdziwych uczuć. – Dobrze cię widzieć, nawet w tych okolicznościach.

– Przyznam szczerze, że w najśmielszych snach nie spodziewałem się zastać cię tutaj, w gościnnych progach Fordonu. – Marchwicki się uśmiechnął. Zobaczyłam, że brakowało mu kilku zębów.

– W burzliwych czasach różnie plotą się ludzkie losy – odparłam wymijająco.

– Co tam u Ryszarda? – spytał, wciąż się uśmiechając.

– Nie wiem – skłamałam. Jednocześnie poczułam ulgę. Nie rozmawiał z moim bratem. Była więc nadzieja, że o niczym nie wiedział. – Straciłam go z oczu w drugim roku wojny i już się nie odnaleźliśmy.

Nie próbował nawet udawać współczucia. Odsunął krzesło i usiadł obok mnie, tak blisko, że czułam bijące od niego ciepło.

– Wiem, za co cię tu zamknęli – rzucił mi prosto w twarz. – Wiem dobrze.

– Odbył się proces, zapadł wyrok, historia jakich wiele. – Staralam się wciąż trzymać nerwy na wodzy, choć przychodziło mi to z coraz większym trudem.

– Za błędy przeszłości trzeba płacić. – Pokiwał głową, nie spuszcżając ze mnie wzroku.

– Tak – zgodziłam się. – Od zarania dziejów nic się w tej kwestii nie zmieniło.

– Słyszałem, że lubisz mundury. – Nie było to pytanie, ale stwierdzenie wypowiedziane tonem, od którego zjeżyły mi się włoski na karku.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Marchwicki pochylił się w moją stronę. W nozdrza wdarł mi się ostry zapach potu niedomytego ciała i oddechu przesyconego wonią rozkładającego się alkoholu. Nadludzkim wysiłkiem powstrzymałam odruch odsunięcia się. Bałam się jednak, że jeśli to zrobię, on dostrzeże mój strach. Pierwsza zasada człowieka, który się boi, głosi, że nie wolno tego lęku uzewnętrżnić, szczególnie przed oprawcą.

– Dla szkopów w mundurach byłaś miła, to dla swoich chyba też możesz, co? – wyszeptał. Wsunął język i polizał mnie w ucho.

Targnęły mną mdłości, ale zdołałam zachować zimną krew. Podniosłam dłoń i uderzyłam Marchwickiego w policzek.

– Jak śmiesz! – syknął. – To napaść na funkcjonariusza!

Kilka głów obróciło się w naszą stronę. Znaleźliśmy się w krzyżowym ogniu spojrzeń.

– Jeszcze się spotkamy – zniżył głos i wstał.

Poprawił kurtkę munduru i spokojnym krokiem wyszedł z kantyny. Dygotałam jak w febrze. Mirka, która musiała widzieć końcówkę całego zajścia, przysiadła się do mnie.

– Znasz go? – spytała, przyglądając mi się z troską.

– W dzieciństwie był przyjacielem mojego brata – odparłam zgodnie z prawdą trzęsącym się głosem. – W czasie wojny zniknął mi z oczu i aż do teraz go nie widziałam.

– Trzymaj się od niego z daleka – ostrzegła mnie Mirka.

– Dlaczego? – spytałam. – Mów, co wiesz.

– To wyjątkowa gnida – odparła szeptem, nerwowo rozglądając się na wszystkie strony. Musiała mieć pewność, że nikt nas nie podsłuchuje. – Mówią, że ma przedwojenne wykształcenie prawnicze. Chcieli zrobić go prokuratorem wojskowym, jako że jest wielkim piewcą Stalina, ale w ostatniej chwili cofnięto decyzję.

– Wiadomo, co się stało?

– Lubi wódkę i kobiety, choć butelki traktuje dużo lepiej, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Skinęłam głową, bo głos uwiązł mi w krtani.

– Pech chciał, że podczas jakiejś orgietki zbyt brutalnie potraktował córkę człowieka o wiele odeń ważniejszego. Ona twierdziła, że tego chciała, ale ojciec miał inne zdanie na ten temat...

– I zadbał, by Marchwickiego zesłano tutaj – odgadłam ciąg dalszy.

Mirka skinęła głową. Przez chwilę milczałyśmy. Z nadzieją analizowałam sytuację, w której nieoczekiwanie się znalazłam.

Przez większość czasu chroniły mnie współwięźniarki i obecność pozostałych strażników. Byłam pewna, że cokolwiek zamierzał Marchwicki, po aferze, za którą został tak surowo ukarany, nie zaryzykuje dalszej degradacji. Niewiele było chwil, gdy byłam sama, ale się zdarzały, a on z całą pewnością to wiedział.

Ku mojemu zdumieniu Marchwicki zniknął, jakby był tylko widmem przeszłości, które pojawiło się na chwilę, by mi przypomnieć, że dawnych spraw nie da się tak łatwo przekreślić. Nikt nie może zacząć życia od nowa. Za każdy błąd przyjdzie w końcu zapłacić. Mimo to odetchnęłam z ulgą. Dopiero teraz poczułam, jak bardzo zmęczyło mnie napięcie ostatnich tygodni, jak wielkie spustoszenie siał we mnie lęk przed niespodziewaną napaścią tego człowieka. Powoli znów odzyskiwałam spokój, czemu sprzyjała więzienna rutyna. Rytm dni wyznaczano porami posiłków i obowiązkowego spaceru bez względu na pogodę. Pracowałyśmy w tkalni, robiąc na maszynach niezliczone ilości męskich swetrów. Za nieco lepszą posadę uważana była wykańczalnia, ale i tak wszystkie czynności były powtarzalne i żmudne. Gdyby nie przysłuchiwanie się rozmowom dziewcząt, mój mózg pogrążyłby się w letargu, zapadł w sen zimowy. Opowieści współwięźniarek były pożywką dla mojej duszy i umysłu. Chłonełam je z dnia na dzień coraz chętniej.

Z czasem z gałganków i resztek wełny zaczęłyśmy robić lalki. Początkowo najprostsze, potem coraz wymyślniejsze. Ludzi, zwierzęta, drzewa, fantastyczne stwory.

– Urządzimy sobie teatr! – rzuciła pewnego dnia Mirka, która choć wcale o to nie zabiegała, szybko stała się organizatorką życia kulturalnego już nie tylko w naszej celi, ale też na całym oddziale.

Napisałyśmy wniosek do naczelnika, a gdy wyraził zgodę, zaczęłyśmy organizować przedstawienia. Najpierw proste scenki, potem całe sztuki. Oglądałam z przyjemnością i zawsze pomagałam dziewczętom posprzątać po przedstawieniu, nie mogłam jednak się przełamać, by wziąć w nim udział. To jedno mimo wojny się nie zmieniło.

– Nauczę cię angielskiego, jeśli chcesz – zaproponowała pewnego dnia Mirka.

Chciałam. Zaczęłyśmy lekcje. Każdego dnia po kilka słówek. Znow miałam zadanie. Wracały mi siły, zarówno fizyczne, jak i wewnętrzne.

Było późne popołudnie. Pracowałam na drugą zmianę w tkalni, w głowie powtarzając słówka, z których tego dnia miała mnie przepytawać Mirka, gdy nagle w drzwiach stanęła strażniczka. Musiała zostać przeniesiona z innego oddziału albo być nowa w Fordonie, bo nigdy wcześniej jej nie widziałam.

– Jurasz! – zawołała w głąb celi.

Zerwałam się i stanęłam przed nią w przepisowej pozie.

– Na przesłuchanie. – Machnęła głową, wskazując drzwi.

Zamarłam. Wyrok już zapadł, nie wniosłam apelacji, nie prosiłam o rewizję. Wszystko było wyjaśnione, dlaczego chcieli mnie przesłuchiwać? Byłam całkiem zdezorientowana. Odszukałam wzrokiem Mirkę. Wyglądała na równie zszokowaną.

– To chyba jakaś pomyłka – wydukałam, bo strach zacisnął mi gardło.

Strażniczka uniosła brwi w marnie udawanym wyrazie zdziwienia.

– Pomyłka? – spytała niemal piskliwie. – Pomyłka?

To powiedziawszy, szarpnęła mnie za ramię i bez pardonowo wypchnęła na korytarz.

Odprowadziła mnie do celi pozbawionej okien. Wpadające z korytarza światło wyłoniło z ciemności metalowe biurko z maszyną do pisania. Poza tym nie było tu żadnych innych mebli. Podniosłam wzrok i zobaczyłam przymocowany do sufitu przyrdzewiały prysznic.

Poczułam mdłości. Wiedziałam, do czego służą takie cele. Więzień trzymany był pod lodowatym strumieniem albo musiał stać przez kilka dni po kostki w zimnej wodzie.

– Czekaj tu. – Strażniczka pchnęła mnie do środka.

Potknęłam się, bo podłoga celi znajdowała się nieco poniżej poziomu korytarza. Kobieta zamknęła drzwi, pozostawiając mnie samą w całkowitych ciemnościach. Po omacku doszłam do ściany i usiadłam wprost na podłodze. Nie wiedziałam, co będzie dalej, ale byłam pewna, że powinnam oszczędzać siły. Podciągnęłam kolana pod brodę, objęłam je ramionami i ułożyłam na nich głowę. Zwinięta w kłębek starałam się nie myśleć o niczym, zamknąć strach gdzieś głęboko w sobie i przygotować ciało do walki. Mój umysł z wolna się uspokajał, oddychałam powoli, miarowo, aż w końcu zasnęłam.

Obudziło mnie zgrzytnięcie zamka. W tym samym momencie rozbłysły umieszczone pod sufitem żarówki. Zerwałam się na równe nogi. W pierwszej chwili oślepiona jasnością nie rozpoznałam postaci, która stała w progu. Gdy dotarło do mnie, że jest to Staszek Marchwicki, było już za późno na cokolwiek. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Krzyk nie miał sensu. Nikt mnie tu nie usłyszy, a nawet gdyby, wrzaski, błagania o pomoc, jęki były w tej części budynku czymś całkiem zwyczajnym, jak szum drzew za oknami na wyższych piętrach.

Zrozumiałam, że przegrałam, nim walka się rozpoczęła. Jeśli zamierzał mnie skrzywdzić, i tak to zrobi. Jedyłą nadzieją było podjęcie próby obudzenia w nim wspomnień, odnalezienia człowieczeństwa, które przecież kiedyś tam było.

– Stęskniłem się – rzekł, podchodząc do mnie powoli.

Nie spieszył się, nie było takiej potrzeby. Nie miałam złudzeń. Wiedziałam, że wszystko dobrze zaplanował. Nikt nie zajrzy do tej celi, dopóki on tego nie zechce.

– Witaj, Staszku – powiedziałam, celowo używając formy, w której dawniej zwykł zwracać się doń Ryszard.

– „Staszku... Staszku” – przedrzeźniał mnie, krążąc powolnym krokiem po niewielkim pomieszczeniu jak polujący tygrys. – Nienawidziłem, gdy tak mnie nazywał.

Poczułam, jakby ktoś uderzył mnie w splot słoneczny. Tego się nie spodziewałam. Przez te wszystkie lata żyłam w przekonaniu, że Marchwicki i mój brat są przyjaciółmi. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogło być inaczej.

– Zawsze mieliście się za lepszych od innych – rzucił zjadliwie. – Ty i ten twój braciszek, niech go piekło pochłonie!

Już pochłonęło – pomyślałam. – Jego, mnie, ciebie, wszystko, co kochaliśmy, cały nasz dawny świat.

Pozwoliłam mu mówić, licząc na to, że w jego słowach znajdę coś, czego będę mogła się uchwycić.

– „Państwo Juraszowie mają takiego wspaniałego syna”. Wiesz, ile razy słyszałem to zdanie z ust mojej matki? „Taki kulturalny młody człowiek, taki elokwentny. Pójdzie w ślady ojca, jak na dobrego syna przystało”.

Wyrzucał z siebie słowa z prędkością świadczącą o wielkim wzburzeniu. Raz czy drugi z jego ust wyprysnęły krople śliny. Musiał naprawdę długo tłumić w sobie ten gniew.

– Najlepszy w nauce, najlepszy w sporcie, najpopularniejszy wśród dziewcząt – wyliczał. – A Marchwicki? „To ten śmieszny chłopak przy boku wspaniałego Jurasza. Wiecznie drugi, wiecznie w cieniu”.

Zatrzymał się przy biurku, oparł dłonie na blacie i przez chwilę dyszał ciężko. Milczenie przerażało mnie o wiele bardziej niż słowa. Wyprostował się nagle i odwrócił w moją stronę.

– Ale te czasy się skończyły. – Jego ton był teraz zupełnie inny. Opanowany, lodowaty. – Teraz ja jestem górą.

Po plecach przeszedł mnie dreszcz. Marchwicki przysiadł na biurku.

– Zdejmij buty – poprosił nagle łagodnie.

Posłuchałam. Do ostatniej chwili należało zachować bierność, okazywać posłuszeństwo, by uspić czujność oprawcy. Zaskoczenie jest jedną z nielicznych broni ofiary i trzeba wybrać odpowiedni moment, aby z niej skorzystać. Zsunęłam więzienne pantofle i ustawiłam równo pod ścianą. Nagła zmiana jego nastroju, zamiast uciszyć moje lęki, jeszcze mocniej mnie zaniepokoiła.

– Rozbieraj się – polecił, gdy znów się wyprostowałam.

Sięgnął po papierosa. Pstryknął zapalniczką i zaciągnął się. Końcówka papierosa rozżarzyła się do czerwoności.

Nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– Rozbieraj się, słyszysz!?

Pokręciłam głową.

– W takim razie ja ci pomogę – syknął i w ułamku sekundy znalazł się przy mnie.

Trzymając tłącego się papierosa w kąciku ust, przycisnął mnie do ściany, unieruchomił, wbijając mi przedramię w krtań, i drugą ręką zerwał ze mnie więzienny strój. Próbowałam się szarpać, ale pozbawiona tlenu, niemal natychmiast opadłam z sił. U moich stóp leżały strzępy odzieży. Byłam naga, tak jak tego chciał, a mimo to wciąż mnie dusił.

– Wiesz, że człowiek jest w stanie przeżyć bez tlenu nie więcej niż trzy, góra cztery minuty – rzekł.

Ciepławy popiół z papierosa spadł na mój obojczyk. Po chwili sfrunęła także drobinka żaru. Spod woni tytoniu przebijał delikatny swąd palonej skóry, ale nie czułam żadnego bólu.

– Ale nie trzeba doprowadzać sprawy do końca – mruknął Marchwicki i przesunął wolną ręką po moim brzuchu aż pomiędzy uda.

Znów się szarpnęłam, ale o wiele słabiej niż przed chwilą. Opadałam z sił. Twarz Marchwickiego rozmazywała mi się przed oczami. Odpływałam i wracałam, jakbym walczyła ze sztormowymi falami na rozszalałym morzu.

– Należy wyczekać na odpowiedni moment, przestać chwilę wcześniej, gdy ktoś straci przytomność albo gdy już nieodwracalnie uszkodzi się mózg, ale nie pozwolić mu umrzeć.

Moje oczy wytrzeszczały się boleśnie. Nie byłam pewna, czy z braku powietrza, czy ze zwierzęcego strachu, który odczuwałam. Wszystkie wspomnienia z tortur na ubecji powróciły ze zdwojoną mocą. Byłam lękiem.

– Lata przebywania z przyszłymi lekarzami na coś mi się jednak przydały. – Marchwicki uśmiechnął się złośliwie. – W moim obecnym fachu znajomość mechanizmów funkcjonowania ludzkiego ciała jest bezcenna. Wiesz, że kiedyś mistrzowie katowscy zajmowali się nie tylko torturami, ale i leczeniem ran po nich?

Jego głos dochodził do mnie z oddali, jakbym powoli opadała na dno głębokiej studni. Czułam, że zbliża się koniec. Nagle lęk mnie opuścił, a moje wnętrze wypełniła ulga, że zostanie mi oszczędzone to, czego mógłby się dopuścić Marchwicki. Nie miałam wątpliwości, że w stosunku do mnie był zdolny do wszystkiego. Tłumiona latami nienawiść przypomina śniegową kulę toczoną z wysokiego szczytu. Gdy nazbyt urośnie, staje się niszczycielską siłą, gotową obrócić wniwecz wszystko, co napotka na swej drodze, i której nie sposób powstrzymać.

Nagle Marchwicki rozluźnił uścisk. Osunęłam się na podłogę.

– Wstań – polecił mi tonem człowieka przywykłego do wydawania rozkazów.

Nie spełniłam polecenia nie dlatego, że chciałam go rozjuszyć czy się sprzeciwić. To moje ciało odmawiało posłuszeństwa.

– Wstawaj! – wrzasnął, wymierzając mi kopniaka.

Jęknęłam z bólu i przewróciłam się do przodu, upadając na twarz. Spróbowałam się podźwignąć na kolana, ale nie mogłam. Powoli wyłaniałam się z oparów mgły, odzyskiwałam świadomość tego, co działo się wokół. Wraz z oprzytomnieniem pojawiła się groza.

Pełzałam nago po betonowej podłodze. Czułam lepki wzrok Marchwickiego wodzący bez skrępowania po moich pośladkach. Słyszałam jego przyspieszony oddech i wiedziałam, co zaraz nastąpi.

Szarpnął mnie za włosy i zmusił do wstania. Niczym psa na smyczy doprowadził mnie do biurka. Szybkim ruchem ramienia zrzucił leżącą na metalowym blacie maszynę do pisania. Upadła z brzdękiem. Byłam jak szmaciana lalka pozbawiona jakiegokolwiek twardej części, niezdolna do oporu. Marchwicki musiał mieć dużą wprawę w zmuszaniu kobiet do wypełniania swojej woli. To, co wyczyniał ze mną przez kolejne godziny, było gorsze od wszystkiego, co przeżyłam wcześniej. W każde pchnięcie bioder, którym wdzierał się w moje ciało, wkładał całą przezartą nienawiścią duszę.

Wreszcie chyba się zmęczył. Rozjuszony tym faktem zaczął mnie bić. Brutalnie i metodycznie jak zawodowiec. Celował tam, gdzie wiedział, że zada mi największy ból i pozostawi najmniej śladów. Gdy całkiem zabrakło mu tchu, ubrał się, przekręcił klucz w zamku i wyszedł. Jasne światło wdarło się do celi, a potem znów zapadły ciemności. Zostawił mnie skrwawioną, pełną jego nasienia, śmierdzącą jego potem. Leżałam z szeroko otwartymi oczami, tuląc się do posadzki, której chłód przynosił mi ulgę. Nie myślałam o niczym, niczego nie czułam – poza zimnem przenikającym każdy skrawek mojego ciała.

Wiele lat później dowiedziałam się, że tamtego dnia Marchwicki był na służbie po raz ostatni. W uznaniu zasług i wzorowego wykonywania obowiązków, o czym zaświadczyli sam naczelnik więzienia i kilkanaście innych osób, został rehabilitowany i przywrócony do pracy w Departamencie Śledczym Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Nie został prokuratorem, ale doskonale sprawdzał się podczas przesłuchań. Zasłynął jako szczególnie zaciekły wróg akowców.

Na mnie dokonał zemsty za niepopelnione przewiny mojego brata. Zabił część mnie w imię nieodwzajemnionej przed laty miłości. Ani wojna, ani ogrom cierpienia wokół, ani zniszczenie Warszawy, ani śmierć milionów ludzi, ani nawet cud, jakim było jego własne przeżycie

tego wszystkiego – nic nie było go w stanie wyleczyć z choroby nienawiści.

Takich zwyrodnialców jak on nie brakowało w służbach bezpieczeństwa, a to, co robili z kilkunastolatkami, kobietami w ciąży, starcami, niepełnosprawnymi i wszystkimi innymi, z których chcieli wyciągnąć informacje, przekraczało ludzkie wyobrażenie.

Tamtego dnia jakiś czas później drzwi się otworzyły. Nie zareagowałam. Leżałam ze wzrokiem wbitym w brudną ścianę. Nie siląc się na delikatność, naciągnięto na mnie rozdartą więzienną sukienkę. Bielizna gdzieś przepadła. Czyjeś muskularne ramiona ujęły mnie pod pachami i uniosły. W gestach widać było wprawę, nie pierwszy raz ciągnęli ślaniającego się więźnia po przesłuchaniu. Nikt niczemu się nie dziwił. Nikt nie zadawał pytań. Robili swoje. Obrazy przesuwaly się przed moimi oczami jak w fotoplastykonie. Korytarz między celami do przesłuchań. Schody. Moje stopy, niemal niedotykające ziemi.

Cisnęli mnie jak worek na podłogę naszej celi, a potem dorzucili jeszcze moje buty. Słyszałam, jak na mój widok część kobiet wciągnęła głośno powietrze. Potem odwracały wzrok i udawały, że nie patrzą, choć ich współczujące spojrzenia raz po raz uciekały w moją stronę.

Przez kolejne tygodnie nie odezwałam się ani słowem. W moim umyśle panowała upiorna cisza. Współwięźniarki też nie pytały. Mirka pewnie domyśliła się wszystkiego, ale nawet ona nic nie mówiła. Bo i co miałyby powiedzieć? Są chwile, w których słowa nie mają żadnego znaczenia, żadnej mocy, żadnej wartości, więc po co w ogóle tracić na nie siły?

Przyklękała więc tylko przy mojej pryczy i poila mnie wodą z rozmoczonymi w niej drobinkami chleba. Piłam posłusznie, a potem znów zapadałam w pozbawiony snów letarg.

Załamalam się. Nie widziałam przyszłości, przeszłość zdawała mi się należeć do kogoś innego. Zadrapania się zagoiły. Siniaki zniknęły. Tylko każde szczęknięcie zamka w celi sprawiało, że natychmiast otwierałam

szeroko oczy, a zwierzęce przerażenie szarpało mi trzewia. To jedno miało się już nigdy nie zmienić.

Powiadają, że czas leczy rany. Nie wiem, czy to prawda. Nie jestem pewna, czy takie rany w ogóle da się wyleczyć. Czas jest jednak władcą pamięci. Powoli, dzień za dniem, niezauważalnie odbiera barwy wspomnieniom.

Po jakimś czasie próżnia, w której przebywałam, zniknęła, a jej miejsce zajęła nienawiść tak paląca, że z trudem udawało mi się ją w sobie pomieścić. Nienawidziłam Marchwickiego, nienawidziłam strażniczki, która mnie do niego zaprowadziła, nienawidziłam tych, którzy przywlekli mnie z powrotem do celi. Nienawidziłam Janka Franka za to, że zniknął i zostawił mnie samą na pastwę losu. Nienawidziłam Ryszarda za to, że uległ moim namowom i pozwolił mi wstąpić do organizacji, a potem odwrócił się ode mnie, bo wykonywałam rozkazy. Nienawidziłam Armii Krajowej, Polski, nade wszystko zaś samej siebie.

Dwudziestego drugiego lutego 1947 roku Sejm uchwalił amnestię dla działaczy podziemia. Od dwudziestego piątego lutego do dwudziestego piątego kwietnia pozostający w ukryciu żołnierze mogli, jak zapowiadano, zdać broń, wypełnić stosowny formularz, w którym należało podać przynależność organizacyjną, pseudonim, imię, nazwisko, stopień i wszystkie znane dane dowódcy, adresy. Ujawniali się zarówno ci, którym udało się pozostać na wolności, jak i więźniowie. W naszej celi na ten krok zdecydowały się cztery kobiety, w tym Mirka.

– To pułapka – ostrzegałam ją.

– Wiem.

– Nie rozumiem – wyznałam szczerze. – Wiesz, a mimo to...

– Mam dosyć tego miejsca – powiedziała. – Mam dwadzieścia pięć lat, nie chcę dać się pogrzebać żywcem.

– Bezpieka zbiera informacje, nic więcej – próbowałam ją przekonać.

– Chcą zniszczyć resztki podziemia. Sprawdzą to, co im powiesz,

zatrzymają innych i znów cię aresztują i osadzą, kto wie, czy nie w gorszym miejscu.

Mirka skinęła głową, ale wyraz jej twarzy się nie zmienił. Wciąż malowała się na niej ta sama determinacja, by się ujawnić.

– Mira, otrząśnij się. – Złapałam ją za ramiona. – Wiesz, jak to wygląda, jak cię zatrzymają, będą przesłuchiwać...

To słowo na kilka chwil zawisło między nami. Mirka mimowolnie spojrzała na swoje palce, połamane podczas śledztwa. Źle poskładane kości zrosły się krzywo, a dłonie młodej dziewczyny przypominały szpony czarownicy z ilustracji z książki z baśniami.

– Będą musieli mnie najpierw złapać – wycedziła, wyswobadzając się z mojego uścisku.

– Złapią. Oni są wszędzie. Nie będziesz mogła wrócić do domu ani w rodzinne strony, nikomu zaufać.

– A ktoś z nas może? – zapytała, uśmiechając się kpiąco, choć w jej oczach lśnił żal.

– Nie za taki świat walczyłyśmy – westchnęłam smutno.

– Nie – zgodziła się Mirka. – Ale innego nie mamy.

Do dziś nie jestem pewna, co dokładnie wydarzyło się później. Czy wypuszczono mnie przez pomyłkę, błąd administracyjny? Na to byłam chyba zbyt cennym więźniem. A może liczono, że gdy wyjdę z innymi, będę wiarygodniejsza dla swoich dawnych przełożonych, z którymi skontaktuję się po opuszczeniu więzienia, i doprowadzę służby bezpieczeństwa do jakichś ważniejszych osób? Nigdy nie poznałam prawdy. Faktem jest jednak to, że rankiem dwa dni po wypuszczeniu Mirki strażniczka stanęła w progu naszej celi i wywołała mnie.

Zadygotałam. Ostatni raz słyszałam swoje nazwisko wypowiedziane w ten sposób tamtego dnia, gdy dopadł mnie Marchwicki. Dłuższy czas nie mogłam się poruszyć.

– Ogłuchłaś? – ryknęła zniecierpliwiona strażniczka. – A może masz ochotę przed wyjściem pobyc jeszcze trochę w karcerze, co?

– Wyjściem? – powtórzyłam. To jedno słowo przywróciło mi przytomność umysłu.

– A jednak się obudziłaś, śpiąca królowo – zadrwiła tamta. – Zbieraj manatki, za dwie godziny masz być gotowa.

Wpatrywałam się w zawiadomienie o zwolnieniu. Powoli, jakbym dopiero co nauczyła się czytać, przesuwałam wzrokiem po literach.

„Zawiadomienie o zwolnieniu więźnia karnego Marianny Jurasz. Po odbyciu roku, dziewięciu miesięcy i czterech dni kary więzienia nałożonej wyrokiem karnym Wojskowego Sądu zostaje zwolniona...” Dalej były data, godzina, podpis i pieczętki.

Pakowałam swoje rzeczy drżącymi rękoma. Bałam się wyjść z więzienia. Nie pragnęłam wolności. Nie byłam nawet pewna, czy pamiętam w ogóle, czym ona jest. Przywykłam do życia podporządkowanego misji, kierowanego rozkazami, do wypełniania poleceń strażników, odgórnie ustalonego porządku dnia w więzieniu, godzin posiłków, czasu gaszenia światła. To wszystko dawało mi namiastkę poczucia bezpieczeństwa, pozwalało mi utrzymać się na powierzchni.

Miałam nieco ponad dwadzieścia cztery lata i całkiem sama wracałam do miasta, które wstawało z popiołów. Nie potrafiłam wyobrazić sobie, gdzie indziej miałabym pojechać.

Najbardziej bałam się spotkać kogoś, kto mógłby pamiętać mnie sprzed wojny. Kogoś, kto wpatrywałby się we mnie z nadzieją, że powspominamy stare dobre czasy. Nie chciałam wspominać. Wolałam pustkę niż rozdrapywanie ran. Żałowałam tamtej dziewczyny, która nie mając pojęcia, czym jest wojna, sama rzuciła się jej na pożarcie.

Marianny Jurasz już nie było. Leni Köhler także nie istniała. W Fordonie przez chwilę zdawało mi się, że słuchaniem mądrych rozmów i lekcjami angielskiego zdołam wskrzesić z martwych tę pierwszą.

Marchwicki jednak pozbawił mnie złudzeń. Wciąż byłam nikim.

WARSZAWA

1947

Wysiadłam z pociągu na peronie dworca Warszawa Główna. Gdy znalazłam się w zalanej światłem hali, oniemiałam z zachwytu. Na ogromnej przestrzeni rozmieszczono kawiarnie, czytelnie, kasy biletowe, a nawet zakład fryzjerski. Wszystko było świeże, lśniące, nowoczesne. Gdy ja siedziałam w więzieniu, życie niezłomnej Warszawy ruszyło dalej.

By dodać sobie odwagi, zacisnęłam dłonie na nieśmiertelniku. Zwrócono mi go z depozytu więziennego. Najwyraźniej uznano, że nie jest nic wart, w przeciwnym razie z pewnością już dawno stałby się własnością ukochanej któregoś ze strażników albo zostałby wymieniony na kilka butelek bimbru.

Oszołomiona niepewnie wyszłam na skąpaną w promieniach słońca Towarową. Blask dnia mnie oślepił. Chciałam przesłonić oczy dłonią, lecz w tym samym momencie usłyszałam przeraźliwy pisk.

Obudziłam się w całkowitej ciemności. W pierwszej chwili nie wiedziałam, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Dopiero po kilku sekundach, gdy udało mi się opanować wywołane dezorientacją przerażenie, poczułam znajomy zapach środków czystości używanych do dezynfekcji pomieszczeń. Byłam w szpitalu.

Spróbowałam otworzyć oczy, ale nie mogłam. Uniosłam rękę i dotknęłam twarzy. Była cała w bandażach. Zaczęłam krzyczeć. Rzucić

się na łóżku. Przewróciłam coś, co spadło z brzdękiem na podłogę.

Zrobiło się zamieszanie. Ktoś wbiegł do sali, głośno sapiąc.

– Pani tak nie krzyczy, pani kochana – usłyszałam życzliwy kobiecy głos. – Noc jest. Pacjentów pobudzi. Bardzo panią proszę.

– Gdzie ja jestem? – wycedziłam, z trudem łapiąc oddech.

– W szpitalu w Warszawie – pospieszyła z wyjaśnieniami kobieta, najwyraźniej zadowolona, że przestałam krzyczeć. – Całkiem trzeźwa pani była, a pod auto rozpędzone to się wpadło. Facet nie zdążył ponoć nawet nogi na hamulec przenieść. Tak uderzył, że ho, ho. A panią zmiotło na chodnik. Cud, że pani przeżyła, pani kochana. No, ale nasz doktor z kolegami poskładał, a pozszywał na pewno jak zawsze ślicznie. Ani się pani obejrzy, a będzie zdrowa. Tylko trzeba doktora słuchać i grzecznie leżeć.

Milczałam. Oddychałam ciężko. Paplanina kobiety sprawiła jednak, że powoli się uspokajałam. Znow skrzypnęły drzwi.

– Właśnie miałam po pana iść, doktorze – odezwała się raz jeszcze moja rozmówczyni. – Ta pacjentka, co to pan o nią tak dopytywał, właśnie się obudziła.

– Dziękuję, siostrze.

Ten głos! Serce znow załomotało mi boleśnie. Tętno przyspieszyło niebezpiecznie. Oddech zaszeleścił. Zakręciło mi się w głowie. Nie, to nie mogła być prawda. To majak senny, okrutny żart zmęczonej wyobraźni.

– Coś znow ciężiej oddycha. Może przynieść jakiś proszek? – zapytała kobieta.

– Nie trzeba – powtórzył mężczyzna, a ja zaczęłam zdzierać opatrunek z głowy.

Musiałam natychmiast się przekonać, czy to jawa, czy sen. Natychmiast.

– Pani się uspokoi, pani kochana. – Miękkie dłonie mocno ujęły moje ręce i przycisnęły do materaca. – Krzywdę sobie pani zrobi. Nie dotykamy opatrunku. Nie wolno.

– Proszę pozwolić. – Czułam, jak miejsce miękkich kobiecych dłoni zajmują szerokie ręce mężczyzny. – Poradzę sobie.

– To ja, panie doktorze, będę w dyżurce, jakbym była potrzebna panu doktorowi – oświadczyła kobieta i poczłapała do wyjścia, a ja wsłuchiwałam się w rytmiczne uderzenia jej chodaków. Byłam pewna, że postradałam zmysły.

– Marianno... – szepnął mężczyzna.

Pokręciłam głową. Tego było zbyt wiele, stanowczo zbyt wiele. Nie rozumiałam tego, co się wokół mnie działo, nie pamiętałam, jak się tu znalazłam. Wszechobecna ciemność wywoływała panikę. Pytań było dość, a teraz jeszcze to. Przeczynałam, że to wszystko, co się wydarzyło, pozostawi we mnie ślady, ale nie spodziewałam się, że zepchnie mnie na skraj szaleństwa.

– Marianno... – Palce mężczyzny powoli przesunęły się z mojej dłoni wzdłuż ramienia. To był delikatny, pieszczotliwy dotyk.

– To niemożliwe... – szeptałam, a bandaż na mojej twarzy zwilgotniał od łez. – To niemożliwe.

– Jestem tu.

– Janku... – zdążyłam jeszcze szepnąć, nim straciłam przytomność.

Gdy się ocknęłam, byłam pewna, że to wszystko tylko mi się przyśniło, lecz po chwili poczułam, że czyjeś palce dotykają mojej skóry.

– Obudziłaś się? – spytał Janek Franek rozspanym głosem, jakby i on, czuwając przy mnie, uciął sobie drzemkę.

– Byłeś tu przez cały czas? – spytałam.

– Mhm – potwierdził. – Czekałem na ciebie.

Serce załopotало mi w piersi.

– Nie spodziewałem się tylko, że twój powrót będzie tak spektakularny – dodał swoim zwyczajnym, lekko żartobliwym tonem, który mimo upływu lat tak dobrze pamiętałam. – Czterech lekarzy, dwanaście godzin przy stole operacyjnym, naprawdę umiesz zrobić efektowne wejście. Strzaskana miednica, połamane obie nogi, i to z przemieszczeniem kości, pęknięte żebra i śledziona, którą niestety musieliśmy usunąć – wyliczał. – Uraz głowy, wstrząs mózgu z uszkodzeniem nerwu wzrokowego, na szczęście wygląda na to, że tymczasowym... Mówić dalej?

Potrząsnęłam głową.

– Szkoda, bo to szalenie ciekawy przypadek. – Pokręcił głową z żalem. – Gdyby tak wszystko podliczyć, wyszedłby niemal medyczny poemat, hymn na cześć ludzkiego ciała. Po katastrofie.

Uśmiechnęłam się mimowolnie.

– Ja... – spróbowałam, ale nie wiedziałam, jak zacząć. Zapomniałam słów, których miałam użyć, gdy znów się zobaczymy, a potem całkiem straciłam nadzieję, że kiedykolwiek to nastąpi. – Nie chciałam sprawić kłopotu.

– Żaden kłopot – zapewnił. – Niezłe wyzwanie. Robiliśmy nawet zakłady o to, ile krwi będzie trzeba ci przetoczyć. Najbliżej był Grelewski, ortopeda.

– Lekarze mają doprawdy dziwaczne poczucie humoru – stwierdziłam.

– „Trzeba wiedzieć, że z mózgu samego płyną nasze przyjemności, radość, śmiech, wesołość...” – rzucił sentencjonalnie Janek.

– Niech zgadnę – powiedziałam, czując, jak głos drży mi z emocji. – Hipokrates?

– Któżby inny – odparł, a ja gotowa byłam się założyć, że się uśmiechnął.

Przez chwilę milczeliśmy, a atmosfera utraciła nagle swoją lekkość, zgęstniała od niezadanych pytań.

– Wtedy we wrześnieu... Zniknąłeś... – szepnęłam w końcu.

– Szkopy mnie złapały, ale im uciekłem.

– Jak uciekłeś?

– Po prostu wysiadłem z budy.

– Nie gonili cię? – Usiłowałam zrozumieć.

– Jakoś nie – powiedział w zadumie. – Może dlatego, że wyskoczyłem z jadącej ciężarówki, gdy brała ostry zakręt nad rzeką. Na szczęście głęboką.

– I co było dalej?

– Wyczołgałem się z wody, ale nie byłem w najlepszym stanie. Okoliczny chłop znalazł mnie nad wodą i przygarnął. Rozchorowałem się porządnie i niewiele brakowało, a nie miałby cię kto zszywać. Gdy wydobrzałem, była już wiosna. Mniej więcej w tym samym czasie przyjechał syn gospodarzy, który nawiał z obozu jenieckiego. Chciałem wracać do Warszawy, ale mi to odradził. „Tam prędzej czy później zainteresuje się tobą Gestapo albo wpadniesz głupio w czasie jakiejś łapanki i myk, do obozu. Skoroś wolny, nie gardź tym. Bardziej przydasz się swoim żywy”. A upewniwszy się, że jestem godzien zaufania, powiedział, że sam wybiera się do Anglii, gdzie mają organizować specjalny oddział. Poszedłem z nim.

Słuchałam z uwagą, choć jakaś część mnie wciąż nie dowierzała, że to dzieje się naprawdę, że Janek Franek żyje, siedzi tuż obok mnie i opowiada mi swoje wojenne losy.

– Odbyłem wraz z innymi specjalne przeszkolenie w Wielkiej Brytanii, sabotaż, wywiad, łączność i takie tam. Moja zdolność do szybkiego uczenia się nowych rzeczy sprawiała, że uparcie nie chcieli ze mnie zrezygnować, choć... – westchnął teatralnie – ...marny ze mnie komandos.

Uśmiechnęłam się.

– Wróciłem do Warszawy wiosną czterdziestego drugiego, wypełniałem rozkazy. – Zawiesił głos, a ja wiedziałam, że nie powinnam

o nic pytać. To miało pozostać tajemnicą. – Skończyłem też medycynę.

– W Warszawie? – zdziwiłam się.

– W marcu czterdziestego pierwszego Niemcy zezwolili na funkcjonowanie szkół zawodowych, które stały się przykrywką dla tajnego szkolnictwa wyższego – wyjaśnił. – Prywatna Szkoła Zawodowa dla Pomocniczego Personelu Sanitarnego doktora Jana Zaorskiego *de facto* była wydziałem lekarskim uniwersytetu. Kontynuowałem więc studia medyczne. Zajęcia praktyczne odbywały się w szpitalu, bo wszystkie w zasadzie stały się klinikami obsadzonymi pracownikami naukowymi, którzy prowadzili ćwiczenia dla studentów różnych lat.

– Niesamowite – szepnęłam z nieskrywanym podziwem. Nie zdawałam sobie sprawy, że tajne nauczanie tak się rozwinęło. – A jak wpadłeś w ręce Gestapo?

– Skąd wiesz? – Czułam na sobie jego wzrok.

– Gdy... gdy mnie aresztowali... – mówiłam powoli. Wypowiadanie tych słów przychodziło mi z trudem. Po raz pierwszy wspominałam na głos tamte dni. – Pokazali mi zdjęcie. Moje zdjęcie. Znalezione przy tobie.

– Przepraszam, Marianno... Tak bardzo cię przepraszam – wymamrotał cicho. – To była chwila słabości. Gdy wróciłem do Warszawy, natychmiast odwiedziłem dom twoich rodziców. Od nich dowiedziałem się, że zaczęło się z tobą dziać coś niedobrego, a potem zniknęłaś, przepadłaś jak kamień w wodę. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, że nie skontaktowałem się z tobą wcześniej, choć Bóg mi świadkiem, że myślałem o tym każdego dnia. Może gdybym dał ci jakiś znak, że żyję, dodałoby ci to otuchy, zatrzymało przed pochopnym działaniem. Gubiłem się we własnych myślach. Rozmowa nie bardzo się kleiła. Wychodząc, poprosiłem ich o twoją fotografię. Podarowali mi tamto zdjęcie i nie mogłem... Nie mogłem się przemóc, żeby gdzieś je ukryć. Łamiąc wszystkie zasady konspiracji, nosiłem je wciąż przy sobie...

– Nie aresztowali mnie z twojego powodu – zapewniłam szybko, by zdjąć z jego barków ciężar winy.

– Mimo wszystko naraziłem cię...

– Nie, Janku – ucięłam.

Nic nie odpowiedział, wyraźnie czekał na jakiś ciąg dalszy.

– Uciekłeś Niemcom po raz drugi? – spytałam, chcąc zmienić temat.

– Słyszałaś o wydarzeniach w więzieniu na Radogoszczu?

– Siedziałeś w Łodzi? – wykrztusiłam wstrząśnięta.

Janek potwierdził. Nie mogłam w to uwierzyć. Był tak blisko. Tak blisko.

– Mnie trzymali na Gdańskiej...

– Wypuścili was w nocy z szesnastego na siedemnastego stycznia – powiedział bardziej do siebie niż do mnie.

Doskonale pamiętałam wszystko, co działo się w tamtym czasie. Obudzili nas w środku nocy, wywołali na korytarz, sformowali kolumnę. Miałyśmy wszystko zostawić w celach, więc byłam pewna, że idziemy na egzekucję. Czekaliśmy na transport, przekonane, że wywiozą nas do lasu i zastrzelą. Nastąpiła jednak zmiana planów, podobno nadchodzili Rosjanie, i wróciłyśmy do cel. Kolejnego wieczoru jakoś około dwudziestej wszystko się powtórzyło, ale tym razem popędzono nas do Pabianic, gdzie miał na nas czekać pociąg. Ulice były puste, zaciemnione, noc bezksiężycowa. Na placu Reymonta udało mi się odłączyć od grupy...

– To było złe miejsce – zaczął Janek po chwili ciszy.

– Jakby którekolwiek więzienie było dobre...

– Radogoszcz nazywano obozem więziennym... Od głodu i znęcania się codziennie ginął przynajmniej jeden z nas – ciągnął.

Teraz sobie przypomniałam, że czytałam o tym miejscu, gdy jeszcze pracowałam w Komisariacie Rzeszy do Spraw Umacniania Niemczyzny.

Pierwszego lipca 1940 roku obóz przejściowy przekształcono w więzienie dla mężczyzn. Rozszerzone Więzienie Policyjne dla Polaków z obszaru Kraju Warty

– Poszczyliło mi się, bo Niemcy wiedzieli, że jestem lekarzem, i skierowali mnie do izby chorych. Miałem trochę własnej przestrzeni, lepsze jedzenie i mogłem się umyć.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem. Te z pozoru proste rzeczy znacząco poprawiały komfort życia.

– Niemcy zaczęli przegrywać – kontynuował Janek. – Podobno już dwudziestego lipca czterdziestego czwartego został wydany rozkaz wymordowania lub ewakuacji wszystkich więźniów w miastach Generalnej Guberni, do których miały się zbliżać front. Przeprowadzono kilka spektakularnych masakr więziennych...

– Nie wiedziałam... – wyszeptałam, ale pochłonięty wspomnieniami Janek nie zwrócił na mnie uwagi.

– Rozkaz ten postanowiono najwyraźniej zastosować i w Kraju Warty. Podobno mieli zginąć wszyscy w łódzkich więzieniach. Powojenne śledztwo wykazało, że z całą pewnością miała się odbyć egzekucja kobiet więzionych przy Gdańskiej.

Wciągnęłam głośno powietrze, zdjęta grozą. Nagle stało się jasne, skąd wiedział o tym wszystkim.

– Więc z siedemnastego na osiemnastego stycznia... – podjął.

– Gdy Rosjanie byli już pod Łodzią... – dopowiedziałam, słuchając jak w transie i rozumiejąc, że owej nocy te same emocje były udziałem nas obojga.

– Około północy na Radogoszczu rozpoczęła się rzeź – powiedział cicho Janek. – Niemcy bestialsko wymordowali wszystkich na parterze, także moich pacjentów z izby chorych, i ruszyli na ostatnie piętro. Zarządzili zbiórkę więźniów i rozkazali im zbiec na dziedziniec. Na dole schodów ustawiono karabin maszynowy. Gdy padli pierwsi, reszta próbowała się cofnąć, ale Niemcy strzelali już też z piętra.

– Boże... – jęknęłam przerażona tą opowieścią.

– Więźniowie znaleźli się w potrzasku. Zaczęli stawiać opór. W ruch poszły cegły, deski, co kto miał pod ręką. Wtedy nastąpił wielki finał...

Zawiesił głos, jakby to, co chciał powiedzieć, było wyjątkowo trudne.

– Strażnicy wycofali się z budynku, zaryglowali wszystkie wyjścia i podpalili więzienie – wyrzucił z siebie. – Do tych, którzy usiłowali ratować się ucieczką, wyskakując z okien, Niemcy rozstawieni wokół murów strzelali jak do kaczek. Wszystko stanęło w płomieniach. Ściany odbijały echem wycie płonących żywcem... To było piekło...

Po omacku odnalazłam dłoń Janka i lekko ścisnęłam.

– A ty? – spytałam nieśmiało po dłuższym milczeniu.

– Z blisko półtora tysiąca więźniów ocalało nas trzydziestu – odpowiedział wymijająco. – Trzydziestu, Marianno... Kilkadziesiąt godzin później w Łodzi nie było już Niemców. Tylko kilkadziesiąt godzin dzieliło ich od życia.

Na korytarzu rozległ się dzwonek. Janek zerwał się z miejsca.

– Pacjent potrzebuje pomocy – rzucił głosem wciąż ochryłym z emocji. – Muszę teraz iść, a ty spróbuj odpocząć, dobrze?

– Dobrze – obiecałam, ale jeszcze długo nie udało mi się zasnąć. Zdawało mi się, że w otaczających mnie ciemnościach słyszę krzyki oszalałych z przerażenia mężczyzn i trzask ognia trawiącego wszystko wokół.

Z krótkiej drzemki, w którą z braku lepszego zajęcia zapadałam raz po raz, wyrwał mnie jakiś hałas. Podniosłam głowę i wsłuchiwałam się w dobiegające zewsząd dźwięki. Drzwi otworzyły się, ciężkie chodaki zastukały o szpitalną podłogę. Zawiedziona opadłam na poduszki. Liczyłam, że może Janek zajrzy do mnie przed porannym dyżurem, ale najwidoczniej nie miał czasu. Ja miałam go aż nadto, a w mojej głowie pozbawionej innych bodźców mnożyły się pytania. Minęło tyle lat, tak wiele się zmieniło. Może poświęcał mi uwagę w imię dawnej przyjaźni, ale miał już nowe życie, nową kobietę, może nawet się ożenił. Może doczekali się dzieci? Albo kupili sobie psa? Nie miałam śmiałości zadać mu tych wszystkich pytań. W pierwszej chwili wypełniła mnie radość z cudu, jakim było jego ocalenie i nasze spotkanie, wszystkie te rozważania przyszły później, gdy zostałam sama, błędząc wśród ciemności własnego umysłu.

– Doktor polecił zdjąć opatrunki – oznajmiła pielęgniarka.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie spodziewałam się tego, jeszcze nie teraz. Zalała mnie fala gorąca. Bandaże pozwalały mi nie myśleć o tym, jak wyglądam po wypadku. Teraz nadszedł moment, kiedy miałam się z tym zmierzyć, i nie, nie byłam na to gotowa.

– Siadamy, siadamy, przedziutko. – Pielęgniarka z głośnym brzdękiem przysunęła sobie metalowy wózek na kółkach.

W więzieniu przywykłam do spełniania poleceń, więc potulnie usiadłam na łóżku i opuściłam stopy na podłogę. Po chwili szczeknęły nożyczki. Pielęgniarka powoli rozcięła bandaż i zaczęła go metodycznie rozwijać. Wreszcie poczułam chłód na głowie, a po nim przyszedł wstyd, jakbym została obnażona.

– Pięknie się goi – pochwaliła kobieta, ale jej nadmierny entuzjazm podpowiadał mi, że nie wyglądam zbyt dobrze.

Podniosłam rękę i dotknęłam palcami pozbawionej włosów głowy. Dreszcz przebiegł mi wzdłuż kręgosłupa. A zatem doczekałam się kary przeznaczony dla kobiet obcujących z Niemcami. Ogolono mi głowę. Teraz wszyscy się dowiedzą.

Wezbrała we mnie panika. Przez chwilę nie mogłam złapać tchu.

– Odrośną, nim się pani obejrzy – paplała życzliwie pielęgniarka, której uwagi nie uszedł mój wstrząs. – A jakie będą zdrowe i lśniące, zobaczy pani.

Jej słowa sprawiły, że oddech znów popłynął swobodnie. Ta poczciwa kobieta myślała, że tak bardzo przejmuję się swoim wyglądem. Wojna się skończyła. Nikt nie mógł mnie już o nic oskarżyć, skrzywdzić. Byłam bezpieczna. Tylko czy kiedykolwiek zdołam wyzbyć się lęku?

– A teraz proszę się nie ruszać, zdejmę opatrunek z oczu – dodała miękko.

W skupieniu odklejała plastry, a ja modliłam się, żeby to trwało jak najdłużej, bym mogła odwlec moment, w którym będę musiała zmierzyć się z własnym odbiciem w lustrze.

– No pięknie, pięknie – mamrotała. – Poszło.

Czerń pod powiekami w jednej chwili ustąpiła brzoskwiniowej poświacie.

– Dzień taki ładny, proszę spojrzeć – poradziła mi pielęgniarka.

Ostrożnie uchylłam powieki. Światło mnie oślepiło. Natychmiast zamknęłam oczy.

– Spróbujemy powolutku – powiedziała kobieta i poczłapała w stronę okna. – Zaciągnę trochę zasłony.

Pod powiekami znów zapadła kojąca ciemność.

– No już, proszę się nie bać – zachęcała mnie pielęgniarka. – Nie ma na co czekać, i tak kiedyś będzie musiała pani spróbować. Teraz jest równie dobry moment jak każdy inny.

Zastanawiałam się, skąd w tej kobiecie bierze się tyle cierpliwości. Przecież też przeszła przez piekło. Jak udało się jej pozostać taką? Miałam ochotę ją o to zapytać, ale nie starczyło mi odwagi. Od dawna nie pytałam nikogo o nic. Bałam się, że to może ją sprowokować do zadawania pytań mnie, a tego nie chciałam.

– Jestem obok – zapewniła pielęgniarka i delikatnie ujęła mnie za rękę. Jej dłoń była miękka i ciepła.

Otworzyłam oczy. Najpierw nie widziałam nic. Powoli z ciemności zaczęły wyłaniać się kontury szpitalnych mebli. Zarys postaci siedzącej przy mnie stawał się coraz wyraźniejszy.

– Widzę... – szepnęłam zduszonym głosem, a pielęgniarka mocniej ścisnęła moją dłoń.

– Pójdę już – powiedziała, wstając. Zaterkotały kółka przesuwanego wózka. – Powinna pani odpocząć.

– Proszę zaczekać! – zawołałam za nią. – Czy... czy ma pani lusterko?

Kobieta westchnęła i podrapała się po czole.

– Przy sobie to nie. W dyżurce mamy takie jedno na nóżce eleganckiej, ale to może lepiej poczekać, żeby te siniaki zniknęły... – odparła wreszcie z wyraźnym wahaniem.

– Czy mogłaby mi je pani przynieść? – spytałam, choć słowa z trudem przeciskały się przez wyschnięte z emocji gardło. – Proszę.

Pielęgniarka nie odpowiedziała. Skinęła tylko głową i wyszła, by po chwili wrócić z małym kwadratowym lusterkiem. Podała mi je bez

słowa, po czym stanęła przy wózku i zaczęła porządkować leżące na nim przedmioty.

Przesunęłam palcem po lśniącej tafli odbijającej błyski światła. Odetchnęłam głęboko, a potem jednym szybkim ruchem ustawiłam lusterko przed swoją twarzą i otworzyłam oczy.

W pierwszej chwili poczułam ulgę. W odbiciu nie zobaczyłam siebie, lecz kogoś innego. Całkiem obcego. A potem przyszło otrzeźwienie. To byłam ja. Odebrano mi nie tylko duszę, ale i powłokę, pod którą skrywałam pustkę. Byłam całkiem bezbronna. Obnażona. Obrzydliwa. Oddałam lusterko.

– Dziękuję – wymamrotałam do pielęgniarki.

– Zobacz pani, jeszcze będzie dobrze. – Rzuciła mi współczujące spojrzenie. – Nie trzeba się załamywać.

– Oczywiście – bąknęłam sucho.

Przez zaciągnięte niedbale zasłony wsączała się cienka smuga światła. W otepieniu śledziłam, jak jego barwa zmienia się, intensywnieje, by wreszcie przybrać kolor ognia. Dzień dogasał.

– Dobry wieczór, Marianno – odezwał się Janek, wchodząc do sali.

Błyskawicznym ruchem naciągnęłam na głowę prześcieradło, którym byłam przykryta.

– Wyjdź – poleciłam mu.

– Nie mogę – odparł, przysiadając na brzegu łóżka. – Widzisz, jestem lekarzem i moja praca polega na tym, żeby kontrolować stan zdrowia pacjentów, szczególnie po przebytych operacjach.

– Pewnie jest was tu wielu – rzuciłam, a biała płachta tłumiała nieznacznie moje słowa. – Zajmij się innymi.

– Nie mogę – powtórzył. – Muszę sprawdzić stan szwów po zdjęciu opatrunków i sporządzić stosowną adnotację w karcie pacjenta. Inaczej ordynator będzie miał do mnie pretensje. Powiadają, że dla lekarza praca

zawsze się znajdzie, ale chyba nie zniósłbym, gdyby przyszło mi zaglądać dzieciom do uszu zamiast pracować ze skalpelem...

– Niech przyjdzie kto inny – jęknęłam błagalnie.

Było mi niewygodnie, duszno i gorąco. Cały dzień czekałam na jego przyjście, a teraz chciałam jedynie, żeby jak najszybciej sobie poszedł.

– W tej chwili oddział nie dysponuje innym chirurgiem – wyjaśnił. – Tylko ja ci zostałem.

– Nie chcę...

– Marianno, daj spokój, przecież jestem lekarzem, w dodatku sam cię zszywałem i... Wierz mi, widywałem gorsze, o wiele gorsze rany.

– Ale moja twarz... – Głos mi zadygotał.

– Przez te wszystkie lata widywałem ją co dzień w snach – wyznał nieoczekiwanie, zniżając głos.

Wstrzymałam oddech. Słyszałam wyraźnie każde uderzenie mojego serca. Po raz pierwszy przekroczył granicę naszych koleżeńskich rozmów, w jakikolwiek sposób nawiązał do tego, kim niegdyś dla siebie byliśmy. Od rozmowy o Radogoszczu zamknął się w sobie. Opowiadał zabawne historyjki i szczegóły co paskudniejszych zabiegów, był gadatliwy, wesoły jak szczygiełek i całkowicie obojętny wobec mnie. Aż do tej chwili.

W napięciu czekałam, czy powie coś jeszcze. Pragnęłam słyszeć te słowa i bałam się ich.

– Znam na pamięć twoją twarz... – ciągnął Janek. Nagle urwał, a po chwili jego ton znów stał się rzeczowy. – Rany się zagoją, opuchlizna i sińce znikną...

– Jestem oszpecona bliznami! Obrzydliwa! – wykrzyknęłam, nie zdolawszy utrzymać na wodzy kłębiących się we mnie emocji. – Nie, nie chcesz na mnie patrzeć, wierz mi! Pamiętaj mnie tamtą!

– Marianno, zatem ty spójrz na mnie – przerwał mi, a w jego głosie wyraźnie wyczuwałam determinację.

– Nie rozumiem...

– Ocalałem życie w Radogoszczu, ale płomienie... – powiedział z wahaniem, a potem dodał już pewniej, jakby podjął jakąś decyzję: – Podaj mi dłoń.

Ostrożnie wysunęłam rękę spod prześcieradła, dbając, by materiał nie opadł i przypadkiem nie odsłonił mojej twarzy. Janek ujął moją dłoń. Gdy nasze palce się spotkały, przeszył mnie dreszcz. Pamiętałam dobrze ten dotyk, ale należał do innego świata, przypominał powidok śnionego dawno snu. Był tak bliski i obcy jednocześnie. Nieznośna pamięć natychmiast przywołała też wspomnienie innych dłoni, większych, twardszych, mocniejszych, tych niosących rozkosz i tych zadających ból. Janek podniósł moją dłoń do swojego policzka i poprowadził po mapie blizn rozciągającej się od czoła przez policzek aż do szyi. Skóra w tych miejscach była dziwnie śliska, chropowata, wyraźnie chłodniejsza, jakby martwa. Byłam tak poruszona, że nie zauważyłam, kiedy prześcieradło zsunęło się, odkrywając mnie. Wzdrygnęłam się i chciałam zasłonić, ale wówczas mój wzrok padł na jego piękną niegdyś twarz, okrutnie okaleczoną przez ogień. Wiedziona żalem, współczuciem i czymś, czego nie byłam jeszcze gotowa nazwać, chwyciłam jego dłoń i przyłożyłam do mojego policzka, pokreślonego grubymi liniami szwów. Nie wiem, jak długo trwalismy tak w bezruchu i bezczasie, patrząc sobie głęboko w oczy.

Odnalezienie Janka było tak cudowne i tak przerażające zarazem, że całkiem nie wiedziałam, co mam teraz zrobić. On żył i był sobą. Spotkaliśmy się. Wszystko mogłoby mieć szczęśliwe zakończenie, gdyby nie moja przeszłość i Karl.

– Janku, ja... ja nie jestem już tamtą dziewczyną... – odezwałam się pierwsza. Przygniatał mnie nieznośny ciężar tego wszystkiego, co się wydarzyło przez ostatnie lata.

Skinał głową. Nawet nie próbował mnie przekonywać, że jest inaczej. Cofnęłam dłoń. Spuściłam wzrok.

– Nie potrafię o tym mówić – wykrztusiłam z siebie.

– Opowiesz mi, gdy będziesz gotowa – odparł swym zwyczajnym beztroskim tonem, wzruszając przy tym ramionami.

– A jeśli nigdy nie będę gotowa? – spytałam, nie patrząc mu w oczy.

Milczał, a ja poczułam głęboki żal, że to wszystko się wydarzyło. Doskonale zdawałam sobie też sprawę z tego, że tak jak nie można odwrócić biegu rzeki, tak nie da się cofnąć czasu. To, co było, nigdy nie powróci, choćbyśmy nie wiem jak tego pragnęli.

– Jedni wracają z wojny bez nogi, inni bez oka, inni z duszą rozdartą na pół – powiedział. – A jednak każdy z nich przetrwał i próbuje żyć dalej.

– Ale jak? – wyszeptałam drżącym głosem, z trudem powstrzymując wzbierające pod powiekami łzy.

– „Po pierwsze nie szkodzić”, jak mawiał Hipokrates.

Uśmiechnęłam się słabo, a on odpowiedział mi tym samym.

– Po drugie, trzeba znaleźć sobie jakiś cel – kontynuował. – Jakikolwiek, choćby najprostszy. Postawić pierwszy krok, a potem drugi, trzeci, a w końcu nurt życia raz jeszcze nas porwie i popłyniemy dalej.

Zastanawiałam się nad sensem tych słów, gdy Janek znów się odezwał.

– Widzisz, ja na przykład zawsze chciałem nauczyć się grać w szachy, a jakoś nigdy nie było na to czasu. Najpierw szkoła i praca, potem studia i praca, wreszcie wojna i praca, a teraz, gdy jest tylko praca, z chęcią spełniłbym to dawne marzenie – rzucił wesoło. – W więzieniu grywaliśmy tylko w karty.

Słuchałam go z szeroko otwartymi oczami. W jego ustach to wszystko brzmiało tak prosto, tak zwyczajnie, a jednak jakaś część mnie nie dowierzała, że po tym, co się wydarzyło, to, o czym mówił, było w ogóle możliwe

– Chyba nie zapomniałaś, jak się gra, co? – zapytał, gdy moje milczenie się przedłużało.

Pokręciłam głową.

– A widzisz, to się doskonale składa. Ty umiesz grać, ja chcę się nauczyć. Może od tego zaczniemy i zobaczymy, co będzie dalej?

Poczułam, jak przez gęstwinę mroku w moim wnętrzu z trudem przedziera się cieniutki jasny promyk nadziei.

– Póki żyjemy, zawsze jest jakiś ciąg dalszy – dodał.

– Hipokrates? – zaryzykowałam.

– Jan Frankowski – powiedział i roześmiał się głośno.

POSŁOWIE

Historia Marianny Jurasz jest utkana niemal w całości z prawdziwych losów, wydarzeń, fragmentów życia kobiet z wywiadu Armii Krajowej – nierzadko zapomnianych przez historię dziewcząt wkraczających w dorosłe życie, które oddały swoją młodość, mądrość, wrażliwość i odwagę w służbie Polsce, płacąc za to niewyobrażalną cenę.

To brutalna opowieść o męstwie jednostek, odwadze, ideałach i heroizmie młodziutkich dziewcząt, tragedii ich osamotnienia, o odrzuceniu i oskarżeniach o zdradę w powojennej rzeczywistości, jedynej zapłacie za ofiarność, jaką było więzienie.

Jak napisał dr hab. Janusz Marszalec w posłowie do wspomnień Ludwika Zachariasiewicz: „Patrząc z perspektywy historyka konspiracji, można zauważyć, że Ludwika Zachariasiewicz była skutecznym trybikiem wielkiej maszyny, jaką było AK [...]. Nie można pozbyć się wrażenia, że mężczyźni, dla których »Lusia« pracowała, z którymi była też związana emocjonalnie, powierzali jej zbyt trudne zadania i za wiele od niej wymagali. Mówiąc wprost, wygląda to na instrumentalne traktowanie 23-letniej dziewczyny [...]; była i jest człowiekiem z krwi i kości. Wyjątkowość historii polega również na specyfice zadania, które »Lusia« miała wypełnić bez broni, kryjąc się za maską zdrajczyni...”.

One także, mimo pozornej sprawczości, były w znacznym procencie ofiarami drugiej wojny światowej. Znakomita większość z nich nigdy nie

opowiedziała o swoich przeżyciach. Przecież o takich sprawach się nie mówiło, podobnie jak o gwałtach wojennych. To było i nadal jest tabu.

Kiedy po raz pierwszy zetknęłam się z opowieścią wywiadowczyni AK, w której poruszony został wątek uwodzenia wroga, nie mogłam w to uwierzyć. Moją pierwszą reakcją było zaprzeczenie. Przez wiele dni chodziłam w stanie dziwnego odrętwienia. Pewnego dnia spotkałam znajomego, który pracował kiedyś w służbach. Z rozmowy z nim wynikało, że w wywiadzie „używanie” młodych kobiet, by nawiązały relację z obserwowanym, celem pozyskania informacji, było, jest i zapewne będzie praktykowane.

Przypomniały mi się wówczas słowa jednego z moich wykładowców prawa międzynarodowego, który opowiadając o służbach dyplomatycznych, stwierdził, że wiele spraw załatwia się tam pieniędzmi, alkoholem i... kobietami.

Pozwolę sobie raz jeszcze przywołać motto tej książki: „Polecenie przez dowódców AK młodzieńcom dziewczynom, by pełniły dwuznaczne role przy wrogu w sytuacjach, w których to poradzić sobie mogły tylko dzięki sprytowi i kokieterii, ale nie wiadomo jakim kosztem – nie sposób takich decyzji oceniać, ale trzeba o nich wiedzieć, by nie ulec pokusie postrzegania historii w kategoriach czarno-białych [...]”.

Pragnę podkreślić, że nie zawsze tak to wyglądało, a jednak nie można nam zapominać o tych, z których wiele zapewne nigdy nie opowiedziało całej prawdy o swojej służbie.

Opowieść Marianny jest też jednak historią, przez którą chciałam przypomnieć o bohaterskich czynach naszych tajnych agentek i złożyć im swoisty hołd. Osiągnięcia polskich wywiadowczyń są spektakularne i nierzadko miały realny wpływ na dalszy los działań wojennych podejmowanych przez aliantów w walce z Hitlerem. Przykładowo, za zebranie materiałów podczas akcji wywiadowczej w Hamburgu Halina Szwarz otrzymała Brązowy Krzyż Zasługi. Opowieść o nauce w BDM, o wizytacji w szkole i egzemplarzu *Mein Kampf* z podpisem Hitlera, zaczerpnięta również ze wspomnień Haliny Szwarz, świadczy niezbicie

o wielowymiarowości bohaterstwa polskich dziewcząt i ich ułańskiej fantazji.

Pamiętajmy o polskich wywiadowczyń!

Gwoli wyjaśnienia zaznaczę, że przytoczona w książce rota przysięgi Armii Krajowej została zawarta w rozkazie generała Stefana „Grota” Roweckiego w 1942 roku i zatwierdzona przez Rząd RP na Uchodźstwie. Do celów fabularnych pozwoliłam sobie jednak użyć tego tekstu dwa lata wcześniej. Zacytowany przeze mnie tekst obowiązywał około roku. 12 grudnia 1942 roku wprowadzono do niego drobne poprawki, m.in. nazwę Armii Krajowej, które obowiązywały do końca.

Tekst wyroku, który otrzymała Marianna, również jest tekstem oryginalnym, przywołuję go wraz z oryginalnym słownictwem i formami gramatycznymi. Dokładnie taki wyrok zapadł w sprawie Ludwiki Zachariasiewicz.

Fragm. Księgi Rodzaju przytaczam za Biblią Tysiąclecia. Pismem Świętym Starego i Nowego Testamentu (Poznań 2007).

Tekst wiersza Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej pochodzi z tomu *Wiersze zebrane* (oprac. Aleksander Madyda, Toruń 2003).

NAJWAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA

Aleksijewicz Swietłana, *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*, przeł. Jerzy Czech, Wołowiec 2010.

Heath Tim, *Dziewczyny wodza. Tragiczne dzieje młodych wielbicielek Hitlera*, przeł. Władysław Jeżewski, Warszawa 2019.

Modelski Tadeusz, *Byłem szefem wywiadu u naczelnego wodza*, Warszawa 2009.

Pacuła Jarosław, *Znaki czasu. O koniu Andersa i nazwach innych „metod śledczych” z okresu Polski Ludowej*, „Studia Filologiczne UJK” 2019, t. 32, s. 363–383.

Szwarc Halina, *Wspomnienia z pracy w wywiadzie antyhitlerowskim ZWZ-AK*, Warszawa 2008.

Winogradowa Luba, *Nocne wiedzmy na wojnie z lotnikami Hitlera*, przeł. Agnieszka Sowińska, Wołowiec 2016.

Zachariasiewicz Ludwika, *Randka z wrogiem*, Warszawa 2017.

Ziemer Gregor, *Jak wychować nazistę. Reportaż o fanatycznej edukacji*, przeł. Anna Dorota Kamińska, Kraków 2021.

ŹRÓDŁA MOTT

Szwarc Halina, *Wspomnienia z pracy w wywiadzie antyhitlerowskim ZWZ-AK*, Warszawa 2008.

Od KARTY [przedmowa] w: Zachariasiewicz Ludwika, *Randka z wrogiem*, Warszawa 2017.

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytaty.

* * *

WARSZAWA. JESIEŃ 1938

WARSZAWA. CZERWIEC–SIERPIEŃ 1939

WARSZAWA. WRZESIEŃ 1939 – SIERPIEŃ 1940

KALISZ. 1940–1941

ŁÓDŹ. JESIEŃ 1941 – POCZĄTEK 1944

[WARSZAWA–BYDGOSZCZ. 1945–1947](#)

[WARSZAWA. 1947](#)

[POSŁOWIE](#)

[NAJWAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA](#)

[ŹRÓDŁA MOTT](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Maria Paszyńska, 2023
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2024

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: archiwum M. Banachowicza

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak
Korekta: Joanna Pawłowska
Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-319-9

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilialia.pl

kontakt@wydawnictwofilii.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe